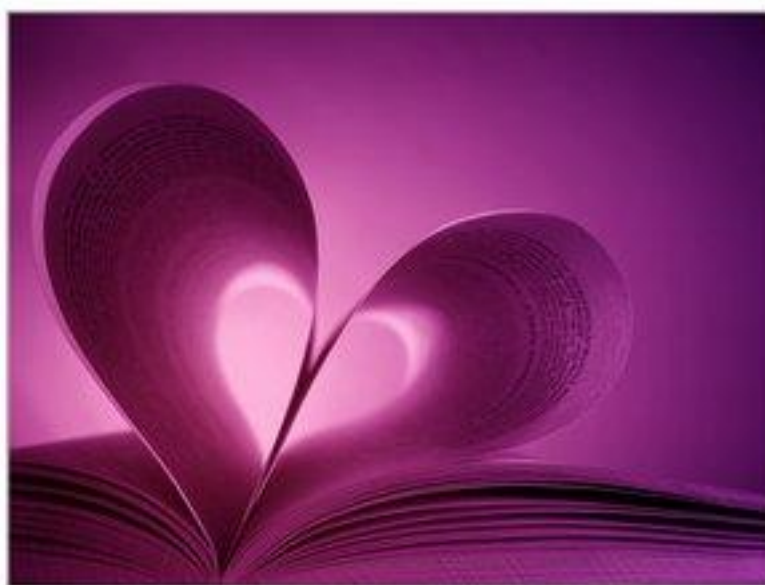




Nancy Price



Kobieta spełniona

**Przedstawiony tu portret,
zdawałoby się przerysowany,
jest wszakże portretem kobiety niezwyklej.**

MARY WOLLSTONECRAFT

1

Odkryty samochód przemknął przez wzniesienie z taką szybkością, że jego zderzaki i maska załśniły tylko przez moment i gorące, letnie słońce oświetliło sylwetki siedzących w środku: mężczyzny, a obok niego kobiety z dzieckiem. W połowie drogi do doliny wąską angielską szosę zablokowało stado owiec. - Auto zawyło, wpadło w poślizg, uderzyło w kamienny most, który wyrósł przed nim, i stanęło w płomieniach. Catherine, wypchnięta z ramion matki, wylądowała na grzbietach owiec, a Janet i Rob, uwięzieni w metalu, pozostali wśród dymu i płomieni wyglądając jak dwa czarne kopcice.

Choć echo łoskotu przetoczyło się już po podwórzach farm i między rosnącymi na wzniesieniu dębami, woda w strumyku płynęła dalej, z takim samym niezmaconym spokojem, z jakim trzaska ogień na kominku lub pobekują swoim niskim głosem owce.

Catherine ze zwróconą ku niebu twarzą ześliznęła się po brudnej wełnie na ziemię. W jej szeroko otwartych oczach odbijało się słońce i chmury. Dziecko nabrało powietrza w płuca i z krzykiem je wypuściło.

Po chwili rozległy się głosy i odnaleziono leżącą wśród paproci dziewczynkę. Paprocie były gorące, zielone i pachniały siarką, a silne głosy o wyraźnym akcencie z hrabstwa Derbyshire mamrotały coś po angielsku.

- Samochód przeleciał przez wzgórze o wiele szybciej niż powinien - wpadł na owcę Dabneya, walnął w most i się zapalił. O Boże, obydwój się spalili!

- Nie patrz na to, Sally!

- Dziecko jest całe. Przyprowadzili doktora. Przyszedł też proboszcz Trapp.

W gorącym powietrzu unosił się zapach siarki zmieszany z wonią spalonego tłuszczu i szyby. - Jest w Marleyshall młody człowiek o nazwisku Wade. Bill Buckingham ożenił się z matką Wade'a. Wie pan, to jeden z tych starszych mężczyzn, którzy wiążą się z młodymi pielęgniarkami. Ten Wade to taki wysoki facet. Lubi motyle. Najlepiej będzie najpierw zawiadomić jego, a potem resztę towarzystwa. To straszne. - Pociągnął za dzwonek.

Lokaj zawiadomił służącego, że lord Marley chce rozmawiać z panem Wade'em.

- Ciekawe, o co chodzi - powiedziała szeptem Daphne Hacket. Głos lokaja dobiegł z podestu schodów na górę.

- Chce z nim zagrać w chińczyka - szepnęła w odpowiedzi Alice Gresham i roześmiała się do Mary Ross i Daphne. Wszystkie trzy wyszły przez francuskie drzwi na trawnik, obcasy ich pantofli wbijały się w darni. Pod dębami miano podać herbatę.

- Janet pojechała z Robem i Catherine do Nottingham, bo Rob postanowił, że tym razem on zabiera ją i dziecko do doktora - powiedziała Daphne.

- W przeciwnym wypadku... - zauważyła Mary Ross, której brwi niemalże zniknęły pod grzywką i opaską - nietrudno byłoby znaleźć tutaj Thorna Wade'a.

- Znajdowałby się co najwyżej metr od Janet - powiedziała Alice. - A pomiędzy nimi, oczywiście, dziecko.

- Jasne - potwierdziła Mary. - Widziałas jej nowy kapelusz do samochodu?

- Jack Laird też nie odstępowałby jej na metr - dodała Alice siadając przy stoliku w cieniu. - Przystojniak z niego.

- Jeśli można by było zabić wzrokiem - powiedziała Mary, roześmiała się i dodała szeptem - ...wszyscy wiedzą, gdzie znajdowałby się wtedy mąż Janet. W tym momencie w ogrodzie pojawił się lokaj, niosąc chleb i masło, a reszta towarzystwa także zaczęła wracać ze stajni. I wtedy przybiegła do stolika Ethel Daniels z wiadomością, straszliwą wiadomością, którą jej pokojówka dostała od lokaja. Słyszając ją, wszyscy usiedli z wrażenia.

- Nie... jeszcze rano tu była! - wykrzyknęła Mary. - W tym niebieskim kostiumie, który sprowadziła sobie z Paryża, wyglądała jak marzenie. A ten kapelusz...

- Kto powie o tym Jackowi Lairdowi? - pytała gorączkowo Daphne. - O, idzie tutaj. Kto mu o tym, na litość boską, powie?

Konie przestępowały w miejscu w swoich przegrodach dzwoniąc uprzężą.

- Lord Marley chce rozmawiać z Długim - powiedział służący do stajennego. - A ten jeździ swoim rżęchem po polach...

- Przechodził tędy jakąś godzinę temu, szedł do lasu - powiedział pomocnik stajennego. - Czasem udaje mu się coś upolować.

- O, Wade przechodzi właśnie obok kościoła - powiedział stajenny.

Trzej mężczyźni przypatrywali się przez uchylone drzwi stajni młodemu mężczyźnie idącemu przez las wysypaną różowym żwirkiem ścieżką.

- Ubogi krewny - powiedział stajenny. - Nie ma nawet butów do konnej jazdy.

- Wozi wszędzie panią Buckingham z dzieciakiem.

Młody mężczyzna szedł w ich kierunku. Gęste, brązowe włosy miał uczesane na jeża, a kieszenie marynarki powypychane jakimiś ciężkimi przedmiotami. Patrzył na rosnące wokół dęby, jakby zobaczył je po raz pierwszy i wydały mu się interesujące.

- Ubogi krewny - stwierdził stanowczo stajenny.

Służący wyszedł przed stajnię i obrócił się z ważną miną dookoła.

- Buckinghamowie mieli wypadek - powiedział. - Wszyscy zginęli poza dzieciakiem. Pan Wade jest ich najbliższym krewnym, więc trzeba mu o tym powiedzieć.

- Jechali powozem? - zawołał stajenny.

- Odkrytym samochodem - powiedział służący oddalając się zwirowaną ścieżką w kierunku młodego mężczyzny.

- O, rany! - powiedział pomocnik stajennego. - Taki samochód! Gdybym ja nim jechał...

- To przerażające - powiedział lord Marley do Jacka Lairda. W końcu Laird był z branży stalowej, w dodatku Amerykaninem, a poza tym dostał w swoim czasie od Billa Buckinghama pewien kapitał. I był zaprzyjaźniony z Janet i Robem. Rozumiał więc, jak Marley jest przerażony faktem, że musi zawiadomić Billa Buckingham'a o śmierci jedyne go syna i synowej.

Rozmowy z prawnikami w Bostonie zajęły sporo czasu. Bill Buckingham znajdował się, w ośrodku dla alkoholików i nie mógł wiele pomóc. Później okazało się, że Janet wyznaczyła na opiekuna prawnego dziecka właśnie Thorna Wade'a. Otrzymał trochę pieniędzy z majątku Janet i chciał wyjechać z dzieckiem do Ameryki. Powiedział, że nie potrzebuje niani; w Londynie ma się spotkać z pewnym człowiekiem.

Wszyscy pojechali do Londynu odprowadzić Thorna i Catherine - to wszystko, co mogli zrobić.

- Jack Laird jest wyraźnie tym wszystkim przybity - powiedziała na peronie Daphne patrząc na rozmawiających Jacka i Thorna. - Jack wariował za Janet. Jest taki przystojny. I ma pieniądze.

- Jak się miało takie ubrania jak Janet - skwitowała Mary Ross. - I taki wygląd...

Para i dym unosiły się wysoko, aż pod szklany dach nad peronem i tam mieszały się ze spalinami nawiewanymi z Londynu. Jack Laird, Thorn Wade i Catherine tworzyli przez moment w tłumie pasażerów i bagażowych samotną wyspę. Jakaś kobieta na peronie uśmiechnęła się do Thorna patrząc na jego poplamione ubranie oraz na dziewczynkę, butelkę i wlokący się za nimi różowy kocyk.

Alice i Mary odwróciły się i szły szukać taksówki. Po drodze minęły stado gołębi, młodego mężczyznę na wózku inwalidzkim (na pewno rannego na wojnie) i babcie w czarnym berecie. Mary stwierdziła, że nie muszą koniecznie czekać, aż pociąg odjedzie.

Daphne ciągnęła się za nimi z tyłu spoglądając na peron.

- Powinna była wyjść za Jacka! - mruknęła w końcu, spojrzała po raz ostatni na dwóch mężczyzn i dziecko, tkwiących w tłumie, i pobiegła za resztą.

- A więc będę miał Catherine i swoją pracę - oznajmił spokojnie Thorn. Catherine spała z kędzierzawą główką opartą na jego ramieniu.

Jack obrzucił szybkim spojrzeniem mijającą ich parę nóg w jedwabnych pończochach.

- Kawaler z dzieckiem? Wracaj lepiej do Francji.

- W Stanach mogę pracować. Janet chciała, żeby Catherine tam się wychowywała. Robowi było wszystko jedno.

- Te pomysły Janet! - Jack rozdeptał piętą niedopałek. - Była taka rozpieszczona.

- Kupiłem od pewnego znajomego dom - powiedział Thorn.

- A więc masz zamiar pisać książki o robakach i zmieniać pieluchy. O Boże, będziesz musiał znaleźć sobie jakąś kobietę.

- Wystarczy mi Tubbit. - Thorn spojrzał na niedużego człowieczka z ogromnymi, brązowymi wąsami, który pilnował jego bagażu. - Pochodzi z moich okolic w Dakocie Południowej i gotuje... - Jak zwykle nie skończył zdania. - Nie. Żadnych kobiet. I żadnych dzieci. Janet powiedziała...

- Co?

Thorn zawahał się.

- Ludzi nie zabija się jak koty... Jeśli Catherine będzie rozsądna...

- Jej matka była sprytna. Jak na kobietę...! Dokąd się udajesz?

Thorn nie odpowiedział. Jack zapalił kolejnego papierosa i pokręcił głową.

- Dwaj mężczyźni sami wychowujący dziecko, bez kobiety, bez nauczycieli...

- Znałem Janet prawie rok. - Lokomotywa za plecami Jacka zagwizdała. - Zrobiła mnie opiekunem Catherine. Naprawdę nie było nikogo innego. - Thorn uśmiechnął się do Jacka przepaszająco. - Powiedziałeś, że była sprytna. Jak na kobietę.

- Za sprytna, do diabła! Za sprytna na to, żeby zwariować na punkcie jakiegoś rozprawiającego o robakach i łączącego za nią z siatką na motyle szczeniaka! Na litość boską, śmiała się z ciebie! Ze mnie nigdy się nie śmiała! Z Buckinghamama też nie!

- Masz rację, nie śmiała się. - Z twarzy Thorna zniknął uśmiech. - Bo nie byliście zabawni.

- Byłem poważny jak cholera. Nie chodziło mi o jej pieniądze, to Buckinghamowi o nie chodziło. Ja chciałem jej. - Jack patrzył na śpiącą na ramieniu Thorna z piąstką zaciśniętą na jego szyi Catherine. - Źle to rozegrałem - powiedział.

Mężczyzna z brązowymi wąsami postawił bagaż na stopniach pociągu; Thorn odwrócił się i podążył za nim.

- Dzięki. Dzięki za odprowadzenie - powiedział i owinął dziecko kocykiem. Przez moment stał w drzwiach wagonu patrząc w dół na Jacka niebieskimi oczami. - Trudno było ją złapać... - powiedział Thorn.

Jack wypuścił w odpowiedzi dym nosem i spojrział na niego. Pociąg szarpnął i ruszył.

- Bez siatki - dodał Thorn.

3

- Bez siatki... - powtórzył później Thorn do rozbijającej się o bok statku fali. Kobiety w miękkich kapeluszach i trzepoczących na wietrze sukienkach chichotały mijając rozmawiającego z morzem młodego mężczyznę.

- Co on powiedział? - zapytała szeptem Irene. Gladys spojrzała przez ramię.

- Kto?

- Mój tata przyjedzie po mnie do Nowego Jorku nowym samochodem - jedźcie ze mną do Newport! - powiedziała Mabel.

- Wydaje mi się, że powiedział: bez matki. - Irene obejrzała się. - Jest taki wysoki i... wygląda na nieśmiałego. Ma takie piekielne niebieskie oczy i śliczne brązowe rzęsy. Całkiem niezły. Ale taki jakby bezradny; chciałoby się go przytulić i powiedzieć, że mamusia jest przy nim.

- Ale z ciebie numer, Irene! Poza tym on ma dziecko. Kiedy przyplniemy do Nowego Jorku...

- Dziecko!

- Niemowlę. Nosi je za nim jakiś ocalały z rewolucji Rosjanin. A przynajmniej na takiego wygląda. Widziałam go wczoraj, jak chowałam się w pierwszej klasie z papierosem. Daj spokój, Irene...

W Nowym Jorku był upał. W długo jadących na zachód pociągach także. W końcu Thorn kupił używanego forda i wstawił do niego, pomiędzy siedzenia, dziecienny wózek dla Catherine. Catherine patrzyła na niego oczami Janet, tyle że jej były bardziej niebieskie. Thorn miał w kieszeni na piersiach gruby plik banknotów.

Karl Tubbit w milczeniu prowadził samochód. Zawsze stosował się do wskazówek innych i sądząc z wyrazu jego twarzy oraz sposobu, w jaki unosił do góry porośniętą siwizną brodę, był zadowolony z życia. Jeśli zauważył w pięknych oczach Thorn'a ślad niepewności czy lęku, zachował to dla siebie. Gdy Thorn był czasem smutny, Karl Tubbit przyglądał mu się z zainteresowaniem podobnym do tego, jakim obdarzał unoszące się przed nimi nad szosą rozedrgane, gorące powietrze.

Thorn kupił nowy rozrusznik, potem tuleje, a gdy jeszcze podniósł kilkanaście razy siedzenie, żeby dokładnie dokręcić pedał gazu, nasmarował koła i poznał wszystkie szczegóły podwozia, stwierdził, że samochód jest jego. Dotknął dłonią banknotów, pomyślał, że w banku czeka na niego jeszcze więcej pieniędzy, i poczuł się pewniej. Człowiekowi, którego wynajął do pomocy, wydał następujące polecenia: Catherine powinna mieć sucho, ciepło i zapewnioną pełną butelkę, rachunki za hotel mają być opłacone, walizki wniesione.

- Bez siatki... - powiedział Thorn popatrując na małą Catherine. Pod kędzierzawymi włoskami dziecka dostrzegał czaszkę tak podobną do głowy matki. Janet uśmiechała się do niego we wspomnieniach pośród nadmorskich trzciny i muszli. Ten uśmiech, może poza pierścieniem od Williama Buckingham'a widocznym na palcu, był jedynym świadectwem tego, kim była. Kim była także dla niego. Thorn przytknął usta do główki dziecka i poczuł smak soli. Dziewczynka napiła się do syta mleka, poruszyła gwałtownie rączkami i nóżkami, wypuściła ustami bąbelki powietrza. Wnuczka Williama Buckingham'a.

- Zatrzymaj się, weźmiemy benzynę - powiedział Thorn.

Stary farmer przyniósł paliwo i przyglądał się Thornowi i Catherine.

- Gdzie twoja mamusia? - zagadał do dziecka i uśmiechnął się. Zmarszczki na jego poranej bruzdami twarzy pogłębiły się.

- Ja jestem jej matką - powiedział Thorn. - Jej matka nie żyje.

- Jakie to straszne! - pokręcił głową farmer. - Co za okropna strata! - Śledził potem wzrokiem młodzieńca z dzieckiem i jego ojca - jak sądził - gdy się oddalali. Stracił żonę. Co za nieszczęście. - Powodzenia! - krzyknął za nimi.

Gdy przybyli do Detroit, wciąż było upalnie. Powietrze znad jeziora nie zaczęło jeszcze chłodzić o zmierzchu miasta i koszula lepiała się Thornowi do pleców. Na jego kolanach podskakiwała Catherine. Thorn podłożył jej czystą pieluszkę pod brodę i pchnął szerzej okienko w samochodzie.

Znajome miasto zdawało się drgać w unoszącym się nad chodnikami gorącym powietrzu - podobnie się dzieje z murami domu w czasie pożaru.

- Skręć w lewo w Woodward - powiedział do Tubbita.

Mijali kilometry ulic, przy których domy stały ciasno, jedno przy drugim. Potem zaczęły się przerzedzać, aż w końcu dojechali do miejsca, gdzie kiedyś było jezioro.

- Skręć w prawo - odezwał się po chwili Thorn.

Stara, zwirowana droga wiała się przez otwartą okolicę. Nieliczne wierzby odcinały się na tle monotonnego krajobrazu pionowymi kreskami, gdzieś wyrastał sękaty dąb lub rozłożysty sumak. Wysoka trawa prażyła się w słonecznej ciszy. Jeśli nawet Karl Tubbit zastanawiał się, co tu robią, nie widać było tego po jego twarzy. Już wcześniej widział w różnych zakątkach kraju takie miasteczka wyrosłe po wojnie. Przeklęta okolica, gorsza od Dakoty Południowej.

Mijali kładące się cieniem na drogę topole, które sprawiały, że wyglądała, jakby była w paski. W pewnym momencie, w przerwie pomiędzy drzewami, ukazał się stary, zbudowany w stylu wiktoriańskim dom. - Był dwa razy większy od tego, który zapamiętał Thorn. Drewniana woluta - ornament architektoniczny w kształcie spirali - kładła się cieniem na białym tynku w popołudniowym słońcu.

Tubbit zatrzymał forda obok zegara słonecznego. Trawa przed domem była skoszona, a przestronne werandy wybiegały na wysadzaną topolami i obrosłą sumakami aleję.

- Twój domek znajduje się z tyłu - powiedział Thorn. - Są w nim chyba trzy pokoje. Wszystko powinno być świeżo posprzątane... podgrzej dla niej jak najszybciej trochę mleka. - Uniósł do góry dziecko w kocyku i przełożywszy długie nogi przez deskę rozdzielczą samochodu wymacał w kieszeni klucze dla Tubbita. Tubbit wziął je bez słowa, a wtedy Thorn wyjął swoje.

Oto stał przed domem. Był tak samo ponury jak reszta okolicy i podobnie ciężki od ciszy. Przekręcił klucz w drzwiach wejściowych i kiedy otworzył je szeroko, przez stożkowe okienko wpadły do korytarza i salonu i uleciały jakby w przestrachu smugi tęczy. Poczł zapach, który przywiódł mu na pamięć starego profesora Zeidarta i jego żonę, do których ten dom należał przed śmiercią. Doznał uczucia, jakby pokoje bez nich opustoszały.

Catherine spała w jego ramionach. Wszedł do salonu i wyjrzał przez okno. Dom i prowadzącą do niego topolową aleję otaczało morze ostrej, wysokiej po pas trawy. Trawa parowała w nieruchomym słońcu i dopiero w miejscu, gdzie docierały pierwsze podmuchy wiatru od jeziora, utworzyła się w niej bruzda, która wyglądała tak, jakby ktoś się obudził i zaczął wchodzić do wody, coraz głębiej i głębiej, aż całkiem w niej zniknął.

Catherine poruszyła się przez sen i odwróciła głowę, żeby posać jego gołą szyję. Thorn spojrział w bok i ujrzał ogromne kępy mleczy na łąkach.

W pojemniku na cukierki znajdowały się oderwane ze starych listów znaczki. Ozdobne talerze zbierały nad kominkiem kurz. Ze starego, stojącego obok nich lustro oblażyło srebro i skoncentrował się w nim mrok. W pobliżu poczerńiałego od dymu kominka rozpierały się pokryte pokrowcami fotele przywodząc Thornowi na pamięć spędzone w tym pokoju wieczory, kiedy to wraz z profesorem Zeidartem przyglądali się w skupieniu skrzydełkom owadów...

Rosnące pod oknem drzewa powodowały, że w pokoju stołowym było ciemno. Kuchnia oddychała starymi zapachami; tak samo jak noszący liczne ślady noża pieńek do krojenia. Deski w podłodze w korytarzu z tyłu domu drażniły swoim skrzypieniem, podobnie jak ciężki zapach zalegającego schody piwnicy węgla. Znajdująca się za domem stodoła wyglądała w popołudniowym słońcu, jakby była czerwona.

Thorn wyszedł z domu. W stodole nie było nic poza słomą na podłodze i snopem wpadającego przez drzwi światła, w którym unosił się kurz. Przytulił policzek do małej, wilgotnej twarzyczki Catherine, spojrzął na rozciągające się dookoła tego samotnego domostwa morze trawy i usłyszał jakby szum padającego deszczu. Nie był to jednak deszcz, lecz wzbierający w liściach topoli wiatr.

Naprzeciwko stodoły, w opuszczonym, zakrzewionym i rojącym się od szurów ogrodzie stał domek Tubbita. Thorn przeszedł przez ogród i wszedł na werandę.

- Dobrze ci tu będzie? - zapytał stojącego w drzwiach Tubbita.

Tubbit skinął głową, ręką przytrzymując drzwi, żeby Thorn wszedł do środka.

Nieduży salonik wydawał się tonąć w powodzi śnieżnobiałych, wykrochmalonych serwetek. Thora usiadł w fotelu, którego oparcia były sztywne od szydełkowych ozdób, i zaczął karmić butelką z mlekiem Catherine. Tubbit chodził w tym czasie z kuchni do sypialni i z powrotem, rozpakowując się.

- Śniadanie niech będzie, powiedzmy, o szóstej. Catherine budzi się o dziesiątej. Lunch koło dwunastej, a obiad o szóstej, dobrze? - mówił do Tubbita Thorn, gdy ten go mijał. - Sprzątać możesz, kiedy będziesz chciał... tak samo robić pranie... Ja będę miał gabinet na górze, koło pokoju Catherine. - Tubbit rzucał na młodzieńca od czasu do czasu spojrzenie, kiwał głową i znikał w kuchni, gdzie albo stukał rusztem, albo wrzucał drewno do pudełka. Catherine wydawała rytmiczne dźwięki, mleka w butelce ubywało.

Gdy Thorn wracał do domu, widział jedynie odcinający się na tle ciemnego nieba jego ogromny zarys. Żarówka schowana pod ozdobnym szarym kloszem zalewała żółtą poświatą korytarz na tyłach domu, i obok lampki przy frontowym wejściu, była jedynym oświetleniem na dole. Gdy wchodzili po schodach, Catherine się obudziła. Mrużyła oczy patrząc na róże wybite na tapecie w korytarzu i wzdłuż schodów, a jej kędzierzawa główka podskakiwała na ramieniu uderzając go w szczękę.

W pokoju Catherine było na tyle widno, że wyraźnie można było rozróżnić pomalowane na biało dziecinne łóżeczko. Thorn położył ją w nim. Wypadła z ramion matki i leżała machając w powietrzu rączkami i nóżkami - powracały do niego tamte

obrazy. Teraz widzi jej odbicie w srebrnym dzbanku do herbaty, w to rozleniwione popołudnie; wtedy był tylko odgłos roztrzaskującego się o kamienny muf metalu...:

Usłyszał wysoko w górze samolot. Jego warkot stawał się coraz głośniejszy i Thorn zawołał w końcu:

- Słyszysz? - I powtórzył: - Słyszysz go?

Catherine najadła się i gruchała z zadowolenia. Zmierzała dokądś pracując w skupieniu rączkami i nóżkami, i piszczała przy tym z radości.

Pamięć o jej matce będzie coraz bardziej się oddalała, jak odgłos kierującego się na zachód samolotu. Janet Buckingham, z każdym mijającym dniem i nocą, będzie stawała się coraz mniejsza i mniejsza, aż w końcu zatrze się we wspomnieniach...

RS

CZEŚĆ I

Jak odróżnić grot strzały od kamienia?

Skała nabiera po drodze znaczenia.

Lecz nic ponadto.

Tyle jej dano, że siłę ostrza jej przypisano.

**Tak, groty strzał zwykle są z kamienia,
lecz błysk światła w ich ostrzu zmierza zawsze w
kierunku ramienia.**

**Aż nie tylko zobaczysz, ale i poczujesz grubo
ociosany krzemienny**

klin i zrozumiesz, że prosto leciał... *

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz.

1

- Thorn Wade? - spytała. Miał niebieskie oczy i twarz kowboja. - Ach, brat przyrodni Roba, tak? - Janet Buckingham roześmiała się. Zasłony w oknach jej bostońskiego salonu powiewały w słońcu, a z pobliskiego portu dochodził wrzask mew. - Dawno pan tu przyjechał?

- Jest mniej więcej w moim wieku - powiedziała mężowi, zanim zaczęli jeść. Rob mrużąc oczy od dymu pochylał głowę, żeby zobaczyć swoje odbicie w szklanym blacie stołu, i włosy przyglądał tak, że wyglądały jak czarna skóra.

- Szkoda, że mi wcześniej o tym nie powiedziałaś. Wygląda jak biedny, młodszy brat - nie będzie pasował do reszty towarzystwa.

- Napisałam do niego, żeby przyjechał. Pomyślałam, że może znajdzie sobie pracę w Harvardzie albo gdzie indziej.. Ojciec pomagał mu, gdy chodził do college'u w Michigan, a teraz skończył studia, a jego matka nie żyje. - Rob odłożył szczotkę i spojrzął na czekającą w drzwiach sypialni pokojówkę. Powiedziała, że obiad został podany.

- Może pojechać z nami zobaczyć Przylądek - powiedział Rob wychodząc z pokoju. - Wybrać się z nami do Londynu. Jeśli zechce nosić walizki. To jeszcze dzieciak. Nie był nawet na wojnie.

- Czy nie uważasz, że domy na Bacon Hill są zabawne? - zapytała Janet Thorn. Miała jasnoszare oczy, tak jasne, że ich źrenice wyglądały jak czarne dziury po pociskach. Akcent miała nowojorski, nie bostoński. Thorn mieszkał kiedyś we Francji. - Czy nie uważasz, że wysokie i wąskie bostońskie domy przypominają bardziej Stary Świat? A te brukowane chodniki oraz wznoszące się i opadające w dół ulice? Wszyscy są tu wściekli, że lampy elektryczne psują widok na zatokę.

Thorn jadł i odpowiadał uprzejmie na pytania Janet, które ta zadawała mu bez żenady, śmiejąc się przy tym.

Tak, urodził się w Dakocie Południowej, jego ojciec był tam pastorem. Gdy umarł, matka wróciła do Francji i pracowała jako pielęgniarka... miała tam rodzinę. Krewni byli górnikami, mieszkali w pewnym miasteczku niedaleko Paryża...

Tak, zna Paryż bardzo dobrze. Jego matka poznała ojca Roba, gdy zatrudnił ją jako swoją pielęgniarkę. Po tym jak za niego wyszła, zachorowała na raka...

Nie, utopiła się, znaleźli ją w końcu. Thorn obserwował, jak Janet zatrzepotała rękami, a Rob zaczął stukać palcami w stół.

Nie, nie może dłużej studiować, musi znaleźć jakąś pracę. Zaczął prowadzić badania nad motylem o nazwie „monarcha”.

Ten dom to prezent od ojca Roba, powiedziała Janet i zapytała go, czy wie, że jego ojczym jest znów w ośrodku odwykowym.

Przeszli do biblioteki na kawę. Niektórym ludziom prohibicja i tak nic nie pomoże, zauważył Rob.

Janet pomyślała, że Thorn ma ładne oczy, ale stanowczo nie jest w jej guście - zbyt cichy. O czym myśli? Nie ma francuskiego akcentu, ale możliwe, że w tym kraju

ciągle czuje się obco. Thorn obserwował ich spod ciemnych rzęs i myślał najpierw o niej, potem o Robie, a następnie o domu.

W salonie wisiał rząd portretów. Thorn zatrzymał się przed portretem Williama Buckinghama.

- Podobny jesteś do ojca - powiedział do Roba.

W bibliotece chodził w tę i z powrotem wzdłuż półek odczytując tytuły na grzbietach książek. Stały rzędami i wyglądały jak opaśli, odziani w skóry mężczyźni. A on wydawał się taki wysoki, chudy i wymizerowany.

A więc tak naprawdę jest nikim, pomyślała Janet. Nie będzie więc musiała znajdować mu dziewcząt do towarzystwa ani starać się go zabawiać. Gdy usiadł z kawą przy kominku, rozsiadła się wygodnie na przesiąkniętym końskim zapachem skórzanym fotelu pana Buckinghama wiedząc, że światło z kominka będzie oświetlać jej nagie, zarzucone ponad głowę ramiona. Pomyślała, że to miły dzieciak i z pewnością musi się czuć jak ubogi krewny.

Rob opowiadał o tym, jak zarządza rodzinnym interesem, teraz, kiedy jego ojciec znów jest w ośrodku, a Thorn słuchał.

Rozmowy o interesach. Janet oderwała się od rzeczywistości, ale nie na długo, bo coś stale sprowadzało jej myśli z powrotem do Thorna Wade'a. Wciąż słychać było głos Roba; zastanawiała się, czy Thorn słuchał go uważnie, czy też tak jak ona myślał o czymś innym? Po krótkiej chwili wiedziała na pewno: Thorn słuchał, ale zwracał też uwagę na nią. Intrygowało go jej milczenie, był świadom tego, że siedząc cicho w skórzanym fotelu obserwuje ich.

O dziesiątej rano następnego dnia przed domem rozległ się ryk klaksonów - to przyjechały dwa odkryte samochody pełne ich przyjaciół. Zachowywali się głośno i przyjechali na śniadanie.

- Jedziemy na Przylądek - powiedziała do Thorna Janet, gdy ten zszedł na dół. - Rozpakowałeś się już, prawda? W samochodzie Raya jest dla ciebie miejsce.

Thorn jechał wśród bagaży i butelek razem z Rayem, Alice Gresham, Mary Ross i obserwował, w prześwitach pomiędzy bungalowami, jak Atlantyk stawał się, w miarę jak się do niego przybliżali, coraz bardziej niebieski.

Po drodze złapali gumę i było już późno, gdy ustawiali się w trawie obok innych drogich samochodów, z tyłu należącego do Buckinghamów domu na plaży.

Piasek i woda były tak samo jasne jak nad Morzem Śródziemnym.

- Weź to, dobrze? - powiedział do Thorna Ray stawiając na piasku walizki. - Zapomniałem, jak się nazywasz.

- Wade.

- Wszędzie dookoła tylko napisy „Zabrania się wychodzić na ulicę w strojach kąpielowych...! - rozlegał się głos Alice Gresham. - Nic innego nie ma w całym Nantucket.

Mary Ross przysłoniła ręką czarne oczy i spojrzała na plażę, którą ożywiały już czerwone parasole Buckinghamów oraz piskliwy dźwięk gramofonu.

- Nantucket jest takie wiktoriańskie - wzruszyła ramionami.

Obok prowadzących na werandę schodów sterczały z piasku rakiety do tenisa, a czyjś słomkowy kapelusz rzucał pstry cień na ich poręcz. Przeszli obok rozłożonych, ociekających z wody kostiumów i zatrzymali się na werandzie.

- Guma? - zawołała Janet zeskakując ze skrzypiącego ratanowego fotela. - Biedaki, pewnie rozpuściliście się w tym upale!

Salon był pełen światła znad oceanu, pachniał rozlaną do szklaneczek whisky i rosnącymi w mosiężnych wiadrach, szkarłatnymi pelargoniami. Jakaś blondynka nabiła na widelec kawałek langusty. Trzej młodzi ludzie leżeli na podłodze pomiędzy

porozkładanymi niedzielnymi gazetami. Dziewczyna z krótkimi, czarnymi włosami wpatrywała się w garnitur Thorna.

- Znacie się wszyscy - powiedziała Janet - za wyjątkiem Thorna Wade'a, który jest przybranym bratem Roba z Michigan. Thorn Wade... Daphne Hacket, Ethel Daniels... - Robiła gesty ręką, w której trzymała na pół opróżnioną szklankę. - Stan Burke, Bill Bailey i Walt Lavallo.

Słychać było rozmowy, brzęk szklanek oraz dobiegający z zewnątrz czyjś nosowy głos, który zawodził jakiś jazzowy standard. Na zniszczonej podłodze stał niebieski półmisek z czerwoną langustą, a obok niego ciasto czekoladowe. Połowy ciasta już nie było, a okruchy znajdowały się na leżącym obok czyimś krysztalowym talerzyku.

- Idź na górę i zdrzemnij się w jakimś łóżku, to trochę odpoczniesz - komenderowała głośno Janet. Za oknem, jak ryba w akwarium, przepłynęła żagłówka.

Thorn ma na sobie ten sam garnitur, pomyślała Janet i uśmiechnęła się do niego. Gdy szedł na górę, wszyscy na niego patrzyli. Powiódł smutnym spojrzeniem łagodnych, niebieskich oczu po twarzach i po pokoju, a potem widziała już tylko między słupkami schodów jego długie nogi w wełnianych spodniach.

Było upalnie, więc pływali, żeglowali, pobrzękiwali kostkami lodu w szklankach, a Daphne grała na ukulele. Daphne doszła do wniosku, że najlepiej jej się gra po trzech szklaneczkach dzinu. Ethel i Stan zdecydowali, że są w sobie zakochani, i zamknęli się w największej sypialni, przez którą, na nieszczęście, prowadziła droga do łazienki. Powiedzieli, że nie mogą przenieść się do innego łóżka, bo to przynosi nieszczęście, więc kiedy otworzyli na moment drzwi, przeniesiono ich z łóżkiem do drugiego pokoju i zamknięto w nim na klucz. Stan musiał potem podrzeć prześcieradło na paski i spuścić się po nim na dół, żeby zawiadomić, że miodowy miesiąc się skończył. Potem wszyscy wybrali się do Nowego Jorku, a jedyną osobą na tyle trzeźwą, żeby prowadzić, był Thorn. Powiedział, że nie pił dużo. Kiedy Alice zapytała go tym swoim przenikliwym głosem dlaczego, odparł, że naprawdę dobrze się bawił.

- To jeszcze dzieciak - powiedział Rob do Janet około północy, patrząc w sufit. Przed chwilą powiedziała mu, że jest w ciąży. - Biedny dzieciak, chodzi tylko i rozgląda się dookoła. Ciekawe, o czym myśli?

- Zmieniasz jego całe wyobrażenie o życiu - odparła obojętnym tonem Janet. - Wyobraź to sobie. - Zdjęła kolczyki i bransoletki i rzuciła je na podłogę. W ciemności słychać było odgłosy surfingu oraz gwizdy.

Pary, przytulone do siebie na zapianczonej podłodze, zatańczyły ostatni taniec, niektórzy jeszcze raz zwymiotowali i wszyscy zdecydowali się wracać do Bostonu. Thorn wynosił z zawalonego gazetami pokoju walizki, czyjś zgnieciony aparat fotograficzny, talerz z pozostałymi ze śniadania jajkami...

- Do zobaczenia na przyjęciu u Patersonów! - krzyczała Daphne za ostatnim toczącym się po poślódkiej trawie samochodem. Thorn spojrzął za siebie. Służąca składała na plaży parasole. Gramofon leżał ze złożoną czarną tubą na piaszczystej wydmie, jakby przysłuchiwał się szumowi morza. Nikt już nie mącił błękitu oceanu.

3

Wrzesień był upalny, ale w dniu przyjęcia u Patersonów padało. Janet wyjaśniła Thornowi, że Patersonowie zawsze wydawali pierwsze duże przyjęcie w sezonie. Dodała, że będzie duże, wystawne i że o północy wszyscy będą pijani. I tak było.

Janet o dwunastej była tylko na pół pijana. Siedziała obok parkietu i obserwowała, jak mienił się kolorami, gdy kręcili się po nim piszcząc z uciechy zdyszani tancerze, a potem, jak udawali się do bufetu, żeby odpocząć. Za oknami płynęła w deszczu, mijając kolejne mosty i światła, rzeka Świętego Karola.

Janet nie słuchała siedzącego z ustami przy jej uchu Russa Schmidta. Russ był jednym z kolegów Roba z wydziału prawa w Harvardzie i wypił o parę drinków więcej od reszty towarzystwa. W czasie gdy szeptał Janet, że ją uwielbia, że zawsze ją uwielbiał i że zawsze będzie ją uwielbiał, Ethel i Stan kłócili się na temat łamistraków, a Walt Lavallo zaciągnął Daphne na parkiet i próbował ją nauczyć nowego kroku.

Thorn siedział sam. Janet obrzuciła go znudzonym spojrzeniem raz i drugi. Siedział wbity w mały, bambusowy fotel pomiędzy podskakującymi w rytm znanej melodii sukniami i smokingami.

Miał taki niedojrzały wygląd - czy ojciec Roba nie mógł dać przynajmniej dzieciakowi na porządy smoking? Janet zmrużyła oczy od dymu i przyjrzała mu się. Wydawało jej się, że Thorn jest zakłopotany; siedział tak całkiem sam, ciemne włosy miał jak zwykle zmierzwiłone, a ponad ogromnymi butami widać mu było czarne skarpetki.

- Podobasz mi się - zajęczał Russ, zionąc jej w ucho burbonem.

Janet odwróciła się, żeby nie czuć zapachu, nie słuchając go. Była jednak zaciekawiona, chciała zobaczyć wyraz twarzy Thorn'a. Stąd widziała tylko, że wyglądał jak samotne, pozostawione sobie dziecko, obserwujące, jak inni tańczą. Miał w ogóle nieco chmurny wyraz twarzy. Sprawiał takie wrażenie może zarys policzka i prosta linia ust, ale oczy miał wyjątkowo piękne. Powinna do niego podejść. Powinna go zapytać, dlaczego w taki sposób patrzy na kobiety; była na to wystarczająco pijana. Wtedy odwrócił się i zobaczyła, że wcale nie jest ani zakłopotany, ani samotny.

- Chodź - powiedział Rob. Odciągnął Janet od Russa, a potem przycisnął jej ciało do smokinga, a twarz do swojego gorącego, brązowego policzka. Pozwalała mu się popychać, ciągnąć i okręcać, zginała i rozprostowywała nagie ramiona i nogi w jedwabnych pończochach, a jej pstra sukienka iskrzyła się w tańcu. Nie zauważała jednak, że tańczy, w dalszym ciągu patrzyła na Thorn'a. Zobaczyła w przelocie twarz Mary Ross i usłyszała, jak Alice, z ustami jak obwiedziona czerwoną linią dziura, przekrzykuje saksofon.

Thorn podszedł do bufetu; widziała, jak pije poncz i jak podskakuje mu przy tym grdyka. Tancerze zaczęli wyrzucać do góry ramiona w jakimś rytualnym, plemiennym tańcu, piszcząc przy tym z radości. Spojrzała na Thorn'a - przyglądał dużą dłońią włosy. Szkło i porcelana wyglądały jak unoszące się na wodzie lilie. Wzrok Thorn'a wędrował ponad głowami spoconych absolwentów Harvardu, zawodzącymi smętnie instrumentami, oraz dziewczętami o wąskich biodrach, które zachowywały się równie śmiało jak młodzi chłopcy.

Jesienią Janet przyglądała się czasem Thornowi Wade'owi przy świetle dziennym na Boylston Street albo przy świetle świec w Klubie Londyńskim. Myślała wtedy, jaki zdecydowany i skończony wydawał się przy nim Rob. Każdy, nawet najmłodszy z mężczyzn w towarzystwie, zdawał się bardziej panować nad swoim ubraniem niż Thorn. Miało się wrażenie, że ubranie go męczy: wystawał z niego, kark mu się chwia jak u dziecka, stopy miał większe niż ktokolwiek inny. Nie rozglądał się dookoła, nie uśmiechał do nikogo uprzejmie, ale też nie był znudzony jak inni ludzie. Gdy wybrali się na uroczystość rozdania świadectw w Harvardzie, potraktował nową suknię Janet od Martial et Armand z taką samą głęboką uwagą, z jaką traktował placek z dyni albo opowiadanie Roba na temat nowego modelu samolotu De Haviland.

Janet to do pewnego stopnia sprowokowało i zaczęła lansować nowy styl. W środku bezładnej, towarzyskiej paplaniny udawała, że jest kobietą o twardej męskiej naturze. Jakby chciała wszystkim oznajmić: oswójdźcie mnie, jeśli potraficie to zrobić z chłopczycą. - Taka dziewczyna wygina się na wszystkie strony i podryguje tak, jak dotąd kobiety nigdy nie robiły. Wślizguje się niepostrzeżenie do pokoju i siada swobodnie na poręczy fotela. Z reguły wskakuje do samochodu czy na pomost jachtu bez męskiego ramienia.

Janet bez żenady zawiadamiała męsko-damskie towarzystwo, zgromadzone w loży w operze: - Dziecko mnie kopie w brzuch! Czyż to nie podniecające? - Tego damy dawniej nie mówiły.

Jack Laird opanował w Chicago nowy sposób flirtowania - patrząc spod przymrużonych powiek mówiło się śmiało i prosto z mostu, nie stosując żadnych podstępów, o co chodzi. Janet uważała, że i tak kończyło się na tym samym, ale czuła się lekko seksualnie pobudzona. Co prawda Jack nie był jeszcze wtedy taki niebezpieczny, jak miał się stać za dwadzieścia lat, ale i tak ze swoimi błyszczącymi, czarnymi oczami, w świetnie skrojonych garniturach i ze swoim do niej stosunkiem był niebezpieczny wystarczająco. Jack zdecydował się pojechać z nimi do Anglii i na statku przez cały czas czuło się między nimi napięcie. Kończyło się jednak na

przenikliwych spojrzeniach (wtedy kiedy powinno się mieć spuszczone powieki) lub na odrzucaniu do tyłu głowy. Jack był tym zafascynowany, a Janet o nic więcej nie chodziło.

Pogoda była doskonała - ciepła i słoneczna. Thorn leżał na pokładzie pierwszej klasy obserwując swoje brązowiejące w słońcu kolana, ogromną czuprynę przechodzącego obok dziecka, albo unoszące się w powietrzu mewy.

Janet stała obok Roba oparta o poręcz, lecz wzrok miała utkwiony w Thornie.

- Wygląda lepiej - powiedziała.

- Napisałem do banku taty. - Rob przypalił papierosa osłaniając zapałkę dłonią i obserwował, jak dziób statku rozgarnia wodę. - Przesłali Thornowi trochę gotówki, żeby kupił sobie ubranie i miał na podróż.

- Matka Thorny opiekowała się twoim ojcem...

- Thorn należy do rodziny. Staruszek finansuje wszystkich biednych krewnych dookoła, to stara bostońska tradycja. Ja też któregoś dnia będę musiał przekazać im trochę swojej forsy.

- Ale nie mojej.

- Nie... nie twojej. - powiedział Rob. - Twojego dziecka. Janet podeszła do Thorny.

- Jesteś coraz bardziej opalony - powiedziała i uśmiechnęła się. Thorn podniósł oczy i napotkał jej rozbawiony wzrok; na jego

owłosionych nogach był rozłożony jakiś tekst na temat entomologii. Całą szerokość strony zajmowały grzbietowe i brzuszne przekroje termita.

Janet usiadła na fotelu obok i zdjęła szlafrok. Kostium kąpielowy podwinął jej się powyżej kolan, więc go poprawiła i znowu usiadła. Słońce paliło jej powieki, ale miała wrażenie, że czuje coś jeszcze poza gorącem: Thorn skierował na nią całą swoją uwagę, tak jak celuje się w kogoś lufę rewolweru.

Właśnie gdy otworzyła oczy, obok nich przechodził Rob. Skinął głową. Thorn patrzył, jak Rob idzie dalej pokładem, a potem spojrzał na nią.

- Nie chce dziecka - powiedziała Janet.

Chociaż czuła jeszcze w powietrzu swoje słowa, nie mogła uwierzyć, że powiedziała mu coś takiego. Słyszając to, podniósł wzrok znad książki i oślepiony światłem słonecznym zamrugał powiekami.

Nie mogła znieść jego wzroku. Obserwowała, jak po wodzie wędruje rzucany przez chmurę cień. Pomyślała, że mógłby powiedzieć coś banalnego, żeby ją pocieszyć. Jak na przykład, że to przecież będzie także jej dziecko i że ona będzie je kochać.

Nie powiedział nic. Podniosła wzrok i zobaczyła, że przygląda jej się. I to wszystko. Cień kładł się po kolei - na poręczy, na szalupach ratowniczych, na fotelach pokładowych, a potem z powrotem na pokładzie i poręczy, aż uciekł w morze.

Rob spacerował tymczasem po pokładzie i zatrzymał się obok szalup przykrytych płótnem w kolorze khaki. Zapalił nowego papierosa. O czym rozmawiali Janet z Thornem? Słońce, które wyszło zza chmur, oświetliło ich jak reflektor. Janet siedziała na słońcu ubrana w jeden z tych modnych kostiumów, dziwnie odcięta od świata. Patrzyła na Thorna.

Nie zauważyli, kiedy do nich podszedł. Janet zgłębiała, w jak szczególnie sposób błyszczą smutne, poprzecinane niebiesko-zielonymi niteczkami oczy Thorna i jak odbijają się w nich jej własne oczy.

5

Obecny lord Marley jest zwolennikiem postępu, powiedział Rob. I jego syn też. Alice Gresham przyglądała się zza szyby limuzyny mijanym po drodze górniczym miasteczkom i powiedziała, że słyszała, iż Marleyshall powstało z „czarnych pieniędzy”. Tak powiedzieli jej znajomi. Najpierw były to czarne pieniądze pochodzące z handlu niewolnikami w Liverpoolu - powiedziała, przyglądając się z ukosa swoim przybrudzonym rękawiczkom. A potem z węgla w Sheffield. Ich limuzyna wspięła się na ostatnie wzniesienie i ukazała się czerwona cegła i sztukateria stojącego na skraju lasu Marleyshall. Wygląda co najmniej romantycznie, powiedziała Daphne, a poza tym mógłby się tu pomieścić pułk wojska.

Lord Marley powitał ich w jednym z ogromnych salonów i zapytał, co słyhać u ojca Roba - jak się ma jego stary przyjaciel w stalowym biznesie? Potem widywali go tylko uśmiechniętego szeroko w drzwiach wejściowych albo czekającego na niego w samochodzie kierowcę. Poczytywał sobie za zaszczyt, że pierwszy wnuk Buckinghamów urodzi się w Nottingham, a poza tym gdzie by znaleźli lepszych lekarzy? W nocy piec jego stalowni barwił na czerwono nisko zawieszona chmura, w ciągu dnia nad polami unosiła się para z szybów węglowych. Poza tym w gęstych lasach kryła się zwierzyna, znajdowały się tu ogrody, stajnie i korty tenisowe. Gdy czarni od pyłu mężczyźni, którzy pracowali pod ziemią, wracając o zmierzchu do domu podnieśli wzrok, widzieli tylko kominy Marleyshall albo iglicę starego, stojącego w połowie drogi do miasteczka kościoła.

Jesień i wczesna zima są zwykle w Szkocji przyjemne, ale tego roku pogoda w lutym była obrzydliwa, tak mówił każdy. Towarzystwo w tygodniu jeździło samochodami do Devon, a w weekendy albo wyjeżdżało do Londynu, albo nudziło się w Marleyshall. Jack Laird należał teraz do otoczenia Buckinghamów i ktoś powiedział kiedyś (w Torquay, w czasie zakupów na Piccadilly, albo jeszcze gdzie indziej), że Janet powinna była wyjść za niego. Widać było wyraźnie, że był (i wciąż jest) w niej zakochany, jak również to, że Janet nie może znieść widoku swojego męża. Co więcej, także Rob Buckingham znalazł sobie ładniejsze obiekty do oglądania niż żona w ósmym miesiącu ciąży.

Janet uspokoiła się; wszyscy mówili, że to z powodu jej stanu. Uśmiechała się do Jacka łagodnie i nie jeździła już ze swoim mężem jego wyczynowym samochodem, który on zbyt szybko prowadził. Jack stał i czekał na nią przy swoim powozie z pledeem, gotów do drogi, lecz Janet wolała jechać pożyczonym, starym ffordem z Thornem. Poinformowała go, że dowiaduje się o owadach i kwiatach, a Jack, choć kochany, nie odróżnia szczęki od żuchwy, czemu on nie mógł zaprzeczyć. Dranie, mówił Jack swoim dziwnym chicagowskim akcentem, niech oni się zabijają w swoich samochodach, ale Janet zasługuje na wygody. - Jest mi wygodnie - powiedziała Janet uśmiechając się do niego łagodnie i oddaliła się z Thornem.

Co tych dwoje łączyło, gdy spacerowali po parku albo po polach i przetrząsali stare szopy w poszukiwaniu os czy innych stworzonek? Janet bez żalu opuszczała

Marleyshall - niech sobie robią co chcą przez cały dzień, ona poznaje świat - mówiła do swoich przyjaciół. Nigdy wcześniej nie oglądała go tak jak należy. A jest zachwycający, dodawała.

- Ona prowadzi dziennik - powiedziała Alice. - Codziennie, wczesnie rano, chodzi na spacer. - Alice obserwowała Janet i Jacka Lairda przez ogrodzenie kortu tenisowego. - Zupełnie sama.

- Dla mnie Jack przypomina gwiazdora filmowego - powiedziała Daphne. - Tego, jak to on się nazywa... Fairbanksa.

- Ma pieniądze.

- Jeśli chce wzbudzić w Robie zazdrość... Alice roześmiała się.

- Rozmawiają o robakach! I kwiatkach! Śnieg, który spadł, roztopił się na polach.

Janet i Thorn jechali jego wynajętym fordem polnymi drogami. Janet Opatuliła głowę od wiatru obszytym futrem kołnierzy i z uróżwionymi ustami, ze świecącymi powiekami słuchała, jak Thorn z potarganymi od wiatru i pojaśnialymi od słońca włosami wyjaśniał jej coś, na czym ona zupełnie się nie znała.

Co za pożytek może mieć kiedykolwiek z tego, że będzie znała się na owadach i kwiatkach? pytała siebie. Wypowiadała te myśli czasem głośno, podnosząc z irytacją głos. Thora mówił wtedy, że on w każdym razie jedzie i jeśli chce, może się z nim wybrać.

Czasami, gdy wybywali na całe popołudnie, flirtowała z nim (poprawiała mu krawat... klepała po policzku). Jakby choć tyle mogła ofiarować za to, że obwoził ją po okolicy. On natomiast zachowywał się tak jakby chciał pokazać, że czułe gesty nie przeszkadzają mu: nigdy się nie zarumienił, nie próbował jej pocałować, ani się nie denerwował. Czekał tylko cierpliwie, jakby flirtowanie było czymś, co musiała robić.

Janet oczywiście całymi dniami słuchała w Marleyshall ploteczek, ale tak naprawdę to tęskniła do prawdy o bulwach, słupkach i poczwarkach. Ten trzmiel to *Bombus lucorum*, a tamten *Bombus pratorum*. Czasami zaciskała zęby i grzebała palcami w wilgotnej ziemi, która zawsze odrobinę pachniała siarką z szybów.

Przywoziła te okazy ze sobą do Marleyshall (kamienie, kawałki mchu albo orzechy) i kładła je obok kapelusza albo torebki. Nie potrafiła ich nazwać - a przecież,

jakiegokolwiek by miały nazwy, stały za nimi fakty niewzruszone, takie jak ugryzienie jabłka, zapuszczanie korzeni. Jak brzeszczot piły. Stylisko siekiery.

6

Był marcowy poranek. Janet leżała w łóżku i zastanawiała się, na wpół przebudzona, gdzie się znajduje. W Londynie? W Devon? Nie, jest w Marleyshall i oczekuje dziecka. Gdzieś tam w ciemności zieleniły się pola. Na skraju lasu rosły zawilce.

Brzask przychodził teraz później. W miarę jak zegar na kościelnej wieży wybijał kolejne kwadransy i godziny, na tle jasnoszarych ścian sypialni zaczęły pojawiać się zarysy komody i stołu. Zegarek z dewizką Roba i porzucone przez niego na fotelu ze złożonym obramowaniem spinki świeciły jak czujne oczy. Obserwowały Janet, jak niezgrabnie wychodzi z łóżka i idzie po miękkim kobiercu.

Szerokie schody Marleyshall były wyściełane dywanem, a każdy stopień przebity mosiężnym prętem. Nikt nie słyszał schodzącej po nich Janet. Lokaj się golił. Wysoko pod dachem narzekały na coś na wpół ubrane pokojówki. W znajdującej się w piwnicy wilgotnej kuchni kucharka, stukając garnkami, nastawiała wodę w czajniku i rozmawiała ze swoim kotem. Janet z zeszytem pod pachą wyszła z domu przez drzwi cieplarni, przeszła przez park i poszła w kierunku wsi.

Przy śniadaniu nikt nie zapytał o Roba ani o Janet; prawie nigdy nie schodzili na dół, zamawiali tylko do pokoju kawę. O dziesiątej Rob zapytał grupkę osób koło stajni, czy nie widzieli Janet, potem wzruszył ramionami. Spojrzał w niebo, skoczył na konia i wkrótce stał się tylko kolorową plamką wśród innych jeźdźców na koniach.

Thorn patrzył, jak Rob odjeżdża, i głaskał w roztargnieniu łeb swojej klaczy. Wędrował wzrokiem od kamiennych murów ku polom, które ledwie zaczynały się zielenić. Potem oddał stajennemu wodze i ruszył pieszo żwirową alejką. Stajenny popatrzył za wychudzonym młodzieńcem i wzruszył ramionami. Nie miał odpowiedniego ubrania do jazdy. Ani ogłady. Ubogi krewny. Odprowadził klacz i

obejrzał się za siebie; widział, jak Thorn wchodzi do lasu, a potem znika za porośniętymi mchem murami kościoła.

Za kościołem droga obramowana żółtą trawą stawała się błotnista.

Thorn minął nagie gałęzie leszczyny, obszedł stojący na drodze gospodarski wóz i zobaczył odcisnięty w błocie ślad pantofla na wysokim obcasie.

Odgłosy grzmotów stawały się teraz bliższe, wiatr zaczynał pachnieć deszczem. Janet prawdopodobnie wróciła już do tej pory do Marleyshall, nigdy daleko nie odchodziła. - Jak mogę chodzić w takich butach? - pytała samą siebie.

Thorn minął dom o ścianach porośniętych dzikim winem, które, podobnie jak pola, zaczynało się lekko zielenić pokrywając się małymi, prawie niewidocznymi listkami. Na jego drodze pojawił się las; z szumem wiatru w modrzewiach, lawendą i czernią dębów. - Może należy zadać sobie pytanie, po co się żyje - mówiła do siebie Janet, której postać mignęła przed nim wśród modrzewi. - Chodzisz. Siedzisz spokojnie i obserwujesz, myślisz. Zadajesz pytania. Właśnie po to się żyje.

Odwróciła w drugą stronę swoją małą głowę w filcowym kapelusiku, włosy miała na końcach postrzępione i rozwiane. Thorn obserwował, jak owija się mocniej płaszczem idąc koleiną wzdłuż dębów. Jej nogi wyglądały, jakby były gołe. Wyciągnęła dla równowagi jedną rękę w bok i po chwili rozległ się brzęk metalowych kółek.

Thorn przeniósł wzrok na drzewa - padał deszcz. Przemieszczał się nad polami i szymbami węglowymi jak falanga rycerzy z błyszczącymi mieczami, tnąc kilometry rozciągającej się przed nimi otwartej przestrzeni. Jedynie ogromna szaro-czarna stodoła i czerwony buk nie rozmyły się jeszcze w deszczu. Kamień, drewno i liście wyglądały na tle zasłony z deszczu jak przydymiony kolorowy plakat.

Zaczął biec. Ogromne krople spływały na niego i siekły obok; rozległ się grzmot. Thorn skoczył przez płot i skierował się w stronę otwartych drzwi stodoły. Gdy zanurkował do środka, błysnęło. Błyskawica oświetliła stodołę, brudną podłogę i stertę słomy pod przeciwległą ścianą.

Poprzez kurz i mrok zobaczył białą twarz Janet. Klęczała na stercie słomy z rękami na belce zasięku, jakby próbowała wyrwać ją ze ściany. Thorn wpatrywał się w czerwoną plamę, którą pozostawiła na słomie jej jedwabna suknia, i rozpoznał

gardłowe jęki, które nie raz słyszał w chłopskich chatach; dochodziły z półmroku, jakby kryło się w nim jakieś zwierzę.

Gdy zobaczyła Thorna, nabrała powietrza, ale potem znów zaczęła jęczeć.

- Mam iść po pomoc? - zapytał Thorn klękając obok niej.

- Nie! - zawołała i jęknęła z bólu. - Główka! Czuję już główkę!

Gdy mogła już odpocząć, położyła się bez tchu z zamkniętymi oczami, na podłodze obok belki. Brązowe włosy przykleiły jej się do policzków, a szminka rozmazała. Thorn zwilżył chusteczkę na deszczu, a ona ściągnęła suknię z ramienia i pozwoliła obmyć sobie twarz i szyję. Sukienka była ciasna i krępowała jej ruchy, więc pomógł jej zdjąć ją przez głowę, a potem uklękła w różowej koszuli błyszcząca od potu.

Jedynym Odgłosem, jaki słyhać było w stodole, poza stukaniem deszczu o dach, był jej zdyszany oddech. Znowu złapał ją ból, więc wbiła paznokcie w drewno i znów zaczęła jęczeć.

Gdy leżała przy belce, otulił ją płaszczem, ale gdy nadszedł ból, zrzuciła go z siebie - nie obchodziło jej, czy jest zakryta czy nie. Klęczał więc teraz obok niej w słomie i podczas gdy na zmianę, to naciągała na siebie płaszcz, to go odrzucała, pracował nad jej półnagim, skręcającym się z bólu ciałem, spowitym w kilka warstw jedwabiu. Czasami przyciskał ją, śliską od potu i całą drżącą, do piersi i mruczał coś w mokre włosy. Innym razem, gdy pochylała się nad belką i jęczała, że ją bolą plecy, masował jej biodra i wystające kości naprężonego kręgosłupa.

Deszcz osłabł i stukał tylko lekko, spadając z dachu na zmierzwioną słomę, a potem płynął strumykami po brudnej podłodze. Ponieważ ustały błyskawice, przestali widzieć dobrze, co się działo wokół nich.

Janet nie chciała się położyć, tylko mrucząc coś i jęcząc łapała się kurczowo to belki, to Thorna. Potem krzyknęła po raz ostatni i w ręce Thorna wpadło czerwone, gładkie i gorące, żywe ciało dziecka, dziewczynki. Małeństwo, szeroko otwierając oczy, wrzeszczało.

Thorn i Janet mówili słowa, których nigdy nie słyszeli, ani sobie nie przypominali. - Dwa na pół nagie, umazane krwią stworzenia pochylały się nad

trzecim, które leżało na rozpostartej na słomie koszuli Thorna i wrzeszczało. Miało ludzką twarz i doskonałe w kształcie ludzkie ciało.

- Oh! - płakała cały czas Janet. - Oh! - Mrugała szarymi oczami i ruszała niespokojnie rękami obawiając się dotknąć noworodka.

Gdy Janet leżała w słomie i łkała, Thorn zawinął Catherine w koszulę.

- Leż nieruchomo - powiedział do niej sięgając po wiszący na belce swój płaszcz. Opatulił nim Janet, a potem wziął jej płaszcz i zakrył nim jej nogi. Wrzask Catherine zamienił się w skowyt, który ucichł, gdy zrobiło jej się ciepło w sianie. Thorn wyciągnął z buta sznurowadło, przeciął je i czekał z nim na łożysko: przypomniał sobie, co mówiła kiedyś przy świetle lampy akuszerka. Pamiętał dźwięk rozchlapywanej w wanience wody i przerażone oczy młodziutkiego, młodszego niż on był teraz, ojca. Janet leżała wyczerpana, a on przyniósł jej omotaną w koszulę Catherine. Potem nabrał w ręce czystej słomy i położył na płaszczu, żeby osłonić jej nogi przed wilgotnym powietrzem.

- Pójdę teraz - będę biegł całą drogę. Wezwę pogotowie. - Wyraz twarzy miał tak samo poważny jak Janet, ale zaraz uśmiechnęli się oboje, a on odgarnął jej włosy z twarzy takim ruchem, jakby były jego własne. Brwi miał umazane krwią, więc wyjęła spod płaszcza jedną rękę i wytarła. Był nagi do pasa i trząśł się z zimna, ale roześmiał się. - Próbuje już ssać - powiedział. Ramię przy ramieniu obserwowali, jak mała czerwona twarzyczka wędruje kwiląc po mokrym jedwabiu sukienki Janet w poszukiwaniu czegoś, czego nigdy dotąd jeszcze nie próbowała.

Thorn spoglądał na ciało Janet i próbował wyobrazić sobie, jak połączyć niemowlę i pierś. Nie udało im się wystarczająco ściągnąć w dół sukienki, więc Janet uniosła się i spróbowała podciągnąć ją do góry. Gdy i to nie dało rezultatu, Thorn powiedział:

- Poczekaj - po czym wstał i sięgnął ręką do kieszeni spodni. Wtedy jego nagie ramię nagle się rozżłociło; światło słoneczne padło na opartą o ścianę stodoły drabinę i odbiło się w ostrzu noża, który trzymał w dłoni.

Thorn kucnął, wsunął dłoń pomiędzy warstwy jedwabiu i przeciął w dwóch miejscach materiał. Robił to ostrożnie, żeby nie skaleczyć jej skóry, i wykrzywił przy tym wargi w charakterystyczny dla siebie, ponury grymas. Następnie podniósł

obramowane ciemnymi rzęsami powieki i uśmiechnął się. Oboje się uśmiechnęli. Potem usłyszała brzęk noża w kieszeni, zobaczyła połyskujące na tle belek stodoły gęste włosy i już go nie było. Przebiegł przez krzaki, przeskoczył na wpół zwalony mur i zaczął biec ścieżką przez pole, starając się omijać po drodze kałuże.

Niemowlę dotknęło wargami skóry przez nacięcie w materiale, jakby za pomocą kompasu trafiło na sutek i przywarło do niego. W ciemnej stodole odbił się samotnym echem krzyk Janet. Zamknęła oczy, żeby znów poczuć dotyk dłoni Thorny, jego nagą pierś i obejmujące ją ramię oraz usłyszeć jego niski, matowy głos, który wciąż wydawał jej się tak bliski jak szelest słomy albo echo jej krzyku.

Gdy otworzyła oczy, były pełne łez. Przyszła już do siebie i miała wrażenie, jakby unosiła się w chmurze albo w tumanie mgły. Dziecko w jej ramionach ssało wydając cichutkie odgłosy. Dziecko Roba.

Na dworze przejaśniało się i widać było połyskujące na tle błękitnego nieba świeże listki czerwonego buku. Przychodziła tu wcześniej. Oparta o jedno z okien drabina przypomniła jej klęczącego kiedyś obok niej Thorny. Przyczepiła się do niej wówczas olbrzymia królowa trzmieli, która wyglądała jakby była cała z wypolerowanej skóry i aksamitu. Thorn nie zabrał jej ze sobą, ani nawet nie dotknął, tylko klęczał obok Janet i patrzył. To wszystko. *Bambus terrestris*, powiedział.

Z okapów i liści spływały resztki deszczu. Brak Thorny stał się tak rzeczywisty jak przerwy pomiędzy spadającymi kroplami, odstępami pomiędzy szczeblami drabiny czy pomiędzy krakaniem gawronów w oddali. Janet patrzyła przez drzwi na buki i dalej na pole, a łzy spływały jej do uszu i po szyi. Gdy zjechały się samochody i przybyło pogotowie, wciąż płakała. Kobiety użalały się nad nią, ale Thorny tam nie było.

Wszyscy mówili, że to cud, że Janet tak szybko dochodziła do siebie po trudnym doświadczeniu. Urodzić swoje pierwsze dziecko samotnie w jakiejś stodole i to jeszcze w czasie burzy! Jakie to szczęście, że Thorn znalazł je tam obydwie tuż potem. Trudno sobie wyobrazić, jak można

było to wszystko samej zrobić! Nie powinna była wychodzić wtedy sama na spacer. Ale kto mógł pomyśleć, że dziecko urodzi się tak wcześnie?

- Jest tam stale - powiedziała Daphne do Mary i Alice. - Siedzi w tym samym starym ubraniu i ze zmierzwionymi włosami przy jej łóżku i cały czas rozmawiają.

Mary Ross strzepnęła papierosa do jednego z chińskich wazonów lorda Marleya.

- O czym? - zapytała.

- Pojechałam do niej wczoraj i gdy czekałam w korytarzu, bo nie chciałam, naturalnie, im przerywać, słyszałam, jak rozmawiali o tym, gdy będąc chłopcem włóczył się po Francji w poszukiwaniu ciem... Zatrzymywał się w strasznych chłopskich chatkach, spał w stogach siana i innych takich miejscach, bo nie miał pieniędzy...

- W każdym razie ona odzyskała figurę - powiedziała Alice. Janet odzyskała figurę i siedziała teraz w pokoju pełnym róż,

w otoczeniu bombonierek z czekoladkami i kart z namalowanymi na nich bocianami. Przypomniła sobie krew. Z dłoni wciąż schodziła jej skóra. Jej ciało wypchnęło z siebie Catherine, która teraz ciągnęła z niej mleko. Była wydajna jak korzenie roślin, rzeczywista jak jabłko i zgodna z prawami natury jak kamień albo mchy.

Gdy Thorn przyszedł do niej pierwszego dnia, Janet siedziała otoczona różami, czekoladkami i prezentami i miała na sobie jedwabną koszulę, która była jedyną rzeczą, jaką sobie kupiła przygotowując się do porodu.

Nie mogła chyba tak po prostu leżeć i uśmiechać się do Thorny, jak do wszystkich innych?

- Thorn! - powiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

Musiał podejść do niej i wziąć jej dłonie w swoje. Pociągnęła go lekko za rękę, patrząc na niego łagodnie. A wtedy on pochylił się lekko nad nią i zapytał, jak się czuje. Odpowiedziała, że dobrze, i on usiadł.

Przyglądała mu się. Wyglądał, jakby ubranie było na niego za małe, a gdy mówił, jednym palcem przesuwiał w roztargnieniu wzdłuż kołnierzyka koszuli. Nie patrzył na nią - skupił wzrok na stojących obok łóżka kartkach z życzeniami z okazji narodzin dziecka. Powiedział, że chodził po okolicy, zaglądał też codziennie do stodoły - czy pamięta *Bombus terrestris*...

- Ty naprawdę nie rozumiesz - powiedziała Janet tak jakoś szczególnie, przyglądając mu się spod półprzymkniętych powiek.

Nie patrzył na nią. Wiedział, że nie rozumie. Nie może... Czy on wie - zapytała - że jej matka i ojciec zawsze chcieli chłopca? Po tym jak się urodziła, wciąż próbowali go mieć. Jej matka umarła od tego próbowania. Pomyśl tylko - zabiła swoją matkę dlatego tylko, że była dziewczynką. Thorn siedział i, jak jej się wydawało, rozmyślał nad tym, a ona opowiadała dalej, jak chodziła do prywatnych szkół i o ojcu, którego bardzo rzadko widywała. Opowiadała mu już kiedyś o tym. Słuchał i wiedział, że mówiła mu to dlatego, że on nie rozumiał. Nie można za dużo oczekiwać, powiedziała ze łzami w oczach. Po prostu nie można oczekiwać... A teraz ma Catherine. Nie rozumiał tego. Thorn siedział i sprawiał wrażenie, jakby to była jego wina, że ona musi mu o tym wciąż opowiadać. I, rzecz jasna, było tak.

Nie powiedział, że jest mu przykro. Nie próbował zmienić tematu. Po prostu siedział, przyglądał, jak to zwykle robił, w roztargnieniu włosy i wyraz twarzy miał podobnie samotny, jak samotnie ona się czuła. On też nie rozumie tego, powiedział. Nie zna odpowiedzi. Popatrzyli na siebie.

Potem przestał błędzić tymi swoimi głęboko osadzonymi, niebieskimi oczami po pokoju, otworzył je szeroko i wziął głęboki oddech.

Jego matka, wysoka kobieta, powiedział, weszła na Florydzie do oceanu. Twarz miała okrągłą, ale gdy się uśmiechnęła, jej twarz wydawała się trójkątna i francuska. Zapamiętywało się jej oczy i zebrane w górę włosy. Jej włosy musiały być czarne, gdy

miała dwadzieścia jeden lat i pieniądze na przejazd do Ameryki, żeby pracować tam jako pielęgniarka.

Nie była wtedy starsza niż on teraz i jedyne, co miała, to bilet na parowiec i adres jakiegoś dalekiego krewnego. Była jednak pewna, że w Nowym Jorku muszą się znaleźć brudne podłogi do szorowania. Przechylała się za burtę nie mając grosza w kieszeni i obserwowała wciąż ten sam Atlantyck. Możliwe, że z wiadrem i ścierką posuwała się na kolanach po korytarzach tych samych budynków, które mijali wypływając z Nowego Jorku.

- Ale skończyła szkołę pielęgniarską - powiedział Thorn. - Dostała pracę w Sioux Falls w Dakocie Południowej i przejechała całą tę drogę pociągiem, sama przez obcy kraj. - Myślał o tym jakiś czas, a potem powiedział, że spotkała jego ojca w szpitalu. Obydwu swoich mężów spotkała w szpitalu.

Przypomniał sobie, jak siedział z matką w pierwszej ławce w kościele. Chudy, ubrany na czarno mężczyzna, który musiał być jego ojcem, wymachiwał pod sufitem rękami. I pamiętał, jak jego matka stale gotowała kurczaki. Farmerzy zostawiali pod drzwiami ich domu kurczaki jako zapłatę za ślub, pogrzeb albo chrzciny.

Do ich starego domu wszystkimi szparami przedostawał się kurz - pamiętał to. Przypominał sobie, jak jego matka rysowała dla niego palcem na tym kurzu obrazki, gdy jego ojciec leżał w łóżku i kasłał. Dobrze pamiętał ten kaszel.

Potem kaszel ustał i człowiek z łóżka trafił do skrzynki, która stała w kościele. Thorn nic z tego nie rozumiał. Wiedział tylko, że potem jechali gdzieś, do miejsca, które matka nazywała „Francją”.

- Wracala do domu, bo musiala; mój wuj zginął w kopalni, miał dwoje dzieci, a mój dziadek był stary. - W domu dziadka unosił się czarny kurz, a dachy szeregowo stojących domków zasłaniały niebo. Mieszkał w takim domu stojącym pomiędzy innymi domami i czuł się, jakby został wrzucony do studni. Spał w jednym łóżku ze swoimi młodymi kuzynkami, jadł przy jednym stole z obcymi obce pożywienie i nie rozumiał ani jednego słowa. Wszystko, poza jego matką, wydawało mu się czarne. Matka przychodziła do domu w nocy z pieniędzmi i wyglądała w swoim pielęgniarskim stroju jak czysta kartka papieru albo biały kwiat.

Thorn nie patrzył na Janet, przyglądał się kominom Nottingham.

Potem roześmiał się obracając w dużych dłoniach kapelusz. Jego, kuzynki trącały go w łóżku kościstymi łokciami i kolanami. Głosy miały przenikliwe. Zanim zdążył poznać jakiegokolwiek inne słowa, nauczyły go, jak się nazywało po francusku to coś śmieszne, co miał z przodu. Jego ciotka Marie była duża i piersiasta (zademonstrował to kapeluszem) i podczas gdy jego bezzębny dziadek siedział i drzemał w jakimś suchym miejscu, ona z równym zacięciem szorowała swoją twardą ręką podłogi, prześcieradła i dzieci. W tym domu kobiety wiedziały wszystko, a Annette Wade wracała do domu każdej nocy w swoim czystym, białym stroju z pieniędzmi.

Thorn popatrzył na Janet, wiedział, że się powtarza...

- Cześć! - w otwartych drzwiach pokoju stanął Bill Bailey. - Jak się dzisiaj czuje młoda matka?

Przyszli obydwaj z Robem i każdy przyniósł ze sobą pęk kwiatów. Pielęgniarka wstawiła bukiety do wody. Dwaj mężczyźni stali przy łóżku Janet i żartowali, ale wyglądali, jakby czuli się nieswojo i woleli być gdzie indziej.

Janet obserwowała ich uważnie, tryskała dowcipem i zachowywała się tak, jakby dziecko miało się po to, żeby stać się bardziej atrakcyjną. Szpital był miejscem, do którego udawały się prawdziwe kobiety, kobiety tajemnicze, które leżały tam otoczone różami i śmiały się, ponieważ poznały zachwycające tajemnice.

Po wyjściu Roba i Billa dotknęła ręką podkładów oraz pasa pod koszulą i obejrzała ślady po drzazgach na swoich dłoniach. Thorn siedział trzymając w ręce słomkowy kapelusz i nie patrzył na nią. W jednym z pokoi w drugim końcu korytarza zapłakało dziecko.

8

Janet nie mogła spać. Nigdy wcześniej nie spała sama ani nie miała tyle czasu na rozmyślanie. W mroku szpitalnych nocy mogła jedynie wdychać zapach róż albo czekać, aż przyjdzie czas, żeby nakarmić Catherine. Leżała więc i myślała, co Thorn próbował jej powiedzieć, co próbował wyjaśnić, tak jakby był jakimś dziwnym

kawałkiem skały, na który się natknęła. Stale o nim myślała, ale zaledwie wyczuwała, jaki on był.

Wszystkie: jego ciotka, matka i kuzynki były tchórzliwe, powiedział jej Thorn. To było pierwsze, co, jak mu się wydaje, zauważył. Próbował w to wnikać. To była jakaś ściana, o której istnieniu wtedy nie wiedział ani jej nie czuł, ale która paraliżowała te kobiety. Stając przed tą ścianą miały w oczach coś, co powodowało, że czuł się kimś wyjątkowym. Były tchórzliwe. Przez jakiś czas podejrzewał, że było coś, czego nie wiedział o sobie. I rzeczywiście, coś takiego było.

- Ja, Marta i Claire brudziliśmy się, walczyliśmy i biegali - mówił - ale one dostawały lania, a mnie ciotka tylko łajała i mówiła, że powie o tym mojej matce. To nie było sprawiedliwe.

Czy Janet może wyobrazić sobie, jak to było...? Jak jego kuzynki stale leżały obok, gorące i mokre od płaczu? Dom był taki mały, że kiedy jego matka z ciotką rozmawiały w kuchni, przez drewniane i gipsowe ścianki słychać było wyraźnie każde słowo. Podarł ubranie, powiedziała ciotka. Bili się. I obie kobiety siedząc pod lampą zaczynały się cicho śmiać. Gdy jego łóżkiem wstrząsało łkanie, przychodziły i mierzyły odległość pomiędzy nim i kuzynkami. Była to pierwsza z tych wszystkich rzeczy, których nie mógł zrozumieć.

Marta i Claire na pewno pamiętają lania, które dostawały. I te warkocze, które miały zaplecione tak ściślo, że włosy ściągały im do tyłu brwi. Pamiętał magiczne drzwi na ulicę, które były zawsze otwarte, a kiedy stanął w nich pierwszy chłopak, jego ciotka, matka i kuzynki zachowywały się, jakby je zamurowało. Poznał po ich oczach, że jego przyjaciel też był kimś wyjątkowym. Podobnie jak następny chłopak... i cała reszta. Ich głosy i ręce zatrzymywały się nawet przed najmniejszym z chłopaków i wszyscy oni pozostawali po drugiej stronie przezroczystej ściany, tam gdzie znajdowały się drzwi, ulica, rzeka i pola.

Bił się. Nie wie, dlaczego to robił. Może dlatego, że na ulicy czekali na niego chłopcy. Musiał poznawać okolicę, może dlatego, że między połami przycupnęła nad czarną dziurą kopalnia. Chodził do lasu, bo obozowali tam Cyganie. Chodził na wieś, bo robiono tam jabłecznik, albo dlatego, że Maurice rzucił mu wyzwanie, żeby huśtał

się z nim w stodole na haku na paszę. Wiedział (czy rzeczywiście?), że każdy mógł pójść do kopalni, do lasu czy na wieś. A przecież nie każdy potrafił.

Każdy kolejny dzień to była walka. Nie wiedział, co się działo w kopalni, więc śmiano się z niego i szydzono, że nie było tam jego ojca. Że w ogóle go nie było. Wracał do domu albo czerwony z wściekłości, albo zbyt zmęczony, żeby jeść, albo z błyskiem w oku z powodu jakiegoś figla. Marta i Claire w ciemnych sukienkach i fartuszkach nakrywały do stołu, było ciepło i bezpiecznie. To nie było sprawiedliwe; jutro młodzi Herbertowie znów będą go ścigać...

Trzeba było wszystkiego spróbować, wszystko zrobić i przez wszystko przejść. I nie było znikąd pomocy ani nie było gdzie się ukryć. Patrzył niepewnie na Janet spod na wpół przymkniętych powiek.

I drzwi domu były stale otwarte na ulicę. Nikt nie uważał za dziwne, że stał przyglądając się bójce i krzyczał razem ze wszystkimi innymi, albo że słuchał, o czym rozmawiał ze swoimi przyjaciółmi - pomiędzy kolejnymi uderzeniami młota, kowal. Skakał do strumienia, biegał z krzykiem po lesie, a w końcu chodził na łąki i kładł się na ziemi obserwując owady i ich świat mieszczący się w jego świetle.

Nie pytał, czy Janet kiedykolwiek tak się czuła, tylko siedział obracając w rękach kapelusz. W czasie ciszy, jaka niekiedy następowała, pielęgniarka przynosiła to wodę z lodem, to szklanek mleka.

- Nie mogłeś siedzieć w domu? - zapytała Janet. - Dlaczego musiałeś wychodzić?

- Zostawiały mi najlepsze rzeczy - powiedział Thorn, zaskoczony, a kapelusz zamarał mu w dłoniach. - Kromkę chleba z dżemem. Budyń.

- Czy mógłby pan wyjść i poczekać na zewnątrz? - zapytała Thorna pielęgniarka. - Czas karmienia.

Thorn z kapeluszem na kolanach usiadł w fotelu w końcu korytarza. Gdy zabrano Catherine, znów usiadł przy łóżku Janet i patrzył na nią szeroko otwartymi i bardzo niebieskimi oczami.

- Chleb z dżemem - powtórzył. - Budyń.

Czasami nocą Janet próbowała przypomnieć sobie drzwi na ulicę w jej domu, w Nowym Jorku. Pokojówka zawsze szczypała ją w kostki sznurując za pomocą haczyka

jej długie buty - pamiętała to. Długie majtki miała zawinięte nad kostką, a na to naciągnięte pończochy, które przypinane były do pasa na biodrach.

Miała mufkę. W jej pokoju stała biała komoda z namalowanymi na niej ptaszkami. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek, gdy wracała z pokojówką z parku do domu, była skaleczona, zła albo nawet zmęczona. Kąpała się, jadła w swoim pokoju kolację, a potem szła do Taty, o ile ten nie wychodził. Potem wybierała się do łóżka. Nie przypominała sobie, żeby kiedyś była sama, nawet wtedy gdy spała. Później była zawsze w szkole z innymi dziewczętami. Nie mogła nigdzie sama wychodzić.

Dla niej Nottingham to była ciemność za oknem, oświetlona skąpym światłem nielicznych ulicznych latarni. Nie знаła tego miasta, nie znała żadnego miasta. Nie miała w głowie mapy, na której byłyby strumienie, kamieniołomy i zmurszałe kłody, w których miały swoje tunele mrówki.

Czasami usypiała i wtedy, w ciemności, nagle jej pokój zalewała jasność. U jej łóżka pojawiała się z szelestem jakaś mgła i rozlegało się kwilenie dziecka. Czyjeś zręczne dłonie rozpinały jej koszulę. Szorstki kobiecy głos, który rozlegał się nad jej głową, był tak rześki, jakby to było południe.

Janet próbowała podnieść się na łokciu i skoncentrować się; wyczuwała, że spała w czasie gdy wszyscy dorośli się krzątali. Catherine ssała, a Janet obserwowała jasny korytarz szpitalny, po którym wożono na wózkach sprzęt medyczny i gdzie siedziały za wysokim pulpitem i pisały coś jakieś kobiety. Słyszała o trzeciej nad ranem śmiech pielęgniarek.

Pamięta swój dom w Nowym Jorku tylko od frontu, powiedziała Thornowi. Nie pozwalano jej nigdy wychodzić tylnym wyjściem. Kiedyś poszła się bawić z dzieckiem, które mieszkało obok - pamięta, jak szła na górę za wykrochmaloną kokardą od fartuszka pokojówki. Spojrzała przez zasłony na podest schodów i nagle zobaczyła - jak dziecko we śnie - swój własny dom, tak jak go widzieli sąsiedzi. Wychowana jakby nie na tej ziemi, zobaczyła, jak to wszystko, co było dotąd takie znajome, może być obce, jak obojętna twarz jakiegoś nieznajomego na ulicy.

Od samego początku należało koniecznie dobrze pachnieć i nie paplać za dużo. Ojciec lubił, gdy haftowała, więc była w tym bardzo dobra - wyhaftowała na parawaniku przy kominku widok lasu. Nikt nie zapytał, o czym myślałaś, gdy

zajmowałaś się tym. Ojciec powiedział jej, że jest ładna i była z tego powodu taka szczęśliwa, że zaczęła płakać.

To nie jego wina, powiedziała Janet, gdy zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu chusteczki, a ona wycierała w tym czasie oczy i nos w prześcieradło. Mogła od czegoś zacząć. Na początek mogła się dowiedzieć, jak Rob zarządzał jej pieniędzmi. Pochodziły z przędzalni bawełny. Zastanawiała się, czy przędzalnie dobrze sobie radziły. Wydmuchała nos.

- Wiesz, że jesteś piękna - powiedział Thorn. - Ani Jack Laird, ani Bill, ani Marley nie uganiają się tak za żadną inną, jak za tobą. „O wy, zwykli ludzie w niebiosach” - zaczął cytować ni stąd, ni zowąd, obracając w rękach słomkowy kapelusz (było naprawdę za wcześnie na słomkowy kapelusz), „Jacy będziecie, gdy wyjdzie księżyc?” Ale nie prawił jej komplementów. Pocieszał ją tylko patrząc, nie wiadomo, zakłopotanym czy pełnym poczucia winy wzrokiem.

A potem doktor powiedział, że może iść do domu.

Wszyscy bardzo się nią zajmowali. Przyjechali specjalnie z Marleyshall, żeby odwieźć Janet i Catherine, a także jej nianię triumfalnie do domu. Było to naprawdę bardzo przyjemne.

A jaką ładną ma figurę, mówili.

Gdy poczuła się wystarczająco silna, wybrali się wszyscy razem do Londynu. W Windmere odbyła się uroczystość na jej cześć. Catherine, opatulona w śliczne ciuszki, pojechała z nimi pod opieką niani, osoby godnej zaufania i która ją uwielbiała.

Janet czasem rozmawiała z Thornem, kiedy indziej Thorn obserwował ją, jak rozmawia z Jackiem Lairdem, z Billem Baileyem albo z synem lorda Marleya z Oksfordu. Była czarująca. Rob to niewątpliwie zauważył, bo z typowo bostońską kurtuazją, równą nieomalże kurtuazji angielskiej arystokracji, oświadczył, że zabiera ją do Paryża.

Chcę, żeby kupiła sobie parę ładnych rzeczy, powiedział.

Janet krzyczała tam na słomie. Thorn masował jej kręgosłup i przyciskał ją do siebie starając się ją ogrzać. Była cała mokra od potu, krwi i łez, tak jak silnik jest cały mokry od smaru. To jej ciało to wszystko zrobiło. A teraz nakładała na nie eleganckie, nowe ubrania i karmiła je z porcelanowych talerzy i kryształów lorda Marleya. To ciało tańczyło. I siedziało na fotelach.

Nie widywała się teraz często z Thornem. On nie potrafił rozmawiać na modne tematy. Nie miał odpowiednich ubrań. Któregoś razu powiedział nawet, że nie wie, jak się gra w chińczyka. Gdy otaczali ją kołem zachwyceni mężczyźni, ulatniał się. W szpitalu nie była w pełni sobą - zabawnie było odzyskać figurę i znów móc flirtować, gdy miało się na to ochotę.

Thorn rzadko był tam gdzie ona. Oglądała się za nim - oczywiście dyskretnie - a otoczona mężczyznami nie przywiązywała wagi do ich uwielbienia, które kiedyś dodawało jej otuchy.

Czasem Thorn się zjawiał i wtedy czuła, że nie słucha paplaniny Daphne, głośnego śmiechu Roba ani machania rękami Alice... ale wie, że żyje.

Janet nie była głupia. Zaczęła zauważać, że kiedy trzyma w ramionach Catherine, kobiety podchodzą do niej, żeby pogruchać do maleństwa, lecz mężczyźni w większości trzymają się na dystans. Popatrują na dziecko jak na przedmiot, o którym nie muszą nic wiedzieć, i czekają, aż przyjdzie niania i ją zabierze... Wszyscy mężczyźni poza Thornem.

Potem coraz trudniej było znaleźć Janet. Tak zabawnie jest, mówiła, bawić się z Catherine. Chciała widzieć, jak po raz pierwszy się uśmiechnie.

Kiedy Jack Laird w drodze na kort przechodził obok biblioteki, widział, jak Thorn, trzymając na rękach Catherine, czytał coś Janet. To była bardzo interesująca książka o rodzinie, powiedziała Janet, gdy Alice ją o to zapytała. Czy Alice zdaje sobie sprawę, że wyprowadziliśmy z domu przemysł i szkolnictwo i zorganizowaliśmy wszystkie inne ważne rzeczy, za wyjątkiem sztuki prowadzenia domu? Za wyjątkiem wychowywania dzieci? Jesteśmy więc, jeśli o to chodzi, neandertalczykami, ponieważ

prowadzenie domu i wychowywanie dzieci nie są takie ważne, jak tkanie lepszych tkanin. Albo poznawanie łaciny.

O Boże, powiedziała Ethel, oni sobie opowiadają historie swojego życia. Słyszała kiedyś strzępki ich rozmowy. Na zmianę, to jedno, to drugie trzymało Catherine i bez końca rozmawiali: o tym, jak jego matka starała się zapewnić mu wykształcenie, albo o tym, czy jeśli ktoś ma jakąś wadę charakteru, to powinno się go nauczyć, że to nie jest wcale wada. - I to z takimi poważnymi minami, mój Boże. O czymkolwiek by zresztą nie rozmawiali i tak patrzyli na innych takim wzrokiem, że człowieka przechodziły dreszcze. Czasami Janet wyglądała jakby płakała, kiedy indziej znów obydwójce nagle, nie wiadomo dlaczego, zaczęli chichotać. Poważnie. Zupełnie jak dzieci.

- Co Bill Bailey i Jack Laird mogą w tej sytuacji zrobić? - zapytała piskliwym tonem Alice Gresham. - Nauczyć się zmieniać pieluszki?

- Jack Laird jest w lepszej sytuacji - powiedziała Daphne - bo ma w Iowa siostrzenicę i też może rozmawiać o dzieciach.

Daphne, Ethel i Alice siedziały na słońcu obserwując Janet. Teraz codziennie, jeśli tylko było ładnie, lunch podawano na trawniku. Towarzystwo miało na sobie stroje do gry w tenisa albo marynarki do konnej jazdy, a na stole pomiędzy naczyniami leżały porozkładane mapy i rozkłady jazdy.

Thorn pochylał się nad Catherine, która leżała w słońcu na jego kolanach i machała nóżkami i rączkami śmiejąc się i szczebiocząc. W pewnej chwili Catherine schwyciła go za włosy i trzymała w małej piątce jak małpka tak długo, aż Janet nachyliła się nad nią i rozchyliła jej paluszki. Thorn się śmiał, a Janet uwolniła kosmyk włosów z jej rączki i szybkim ruchem delikatnie go przygładziła. Jack obserwował to z nad swojego stolika.

- Marta była starsza? - zapytała Janet.

- Nie pozwalała mi pomagać sobie w kuchni - powiedział Thorn. - Mówiła, że powinienem się uczyć. A jeśli nie chciało mi się nigdzie wyjść, grała ze mną w liczby. Była w tym szybka, zawsze wygrywała. - Thorn uśmiechnął się, bo zobaczył oczyma wyobraźni, jak Marta, z zanurzonymi w brudnej wodzie rękami i z upiętymi byle jak

do góry włosami, patrzy na niego jasnymi oczami. Pokonała go właśnie i śmieje się, a on mówi, że powinna być bankierem.

A potem Thorn przypominał sobie, wpatrując się w fasadę Marleyshall, jak dziadek budził się i wołał piskliwym głosem do swojej zmarłej żony, że chce swoją fajkę, tytoń i spluwaczkę. Marta musiała wtedy wytrzeć ręce i iść do niego.

- Co wtedy czułeś? - zapytała cicho Janet, obserwując twarz Thorn'a.

- Nie wiem... Musiała iść zająć się dziadkiem. Czekałem na nią przez jakiś czas w kuchni, a potem stawałem w drzwiach, a tam byli już młodzi Jaubertowie i wołali, żebym pojechał z nimi gdzieś wózkiem.

Janet siedziała w cieniu trzymając na kolanach Catherine, podczas gdy Thorn starał się jej opisać kuchnię bez okien, gdzie lampa oświetlała wodę w cebrzyku i słychać było słaby i cienki głos dziadka. Wyszedł na ulicę i zobaczył, że świeci słońce. Gdy odjeżdżał wózkiem, spojrzął za siebie i wydawało mu się - przez moment - że widzi w otwartych drzwiach ich domu biały fartuszek Marty.

Thorn zamknął na chwilę oczy.

- Zawsze o tym myślę - powiedział. - Nie mogę tego zapomnieć.

- Mary ma bzika na punkcie Wenecji - powiedziała Alice.

- Jedźmy do Brennerów, zanim zrobi się za gorąco - powiedziała Mary ziewając.

- Potem matka wyszła za mąż i wyprowadziłem się z tamtego domu. Chodziłem w eleganckim garniturze, na jaki nikt inny w tym mieście nie mógł sobie wtedy pozwolić. - Thorn nie patrzył na nikogo, dotknął butem stokrotki w trawie i przyglądał jej się z góry. - Ciotka Marie, Marta i Claire stały obok siebie i patrzyły za nami - tak jak to robią ludzie we śnie, gdy chcą pofrunąć i nie mogą. - Znów dotknął stokrotki i powiedział, że pomagał Marcie i Claire - pomagał im jak tylko miał pieniądze. Mówił o tym matce i ona to rozumiała. To nie w porządku, mówiła, ale pošlę im pieniądze. I tak robili.

- Po prostu nigdzie nie kupi się takich wspaniałych rękawiczek jak w Wenecji - powiedziała Mary.

W cieniu lniany obrus zmienił kolor i stał się turkusowy. Liście odbijały się w srebrach, porcelanie i szkłe i stale były w ruchu. Rob zapalił papierosa i obserwował, jak dym rozplywa się w ciepłym powietrzu.

- O trzeciej koło stajni - powiedział, podczas gdy inni rozmawiali o hotelach i premierach.

- ...przejechać cały cholerny kontynent bez flaszki.

- Nie będę przed czwartą - powiedziała jakaś blondynka w spódnicy do konnej jazdy, a Bill Bailey krzyknął:

- Orient Expressem!

- Nienawidzę pociągów - powiedział Walt.

- Jedziesz z Saint Louis do Chicago i przez całą drogę masz do picia tylko oranżadę!

Janet i Thorn, siedząc samotnie przy stoliku, spojrzeli na siebie ponad kędzierzawą główką Catherine i Janet zaczęła się śmiać.

- Claire potrafiła naśladować każdego - powiedział Thorn. - Gdy „robiła” córkę handlarza starzyzną... podtrzymywała rękami obydwie piersi, wiesz jak... i udawała, że czeka na klientów.

- Nie! - zapiszczała z uciechy Janet.

- A praczka brała do domu pranie i... - Thorn obejrzał się przez ramię - mężczyzn. Claire też ją odgrywała. Pokazywała, jak łaja żonę rzeźnika, że powinna dbać, aby jej mąż częściej się mył. Wrzeszczeliśmy: „Claire, zrób to jeszcze raz!”. Ale, oczywiście, nikt poza nami nigdy się nie dowiedział, jaka była zdolna.

Catherine upuściła zabawkę i Thorn schylił się, żeby ją podnieść. Próbował Janet opisać, jak któregoś dnia wydawało mu się, że Claire się z nim drażni. Że jego niewiarygodna kuzynka Claire odgrywa tylko, że zamierza poślubić jednego z Jaubertów.

Nie mogła tego mówić poważnie - nie Claire! Śmiał się patrząc, jak ze spuszczonej oczami i z beznamiętnym wyrazem twarzy liczy nitki w staniku swojej panińskiej wyprawy. Był pewien, że jak zawsze podniesie wzrok, roześmieje się nieprzyzwoicie i zacznie naśladować sprzedawcę tytoniu... jak wchodzi pijany

zataczając się w drzwiach i zaczyna smarkać, wydając przy tym dźwięki, które można opisać tylko w jeden sposób!

- A ona tylko siedziała i składała płótno. I rozmawiała o prześcieradłach i obrusach, których będzie potrzebowała. - Thorn obserwował trawę u swoich stóp i oparte na kolanach łokcie i próbował jej wyjaśnić, co myśli o kobietach i materiałach.

Nie mógł patrzeć, jak ciągnęły je po zabłoconych ulicach i po schodach. Materiały były ich przeznaczeniem. Zawsze musiały o nich pamiętać. Musiały się uczyć, jak upinać je na ciele i zawsze musiały ich dotknąć.

- Ciotka Marie stwierdziła, że Claire miała szczęście w ogóle wychodząc za mąż - powiedział Thorn.

Janet patrzyła, jak Rob wydmuchuje dym z papierosa w kierunku domu; dym unosił się w powietrzu ponad jego szerokimi ramionami, które były tak samo kanciaste jak fasada domu. Miał na sobie buty do konnej jazdy i siedział z jednym butem przełożonym przez kolano i patrzył z ukosa na dolinę.

Thorn powiedział, że napiłby się herbaty, jeśli Janet nie ma nic przeciwko temu. Czy ona też chce się napić? Janet podziękowała i powiedziała, że nie, spojrzała za nim, jak idzie przez trawnik. Trzymała Catherine i patrzyła na swoje, stojące skromnie jeden obok drugiego w trawie, białe pantofle. A gdyby tak wyprostowała ramiona, wyciągnęła szyję i spojrzała na wszystkich z ukosa? Spróbowała to zrobić. Nie poprawiła jednak swojej postawy ani nie wyglądała tak, jakby dominowała nad innymi. Raczej jak kobieta, która poczuła, że coś nieładnie pachnie. Podeszła i usiadła obok Alice.

- Dolly mówi, że w Paryżu nosi się spódnice piętnaście centymetrów powyżej ziemi... nie doszły do dwudziestu. - Alice zrobiła miejsce dla Janet i Catherine.

- Ach, leżeć tak sobie na słońcu w Lido - powiedziała rozmarzonym głosem Mary.

- Wystrzeliwują w górę rakiety i zaczyna się święto. Wszyscy tańczą - cały dzień! - powiedziała Daphne. - I całą noc!

- I jedzą czosnek, tfu! - Ethel wykrzywiła usta.

Janet podniosła wzrok i spojrzała na dom. Prezentował się okazale. I dominował nad całą okolicą, podobnie jak całe pokolenia lordów Marley.

- Dlaczego czosnek? - zapytała.

- Nie mam pojęcia! - odpowiedziała Ethel. - Noszą go na sznurkach wokół szyi!

Catherine ubrana była na żółto, a Janet na zielono. Janet nie słuchała, co mówią, tylko cały czas uważała, żeby nie pomicić sobie na krześle koronkowej plisy.

Wiedziała, że szarfa i każda zakładka spódnicy wdzięcznie układają jej się na biodrach, a kręcone, brązowe włosy zwijają się ładnie nad uszami. Że jest równie szczupła jak kiedyś, a jedwabna bluzka i kombinezon podkreślają jej płaski brzuch.

Ale zaraz ukazał się inny obraz. W rękach miała pełno drzazg. Widziała pomiędzy głową Thorna a swoim nagim udem umazaną krwią twarz Catherine. Teraz Thorn siedział z filiżanką herbaty w ręce pomiędzy rozmawiającymi o koniach mężczyznami. W jego gęstych włosach odbijały się słoneczne promienie, a duże uszy wyglądały w ich świetle, jakby były różowe.

Czuła na nagich ramionach łagodny dotyk ciepłego powietrza... nieomalże czuła w ustach jego smak. Tak samo jak wyczuwała zarys sylwetki Thorna trzymającego w kościstej dłoni filiżankę, kosmyk włosów powiewający mu nad jedną brwią i łagodny wyraz jego przesuwających się z Walta na Roba i z powrotem oczu. Potem wstał, postawił filiżankę i zniknął między drzewami.

- Mówi, że scena pogrążona jest w ciemności i że w pewnej chwili, jak zjawy, pojawiają się na niej dziewczęta, a wtedy zapala się światło i wszystko, co na sobie mają, zaczyna się świecić. Kosztowało to trzydzieści tysięcy.

- Co? - zapytała Janet oddając Catherine niani.

- Świecąca farba - odpowiedziała Mary. - Chodzi o ten numer w Follies.

Janet postawiła na stole filiżankę i spodeczek; w srebrnym spodeczku ujrzała odbicie idącego między drzewami Thorna.

- Boli mnie głowa - powiedziała do Alice i Mary. - Idę się przejść.

Gdy szła przez park w dół, perełki na żabocie jej sukienki i na szarfie migotały w słońcu jak maleńkie światełka.

Ścieżka prowadząca między dębami była sucha, ale na pniach drzew wciąż widać było mokre, czarne pasy od deszczu, który padał w nocy. Słońce przeświecające przez liście pstrzyło złotym światłem trawę. Gdy Janet stwierdziła, że już jej nie

widzą, zaczęła biec wzdłuż zwietrzałego i porośniętego mchem muru kościoła, lecz Thorn zniknął już za zakrętem drogi.

Z gałęzi leszczyny zwisały bazy - czy to ich zapach czuła, czy jakiejś innej rośliny? Białe pantofle miała całe zabłocone, więc starała się omijać kałuże. Wiatr przynosił wciąż nowe zapachy: chwastów na chłopskiej furmance... kwiatu jabłoni. Kwitnące drzewa pochylały się nad otwartymi drzwiami domu za żywopłotem z ligustru. W środku był chodnik z czerwonej cegły, obok kominka znajdowała się kuchnia, a koło niej stała jakaś młoda kobieta. Janet patrzyła na tę scenę jak z obrazu Vermeera, lecz nie podziwiała jej piękna, znów ogarnęła ją żądza wiedzy - chciała wejść i patrzeć na to. Chciała się nauczyć jak...

W powietrzu czuło się wiosnę i słońce, wiatr unosił te zapachy po drogach, którymi musiał iść także Thorn.... wiodły do stodoły. Gdy Janet weszła w topolową aleję, poczuła, że wiatr chłodzi jej nagie ramiona i jak ręka wygładza cienką sukienkę. Thorn wiedział, co robić. Jak ona wtedy wyglądała? Poczuła, że twarz jej płonie. Pończochy miała przypięte podwiązkami do pasa. Zawinęli ją w koce i wynieśli na noszach przez niskie drzwi stodoły. Stanik i bluzkę miała zniszczone, nigdy więcej ich nie widziała. Tak samo jak czerwonej sukienki.

Zatrzymała się przy żywopłocie i rozejrzała wzdłuż drogi. Dopiero nakarmiła Catherine, więc mleko nie zmoczy jej sukienki. Nachyliła się, żeby poprawić pończochy.

Minęła żywopłot, w którym wesoło świergotały wróble, i znalazła się przed stodołą. W oślepiającym słońcu wyglądała ona jak ogromna, szaro-czarna bryła w morzu chwastów. Buk był teraz zielony, a wrota stodoły przypominały otwarte usta. Każda jej zwietrzała deska wydawała się czekać na nią od czasu tamtej burzy i deszczu.

Jakie gorące było to słońce. Z kopalni za polami dochodził przenikliwy gwizd syreny. Weszła na zwalony kamienny mur i zobaczyła siebie. Stoi cała zielona w ramie gąszczu roślinnego. Białe buty i pończochy migocą, a ona - wątpa i lekka, ciepła i skupiona, czuje w uszach i na szyi szybkie uderzenia pulsu. Stodoła nacierała na nią szeroko otwartymi drzwiami dysząc wilgocią. Janet cała rozdygotana od wspomnień weszła do środka.

Uderzył ją nieznośny odór ziemi, słomy i paszy dla bydła. Przez chwilę zdawało się, że powietrze drży jeszcze od tamtego zdyszanego oddechu i krzyków. Kilka ciężkich od kurzu słonecznych promieni oświetlało sękatą belkę, pajęczyny i stertę słomy. Dalej w mroku wisiała belka, z której drzazgi powbijały jej się w ręce i leżała sterta słomy.

Tam był Thorn. Właśnie wtedy, gdy powróciło wspomnienie, jak kuliła się w jego ramionach, zobaczyła w smudze światła sączącego się z okna, jak klęczy, patrząc na nią zaskoczony. Gdy ją zobaczył, podniósł się, a wtedy ona bez zastanowienia podbiegła do niego i z zamkniętymi oczami zaczęła całować najpierw jego policzki, a potem usta. W ciszy stodoły była tajemnicza ciemność, miękkość słomy, szelest...

Gdy Janet oprzytomniała, poczuła, że rama okna gniecie ją w plecy. Thorn trzymał ją za ręce, a jego oczy znajdowały się tak blisko, że stodoła wydawała się cała niebieska. Potem odwrócił od niej twarz, wstał i wyjrzał na zewnątrz.

- I co zamýślasz? - powiedział, gdy wrócił. - Co zamierzasz zrobić?

Znowu czuła woń stodoły, słyszała szelest skrzydeł gdzieś nad nimi i bzyczenie owadów.

- Do czego ja ci jestem potrzebny? - Thorn wpatrywał się w pola. - Żebyś odegrała się na Robie? W celach poznawczych? A może chcesz mieć taką władzę, jaką masz nad Jackiem? Chcesz uwielbienia? - Thorn z trudem wypowiadał te słowa. - Co ma w tobie wielbić Jack, a co ja?

Bzyczenie owadów nasiliło się. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Czuła się w swoim koronkowym żabocie, z szarfą i paciorkami na sukience oraz w białych pończochach jak dziecko. Trzymał ją w tej stodole za ręce, masował jej plecy, gdy krzyczała z bólu. Dlaczego nie zrobi nic z tymi swoimi włosami? Są takie gęste i nigdy nie uczesane. W oddali skrzypnęła na polu i zaraz zniknęła z ich pola widzenia furmanka.

- Nie wolno ci o mnie myśleć - powiedział Thorn. - Wiesz czego ja chcę - czegoś, co nie istnieje. - Uśmiechnął się lekko. - Jestem dla ciebie tylko małym, przyszywanym braciszkiem, który nie pasuje do reszty towarzystwa, i chcę kobiety... - Przerwał i kopnął czubkiem buta w brudną podłogę. - Mam głupie pomysły. Zadaję śmieszne pytania. Masz do wyboru wielu mężczyzn...

Przerwał i obserwował ją. Po dachu stodoły przebiegło jakieś zwierzę, usłyszała szum wiatru w liściach buka.

- Dlaczego nie chcesz cieszyć się ogólnym szacunkiem? - zapytał.

Przeszedł obok niej i znów skulił się w kącie w gorących promieniach słońca wpadających przez okno. Z ponurym grymasem na twarzy podniósł ze sterty słomy ołówek i kartkę papieru.

Po jakiejś minucie albo dwóch musiał jednak podnieść wzrok. Janet miała oczy pełne łez; łzy spływały jej po policzkach, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Podniósł się i za chwilę łkała w jego ramionach. Stodoła wtórowała jej echem, a świadkiem jej płaczu był świat dookoła z jego liśćmi, słońcem i drganiem gorącego powietrza.

Nagle odsunęła się od niego tak gwałtownie, że łza prysnęła mu na brodę i zaczęła, nie patrząc mu w oczy, najpierw rozpinąć mu płaszcz, a potem rozwiązywać krawat i ściągać koszulę. Gdy spojrzał na nią, jak kładła na stercie słomy jego ubranie, zauważył, że z oczu dalej płyną jej łzy, błyszczące w promieniach słońca jak iskierki.

Potem znów się wyprostowała i zaczęła - wciąż łkając i wycierając oczy - ściągać najpierw sukienkę, a za nią koszulę. Gdy to zrobiła, odrzuciła je od siebie kopnięciem i zaczęła ściągać pończochy i majtki. Te krótkie, zdyszane dźwięki brzmiały jak śmiech Catherine. Łzy płynęły jej cały czas po policzkach i gdy do niego w końcu przywarła, jej wilgotna nagość okazała się tak bliska i zwyczajna jak bezkres pól, prawie niewidoczne w mroku stodoły belki i woń słomy.

10

Wszystkie okna były otwarte i firanki wydymały się jak żagle. Letni wiatr uderzający o fasadę Marleyshall, zanim tu doleciał, napotkał po drodze co najwyżej jeden czy dwa dęby, więc pachniał jednocześnie dymem i jakimś aromatem.

Za powiewającymi firankami stała jakaś postać. Materiał ubrania przylegał jej płasko do bioder i opadał nierównymi fałdami prawie do podłogi, powiewając nad

spiczastymi czubkami butów. Rękawy zakończone luźnymi mankietami były za długie, a olbrzymi kołnierz pomniejszał głowę.

Jeden zapinany na klamrę but stał na cienkim obcasie na podłodze, a drugi, odsunięty o krok w tył, oparty był na czubku. Uśmiechnięte usta lekko się wykrzywiły i postać przechyliła lekko głowę w nasuniętym głęboko na oczy kapeluszu. Kapelusz przylegał do głowy tak ciasno, że można by sądzić, iż utrudnia zobaczenie czegokolwiek. Potem ta osoba nagle przechyliła się w bok, ramiona odrzuciła do tyłu, biodra wysunęła do przodu i złapała rękami za pasek na biodrach. Po raz ostatni spojrzała w okno i odwróciła się... wypchnęła stertę ubrań najpierw za drzwi, potem na korytarz i zrzuciła je w dół, po obramowanych mosiężnymi prętami schodach.

Korytarzem na dole śpieszyła w jej stronę pokojówka.

- Czy pani dzwoniła na mnie, pani Buckingham? - powiedziała do schodzącej po schodach sylwetki.

- Powiedz panu Buckingham, że wrócę na herbatę - powiedziała Janet.

Thornowi jak zwykle wystawały z białych mankietów nadgarstki, a trzewiki miał zakurzone od drogi. Pomógł Janet wejść do czekającego na podjeździe samochodu. Janet spojrzała przez wysokie oparcie fotela kierowcy w bok i zobaczyła za żywopłotem otaczającym kort tenisowy nadjeżdżających konno w ich kierunku, Jacka i Roba.

Sprawdziła iskrę. Jack i Rob przyciągnęli wodze i zatrzymali niespokojne konie. Obserwowali, jak Thorn, z podciągniętym do góry płaszczem i opadającymi na twarz jak u kowboja włosami, kręci korbą. Jack powiedział coś do Roba i roześmiał się.

Silnik zaskoczył i Janet opuściła w dół dźwignię. Gdy Thorn postawił stopę na nadprożu, żeby wsiąść do samochodu, silnik zgasł.

- Włącz samozapłon, kolego! - powiedział do niego z uśmiechem Rob.

Janet znowu ustawiła dźwignię i Thorn zakręcił korbą. Rob i Jack obserwowali Janet.

Silnik zawarczał. Janet przestawiła dźwignię i silnik znowu zgasł. Konie skoczyły w bok. Thorn podniósł się, żeby chwilę odpocząć. Rob przycisnął buty do

boków klaczy, żeby ją uspokoić. Jack podjechał do okna kierowcy i popatrzył na Janet wzrokiem, jakiego się spodziewała. Nie zwracała na niego uwagi. Patrzyła na Thorna.

Oczy Thorna miały wyraz lekko rozmarzony i Janet widząc to roześmiała się. Wtedy on też zaczął się śmiać. Janet śmiejąc się ustawiła jeszcze raz dźwignię, śmiejąc się czekała, aż silnik zaskoczy, i kiedy jechali długim podjazdem, piszczała i krzyczała z radości.

- Śmieszny jest - powiedział Jack. Zieleń i błękit krajobrazu rozmywały się w gorącym, letnim słońcu, a stary samochód wyglądał na tle przymglonych kolorów jak czarna dziura po pocisku w pudełku czekoladek.

Jack wciąż jeszcze patrzył za znikającym samochodem, gdy usłyszał, jak Rob zawrócił klacz na żwirku i gdy się odwrócił, zobaczył, że ma nachmurzoną minę.

- Zabieram jutro Janet i dziecko do Nottingham - powiedział Rob.

CZEŚĆ II

**Akrobaci wysoko w powietrzu huśtają się na trapezie
i jeżdżą tyłem na rowerach patrząc w dół jak kłowni.
Śmiejemy się, a wtedy oni kłaniają się z gracją i spadają w dół.
I rozlega się szalony aplauz, bo poniżej nie ma żadnej siatki.
Nigdy jej nie było*.**

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz.

To nie jest sprawa Karla Tubbita. Jeśli smarkacz prosto po college'u chce wychowywać dziecko, które ktoś mu zostawił, to jego sprawa. Jeśli chce pisać książki o motylach i może zapłacić za prowadzenie domu, to Karl Tubbit może to robić. Nie jest głupi.

Karl Tubbit nie jest głupi. Jest tym, kim jest, i swoje wie. Wychował się przecież przy szosie. Nosila nazwę pewnej bitwy, a mieszkańcy Dakoty Południowej twierdzili, że była polem walki na całej swojej długości. I przeklinali ją.

Każdej wiosny, gdy puszczał mróz, na powierzchni drogi ukazywały się kamienie i podczas jazdy samochodem na drewnianych obręczach uderzał człowiekowi ząb o ząb. I wtedy płacono staruszkowi Tubbita, żeby zebrał ludzi, wysypał drogę okruchami skał i wyrównał ją tak, żeby wytrzymała kolejny rok.

Tubbit wyczuwał szosę nawet wtedy, gdy unosił się nad nią taki kurz, że nie było widać zakrętu na drodze prowadzącej do miasta. Znał każdą dziurę w płocie i w kurniku. Karl Tubbit ożenił się, potem najpierw umarła mu córka, a następnie żona i zanim skończył czterdzieści lat, czekał tylko na okazję, żeby wynieść się gdzieś i zapomnieć o tej szosie. Wszystko jedno gdzie.

Wtedy jego ciotka usłyszała, że niejaki Thorn Wade poszukuje „człowieka do wszystkiego”, którym Karl Tubbit niewątpliwie był. Pojechał więc szosą, która nosiła nazwę pola walki, do miasta, gdzie adwokat spytał go, czy zgodziłby się pojechać na pewien czas do Anglii, a potem wrócić i osiąść w okolicach Detroit.

Ostatnie co widział z samochodu, którym wiozł go adwokat, to przesuwaną się za jego oknami, zwirowaną nawierzchnię szosy. Sprzedał swoje gospodarstwo. Teraz prowadzi dwa domy, gotuje dla Thorna Wade'a i dziecka, jest kim jest i wie swoje. Taki już pozostanie. Tak. Jak ta pożłobiona koleinami droga.

To nie sprawa Karla Tubbita, ale on wie co nieco o dzieciach; jego Irma miała dziesięć lat, gdy umarła, i zawsze była ukochaną córeczką tatusia. Wie trochę więcej o dzieciach niż Thorn Wade.

Thorn Wade pochodzi z Ferrisburga, Dowiedział się tego od swojej ciotki, która zasięgnęła o nim języka. Okazało się, że jego ojciec był jednym z tych kulawych pastorów, których ściągają do małych miasteczek. Mniej więcej raz na siedem lat zdarza się urodzaj i wtedy wszyscy protestanci, wyłączając luteranów, jednoczą się i próbują zachować w miasteczku kościół. Kupują książeczki do nabożeństwa, a czasem nawet doprowadzają wodę do plebanii. Matka Thorna Wade'a była Francuzką i po śmierci pastora zabrała go ze sobą do Francji. Wade bardzo dobrze mówi po francusku. Dostaje stamtąd listy.

To nie jest sprawa Tubbita, ale Thorne Wade sam jest dzieciakiem, jak więc może coś wiedzieć o wychowywaniu małej dziewczynki?

Tubbit nie miał nic przeciwko temu, że mieszkają poza Detroit i że najbliższego sąsiada mają w odległości co najmniej półtora kilometra. Był do tego przyzwyczajony. Sprzątał dwa domy i Wade dawał mu pieniądze na ich utrzymanie. Po dwóch latach ogród latem wyglądał całkiem nieźle - w końcu był farmerem.

To nie jego sprawa. On prowadzi dwa domy, gotuje, pierze, prasuje, uprawia ogród - naprawdę wszystko jest w porządku. Kiedy się tak nad tym zastanowi, to naprawdę nie może powiedzieć nic złego.

Wade jest jednak młokosem i nie wie, że kiedy niemowlę zaczyna raczkować, nie można mu na wszystko pozwalać. Tymczasem Catherine je, kiedy chce, i śpi, gdzie jej się zachce - po prostu pada w jakimś miejscu i Thorn ją potem czymś przykrywa.

To przekracza wszelkie pojęcie. Wade chodzi za nią cały czas, a ona otwiera drzwi i biega na czworakach dookoła, a przecież wszędzie są zarazki i różne trucizny, trawa i żądła. Mój Boże, Wade nie oddaje jej ubrań do pralni i dziecko ma we

wszystkim dziury. Całymi dniami czołga się w trawie i cała uszczęśliwiona wkłada do ust polne koniki, muchy i mrówki.

Kiedy uczyła się chodzić, szła sobie gdzieś, a Thorn podążał za nią - był wysoki, więc widać go było w trawie na kilometr, a przed nim ścieżkę, którą wydeptała Catherine. Miała pewnie mokro, mówiła coś do siebie i była cała brudna. Nie, Wade stanowczo nie ma pojęcia o wychowywaniu dzieci.

Oczywiście, dopóki nie zagraża nic jej życiu, nie słyszy nigdy żadnego zakazu. Poza tym Wade spędza z nią mnóstwo czasu, więc jest zepsuta. Karl Tubbit powinien był go przestrzec. Jest śliczna, ale ma swój rozumek.

Z początku próbował coś sugerować - powiedział, że z przyjemnością ogrozi dla niej jakieś miejsce do zabawy. Thorn podziękował mu; powiedział, że tak jest dobrze. Jeśli podbiegło się do niej i podniosło ją, bo płakała, gdy obtarła sobie kolano czy zrobiła jakąś inną krzywdę, Thorn był niezadowolony. Mała ślicznotka wrzeszczy, a on mówi:

- Zostaw ją. - Wade wszystko robił po swojemu.

Ale poza tym to wszystko było w porządku. Catherine rosła zdrowo, chociaż nie miała się z kim bawić. Ale i tak miała pełno pomysłów i sama się cały czas bawiła. Nie miała nawet jeszcze trzech latek, gdy nauczyła się podnosić z widełek słuchawkę. Ktoś w centrali zgłaszał się i mówił:

- Słucham? - Catherine nabrała wtedy przekonania, że centrala to firma telefoniczna, ponieważ zgłasza się za każdym razem, gdy podniesie się słuchawkę. Czyż można było jej powiedzieć, że nie ma racji? Raz siada ci na kolana, a innym razem nie pozwala się dotknąć. Taka niezależna.

Rzecz w tym, że Wade nie zadał sobie trudu, żeby odpowiednio ją ustawić. Była przekonana, że kobiety mogą oblatywać samoloty i prowadzić ciężarówki. Kazał jej jednak obejrzeć ciężarówki, więc nie była już taka pewna, ale co do samolotów, to nie zmieniała zdania.

Potem Wade zaczął zabierać Catherine do Detroit i pozwalał jej biegać po mieście i zanim jeszcze poszła do przedszkola, słyszało się, jak rozprawia o rzeczach, których zupełnie nie rozumie. Podchodziła do ludzi zagadując ich, a Wade chodził za nią i rozmawiał z nimi. Facet o nazwisku Irish Mac, który był ślepy i grał na

skrzypcach, opowiedział jej o oddziale policji o nazwie Czarna Ręka, który ściga inną Czarną Rękę rodem z Włoch, a chłopaki z warsztatu samochodowego wyjaśnili, jak działa samochód.

Mówiła, że powinno się wszystko wiedzieć. Jeśli się nie wie, co ludzie robią albo co myślą, to się ich pyta. Czasami odpowiadali. Innym razem mówili, jaka śliczna mała panienka, albo kazali sobie nie przeszkadzać i pytali, gdzie jest twoja mama...

3

- Nie rozumiem, po co to robi - mówi Catherine. - I ciarki mnie przechodzą, jak na to patrzę. - Gąsienica motyla „monarchy” doszła do krawędzi biurka Thorna. Thorn bierze ją i z powrotem kładzie na rosnącym w doniczce mleczaju, z którego zeszła.

- Dzieci są w porządku - mówi Catherine.

Gąsienica bada liść; przesuwa się po nim składając się i rozprostowując.

- Nie. Nie są - zmienia zdanie. Podnosi do oczu szkło powiększające Thorna i przygląda się liniom papilarnym na opuszkach swoich palców. - Najpierw sala. Krzesła i stoły są małe - już to powoduje, że przechodzą cię ciarki. I tak wiemy, że jesteśmy mali, a kiedy jesteśmy gdzieś tam w dole i musimy cały czas spoglądać do góry, jest jeszcze gorzej. Duże krzesła powodują, że człowiek czuje się większy i wtedy wszystko jest prawdziwe.

Gąsienica na powrót szczołguje się na biurko. Schodzi po liściach mleczaja, które z apetytem objadła aż do wysokości balkonu, nie opuszczając po drodze ani jednego liścia.

- Nauczycielka jest bardzo miła... - Catherine milknie. Zakłada kosmyk skręconych w spiralkę włosów za ucho, jak gdyby chciała w ten sposób odsunąć od siebie myśli. - Nie ma powodu, żeby była tak miła. Ona nie chce pokazać, że tak naprawdę to wcale nie jest zadowolona, że musi być z nami. Dlaczego miałaby być zadowolona, że przebywa z małymi dziećmi, zamiast w towarzystwie kogoś w jej wieku?

Catherine rozmyśla kręcąc w palcach lok i kładzie obie nogi na owalnym oparciu fotela. Róże na jego pluszowym pokryciu zdają się wtedy jakby naciskać na Thorna w niemym pytaniu, a jego wygięte nóżki skręcać się jeszcze bardziej pod ciężarem trudnych myśli dziecka.

- Cały czas jest taka miła... - Catherine wzdyga się, potem wsuwa się plecami pod jednoboczne oparcie fotela i przesuwa głowę pod drugim. Leży tak, obserwując Thorna do góry nogami, mleczaj, który wyrasta z doniczki w dół, i znajdujące się w górze biurko i podłogę. - Dzieci też ciarki przechodzą.

Thorn znów bierze w palce gąsienicę i kładzie ją na roślinie. Catherine staje obok niego i kładzie mu głowę na ramieniu, a on ją obejmuje.

- Po co to robi? - pyta po chwili Catherine.

- Chciałbym wiedzieć, ile razy ta gąsienica zejdzie na dół w poszukiwaniu miejsca do zawieszenia - nie może to trwać wiecznie. Już zamienia się w środku w poczwarkę...

- Jeśli będziesz jej przeszkadzał, to nie będzie miała czasu się zaczepić - mówi Catherine. - Co wtedy będzie?

- Nie będzie wisieć. Wtedy po prostu przepoczwarzy się na leżąco - tak mi się wydaje.

- Zapisz to... dobrze? - Bierze kawałek papieru, wkłada go do kieszeni i obserwuje, jak gąsienica dochodzi do krawędzi biurka. Wędruje teraz szybciej.

- Pamiętasz, jak ta dziewczynka w tramwaju, o której ci opowiadałam, cały czas patrzyła, czy wszyscy na nią patrzą? Tak samo robią niektóre dziewczynki w szkole. Chcą, żeby nauczycielka cały czas zwracała na nie uwagę. Mówią dziecinnym głosem, wzruszają ramionami i przechylają głowę na bok... uff! Inne dzieci są przestraszone; siedzą tylko i patrzą albo płaczą. Dlaczego chodzą do szkoły, jeśli tego nie lubią?

Pasiasta gąsienica znów znajduje się na liściu.

- Dziewczynki tak śmiesznie mówią i cały czas się wiercą, ale kiedy wejdą do łazienki albo wyjdą na boisko, stają się inne. Wolę chłopców.

Larwa staje się teraz bardziej podniecona; jej ciało składa się i rozkłada przy brzegu doniczki zmierzając w kierunku biurka. Jej ciemnobrązowe, kremowe i żółte paski prostują się, a z tyłu niespokojnie poruszającej się głowy wyskakują czułki.

- Nie poddaje się - mówi Catherine. - Czy ta druga zrobiła sobie jedwabny kokon?

- Nie - odpowiada Thorn. - Poddała się w końcu i nie mogła wejść.

- Odkształci się leżąc na płasko. Ta też. Nie wyjdą z niej dobre motyle.

- Już zawisła i zaczęła zmieniać kolor, więc nie mogłaby wrócić i zacząć od nowa.

Catherine obserwuje, jak gąsienica, znów położona na liściu, zaczyna na powrót schodzić na biurko.

- Chłopcy stoją i patrzą, jak dziewczynki uśmiechają się do nauczycielki.

Zerkają na nią, kręcą się i zaczynają hałasować, zaczepiać się wzajemnie, co powoduje, że nauczycielka zwraca na nich uwagę. Chcą, żeby nauczycielka cały czas na nich patrzyła. Nie rozumiem dlaczego.

Catherine nie obserwuje gąsienicy; jej błękitne oczy wpatrują się w okno - przypomina coś sobie. Nagle ściska silnie brzeg biurka Thorna rękami i odpycha się od niego.

- Nie chcę chodzić do szkoły - mówi wychodząc z pokoju.

Thorn podnosi po chwili wzrok i widzi, jak Catherine idzie przez ogród do furtki Tubbita. Tubbit postawił płot, żeby nie wchodziły do niego króliki i żeby zatrzymać piach. Catherine zamyka za sobą furtkę.

4

Detroit się rozrastało. - Działo się to na oczach Tubbita. Droga prowadząca do ich dwóch domów była w połowie pokryta żwirem, a w połowie piaskiem. Gdy więc zaczęli przyjeżdżać nowi ludzie i stawiać domy, położyli zaraz nowe jezdnie i chodniki, zawiesili nawet tabliczki z nazwami nowych ulic, takich jak Northlawn, Roselawn, Cherrylawn. Wysoką trawę i piasek zaczęła wypierać sieć dróg pokrytych cementową nawierzchnią.

W kępie żółtej trawy koło drogi Seven Mile leży rozkładający się pies, powiedziała Catherine. Pomyślała, że te robaki były pewnie w nim przez cały czas i

wyszły dopiero jak zdechł. Na miłość boską, godzinami siedziała przy nim w kucki i obserwowała je. Potem powiedziała, że muchy składają jajka i te jajka zamieniają się w robaki. Lubiła nadawać wszystkiemu, co widziała, wymyślne nazwy i w jej „notatnikach” były imiona much, jej rysunki i wszystko, o czym usłyszała od Irish Maca o gangach. Pewien Żyd ze składu starzyzny narysował jej, jak ze starych zbiorników i rur zrobić destylarnię; poprosiła Wade'a, żeby pomógł jej zbudować to urządzenie, i udało im się, działało.

Pewnie, że nie działo się wiele dookoła i była sama, ale mówiła, że lubi to. Leżała cała brudna na wznak na ziemi obserwując niebo albo czołgała się po trawie gniotąc kwiaty i liście i nadziewała na szpilki robaki. A potem zaczęły się zjeżdżać koparki i budowano domy. Nadawała koparkom imiona, na przykład „Tiny” albo „Sambo” i wypisała je palcem na ich zakurzonych maskach, jakby to były słonie w zoo. Przepadała za chodzeniem do zoo. Mężczyźni w koparkach odpowiadali przez jakiś czas na jej pytania, a potem mówili tylko, żeby poszła robić babki z piasku i żeby wkładała do nich dużo rodzyneków. Za każdym razem, gdy chciała coś wiedzieć, śmiali się. Cieśle też doprowadzali ją do szału, ale gdy weszli na górę, kręciła się z nimi po budowanych domach i sporządzała rysunki.

Zacząła orientować się w mieście. Dowiedziała się, że szpitalem nie zarządzają pielęgniarki. Gdy była mała, miała dziwne wyobrażenie o świecie. Myślała, że w szkole rządzą nauczycielki, a w biurach sekretarki. Tylko dlatego, że było ich tak dużo. Tubbit mógł jej to powiedzieć, ale myślała, że skoro siedzi w domu, pierze, prasuje, sprząta i gotuje, to nic nie wie.

Jeśli ktoś pytał Tubbita, to odpowiadał, że Catherine jest szczęśliwa, że nie ma nic zdrożnego w tym, że dziecko dowiadyuje się różnych rzeczy.

Była taka mała, a wszędzie wtykała nos. W Hamtramck mieszkali Polacy - opowiadała. I oni stale się kłóć. Słuchali też Ojca Coughlina w radiu. Mówił o Czerwonej Zarazie Komunizmu i o tym, co robią „nieprzyzwoite kobiety”. Oczywiście, zadawała na ten temat mnóstwo pytań.

Catherine chciała wszystko wiedzieć. Każdy gliniarz w Hamtramck handlował alkoholem, paplała, i dlatego Czarna Ręka nie mogła tknąć Hamtramck. W sklepie Sandersa sprzedawano na Walentynki czekoladowe serduszka i Catherine zastanawiała

się, w jaki sposób znalazły się w środku takie same czerwone. Lubiła zlizywać z wierzchu cynamon i znajdowała je potem w kieszeni płaszcza, oblepione brudem.

Gdy Wade szedł głosować do szkoły, zabrał ze sobą Catherine. Powiedziała czekającym w kolejce ludziom o Lidze Porządnych Obywateli, a oni rozzłościли się i zaczęli krzyczeć. Powiedziała, że w szkole pachnie kredą i mokrymi butami.

Ale to nie była sprawa Tubbita. Nie wtrącał się do niczego i kiedy nie pracował, trzymał się z dala od domu Wade'a. Wade był zadowolony i w końcu płacił dobrze.

- Wszystko było naprawdę w porządku, ale Catherine była taka śmieszna, że ludzie nie wiedzieli, co o tym myśleć. Tak naprawdę to była wina Wade'a. Już dwuletnie dziewczynki jeżdżą ze swoimi mamami tramwajem ubrane w ładne bereciki i nie przeszkadzają motorniczym zadając głupie pytania. Ale Catherine nie miał kto kręcić włosów i zakładać coś odpowiedniejszego niż spodnie. Tak ładnie by wyglądała w zwiewnej sukience i z ułożonymi w loki włosami.

5

- Nie miała jeszcze dziesięciu lat - powiedział Joe Perry do kucharza - gdy sama weszła do hotelu. Musiała zastukać w biurko recepcjonistki, żeby ta zauważyła, że ona tam jest i chce zostawić płaszcz i kapelusz. Nie miała jeszcze nawet dziesięciu lat, a przyszła sobie ot tak do hotelu. Powiedziała, że na obiad.

- Żartujesz chyba - zdziwił się kucharz.

Stała w drzwiach restauracji - Joe nie mógł tego przeżyć. - Stała jak gdyby nigdy nic, i czekała, aż ktoś wskaże jej stolik. Myślał, że czeka na kogoś starszego, nie mając odwagi wejść i że zaraz ta osoba się zjawi, więc zajął się nią. Ale nie słuchał wcale tego, co mówiła; dzieciaki robią w hotelu tylko zamieszanie.

- Rany boskie, nogi człowiek uchodzi w tym interesie - Joe rozwiązał sznurowadła. - Po szyję.

- Mnie to mówisz - pokiwał głową kucharz.

W końcu zaczął słuchać tego, co mówiła. A mówiła bardzo grzecznie, że chciałaby zjeść obiad i czy jest wolny stolik? Nie, nie ma z nią nikogo. Nie mógł więc

zrobić nic innego niż zaprowadzić ją do stolika, podeszli więc do tego, który kierownik kazał ostatnio postawić na parkiecie - Bóg wie po co, jakbyśmy i tak nie mieli za dużo do obsługi - usiadła i zaczęła czytać menu.

- Prędko się uczą, jak wydawać twoje pieniądze - powiedział kucharz. - Mówiłem ci, że moja żona chce założyć jadłodajnię? Ja przez cały dzień gotuję, a ona chce mieć przy kuchni jadłodajnię!

No pewnie, że zapytał ją, czy ma pieniądze, na co ona zapytała, dlaczego chce to wiedzieć. Czy innych ludzi przy stolikach też pytam, czy mają pieniądze? Wkurzył się trochę - żeby dzieciak tak do niego mówił!

- Dzieciaki w dzisiejszych czasach są coraz sprytniejsze. Potrzebują paska. W odpowiednie miejsce. - Kucharz zeszkrobał ze spodni wyschnięte ciasto.

Przyjął więc od niej zamówienie, a ona siedziała całkiem sama przy stoliku i czekała. Była naprawdę zabawna - takie małe dziecko - ale nie wyglądała, jakby ją to śmieszyło. Zachowywała się tak, jakby robiła to codziennie: po prostu siedziała i jadła, a jak skończyła, poprosiła o rachunek. I dała mu wysoki napiwek. Inni ludzie uśmiechali się, gdy patrzyli, jak płaci rachunek i wychodzi z sali - taki mały dzieciak, prawie o połowę mniejszy niż inni. I niech mnie diabli porwą, jeśli zanim nie zapłaciła w kasie i nie wzięła płaszcza i kapelusza, nie kupiła gazety.

- A może to była jakaś liliputka? - zauważył kucharz.

Nie, nie była żadną liliputką, po prostu małym, miłym dzieciakiem w ładnej sukience i.... Włożyła kapelusz i po prostu wyszła. Wyszła na dwór, a przecież już się ściemniało. Po prostu - weszła, zjadła i wyszła. Całkiem sama. Tak jakby była właścicielką tego hotelu. Ludzie nie powinni pozwalać dzieciom, żeby same chodziły. Nawet jeśli mają dziesięć lat.

- Jadłodajnia - mruknął kucharz. - Cały dzień gotuję i musimy mieć jeszcze w domu jadłodajnię.

- Pojedyncze łóżka - mówi Catherine.
- I myślisz, że dał mi coś na urodziny? - mówi Adele Pinney do Grace Duffy.
- Potrzebujesz czegoś, skarbie? - mówi Grace do stojącej przed nimi małej dziewczynki.
- Nic - mówi Adele, rozglądając się, czy nie idzie kierownik piętra. - Nawet najmarniejszej kartki z życzeniami. Nic.
- Chciałabym obejrzeć pojedyncze łóżka - mówi Catherine.
- Powinnaś go rzucić - mówi Grace. - Coś się stało, skarbie? Gdzie jest twoja mamusia?
- Może się zgubiła - zastanawia się Adele.
- Chciałabym obejrzeć pojedyncze łóżka - mówi Catherine. - Ogłaszaliście się wczoraj w gazecie.
- Co byś chciała? - pyta Grace.
- Jakaś kobieta rozgląda się w dziale z bielizną, jakby kogoś szukała.
- Czy to twoja mama, skarbie? - dopytuje się Grace. - Ta kobieta tam koło stoiska z bielizną w niebieskim...
- Jestem sama - mówi Catherine.
- Jeśli się zgubiła, powinniśmy o tym powiedzieć staremu Podszczyrywaczowi. Jeśli nie jest znów w magazynie z dzieciennymi łóżeczkami, wiadomo z kim, żeby zrobić tam „remanent”. To jest nowe słowo na to, co wiecie... - mówi Adele.
- Przestań - mówi Grace. - Zgubiłaś się, kochanie? Chodź, pójdziemy poszukać kierownika piętra. On znajdzie twoją mamusię.

- Myślę, że jakbym nosiła sukienkę... - powiedziała Catherine. Thorn zamyka książkę, Catherine wdrapuje mu się na kolana

i wzdycha. Sięga do kieszeni jego swetra w poszukiwaniu ulubionych cukierków: twardych, o smaku malinowym, które się ssie, a potem rozgryza.

- Jeździłam tramwajami, tak jak rozmawialiśmy, i tylko raz się zgubiłam. - Catherine grzechocze cukierkiem o zęby patrząc w ogień, a Thorn czuje szczęką ten jej grzechot. - Ludzie nie pytają innych, gdzie są ich matki i ojcowie, a mnie o to ciągle pytali.

Pachnie dojrzałymi malinami. Tubbit robi w kuchni więcej hałasu niż zwykle.

- Wielu ludzie nie lubi dzieci. Szczególnie jeśli nie są ładnie ubrane. Nie będę więcej nosić spodni. Będę nosić sukienki i kokardę, i dużo się uśmiechać. Jeśli nie zapomnę.

Wyssała do końca cukierek.

- Dlaczego ty nie musisz się uśmiechać?

Thorn obnaża w uśmiechu zęby, a Catherine odwraca się powiewając kokardą, odpycha się od niego ręką i patrzy z naganą.

- Głupi! Uśmiechaj się, jak rozmawiasz z ludźmi. I jak pytasz ich o coś.

- Może przyjdź i coś zjeść, jeśli nie jest za bardzo zmęczona - mówi Tubbit stając w drzwiach.

- Daj jej też duży kawałek ciasta, jest głodna - mówi mu Thorn.

Tubbit nie pozapalał świec, więc Thorn podsuwa Catherine krzesło i bierze zapalki. Tubbit mówi do siebie zaglądając do kredensu. Ciemność za oknem powoduje, że kolacja wydaje się Catherine inna niż zwykle. Tymczasem Thorn opiera się o fotel; w jego oczach odbija się płomień świec.

- W mieście ludzie stoją w długiej kolejce, żeby dostać zupę i chleb - mówi Catherine, gdy jej talerz jest już prawie pusty. - Słyszałam, jak jakaś pani mówiła, że jedzie do opieki społecznej, więc wsiadłam za nią do tramwaju. Płakała. Dziecko,

które z nią było, powiedziało, że jego mama płacze, ponieważ ona i rodzeństwo są głodni.

Tubbit wnosi ciasto.

- Jedna Murzynka powiedziała mi, że jej mąż nie zarabia nawet trzynastu centów za całą godzinę pracy u Forda w „dziale dla czarnuchów”. Kiedy zapytałam ją, co to jest, nie wiedziała - mówi Catherine.

- Możemy jechać do fabryki Forda i powiedzieć, że chcemy to zobaczyć - mówi Thorn. - Jeśli chcesz.

- To nie byłoby za bardzo uprzejme - mówi Catherine. - Nie będą zadowoleni, jak tak powiemy. Ale mogłabym założyć sukienkę i kokardę. - Obserwuje, jak świece migocą, gdy Tubbit wywołuje lekki wiaterek wychodząc. - Ta pani wciąż płakała; więc dałam jej dziecku wszystkie pieniądze, jakie miałam, zostawiając sobie tylko na drogę, i szybko wyskoczyłam z tramwaju. Zobaczyłam mężczyznę śpiącego w samochodzie, w którym zabrakło benzyny. Tak powiedział. I powiedział jeszcze, że czasami ludzie robią dziury w siedzeniach i wkładają w nie stopy, żeby sobie ogrzać.

Tubbit z nadąsaną miną podaje Thornowi kawę. Catherine przygląda mu się uważnie.

- Pamiętasz, jak podglądałeś tego faceta od destylarni? - pyta go. - A jak jeździłeś na tym koniu, kiedy ci nie pozwalali? A pamiętasz, jak wsiadłeś do pociągu towarowego, zanim jeszcze skończyłeś dziewięć lat? Co z tego, że nie jeździłeś tramwajami.

Tubbit nie odzywa się.

- Przepraszam, że spóźniłam się na kolację i że to co dobrego przygotowałeś, wystygło - mówi Catherine. Jest wykończona, Thorn to widzi. Nie daje jednak za wygraną i patrzy na nich, chociaż naprawdę myśli o czymś innym.

- Motorniczowie tramwajów mają cały czas popuchnięte nogi - mówi po wyjściu Tubbita. - Tramwaje są brudne.

Ziewa tak szeroko, że wydaje się, jakby za chwilę miały jej pęknąć szczęki, kuli się w fotelu patrząc w świece.

- Kupiłam sobie plan miasta i tylko raz się zgubiłam.

W korytarzu dzwoni telefon. Słyszą, jak Tubbit idzie go odebrać.

- Halo? - mówi. Staje w drzwiach jadalni.
- Do pana - mówi do Thorna. - Mówi, że nazywa się Jack Laird.

8

De soto mijają w Detroit kilometry domów i wyjeżdża za miasto. Jack Laird uśmiecha się, ale nie patrzy na siedzącą obok niego Dorothy, lecz na maskę swojego samochodu.

- Zrobisz to - mówi.

- Jesteś strasznie pewien siebie - mówi Dorothy. Przesuwa ręką po jedwabnej pończosze od kostki do kolana i widzi, że Jack podnosi jedną brew tak, jakby mówił „ja tu jestem panem”.

Droga Five Mile. Gdy reflektory de soto prześlizgują się po oknach sklepu mięsnego „U Joego”, drzwi wejściowe sklepu zamykają się z trzaskiem. Wzdłuż krawężników leży czarny od dymu śnieg, tramwaje dzwonią i sypią iskry na zakręcie. Uśmiechnięte zdjęcie Garbo umieszczone z boku tramwaju wjeżdża pod wiadukt.

- Ale historia - mówi Dorothy. - Kawaler z dzieckiem? Niezły numer.

- Nie był nawet jej prawdziwym wujkiem.' - Jack patrzy z nachmurzoną miną w okno. - Gdy odebrał telefon, od razu go poznałem. Ten sam Thorn. Powiedział, że nigdy nie spodziewał się, iż do niego zadzwonię.

Dorothy ziewa i otwiera „Ladies Horne Journal”. Ze stron magazynu uśmiechają się do niej kobiety w fartuszkach albo całe obwieszane brylantami. „Jestem mężatką od sześciu miesięcy, ale wiem już, że nie opłaca się używać taniego, zawodnego proszku do pieczenia. W obecnych czasach wychodzenie za mąż, żeby żyć za dwadzieścia dolarów na tydzień, wymaga odwagi...” „W Paryżu barwią zęby, żeby nadać im połysk”. „Bądź DZIEWCZYNA, którą MĘŻCZYŹNI chcą CAŁOWAĆ”. „Widziałam dziewczęta, które wciąż przegrywają, ponieważ ich skóra nie ma aksamitnej delikatności, którą tak lubią mężczyźni”. Dorothy zamyka pismo i sprawdza językiem, czy nie ma na przednich zębach szminki.

- Pisze książki o motylach. Jest poważany w tych kręgach - mówi Jack.

De soto zjeżdża z szosy i zanurza się w dziwnie wyglądającą okolicę. Całymi kilometrami wzdłuż białych dróg i chodników nie ma nic, chociaż poustawiane są tabliczki z nazwami ulic.

- O Boże, spójrz na to - mówi Jack. - Tu dopiero możesz oglądać skutki Wielkiego Kryzysu. Podzielono grunty na działki i na tym koniec, tak zostało. Pustynia.

Dorothy odwraca się, żeby spojrzeć w tylne okno. Samochód zostawia za sobą podwójny ślad opon, dwie samotne linie. W miejscach, gdzie miały stać domy, wyrastają ze śniegu drzewa i krzewy, i poza kołyszącymi się na wietrze paroma krzakami nie ma nic.

Thorn obserwuje nadjeżdżający samochód; widzi go, gdy de soto jest zaledwie maleńkim, czarnym punkciem na horyzoncie. Catherine nie widzi drogi przez zapchane szmatami okno ciemnego, zaniedbanego domku, w którym akurat przebywa. Jest ciepło. Pod stertą postrzępionych gazet na półce nad kominkiem strzela fioletowy ogień. W jednej z gazet widzi reklamę damskich gorsetów i skórzanych lakierków. Ściana, o którą opiera się Catherine, oblepiona jest wyciętymi tytułami z gazet; z filizanek jej i Augusty unosi się wraz z parą zapach wanilii i kakao, mieszając się z wonią nafty, krochmalu i mokrej wełny z jej zimowych rajtuzów. Na zewnątrz domu kręcą się, odstraszać zgłodniałych mężczyzn, psy.

Ani magia płomieni nie zdołała uciszyć Gertrudy, ani to, że małe słuchają, więc po wypiciu whisky wgapia się w ogień. Teraz Mary zacznie, nie śpiesząc się, opowiadać jedną ze swoich historii, Gertruda się do niej przyłączy i obydwie będą - jak zawsze, gdy wypije się trochę whisky - opowiadać, wymawiając wyraźnie każde słowo. Zapomną o Catherine, która siedzi popijając kakao obok kapiących na gazety spodenek gimnastycznych bogatych ludzi, długich majtek i prześcieradeł. Pomiędzy Catherine a koszami czystej, wyprasowanej bielizny przysypia sześciolatnia Augusta.

- Robił kobitkom dobrze, naprawdę dobrze. A potem były z tego dzieciaki - zaczyna Mary, oglądając się niepewnie na dwunastoletnią dziewczynkę, która przyszła bawić się z Gustą. Whisky pali jej przełyk, zapomina, o czym mówi. - Nam się zawsze dostają same najlepsze kąski - stwierdza gorzko.

- Leroy potrafił robić dzieci - mówi Esther do butelki, którą trzyma w ręce.

- Ciężko z nimi było. Gusta zajęła mi cały dzień. W końcu włożyłam pod łóżko siekiere, tak jak to robią czarnuchy, wtedy wyskoczyła jak korek z butelki.

- Leroy próbował dostać się do domu.

- Nie dał rady. Jewel mu nie popuściła.

- Jędza.

- Nie cierpiała krzyków. Jak tylko zaczęłaś wyć, jakby diabeł w nią wstąpił. Ja tu męczę się z Gustą, a Jewel patrzy na mnie i pyta, dlaczego podnoszę taki wrzask.

- Powinnaś jej zaśpiewać. - Mary wrzuca do ognia kradziony węgiel. - Moja matka rodząc śpiewała zwykle „Chodziłam sama po ogrodzie”. Wszystkie dzieci przy tym urodziła. To było pierwsze, co słyszeliśmy, i to jest sposób.

- Podaj whisky - mówi Mary.

Płomień kręci się wokół czarnego węgla jak głosy wokół umierającego; Catherine słucha i czyta jednocześnie nagłówki porozkładanych gazet: o porwaniach, samobójstwach i kolejkach po chleb. Ciemna jak zakrzepła krew czekolada w jej filiżance robi się zimna. W powietrzu - obok piżamy doktora Dentona i mokrych prześcieradeł - wisi niebezpieczeństwo i wyzwanie.

Głosy są ciche, ale słowa przemyślane i pełne godności; butelka przechodzi z rąk do rąk. Kobiety piją whisky, gdy leje się krew i dla przyjemności, po to, żeby nie czuć głodu i żeby było im ciepło. Nagrodą dla nich są ciepłutkie i pachnące mlekiem dzieci, które leżą pod ścianą w trzciniowych koszykach na białą bieliznę. Koszyki skrzypią cichutko przy każdym ich ruchu. Niemowlęta patrzą w ogień z kolan swoich matek pod krążącą z rąk do rąk butelką, a na zewnątrz kręcą się psy.

Zapada zmrok i śnieg staje się niebieski.

- Czy ona się tam bawi sama? - pyta Jack wyglądając przez okno salonu. Śnieg pokrywa puste ulice i place dookoła. - Czy tylko się włóczy, czy też uczy się trochę?

- Nie ma tam innych dzieci? - Dorothy uśmiecha się do Thorna. Jest taki wysoki i ma jasnobrązowe włosy. I cudowne oczy z firankami brązowych rzęs dookoła. Człowiek dziwnie się czuje, gdy na niego patrzy. Jest uprzejmy. I ten wiktoriański dom, jak z jakiegoś horroru - ciężki sekretarzyk, francuskie drzwi, półka nad kominkiem z różowego marmuru, wykładany kamienną kostką przedpokój. Tylko

patrzyć, jak wejdzie z herbatą pokojówka w stroiku na głowie. Nie... to tylko jakiś mężczyzna z wąsami jak u wieśniaka. Niesie napoje.

- Może chodzić do szkoły albo nie. Jak chce. Ma już dwanaście lat i sama decyduje. Mieszka niedaleko... kilka rodzin. - mówi Thorn. - Niecały kilometr stąd. Przychodzą tu latem zbierać owoce; kiedyś było dużo owoców. Catherine jest chyba teraz u nich. Nie pytam jej nigdy, dokąd idzie, to nie moja sprawa.

Catherine biegnie do domu po perłowoszarym śniegu. Ciepło buchające z kuchni Tubbita powoduje, że jej zimna twarz i ręce drętwieją i czuje wilgoć w nosie. Wyciera nos w szorstką od śniegu rękawiczkę, zamyka za sobą z trzaskiem drzwi i siada na podłodze, żeby zdjąć buty.

- Mamy gości na kolacji - mruczy Tubbit. Catherine ściąga buty i rozpina klamry nałożonych na nie kaloszy. Rzuca skarpetki na żeberka kaloryfera i po chwili rozchodzi się po kuchni zapach mokrych stóp.

- Uff! - oddycha głęboko.

- Zardzewieją - mówi Tubbit. Catherine wzdycha i bierze skarpetki ze sobą na górę.

- Nie twoja sprawa? - Jack podnosi krzaczaste brwi i, mieszając napój w szklance, patrzy na Thorna.

- Uczę ją, rzecz jasna. Chodzimy wszędzie razem albo chodzi sama. Mamy tu kilkoro znajomych. Przechodzi testy, żeby zadowolić wydział oświaty. Dlatego właśnie tu zamieszkałem: ponieważ jeden z dyrektorów w wydziale oświaty jest moim przyjacielem. Dają więc nam spokój. Ostatnio pisze. Wiersze. Dostała z Detroit News książkę jako nagrodę w konkursie dla młodych poetów.

Jak zmienia się jego twarz - myśli Dorothy. Czasem jest smutny i wtedy wygląda, jakby był nieśmiały i przepraszał. Innym razem wygląda zupełnie inaczej i wcale nie jest nieśmiały.

- Wiersze? - mówi Jack zatroskanym tonem. - Ale dlaczego nie chodzi do szkoły? - Zapada długie milczenie.

- Jakie to interesujące - mówi w końcu Dorothy, podnosząc odrobinę głos, ponieważ słyszy na schodach kroki. Pewnie idzie dziewczynka. - Nie możemy się doczekać, kiedy ją zobaczymy. - Widzi błysk w oczach Jacka i odwraca się.

Dziewczynka stojąca w drzwiach jest ładna: ma krótkie, brązowe włosy, czystą bluzkę i długie, wilgotne przy mankietach spodnie.

- To jest Catherine Buckingham - mówi Thorn i widzi, jakie wrażenie to nazwisko robi na Jacku. - Panna Short. Pan Laird.

- Jak się masz. - Jeszcze jedno dziwne oczy, myśli Dorothy. Takie jasnoniebieskie z białkami niczym perły. Ładny kształt twarzy, w szczególności kości policzkowych. Zgrabne szczupłe ciało.

Catherine siedzi na brzegu krzesła z nogami w brązowych półbucikach, spoczywającymi grzecznie obok siebie na dywanie i słucha. Dorothy wręcza jej długie pudełko.

- Jesteś... bardzo podobna do swojej matki - mówi Jack.

- Dziękuję - mówi Catherine i przygląda mu się, ponieważ jego głos brzmi dziwnie. Otwiera pudełko.

W pudełku leży miniaturowe, śpiące dziecko z wyciągniętymi przed siebie rączkami i ustami jak pączek róży. Catherine podnosi je i dziecko otwiera oczy. Jego oczy mają smutny, łagodny wyraz i wpatrują się melancholijnie w jakiś bardzo odległy punkt.

- Podoba ci się? - pyta Jack z tym samym dziwnym uśmiechem na twarzy.

- To miłe z państwa strony, że przynieśliście mi prezent. - Catherine wysypuje z pudełka szczotkę dla lalki, grzebień, lusterko na rączce i szafkę pełną ubranek. Wszystko to leży obok lalki i wygląda, jakby należało do kogoś zmarłego.

- Ma na imię Patsy i wstaje - odzywa się po dłuższej ciszy Dorothy. - I zamyka oczy. Możesz włożyć jej nocną koszulę i położyć ją do łóżka, ubierać ją i karmić.

Usta Catherine, zmienne jak odbicie w wodzie, ściągają się w zamyśleniu.

- Dziękuję bardzo. - Jej krótkie, brązowe włosy, podobnie jak włosy lalki, spadają do przodu, przykrywając do połowy uszy.

Catherine siedzi przez kilka minut przyglądając się lalce. W pokoju słychać tylko trzask ognia w kominku i dochodzące z kuchni przytłumione odgłosy.

- Lalki są jak obrazki w książkach - odzywa się w końcu Catherine. - Nie są takie jak w rzeczywistości. - Oczy jej błyszczą, a potem zaczyna śmiać się triumfalnie

i tak radośnie, że wszyscy także się uśmiechają, z tym, że Jack i Dorothy trochę niepewnie. - Jest trochę twarda - mówi.

Następuje moment zakłopotania, a potem Dorothy pyta:

- Twarda? - Między jej wyskubanymi brwiami pojawia się zmarszczka. - Lalka?
- Zmusza się, żeby jej głos zabrzmiał ciepło. - Lalki są do zabawy.

W pokoju znów zalega ciszy. Dorothy, poruszona, słyszy tykanie zegara w korytarzu. Mają tu siedzieć i pozwalać wymądrzać się dziecku? O czym? Coś co powiedziało albo co zrobiło to dziecko spowodowało, że się do niego zraziła. Ale przecież dziewczynka jest taka śliczna i miła, a Dorothy kocha dzieci; często mówi o tym, jak bardzo lubi dzieci.

- Wiem, że są do zabawy - mówi w końcu Catherine uprzejmie. - Widziałam je w sklepie z zabawkami. - Czerwienieje lekko, jakby zdała sobie sprawę, że ich obraziła.

- Podano obiad - mówi Tubbit stając w drzwiach.

9

Następnego dnia po śniadaniu Tubbit z triumfalną miną prowadzi Jacka Lairda do swojego małego, przeładowanego meblami saloniku. Siada sztywno naprzeciwko Jacka z błyszczącymi oczami, próbując ukryć satysfakcję.

- Przyjechałem tu z powodu dziadka Catherine. Nie mógł się nią zajmować, był chory - mówi Jack. - Ale teraz czuje się lepiej i chce wiedzieć, jak ona sobie radzi. - Siada wygodniej w fotelu, wyjmuje papierosa i czeka.

- Tak - mówi Tubbit. - Tak. No więc... - Podnosi leżącą na oparciu fotela szydełkową serwetkę, zagląda pod nią, a potem wygładza ją znowu dłonią. - To, oczywiście, nie moja sprawa. Jestem tu tylko do pomocy...

- Wiem, że jest pan lojalny w stosunku do pana Wade'a.

- Był dla mnie dobry, a w czasie Kryzysu jest ciężko. Na pewno bym nie znalazł gdzie indziej takiej pracy.

- Lubi pan Catherine?

- Jest dla mnie jak własna córka, którą straciłem! Znam ją od dziecka...

- Uważa pan, że pan Wade jest dla niej za surowy?

- Surowy? Nigdy jej nic nie powie! Nigdy! Traktuje ją jak... Nie wiem... jak dorosłą, która może wszędzie chodzić. Gdy była jesienią w mieście, szedł za nią jakiś mężczyzna. Rozmawiali potem o tym z panem Wade'em, i ona powiedziała, że to jest właśnie to „ryzyko”, jakie się ponosi, gdy się poznaje życie.

- Chodzi sama, tak? Po mieście?

- Ostatnio przepada na całe dni! Jeśli jestem niezadowolony, że nie ma jej na obiedzie, przychodzi i mówi, że przeprasza, iż się spóźniła. Pan Wade zabiera ją prawie wszędzie ze sobą, chyba że właśnie jest sama w mieście i jeździ tramwajami. Myślę, że policja ją obserwuje, gdy tak chodzi sama, bo przywieźli ją kiedyś do domu! Faceci z rewolwerami wchodzą do domu i szczeka im opada, jak się dowiadują, że „tylko” zwiedzała uniwersytet albo lombardy, albo budynek General Motors, albo hotel Statler, albo sam nie wiem jeszcze co.

- I nie chodzi do szkoły?

- On mówi, że może chodzić, jeśli chce, więc ona, oczywiście, nie chce. Są tu niedaleko dzieci i w szkole też jest ich pełno, ale ich matki nie pozwalają z nią się bawić, bo ona chce je zabierać do doków albo na Brush Street i tam siedzieć z kolorowymi na schodach domów, pomiędzy pelargoniami w blaszanych puszkach. Ona uważa, że jeśli dzieci uczą się tego co powinny, to mogą nie chodzić do szkoły...

- Więc pan Wade pozwala jej robić to, co ona chce? - Jack przygląda się Tubbitowi przez zasłonę z dymu papierosa.

- Tak nie powinno być! - wybucha Tubbit, a jego wąsy wydają się jeżyć. - Mówię jej to. Ma w mieście znajomych - chodzi do nich i rozmawia z nimi do późna w nocy, tak jakby była dorosła. Zawsze tak robiła! I jest taka... no wie pan, o co mi chodzi? Taka... - Tubbit jest zły i bawi się szpilką, którą przypięta jest do fotela serwetka. - To się nie podoba ludziom.

- Niezależna? - podnosi ze zdziwieniem ciemne brwi Jack.

- Chciała wiedzieć, jak się prowadzi dom, więc nauczyłem ją tego co potrzeba, no wie pan: prać, prasować, gotować i tak dalej. Jest naprawdę sprytna, szybko się uczy. Potem już więcej nie chciała tego robić, powiedziała, że już wie!

- Wygląda na szczęśliwą - mówi Jack.

- No pewnie, że jest szczęśliwa! Cała w skowronkach! W ciągu godziny rozłożyła na części stare radio, rozbierze ubikację, żeby się dowiedzieć, jak działa, i wszystko dookoła pozalewa wodą! Nie wiem, co oni obydwójce widzą ciekawego w piecu albo w przepływających po niebie chmurach. Recytują wiersze. Przez całe lato hodują gąsienice. Chociaż te książki pana Wade'a to naprawdę ważna sprawa teraz, gdy połowa ludzi w kraju chodzi co nocy spać głodna!

- Wygląda na to, że jest szczęśliwa. Czy uważasz, że powinno się ją stąd zabrać?

- Zabrać? - Oczy Tubbita w jednej chwili tracą blask i zaczyna poruszać wąsami. - Zabrać ją stąd? Catherine? Nie, jej nic nie jest. Nie o to chodzi. Ona jest tutaj szczęśliwa. - Ścisnęła oparcie fotela dużymi, czerwonymi rękami.

- Dziękuję, że pan mi to wszystko opowiedział. Porozmawiam z panem Wade'em, ale najpierw chciałem dowiedzieć się od pana.

Tubbit idzie z nim do drzwi, a potem patrzy, jak tamten idzie po śniegu i trawie przez ogród. Potem zamyka drzwi i idzie do ogromnej kuchni skończyć przygotowywać śniadanie. Robiąc to wpatruje się w jeden punkt i myśli ma zajęte czymś innym.

Stół w jadalni jest nakryty, Tubbit wnosi masło i śmietankę. Światło słoneczne odbija się od śniegu i oświetla pokój mlecznym blaskiem. Catherine, Dorothy, biały obrus, porcelana i żółte kulki masła łączą się w jedną całość i tworzą razem rodzinny obraz. Dorothy zdaje sobie z tego sprawę i gdy wchodzi Thorn i Jack, uśmiecha się radośnie i pochyla nad dziewczynką.

Oczy Catherine nie są takie radosne jak Dorothy. Jack sięga po serwetkę i widzi jej opanowany wzrok, ale pyta ją takim tonem jakby tego nie widział:

- No jak tam, skarbie? - Patrzy na dziecinne, różowe usta i sterczące z krótko obciętych włosów koniuszki uszu i mówi dalej: - Czy twoja lalka była w nocy grzeczna?

- To bardzo ładny prezent - mówi wolno Catherine. - Będzie mi zawsze przypominać pana...

- Szczerze mówiąc, Thorn - wtrąca się Dorothy - jak mogłeś wychowywać dziecko bez lalek?! - Nachyla się do Catherine, dotyka jej ręki i uśmiecha się. - To na niby twoje dziecko, kochanie, a ty możesz być na niby jego mamusią!

Catherine nie uśmiecha się do niej. Patrzy, jak Dorothy potrząsa głową, obserwuje twarz Jacka i nie odzywa się.

10

- Obiecałem twojemu ojczymowi, że wpadnę - powiedział mi, gdzie mieszkasz. - Jack rozgląda się po zarzuconym książkami gabinecie Thorny; otwarte książki leżą porozkładane na biurku i na podłodze. - Pomógł mi. Pożyczył mi trochę pieniędzy. - Patrzy spod oka na Thorny. - Ale to nie moja sprawa, jak wychowujesz Catherine...

- Nie - mówi Thorn.

- Kochałem Janet.

- Tak.

- Boże! - Jack patrzy na ściany gabinetu Thorny zastawione rzędami gablotek z motylami. - Próbowałem wyciągnąć coś rano od tego twojego Tubbita. Wyczuwam wyraźnie, że on uważa, iż nie wszystko tutaj jest w porządku - szczególnie to, że ona siedzi do późna i rozmawia z twoimi znajomymi, biega po mieście i nie chodzi do szkoły...

- Porozmawiam z nią o tym - mówi Thorn.

- Nie masz nic do powiedzenia na temat tego, co ona robi?

- Nie mogę nic na to poradzić. Jeśli ona...

- Ona jest tylko małą dziewczynką!

- A co ty robiłeś, jak miałeś dwanaście lat? - pyta go Thorn i uśmiecha się. Jack wydmuchuje dym w kierunku motyli w gablotkach.

- Ja to co innego. - Thorn nie odzywa się. - Co by na to powiedziała Janet?

- Rozmawialiśmy przez całą wiosnę o tym, jak miała zamiar wychowywać Catherine. Cały czas o tym rozmawialiśmy. Nie tyle o tym, jak wychowywać, ile jak

nie wychowywać. Wychowywanie jest bardzo trudne. - Wyraz oczu Thorn'a złości Jacka. Widząc to Thorn spuszcza wzrok.

- Wozić się z nią i całą resztą po kraju i po Europie...

- Nie miałem pieniędzy - mówi Thorn. - Jak się nie ma pieniędzy, to się wykorzystuje każdą okazję.

- Ty i Janet! Zawsze... - Jack przerywa słysząc pukanie Tubbita.

- Bagaż jest w samochodzie - mówi Tubbit.

Jack schodzi w dół po schodach za Thornem i Tubbitem i wdycha zapach starego domu, na który składają się lata gotowania, polerowania mebli, wilgoci latem, palonego węgla.

W wyblakłym lustrze nad kominkiem, pomiędzy poustawianymi pod nim talerzami, widać ich trzech, jak przechodzą obok. Pusty korytarz odbija zamierające powoli echo warkotu samochodu.

Czarny samochód staje się coraz mniejszy, a potem niknie w oddali. Catherine odwraca się od oszronionego frontowego okna.

- Co ja mam z tym zrobić - pyta Thorn'a patrząc na lalkę. Thorn wzrusza ramionami.

- A co ty robiłaś z lalkami, jak byłeś mały? - pyta go Catherine.

- Pamiętam, że spałem z misiem. Był stary, brudny i twardy, pachniał trocinami.

- Nie karmiłaś go i nie rozbierałaś, nie kładłaś do łóżka i tak dalej? - śmieje się Catherine czując, że udawanie się skończyło.

- Myślisz, że powinnaś to robić? - pyta Thorn i idzie do salonu, żeby podłożyć do ognia. - Herb Jensen przyprowadzi tu po południu niejakiego Billa Downinga. - Wkłada do ognia świeżą szczapę drewna.

- Wiem. Po co miałabym to robić? I dlaczego wszyscy uważają, że z lalkami jest taka zabawa? Czy to zabawne kłaść prawdziwą małą dziewczynkę do łóżka, rozbierać ją i ubierać, karmić i tak dalej?

- Lalki to zabawki - mówi Thorn.

- Wiem - mówi Catherine. - Ale co takiego zabawnego jest w lalkach? I czego można się przy nich nauczyć? - Siada przy nim na kanapie i kładzie mu głowę ma

ramieniu. - Mogłabym jej wtykać przed nos książki albo bandażować przez cały dzień, ale niczego bym się i tak nie nauczyła, prawda?

Pokój jest nieruchomy, trzaska tylko ogień na kominku. Błękitne oczy Catherine błyszczą; opuszcza głowę i patrzy na lalkę.

- Dają mi coś, czego sami by nie używali - nie bawiliby się lalką! Wcale się nią nie interesowali!

Pograżona w myślach zwiija w palcach pokręcony kosmyk włosów. Thorn odchyła się do tyłu i patrzy w ogień. Kochałem Janet.

- Mam lubić coś, co jest zimne, nieżywe i małe i czym oni się nie interesują?

Thorn patrzy w ogień.

- Wcale mnie nie widzieli ani nie słuchali tego, co mówię - zawsze tak jest, ale tym razem... - Przerywa, zeskakuje z kanapy i staje koło wazonu; lalka znajduje się między nimi. - Ty też.

Thorn siedzi nieruchomo i nie odzywa się. Wpatruje się w nią niebieskimi oczami.

- Miałeś minę, jakbyś nic złego nie zrobił, ale oni uważali, że zrobiłeś.

Mała, dziecięca twarzyczka, włosy odgarnięte za różowe uszka, sztywno wykrochmalona sukienka i chude nogi. Thorn wstaje, przeczesuje palcami gęste, tabaczkowego koloru włosy.

- Tubbit też tak uważa. - Patrzą na siebie; jej słowa dzielą ich tak jak lalka. - On też cię nie lubi.

Po domu roznosi się dźwięk dzwonka u drzwi. Catherine zniża głos.

- I twoi przyjaciele także - ani Jim, ani Freddy, ani twoje znajome: Sally, Edna i Maryalice... ani pan O'Brien. Nie podoba mu się to, czego mnie uczysz. Daje mi te testy i ma nadzieję, że nie będę wiedziała tego, co powinnam wiedzieć, bo... no właśnie, dlaczego?

Za zamkniętymi drzwiami salonu słychać zbliżające się kroki Tubbita.

- Dlaczego nikt... - mówi Catherine szeptem.

Tubbit otwiera drzwi salonu. Widzi, jak Catherine, nie patrząc na niego, bierze lalkę.

- Dzień dobry! - mówi z promienną miną Herb Jensen, wchodzi do salonu i potrząsa ręką Thorna. - Przyprowadziłem Billa Downinga. A to pan Wade!

- Cieszę się, że mógł pan przyjść - mówi Thora ściskając rękę Downinga. - To moja bratanica, Catherine Buckingham.

Bill Downing jest w średnim wieku, podobnie jak Jensen jest businessmanem i dobrze sobie radzi w czasie Wielkiego Kryzysu. Nigdy wcześniej nie znał autora książek i nie wie, jak z takim człowiekiem rozmawiać. Nie potrafi także rozmawiać z taką małą panienką, która siedzi cicho jak jakaś dama i trzyma na kolanach jak kawałek drewna lalkę.

- Masz ładną lalkę - mówi. - Jak ma na imię? - pyta, po czym natychmiast odwraca od niej uwagę, żeby zająć się pozostałymi mężczyznami.

- Patsy - mówi Catherine, zaróżowiona. Wsuwa lalkę pod krzesło. - Był pan w Straży Związkowej.

- Zgadza się. - Downing ledwie zwraca na nią uwagę przypatrując się z szacunkiem Wade'owi. - Nie miałem dużo czasu, żeby zajmować się „monarchami”, ale usłyszałem od Jensena o panu i chciałem pana poznać. Mam pańską książkę. Przedtem, zanim zmieniłem pracę, hodowałem motyle. Zbierałem dane na temat składania jaj i na temat poczwerek.

Jensen mówi o upodobaniach poczwerek. Thorn objaśnia swoją metodę opisywania okazów. Tubbit dokłada do ognia więcej drewna.

Downing jest pewny, że motyle odmiany „monarcha” zapadają w zimowy sen; Jensen uważa, że mogą odfruwać na południe. Catherine siedzi w milczeniu. Czy „monarcha” nie smakuje ptakom? chce wiedzieć Downing. Jensen opisuje nowy rodzaj klatki do hodowli, jaki widział w Ohio. Obydwu mężczyznom, gdy rozglądają się po pokoju i patrzą na Catherine, błyszczą oczy; dzielą się swoją wiedzą tak, jakby to był jakiś tajemniczy grzech. Co Thorn myśli o kanibalizmie u larw? Jensen popija przy kominku kawę i mówi, że motyle często gnieźdzą się na sosnach - dlaczego?

Catherine słucha z rękami złożonymi przed sobą na wykrochmalonej sukience. Jej jasnoblękitne oczy wędrują od jednego z mówiących do drugiego. Lalka leży pod krzesłem.

Zegar w korytarzu wybija czwartą. Downing patrzy na zegarek i zdumiewa się. Chyba nie może być już czwartą?

- Catherine? - mówi Thorn.

Jensen i Downing patrzą na dziecko. Włosy spadają jej na zaróżowione policzki i wygląda tak dziwnie, że obydwaj mężczyźni przyglądają jej się z zaciekawieniem. Catherine wzrusza ramionami.

- No właśnie! - wykrzykuje Downing - A więc, młoda damo! Tokowaliśmy tu tyle czasu o motylach, a teraz twoja kolej. Opowiedz nam o szkole! Opowiedz o...

- Tak, czy lubisz szkołę - wtrąca Jensen. Podobnie jak Downing czuje się zakłopotany, powinni byli zwracać na nią więcej uwagi. Jednocześnie czują się obydwaj lekko poruszeni tym, że Thorn nie odesłał jej, żeby się poszła bawić. - Moja córka jest mniej więcej w twoim wieku i mówi, że lubi szkołę - czasem!

Następuje cisza. Catherine opuszcza wzrok i wpatruje się w czubki swoich butów.

- Nie chodzę do szkoły. - Patrzy na Downinga, a on zastanawia się, że może ona jest w jakimś sensie niepełnosprawna. To by tłumaczyło jej... - Czy oglądał pan koniec odwłoku poczwaraki w powiększeniu? To mogłoby dać odpowiedź na pana pytanie - mówi do Downinga.

- Moje pytanie? - Downing patrzy na nią rozpromieniony ojcowskim wzrokiem; Jensen też.

- Zastanawialiście się, dlaczego poczwaraka tak długo kręci się w kółko. Myśleliście, że stara się złożyć odwłok w kokonie.

- No tak, właśnie - uśmiech na twarzy Downinga znika. - Tak... pewien jestem, że koniec odwłoku (podkreśla to słowo tonem głosu) powinien być złożony w kokonie.

- Tak, pewnie - mówi Catherine. - Dlatego dostaje kolców, które sterczą jak u szczotki.

Downing patrzy na nią spod oka.

- Co?

- Tak. Zobaczyłby je pan, gdyby pan się dokładnie przyjrzał. - Jensen i Downing wymieniają spojrzenia. - Dlatego nie ma pan racji - ciągnie Catherine. -

Kolce mają na końcu haczyki - dokładnie je widać, jeśli im się przyjrzeć - i one wbijają się w jedwab, zanim poczwarka...

- Ty robiłaś te badania? - pyta Downing patrząc na Thorna, nie na Catherine.

Twarz Catherine staje się teraz czerwona, a jej głos drży.

- Poczwarka nie kręci się dlatego, żeby... Thorn nie odzywa się. Downing i Jensen też.

- Niech pan je poobserwuje, to pan zobaczy - mówi dalej Catherine zaciskając dłonie na kolanach. - Ona stara się pozbyć skóry larwy. To odpowiada na pańskie pytanie.

- Aha... no dobrze! - mówi po chwili lekko podniesionym głosem Downing. - Bardzo nam pomogłaś, młoda damo!

- Mówił pan, że był pan w zarządzie Funduszu Powierniczego Straży Związkowej - Downing uświadamia sobie, że Catherine powtarza swoje pytanie sprzed kilku godzin. - Ministerstwo Sprawiedliwości nie znalazło tam żadnych nieprawidłowości; może z powodu banków? Banki nie musiały tego ujawnić. Co pan o tym myśli?

- Zajmujesz się bankami? - pyta Downing i patrzy z uniesionymi w górę brwiami na Thorna.

- Nie - mówi Catherine. - Ale kiedy usłyszałam, że ma pan przyjść...

Downing śmieje się.

- Nie wiem, dziecko - jest późno i obawiam się, że musimy się zbierać. Coś ci powiem: będziemy musieli spotkać się kiedyś i porozmawiać o tym. - Rozgląda się z papierosem w ustach w poszukiwaniu zapalek.

Jensen czyści przed kominkiem fajkę.

- Mówi się, że związki poprą jednak Roosevelta.

- No i dobrze - mówi Downing zapalając papierosa i podnosząc się do wyjścia.

- Przecież nie różnią się poglądami.

Nagle przy furtce Tubbita pojawia się dwoje dzieci. Trawa dookoła jest żółta, a dęby brązowe od zeschniętych liści.

Ogród Tubbita znajduje się w miejscu, gdzie kiedyś było jezioro i jest tam tak mokro, że przy lutowych roztopach ogród wygląda jak morze lawendy. Tubbit kupił go za bezcen i nawiózł tu ziemi - takiej, jakiej w Dakocie nigdy nie widział. Catherine wbiegała na szczyt góry piasku, który wywiózł taczkami z ogrodu, i rozdeptywała nawiezioną ziemię. Tubbit wykopywał w piasku doły, które robiły wrażenie grobów, a potem wypełniał te żółte dziury czarną ziemią.

Po ogrodzie wił się wąż do polewania; Tubbit podnosił go, to znów kładł na ziemi - aż był zadowolony z rezultatów swojej pracy, a potem ścinał trawę i i układał ją w kopczyki w głębokim rowie. Na wiosnę, latem i jesienią kwitło tu mnóstwo kwiatów. Prawie nigdy nie zrywane wędły i znikały wraz z uschniętymi liśćmi tak samo niezauważalnie, jak niezauważalnie znikał kurz z komody Catherine albo w jej szafie pojawiały się czyste, pachnące krochmalem sukienki.

- No, nazrywaj bukiet! - wołał Tubbit do Catherine, która od czasu do czasu brała jeden albo dwa kwiaty i tak pięknie z nimi wyglądała w słońcu. Kiedy była mała, mówiła, że kocha Tubbita, i całowała go w łysinę. Zdarzało się także, że siadała mu na kolanach. Godzinami przyglądała się, jak pracuje w ogrodzie, gdy kolejno zakwitały na rabatach różne rodzaje kwiatów.

Nawet teraz, gdy nic jeszcze nie zakiełkowało, ogród Tubbita jest porządnie zagrabiony, chociaż wciąż wdziera się do niego zza płotu piach, a wyschnięte chwasty zagładają przez płot do środka, jak ciekawe dzieci.

Catherine nic nie widzi ani nie słyszy; kuca za płotem i obserwuje, jak unoszony przez wiatr piasek tworzy wydmy o równie gładkich powierzchniach jak rabaty, tyle że ruchome. Puszysta, szara bryła śniegu roztopiła się i oczom Catherine ukazało się rozkładające ciało myszy polnej.

Mały chłopiec biega wraz ze swoją siostrą dookoła Catherine, a potem kucają razem obok niej.

- Zdechła - mówi.

Mysz nie pachnie, ale chłopiec i jego siostra owszem. Przyszli oboje gdzieś zza pól, buty mają mokre i pełne piasku.

- To twój dom? - pyta chłopiec. Drży. Wcześniej była odwilż, a potem znów się ochłodziło i chłopiec ma czerwone z zimna ręce.

Jego siostra nic nie mówi, ale także drży. Mają na sobie zbyt lekkie i za duże na nich ubrania. Górne wargi im błyszczą i powieki mają przymrużone jakby przed wiatrem, a może przed wszystkim dookoła. Może to tylko wiatr i światło słoneczne padają na schowaną pod czapką twarz chłopca i na płataninę włosów na głowie dziewczynki.

- Wejdźcie, to się ogrzejecie - mówi Catherine wstając.

- Nie jest nam zimno - mówi szybko dziewczynka.

- Chciałabym, żebyście weszli i zobaczyli mój dom. Jeśli chcecie.

Idą za nią mijając po drodze domek Tubbita i wchodzą gęsiego do dużej kuchni, gdzie ich zapach miesza się z zapachem stojącej na kuchni owsianki. Oczy mają wąskie jak szparki i rozglądają się spod przymrużonych powiek dookoła tak, że tego zupełnie nie widać.

- Nie usiądziecie? - pyta Catherine. Siadają na brzegu krzesel przy stole i obserwują ją. - Nie jadłam jeszcze śniadania - mówi niepewnie Catherine, podczas gdy oni nastawiają uszu i czekają. - Może dotrzymacie mi towarzystwa i też ze mną zjecie?

Stoją nieruchomo nie patrząc na siebie wzajemnie i czekają, aż Catherine napełni miski, naleje śmietany i cukru i przyniesie łyżki. Jak tylko widzą, że bierze swoją łyżkę, natychmiast wkładają do owsianki z kopczykiem cukru na wierzchu swoje.

Mogłaby dać im gorącej czekolady. Jest też przypiekana bułka i dżem z truskawek, ale ona czeka i nic więcej nie proponuje. Gdy miski są puste, pyta:

- Chcielibyście zobaczyć dom?

Idą za nią gęsiego przez spiżarnię, pokój stołowy i salon do korytarza. Catherine zatrzymuje się niepewnie przy schodach.

- Mój pokój jest na górze.

Kiwają głowami i udają, że nie patrzą na nią.

- Pójdziemy już lepiej do szkoły - mówi dziewczynka. - Jesteśmy bardzo zobowiązani. - Chłopiec postępuje za siostrą przez ogród i dalej przez bramę, zamykając ją za sobą starannie. Znikają za topolami, za którymi w odległości jakiegoś kilometra znajduje się budynek szkolny z długim dachem i wysokim kominem.

- Ależ oni wyglądają - mówi Tubbit patrząc za nimi. Nie chciał zostać z Thornem na górze i obserwował ich przez okno na schodach. - Założę się, że mają gnidy.

12

- Bez siatki - mówi Jack stojąc w pustym gabinecie ze słuchawką w ręku.

- Halo? - odzywa się Thorn. Ten jego niepewny głos. Jack wyobraża go sobie - w tej chwili - po kolana w odchodach gąsienic, nachylnego nad preparatem jak sprzątaczką nad szczotką do podłogi. Przeprasza, że żyje...

- Tu Jack.

- Jak się masz?

- Martwię się. Rozmawiałem z twoim ojczymem. Wiesz, że go wypuścili?

- Nie.

- Tak, i wydaje mi się, że jest zdrowy. Zachowuje się normalnie.

- To dobrze. Nie pisze do mnie często.

- Tak mi się wydawało. - Jack patrzy w lustro i uśmiecha się do swojego odbicia, odbicia dyrektora. Ma lśniące, czarne włosy i ugrzeczniony wyraz oczu. - Nie podoba mu się to, co robisz z Catherine.

- A co ja robię?

Jack wzdycha poirytowany.

- Nie udawaj. Byłem tam. Co to za życie dla dwunastoletniej dziewczynki?

Thorn pozwala, by pomiędzy Detroit i Chicago zaległa długa cisza, a potem mówi:

- Poszła dziś do szkoły.

- Tak?

- Powiedziała, że chce spróbować. Zobaczyć najpierw.
- Zobaczyć? - Jack powtórzył to takim tonem i z takim naciskiem, że Thorn poczuł w uchu świdrujący ból.
- Nie była tam kilka lat, więc chciała najpierw pójść zobaczyć.
- Mam nadzieję, że ją odpowiednio ubrałeś.
- Na metce ubrania było napisane, że takie same rzeczy nosi Shirley Temple.
- To dobrze, powinieneś ją zachęcać.
- Zachęcać ją do czego?
- Żeby przebywała między ludźmi! Rozwijała skrzydła! Uczyła się od innych dzieci. - Na linii nastąpiła cisza. - Powiem o tym Dorothy. Moja firma otwiera filię w Paryżu i w tym tygodniu tam wyjeżdżamy. Jak tylko się zdomowimy, wyślę ci adres.
- Gratulacje z okazji ślubu.
- Dzięki. Ucałuj ode mnie Catherine. Gdy wrócimy do Stanów, wpadniemy do was.

Thorn kładzie słuchawkę z powrotem na widełki i odsuwa od siebie telefon. Przez okrągłe okienko w drzwiach wejściowych widzi unoszący się hen, daleko za białymi polami, ulicami i krawężnikami dym z komina szkoły imienia Johna J. Bagleya.

13

Szkoła imienia Johna J. Bagleya zbudowana jest z czerwonej cegły i białego kamienia. Na boisku śnieg rozdeptany jest na breję. Podwójne drzwi budynku zatrząskują się za Catherine.

Przez okna wpada do szkoły słońce i oświetla swoimi promieniami dzieci. Jest ich więcej, niż Catherine kiedykolwiek widziała w jednym miejscu. Chłopcy w koszulkach, krawatach, spodenkach do kolan i sznurowanych albo zapinanych na kłamy butach do kostek, a dziewczynki w podobnych bawełnianych sukienkach wrzeszczą, trzaskają drzwiami albo rozmawiają między sobą.

Nagle rozlega się dzwonek i korytarze pustoszeją. Drzwi zamykają się. Catherine zostaje sama w korytarzu z rzędami stalowych szafek wzdłuż ścian, odgłosem dorosłych głosów oraz stukotem maszyny do pisania. Wyczuwa zdyscyplinowanie: zaczęła się nauka.

- Chciałabym zwiedzić dzisiaj szkołę - mówi Catherine do siedzącej w biurze za maszyną do pisania kobiety.

- Zwiedzić? - krzesło skrzypi i kobieta prostuje się. Patrzy na Catherine. Dziewczynka jest ładna i porządnie ubrana - zauważa to od razu. Tylko ten jej urzędowy ton...

- Jestem tu u wujka. Przyjechałam z Anglii.

To, oczywiście, wyjaśnia wszelkie wątpliwości i sekretarka prostuje plecy. Uśmiecha się do Catherine.

- Czy on przyszedł tu z tobą?

- Nie.

- Rozumiem. Poczekaj chwilę. - Kobieta przechodzi do drugiego pokoju i słyhać jakieś szepty. Wraca i pyta: - Ile masz lat - dziesięć? Jak się nazywasz? Możesz zostawić tu okrycie.

- Prawie dwanaście. Catherine Buckingham.

- Jak to się pisze? - Kobieta pisze nazwisko na kartce. - Jesteś pewnie w szóstej klasie?

- Nie wiem.

- Chodź ze mną, pokażę ci. Widzisz te drzwi z bałwanem? Tam uczy się szósta klasa. Twoja wychowawczyni nazywa się panna Crane. Daj jej tę kartkę, będzie wszystko wiedziała. - Uśmiecha się do dziewczynki, która dziękuje jej uprzejmie. - Mam nadzieję, że spodoba ci się nasza szkoła.

Catherine idzie wzdłuż mrocznego korytarza i przez szyby w drzwiach widzi oświetlone słońcem obce twarze. Uczniowie z poważnymi, dorosłymi minami pochylają się nad ławkami jak urzędnicy nad biurkami. Lekko zdenerwowana wchodzi po drodze na moment do pustej klasy. Nie ma w niej nic poza tablicami, pianinem i rozłożonymi na krzesłach skrzypcami.

Ostrożnie, tak jak uczył ją tego Irish Mac, podnosi skrzypce. Pociąga za strunę i słyszy fałszywy dźwięk. To samo z pianinem. Przykłada skrzypce do ucha i widzi, że instrument nie jest normalnych rozmiarów. Inne tak samo. Nawet smyczki ze zjeżoną połamaną końską szczecina, też nie są normalnych rozmiarów.

Catherine przesuwa smyczkiem po strunach. Irisha Maca przeszedłby dreszcz, gdyby to usłyszał. Mac jest ślepy i śpi pod schodami w starej hurtowni w bok od Riopelle Street, gdzie rozładowują alkohol. Wyczuwa zapach kanadyjskiego dżinu na kilometr i nasłuchuje, jak z drugiej strony rzeki nadjeżdżają motorówkami przemytnicy. Śpi owinięty w gazety; mówi, że zimą tak jest cieplej...

- Co tutaj robisz? Dlaczego nie jesteś w swojej klasie? - W drzwiach staje jakaś pulchna kobieta.

Catherine kładzie skrzypce i wyjmuje z kieszeni kartkę.

- Zwiedzam dzisiaj szkołę.

- Twoja klasa jest w sali 112 - mówi kobieta patrząc na kartkę, po czym wręcza ją z powrotem Catherine.

- Tak - mówi Catherine. - Czy dzieci mają lekcje gry na skrzypcach?

- Mamy próby orkiestry trzy razy w tygodniu po lekcjach. - Kobieta mówi podenerwowanym tonem obserwując korytarz. - Nagle krzyczy: - George Mead! Natychmiast marsz do biura! - i zostawia Catherine samą ze skrzypcami i pianinem.

Catherine znajduje salę 112. Na drzwiach jest obrazek okrągłutkiego, białego bałwana z bryłkami węgla zamiast uśmiechu.

Catherine bierze głęboki oddech i otwiera drzwi klasy. Wszystkie głowy unoszą się.

Swoim pojawieniem się zakłóca spokój i porządek stojących rzędem ławek, z leżącymi na nich książkami. W zwróconych na nią oczach dostrzega ten sam ład i jeszcze coś, czego nie może rozpoznać.

Gdy idzie przez salę w kierunku biurka nauczycielki, wszystkie oczy są opuszczone i czytają coś z uwagą. Nauczycielka mówi szeptem do Catherine, żeby usiadła w czwartej ławce w drugim rzędzie i zaczęła czytać na atrament z unoszoną pokrywką i wgłębienie na pióra i ołówki. Nie tak dawno temu pulpit był zapewne

nowy i gładki, dobrze się na nim pisało, ale teraz pokryty jest pajęczyną liter, cyfr i obrazków wydrapanych albo wyciętych w drewnie.

Catherine przygląda się ławce przez dłuższą chwilę. Na środku są głębokie nacięcia, ciekawe, dlaczego ktoś to zrobił? Jeśli zechce się na tym pisać, to pióro się obsunie i atrament się rozprysnie.

Każda ławka wygląda tak samo. Catherine siedzi nieruchomo wpatrując się w oparcie stojącej przed nią ławki.

Przysłuchuje się, jak cisza się zmienia. Gdy tu weszła, w klasie panowało milczenie, a teraz zewsząd rozlegają się szmery. Chłopcy cały czas stukali i szurali butami na grubych podeszwach; słyhać było kasłanie, szelest przewracanych kartek i skrzypienie ławek. Teraz jednak słyszy także szepty. I tłumiony chichot.

Dziewczynka siedząca obok niej zdaje się czytać. Catherine obserwuje ją kątem oka. Podobnie jak Catherine, oparła swoją książkę na innej książce i wygląda, jakby wzrok miała utkwiony w oparciu ławki znajdującej się przed nią, ale pisze coś nieznacznie. Jej ręka pozostaje nieruchoma, poruszają się tylko palce. Potem ostrożnie, tylko palcami, składa kawałek papieru, na którym pisała, wsuwa rękę między oparcie ławki z przodu a kałamarz i szturcha w plecy siedzącą przed nią, inną dziewczynkę.

Catherine czeka, aż druga dziewczynka się odwróci i weźmie kartkę, ale ona nie daje żadnego znaku, że poczuła szturchanie. Potem jej prawa ręka powoli przesuwa się do tyłu, bierze kartkę, chowa się i rozwija papier pod ławką. Catherine widzi, jak wolno pochyla głowę, żeby przeczytać, a potem powtarza dokładnie ten sam manewr przekazując kartkę siedzącemu przed nią chłopcu.

Catherine znów rozgląda się dookoła. Na każdej ławce leży otwarta książka; dwadzieścioro pięcioro dzieci nie czyta już. Kilkoro z nich przysłaniając twarz ręką spogląda na Catherine, inne patrzą przed siebie. Jakiś blondynek szeleści papierem pod biurkiem wpatrując się jednocześnie w nauczycielkę. Z przodu klasy jakiś inny chłopiec pisze coś na pulpicie trzymając rękę pod książką.

Na co oni czekają? Dlaczego nie uczą się albo nie rozmawiają ze sobą?

Catherine zamyka na moment oczy, a potem znów je otwiera i patrzy. Wszystko w klasie dzieje się potajemnie, ukradkiem: za plecami innego ucznia, pod książką, pod ławką.

Przed czym się kryją?

Catherine patrzy na nauczycielkę i widzi, jak ta wodzi wzrokiem od ławki do ławki, po obojętnych twarzach dzieci.

CZĘŚĆ III

**Kto nazwał je szczaw, kaniańka,
lnica pospolita,
rogaty pływacz,
szalej plamisty,
włochata wyka, rozchodnik,
flaszowiec miękkościernisty?
To kochanków, którzy rozkwitają tak niewinnie,
nazwano tak
z zemsty.
Ale kto, aż tak bardzo zazdrościł
zajęczej kapuście? ***

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz.

1

To nie Karla Tubbita sprawa, ale pomagał w końcu przy jej wychowywaniu, prawda? I to na samym końcu świata, za zasypanymi piaskiem ulicami, przy których nikt nie mieszkał. Nie wybudowano tu ani jednego domu od początku lat trzydziestych; w tym mieście było co oglądać w czasie Wielkiego Kryzysu. Dziadek

Catherine zatrudniał na szczęście prawników i tym udało się, w jakiś sposób, zachować co nieco z jego pieniędzy. Catherine dostała je po jego śmierci, więc Wade miał na życie i nikt nie może powiedzieć, że Karl Tubbit nie pomagał swoim krewnym, albo że nie uwił sobie ciepłego gniazdka.

Wszystko było naprawdę w największym porządku. Podczas gdy połowa kraju chodziła co noc spać głodna, na ulicy stały kolejki po chleb, a nieliczne domy, które zdołano wybudować, miały powybijane okna, oni mieli jak u Pana Boga za piecem. Poza tym Catherine była zdrowa, a Wade cały czas publikował książki.

Naprawdę nie można powiedzieć, żeby cokolwiek było nie tak. Catherine wyrosła na śliczną dziewczynę, była mądra i najczęściej zadowolona. Zadowolona, że może uczyć się sama w domu. Przyjemnie było patrzeć, jak siedzi nad książkami i przygotowuje się, tak jak każde inne dziecko, do sprawdzianów. Powiedziała, że nie chce iść do szkoły. Nigdy. Pójdzie dopiero do college'u.

- Dzieci nie chodzą do szkoły, żeby się uczyć - powiedziała kiedyś. Lubiła patrzeć, jak robił ciasteczka i podjadała surowe ciasto. - Robią tylko to, co każą im nauczyciele, a po szkole wyrzucają to co napisali na lekcjach do kosza!

Tak pięknie wyglądała jak szła do szkoły. - Panna Crane chwaliła dzieci, że dobrze się uczą, ale ona jest i tak od nich mądrzejsza, więc musi ich cały czas pilnować. Dzieci poznają, kiedy ich się tak naprawdę nie lubi.

- Nauczycielki są miłe. - Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Chciałbyś spędzać pięć dni w tygodniu z ludźmi, którzy uważają, że jesteś mały i głupi i że trzeba cię przez cały czas pilnować?

Nie wiedział. To nie jego interes - ale czyż istniał jakiś sposób na wychowanie jej? Czy można było pozwalać jej decydować, że szkoła jest „ohydna”?

Jeśli poszła czasem bawić się z jakimiś dziećmi po szkole, to mówiła potem, że nie podoba się ich matkom, a ich domy są „ohydne”. Słyszał, jak mówiła o tym do Wade'a. Mówiła, że ich matki siedzą w domu i „robią to samo co Tubbit”. Był na nią trochę o to zły, ale była taka samotna, wyraźnie było to widać.

Parę razy Catherine przyprowadziła ze sobą do domu jakieś dzieci i pokazywała im, co robi. Dookoła był zawsze taki bałagan: podłoga stodoły zasłana była okazami owadów, zasuszonymi roślinami, częściami samochodów, jej farbami. Dzieci chodziły

za nią gęsiego, a potem wracały jeszcze raz czy dwa, nie częściej. Catherine była taka podniecona opowiadając im o swoich pomysłach i nie rozumiała, że większość dzieci po całym dniu lekcji chce się po prostu bawić albo słuchać w radiu modnych piosenek. Ale on miał zawsze dla nich kakao i ciasteczka.

Wyglądała, jakby lekko posmutniała. Opowiadała wciąż Wade'owi, że ludzie są dla niej miłsi, jak się ładnie ubierze i jak się uśmiecha albo robi wrażenie nieśmiałej. Powinno ją to czegoś nauczyć. Ale Wade nigdy jej nie powiedział, choć powinien, że nie powinna patrzeć ludziom prosto w oczy, tak jak to robiła, i oczekiwać, że nie będą jej traktować jak małą dziewczynkę. Czasami Catherine była taka smutna - powinna wyjść na dwór, bawić się z dziećmi w jej wieku albo znaleźć sobie jakieś towarzystwo. Przecież on naprawdę dobrze gotował. Wszyscy mówili, że jedzenie jest dobre i Wade nie mógł powiedzieć, że Karl Tubbit miał kiedykolwiek jakieś obiekcje, gdy ktoś przychodził do domu. Nakrywał wtedy ładnie stół, stawiał kwiaty, świece i tak dalej.

Zastanawiał się, czy Catherine spędzałaby więcej czasu u niego, gdyby Wade nie powiedział jej, żeby tam nie chodziła. Tak, to Wade trzymał ją od niego z daleka. Tak jakby robił coś złego albo okłamywał ją - tak jak Wade to robił. No, może Wade nie tyle kłamał, ile nie mówił jej co i jak i pozwalał jej robić najróżniejsze błędy.

Ale przynajmniej nie malowała się, nie wypychała ramion jak u manekina i nie chodziła z gołymi łydkami w białych butach i skarpetkach. Nie wiedział sam... wychował się na farmie w Dakocie Południowej i naokoło zawsze pełno było dziewcząt i kobiet - miał wielu krewnych ze strony Tubbitów. Dla niego dziewczyny to były zawsze dziewczyny. Nieważne, czy lubiły zmywać i szyć, czy kręciły się koło remizy, czy się biły czy nie - gdy szły do szkoły, zmieniały się. Jego własne siostry, gdy dorastały, były sowizdrzałami, a teraz proszę, mają mężów, są matkami i prowadzą domy, zupełnie jak jego matka. Nawet w czasie Kryzysu nic się nie zmieniło, niezależnie od tego, co mówił Roosevelt.

I Catherine nie rozjeżdżała się z chłopakami samochodami. Młode strzygi kręca się szukając nie wiadomo czego po mieście i zanim się obejrzą, już chodzą z brzuchami.

Tubbit dostawał od czasu do czasu listy od Jacka Lairda z różnych stron świata; pisał, że był przyjacielem rodziców Catherine i nie chciał stracić jej z oczu. Nawet

wtedy, gdy zaczęły się te wszystkie kłopoty z wojną w Hiszpanii i nastał Hitler i Mussolini, Tubbit wciąż dostawał od czasu do czasu listy od Lairda.

Odpisywał zawsze Lairdowi. Pisał, że Catherine będąc w średniej szkole opublikowała kilka opowiadań w szkolnym piśmie, i że wkrótce pójdzie do college'u, bo pozdawała wszystkie testy. Gdy Catherine skończyła siedemnaście lat, napisał do Lairda, że Wade bardzo się przejął dochodzącymi z Europy wieściami, szczególnie po tym, jak wrócił z Berlina amerykański ambasador i upadła Barcelona, a Niemcy wkroczyli do Czechosłowacji. Wade miał we Francji siostry. Nie były co prawda jego rodzonymi siostrami, ale Wade czuł się tak, jakby nimi były. Martwił się o nie bardzo, ponieważ długi czas nie miał od nich wiadomości i o jednej nie wiedział nawet, co się z nią dzieje. Zaczął przebąkiwać o wyjeździe, a Catherine mogłaby wyjechać do college'u. Możliwe, że wyjeździe pod koniec lata.

Laird natychmiast odpisał. Rozwiódł się i przyjeżdża do Detroit ze swoją sekretarką. Napisał też do Wade'a z pytaniem, czy mógłby ich odwiedzić. Nikt nie wiedział, że Laird zna wszystkie wieści od Karla Tubbita. I po co mieliby to wiedzieć? Laird chciał tylko wiedzieć, jak Catherine sobie radzi. To wszystko.

2

Chrysler wjeżdża na zacienioną Woodward Avenue i opuszcza centrum Detroit. Mija kilometry ulic miasta w upalnym słońcu.

- Czy ja jestem rozwiedziony? - pyta Jack Laird patrząc w szybę chryslera.
- Jestem twoją osobistą sekretarką. - Głos Shirley brzmi obojętnie.
- Gazeta, proszę pana? - Jakiś chłopak wsuwa przez okno gazetę, której nagłówki pełne są Czechosłowacji, ale światła zmieniają się i chłopak zostaje z tyłu.
- Musi mieć teraz siedemnaście lat - odzywa się po chwili Jack.
- Po co tam jedziemy, skoro on nie będzie zadowolony? Oczywiście Jacka pod ciężkimi brwiami stają się bardziej łagodne.
- Catherine nie ma nikogo poza Thornem. Jej dziadek zmarł. I dawno jej nie widziałem - sześć lat. Spójrz tu.

- Co?

- Ależ tu się buduje! - śmieje się Jack. - Myślał, że mieszka na odludziu, a tymczasem miasto jest coraz bliżej. Wchłania go.

Shirley patrzy na nowe domy z cegły. Obok domów rosną młode drzewka. Dzieci ciągną po chodnikach wózki albo jeżdżą na rowerkach na trzech kółkach, piszcząc przy tym. Ulice noszą nazwy owoców i kwiatów: Różana, Wiśniowa.

- Ten sam stary śmietnik - mówi Jack. Za ostatnim rzędem nowych domów jest piasek, a potem topolowa aleja. Żwirowana droga niknie za ścianą poruszających się na wietrze liści. Chrysler skręca w nią i ich oczom ukazuje się stary dom w stylu wiktoriańskim, a przed nim ogród i zegar słoneczny.

Shirley zastanawia się, czy nie przekreśliły się jej szwy w pończochach. Myśl o tym, jak wyglądają z tyłu jej nogi, nie opuszcza jej, odkąd skończyła dwanaście lat: mają być dwie równoległe linie. Shirley wysiada z samochodu pamiętając o tym, by spojrzeć przez ramię w dół, najpierw z jedną nogą pozostawioną z tyłu, a potem drugą.

Jack przesuwa po niej wzrokiem, ale nie widzi jej, myśli o Thornie. Shirley odwraca się i widzi nadchodzącego od ogrodu mężczyznę.

- Dzień dobry! - mówi.

W czasie gdy się witają, Shirley myśli, że mężczyzna jest bardzo miły. Wysoki, ma gęste, na pół brązowe, na pół złote włosy, młodą jeszcze twarz i te oczy.

Dom po jasnym słońcu wydaje się mroczny. Pośród starych foteli stoi ubrana w spodnie dziewczyna. Shirley słyszy niepewny głos Jacka.

- Czy to Catherine? A to jest moja sekretarka, Shirley Chase.

- Dzień dobry. - Błada twarz i usta zwracają się w stronę Shirley; nie uśmiechają się, ale nie są także wrogie. - Napije się pani czegoś?

- Tak - odpowiada Shirley i siada.

- Ma pan imperiala - mówi Catherine.

- Czytaliśmy o nowego rodzaju napędzie - mówi Thorn.

- Chciałabyś go obejrzyć? - głos Jacka brzmi dziwnie dla Shirley. Pokój się rozjaśnia. - Czy nie będziemy trzymać was z obiadem? - pyta uprzejmym tonem Jack.

- Absolutnie. - Thorn podnosi wzrok na Jacka i nie rusza się z miejsca.

Wygląda, że nie ma zamiaru wychodzić i jest zadowolony, że oni idą.

- W takim razie wracamy za kilka minut - mówi Jack po chwili.

- Nie śpieszcie się - mówi Thorn.

Po ich wyjściu Shirley krzyżuje nogi i uśmiecha się do Thorna. Jego twarz się rozjaśnia i wypytuje ją uprzejmym tonem o Chicago, o jej pracę i o podróż.

Jack idzie za Catherine po zalanym słońcem ganku, a potem chodniku.

- Prowadzisz? - pyta patrząc na jej długie, proste jak u indiańskiej squaw, brązowe włosy.

- Tak.

- Wskakuj więc, tu są klucze. - Catherine bierze je bez słowa nie patrząc na niego, obchodzi samochód dookoła, a potem siada za kierownicą. Jack siada obok i zanim ma czas się odezwać, Catherine przekręca kluczyk w stacyjce i samochód gładko zatacza na podjeździe koło, potem jedzie w tę i z powrotem po zwirowej drodze i wraca na swoje miejsce w cieniu topól. Jack śmieje się. - Jeździłaś już kiedyś imperialem? - Ten jej profil! Janet...

- Czytałam o nowym napędzie. Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zajrzała do silnika, panie Laird? - Catherine wysiada z samochodu, a Jack idzie za nią.

- Tutaj... pozwól mi... - Jack przygląda się, jak młoda dziewczyna z poważną miną otwiera maskę, zagląda pod nią, dotyka ręką silnika. - Interesuje cię, jak to działa, tak? - mówi z uśmiechem.

- Interesuję się silnikami. - Catherine patrzy na Jacka jasnymi oczami. - Tu jest chłodzenie?

- Ach, to - wzrusza ramionami Jack. - Sam nie wiem, jak to działa. - Opiera się o maskę i zapala papierosa. - Jeździliśmy często samochodem z twoją matką.

- Ona dużo prowadziła i drogi były wtedy takie kiepskie! - mówi Catherine. - Wiedziała, jak wszystko funkcjonuje.

- Nie pamiętam, żeby prowadziła... - Jack przerywa i marszczy brwi. - Była najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem - ciągnie dalej. - Wyglądała zupełnie jak ty, Thorn może to poświadczyć. Mężczyźni szaleli na jej punkcie. - Obserwuje profil Catherine, ale nie widzi nic poza odbijającym się w jej oczach błyskiem metalu. - Masz siedemnaście lat. - Jack przysuwa się do niej bliżej i słyszy,

jak od podniesionej maski jego samochodu odbija się echem jego niski głos. Oczy Janet. I głos, którego nigdy nie zapomniał.

- Mogłabym zajrzeć kiedyś pod spód?

Catherine zamyka maskę samochodu i Jack odsuwa się.

- Ciekawska jesteś - śmieje się. - Zagłądaj, kiedy zechcesz. I pytaj. Tylko nie rozbierz go na części tak, że nie będzie go można z powrotem złożyć. - Bierze Catherine za ramię i razem kierują się w stronę domu.

Shirley stoi w oknie.

- Ładna dziewczyna - mówi do Thorny obserwując Jacka i Catherine.

Thorn wydaje się patrzeć na Shirley; jego ciemnoniebieskie oczy mają skupiony wyraz, trochę za bardzo skupiony na to, by tak było naprawdę.

- Jest podobna do matki - mówi i spuszcza wzrok na szklanę.

- Jack mówi, że byliście wszyscy razem w Europie. - Shirley wyobraża sobie, jacy musieli być wtedy młodzi i jak kapali się w dzinie. Thorn jest młodszy od Jacka. Ona wie, jak wygląda flirt ze starszym, pociągającym mężczyzną, który mógłby być jej ojcem. I założy się, że Catherine też wie.

- Jej rodzice zginęli w wypadku. - Wszystkie ruchy, jakie robi Thorn, nawet najdrobniejsze, wykonywane są w kierunku korytarza i drzwi wejściowych; nawet szklanka w jego ręku wydaje się drgać w oczekiwaniu na zbliżające się głosy. - Musiałem być chyba pijany, gdy obiecywałem Janet, że się zaopiekuję Catherine. - Śmieje się nasłuchując. - Ale nie było nikogo innego.

Shirley słyszy głos Jacka. Głos Thorny zmienia się.

- No i proszę, stało się - dwadzieścia jeden lat, i na jednej ręce dziecko, a w drugiej pieluszki - mówi i już jest przy drzwiach.

Shirley widzi teraz dziewczynę dokładnie: stoi pomiędzy dwoma mężczyznami, z tym, że bliżej Thorny, a na jej twarzy nie ma uśmiechu. Bez uśmiechu nie wygląda ładnie, ale nie wydaje się tym przejmować. Czy ona jest normalna? A może jest coś...

To nie do wiary! Nosić takie długie, luźno spływające wzdłuż twarzy i na plecy włosy! Nikt nie nosi takich długich włosów. To nie sprawa spodni, to te włosy i ta rozmyta twarz bez makijażu. Przede wszystkim jednak to jak stoi, z rękami w kieszeniach, bliżej Thorny i z taką miną, jakby oboje wiedzieli, że gdyby miała trwać,

umalowane oczy i pociągnięte tuszem rzęsy, to byłaby ładna. Naprawdę ładna. Ale ich nic to nie obchodzi. Shirley mruży oczy. I szminka, na litość boską. Powinna koniecznie malować usta.

Jack patrzy na Shirley. Shirley wstaje, uśmiecha się i podchodzi do Catherine. Pogawędzi sobie z nią jak z kobietą. Kobiety stanowią tło dla mężczyzn, ich widownię. Biedne dziecko, użala się nad nią Shirley. Pewnie czuje się nieswojo i wstydzi się swojego wyglądu.

Ale Catherine, w dalszym ciągu nie uśmiechając się, pozostaje tam gdzie stała - z taką miną, jakby to było jej miejsce. Przygląda się Shirley z zaciekawieniem. W jej spojrzeniu nie ma nic ponadto.

Shirley stoi więc z uśmiechem na twarzy i zastanawia się, o co tu chodzi.

3

Catherine nachyla w jasnym świetle poranka gałąź wiązu, zbiera z objedzonego liścia gąsienice i kładzie je do woreczka z gazy. - Stale się kryguje... I uśmiecha - mówi.

Opuszcza wzrok i patrzy na Thorna tym swoim spojrzeniem, którym osądza innych.

- Ociera się o przedmioty - ciągnie dalej.

- Jest młoda, ma dopiero dwadzieścia jeden lat. I jest ładna - mówi Thorn.

- Uważa, że powinnam malować usta i mówi, że lepiej bym wyglądała, gdybym miała zakręcone włosy.

Thorn nie odpowiada. Catherine zrywa liść, ogląda go, a potem upuszcza na ziemię. Liść kołysze się w powietrzu, zanim spadnie na Thorna. Padające poprzez liście słoneczne promienie nadają jej owalnej twarzy lekko zieloną barwę. Gałąź, którą ściska kolanami, rzuca na leżącego w trawie Thorna niebieski cień. Liść wiązu, który upuściła, jest podziurawiony jak sito, jasnozielony i wilgotny.

- A gdyby tak Jack przyszedł, zaczął się mizdrzyć i uśmiechać, umalowany i z pokręconymi włosami, a ty wiedziałbyś, ile trudu sobie zadał, żeby tak wyglądać?

Gdyby usiadł i zaczął robić miny, ocierać się o przedmioty i sprawiałby wrażenie, jakby był senny i jakby o coś prosił?

I gdyby uśmiechał się bez końca...

Thorn znajduje się blisko szczupłej, ponętnej nogi Catherine. Catherine naciąga ręką, w której trzyma gazowy woreczek, koszulę na piersi. Druga jej ręka ukryta jest między brązowymi włosami, które spływają pomiędzy liście i na jej zamyśloną twarz.

- Nie musisz - mówi Thorn i odwraca się. Catherine patrzy na niego z taką miną, jakby wiedziała, że na ich wzajemne stosunki padł jakiś cień.

- On wcale nie znał mojej matki! Wciąż tylko powtarza w kółko, jaka była ładna i jak kręcili się koło niej mężczyźni.

W pobliżu szkoły zaczyna pracować koparka, w oddali słychać jej pomruk. Catherine patrzy ponad głową Thorn'a w kierunku, skąd dochodzi odgłos. - Zachowywał się tak jakbym była szczeniakiem i obwąchiwała jego Ogromną Maszynę. Powiedział, że nie wie, jak ona działa. Tobie z pewnością by tak nie powiedział. I powiedział jeszcze: „Nie rozbierz go tylko na części tak, że nie będzie go można z powrotem złożyć”.

Catherine przekłada szczupłą nogę przez gałąź i upada z woreczkiem w dłoniach na trawę. Obydwoje leżą tak przez moment.

- Więc nie tak wygląda według ciebie pierwsza miłość? - pyta Thorn. W jego włosach pojawiają się promyki słońca. Thorn spuszcza wzrok i lekko ściąga w dół kąciki ust; jego twarz przybiera smutny wyraz.

Tubbit przypatruje się przez kuchenne okno Catherine i Thornowi, stojącym naprzeciwko siebie pod wiązami, i wstrzymuje oddech.

Idą teraz, nie patrząc na siebie przez morze trawy - prawie jak lunatycy.

- Tak wcześnie wstajesz? - Shirley zatrzymuje się w drzwiach sypialni Catherine i uśmiecha się do niej. Usta ma umalowane na ciemnoczerwony kolor, na sobie gładki, nieskazitelnie biały szlafroczek, a jej włosy, z których wyjęła właśnie piętnaście lokówek i wyszczotkowała, poskręcane są w maleńkie spiralki, loczki i falki. Mruga grubymi od tuszu rzęsami patrząc na buteleczki i notatki, oraz na zakryte kocem łóżko Catherine. Catherine wieszka woreczki z gazy, żeby wyschły.

- To twoja krewna? - Shirley stoi z rękami opartymi na biodrach i przypatruje się wiszącej na ścianie akwareli. Kobieta na obrazku jest w średnim wieku i patrzy na Shirley spokojnym, opanowanym wzrokiem.

Te długie, luźno spadające włosy... Shirley patrzy ma Catherine współczująco, wzrokiem starszej siostry. Biedne dziecko, uwięzione tutaj samo. Nie może się powstrzymać od przybierania póż; wie, że od stóp do głów wygląda jak wyjęta z żurnala. Biedne dziecko. Shirley odgarnia ręką włosy i mówi:

- Z początku myślałam, że to pokolorowana fotografia. Ten obraz jest taki... prawdziwy.

Wiosenne słońce prześlizguje się po gładkich policzkach Catherine i błyszczy w jej długich rzęsach i w oczach, w których wcale nie ma ani podziwu młodszej siostry, ani nieśmiałości. Gwałtownie odrzuca do tyłu włosy.

- To ja - jak będę miała jakieś pięćdziesiąt pięć albo sześćdziesiąt lat - mówi i wyciąga szufladę komody. - Mój pokój jest taki zagracony dlatego, że muszę tu trzymać kolonię mrówek.

- To ty? - pyta Shirley i czuje, że jest zła. Jest coś w sposobie, w jaki Catherine stoi, w jej głosie...

- Próbowałam trzymać je w piwnicy, ale tam jest za wilgotno - mówi Catherine.
- Popatrz, złożyła skrzydełka. - Wyciąga przed siebie zamknięty słoik po dżemie.

Shirley bierze od niej słoik. Ogromna mrówka wspina się po jego ścianie, a poniżej leżą dwa wąskie skrzydła w kształcie trójkątów.

- A kto to namalował? - pyta Shirley.

- Nie wiem. Znalazłam go w mieście, w sklepie z używanymi rzeczami. - Catherine patrzy na mrówkę, nie na Shirley. Potem spogląda na włosy Shirley, jej makijaż i biały jedwab, nie widzącym wzrokiem; jej myśli są gdzie indziej. - Zrobi sobie jakieś wgłębienie i będzie w nim żyć wykorzystując energię mięśni swoich skrzydeł. Nie potrzebuje już skrzydeł. Za miesiąc będzie miała młode, które będą ją karmiły. A potem setki robotnic.

- Ciekawe - mówi Shirley przyglądając się Catherine.

Kobieta w średnim wieku, na obrazku, przypatruje jej się. Jest tak samo spokojna i opanowana jak Catherine. Kobieta ma zmarszczki pod oczami, na szyi formuje jej się drugi podbródek. Na obrazku widać także wyraźnie pomarszczoną szyję, siwobrazowe włosy i plamy na rękach. - Pójdę przygotować się do śniadania - mówi Shirley i wybiega z szelestem z pokoju.

Catherine patrzy przez okno i widzi przez gałęzie topól stojących naprzeciwko siebie na podjeździe - obok chryslera - Thorna i Jacka. Nie słyszy ich słów i odwraca się od okna.

- Co by Janet na to powiedziała? - Jack mruży oczy od słońca i zdejmuje z ust okruch tytoniu. Krzywi się patrząc na rozłożony pod samochodem nadgryziony przez mole koc z demobilu. Catherine położyła na kocu śrubokręt i kombinerki, żeby go nie porwał pachnący deszczem wiatr.

- Staralem się robić to co Janet...

- Na litość boską, ona wygląda jak kopciuszek! Nie mógłbyś kupić jej jakichś ubrań? Ma chyba jeszcze trochę pieniędzy?

- Niewiele - mówi Thorn. - Kryzys pochłonął prawie wszystkie pieniądze Buckinghamów. I Janet też. Zostało mi tylko na życie i żeby posłać ją do college'u.

- Mogłaby zrobić furorę. Tak jak Janet. Ale dokąd zajdzie, jeśli będzie tak wyglądać? W wieku siedemnastu lat nie wie, jak używać szminki! I co ona tutaj sama robi całymi miesiącami?

- Pisze. Uczy się. Pomaga mi przy książkach.

- I to jest całe jej życie? Mogłaby zwiedzać świat, bawić się z innymi młodymi ludźmi w jej wieku!

- Janet właśnie tego chciała - mówi Thorn. - Tego się nigdy nie wie na pewno. To tak jak grać w tenisa bez siatki i bez...

Zrywa się wiatr i zaczyna smagać gałęziami sumaka i topól. Deszcz uderza o suchy piasek. Jack patrzy na klucz na ziemi i nerwowo zaciska palce. Spogląda na profil Thorna i przez moment czuje w palcach jakby zimny i mokry dotyk narzędzia.

Gdy znów spogląda w dół, klucz wciąż znajduje się pod samochodem. Tylko wyraz twarzy Thorna się zmienił: w jego oczach, zanim zdążył je odwrócić w kierunku lśniącego od deszczu samochodu, jest coś więcej niż żal.

Jack idzie za Thornem do domu sztywno wyprostowany. Jego obcasy stukają o deski w korytarzu. Nie mówi wiele przy śniadaniu; obserwuje Catherine i Shirley. Obie nie różnią się w końcu za bardzo wiekiem, Shirley jest zaledwie parę lat starsza. Shirley to urocze stworzenie, nawet Thorn obrzuca ją od czasu do czasu powłóczytym spojrzeniem, a Catherine siedzi tylko i słucha, jak Shirley gawędzi z Thornem o jego kuzynkach we Francji i o księżce, którą wraz z Catherine muszą skończyć, zanim on wyjedzie za ocean. Shirley idąc do college'u też nie była za bardzo obyta, ale zaraz po jego ukończeniu zaczęła robić karierę. Reprezentuje nowy styl, panujący obecnie wśród kobiet: w pracy zachowuje się oficjalnie, ale prywatnie daje odczuć, że tak naprawdę to jest kobietą i tak samo chciałaby wyjść za mąż jak każda inna, zwykła dziewczyna.

- A więc planujesz wyjechać do Francji? - pyta Jack. Tubbit z obojętną miną podaje rogaliki.

- Najszybciej, jak będę mógł - mówi Thorn.

- Na jesieni prawdopodobnie rozpocznę studia w college'u Gilmana - mówi Catherine. Obserwuje Shirley takim wzrokiem, jakby starała się zrozumieć jakieś skomplikowane urządzenie, jakieś nowe rozwiązanie w silniku. - Thorn wcale nie musi jechać do Francji.

- Czy nie będzie ci trochę... trudno przyzwyczać się do college'u? - pyta Jack i patrzy na Thorna. - Ona nie spotyka tu zbyt wielu młodych ludzi, a w college'u będzie ich masa. - Catherine ma oczy zupełnie jak Janet, zwłaszcza wtedy, gdy spuszcza je, a potem nagle podnosi albo patrzy z ukosa...

Thorn nie odpowiada. Catherine też nie. Jack obserwuje ich i zauważa, że między nimi dzieje się coś dziwnego. Nie patrzą na siebie i żadne z nich mu nie odpowiada. Czy coś się stało? Nie sposób się tego dowiedzieć.

- Mam siostrzenicę mniej więcej w wieku Catherine i trochę młodszego siostrzeńca - mówi. - W Iowa. Wiem więc co nieco na temat młodzieży.

- Nie wiem, dokąd pojedę we Francji - mówi Thorn po przerwie. - Zacznę od miasteczka, w którym mieszkaliśmy, i będę się starał iść śladem moich kuzynek.

- Jeśli we wrześniu nie będzie wojny albo Hitler nie będzie maszerował przez Londyn - mówi Jack.

- Jak będziesz w Nowym Jorku, musisz zwiedzić wystawę światową. - Shirley odrzuca do tyłu jedwabiste włosy i uśmiecha się, a kiedy wstaje od stołu, wygląda, jakby poruszała się wewnątrz ubrania; niezła sztuczka, myśli Jack, zaskoczony. Otwiera przed nią drzwiczki samochodu i patrzy, jak wsiada do niego, giętka jak wąż i z wdziękiem, którego Catherine zupełnie jest pozbawiona. Catherine żegna się z nimi i odgarnia z twarzy niedbale uczesane włosy. Nie uśmiecha się.

Znalazłszy się sami w samochodzie, Shirley i Jack w dalszym ciągu czują się lekko nieswojo, co powoduje, że ton ich głosów staje się ostrzejszy.

- A więc Thorn naprawdę wyjeżdża do Francji - mówi po chwili Jack. - Niewiele z nią zdziałałaś.

- Jej naprawdę jest wszystko jedno, jak wygląda! - odpowiada Shirley z niedowierzaniem w głosie. - Ona naprawdę uważa, że to jest nieważne. Wyobrażasz to sobie?! To nie jest normalne. Każda dziewczyna...

- Nie miała szansy! - mówi Jack stukając palcami o kierownicę; czeka, aż zmieni się światło na Six Mile.

- Powiedziałeś jej, żeby przyjechała w odwiedziny do twojej siostry w Iowa?

- Rozmawiałem o tym z Thornem i Catherine, a potem wspomniałem o tym Tubbitowi. Możliwe, że to zrobi. - Światła zmieniają się. - Poproszę moją siostrę, żeby tu ze mną przyjechała. Ma dwoje dzieci w średniej szkole i wie, co zrobić, żeby Catherine ładnie wyglądała. Jest mądrą kobietą, będzie wiedziała, co robić.

Stara wanna ma zaledwie metr dwadzieścia długości i wygląda, jakby była zrobiona dla jakiegoś karła. Catherine siedzi w niej w kucki i przygląda się swoim wystającym z wody kolanom.

Rury jak zwykle brzęczą. Poza tym brzęczeniem w domu jest cicho, nie słychać już szczebiotu Shirley ani niskiego głosu Jacka. Wyjechali.

Woda bezgłośnie wypływa z wanny, jej poziom opada i Catherine przestaje czuć otaczającą ją jeszcze przed chwilą ciepło. Thora wyjeżdża do Francji.

Powinien jechać. Catherine wstaje i bierze ręcznik. Musi postarać się znaleźć Martę i Claire, której mąż po prostu zniknął. Catherine patrzy nie widzącym wzrokiem na tapetę w łabędzie i fontanny, zaczyna naciągać spodnie i koszulę. Francja wydaje się daleka, ale nie tak daleka jak Thora pod więzami tego ranka.

Korytarz oznaczony plamami światła z otwartych drzwi wygląda obco, a jej pokój sprawia wrażenie, jakby należał do kogoś innego. Drzwi sypialni Thorna są szeroko otwarte; słyszy, jak Thorn zamyka szufladę szafki z ubraniami.

Thora odwraca się słysząc kroki Catherine. Patrzy na nią przez chwilę obojętnym wzrokiem.

- Gotowa? - pyta. - Mam woreczki.

Wsuwała się do tego łóżka, gdy przyśnił jej się jakiś straszny sen albo kiedy była chora. Rzeźbione na jego wezgłowiu liście noszą na sobie ślad tych snów. Leżała tu kiedyś w przeszłości, cała wilgotna i rozgorączkowana, przytulona do niego, podczas gdy cały świat dookoła niej wirował. Na mosiężnych uchwytych szuflad szafy na ubrania są wyrzeźbione trzy kółka. Jej lustro piszczy, gdy się je przeciera. Wszędzie by rozpoznała delikatny zapach panujący w tym pokoju.

- Tutaj, w świetle dnia - mówi Catherine i czuje, jak zasycha jej w ustach - wyglądasz... jesteś taki ożywiony. Głośny. Jakbyś cały mówił. - Owal oparcia fotela obitego materiałem w różę przygląda jej się. Ciemne cielsko komody na białą bieliznę siedzi przycupnięte na swoich lwich łapach.

- O trzeciej przychodzi Arnold sfotografować motyle, więc musimy wrócić do tej pory. - Thorn mija ją i schodzi na dół.

Ostatnie dni wiosny są ciepłe i z poczwerek wychodzą pierwsze, wilgotne i pulsujące motyle. Ręce tak znajome, jakby były jej własne, biorą w dłonie ciała motyli... chwytają delikatnie palcami skrzydła od spodu, tak, że Catherine nic nie widzi.

Thorn rezerwuje bilet na statek odpływający z Nowego Jorku w sierpniu. Tubbit zostaje i zajmie się domami. Tubbit niepokoi się o Catherine, mówi, że wygląda na zmęczoną i że powinna więcej wypoczywać. Niech Thorn pracuje nad książką, a ona niech sobie po południu poleży trochę na hamaku, on zrobi jej lemoniady. Nie zaczął się jeszcze czerwiec, a jest taki żar, jakby był środek lata.

Hamak buja się w pocętkowanym plamami słońca cieniu świeżych, wiosennych listków. Catherine i Thorn słyszą dochodzący z oddali odgłos uderzeń młota.

- Co się dzieje? - pyta Catherine patrząc nie na Thorna, lecz na tulipany Tubbita. Kwiaty wdzięcznie ich obserwują. Catherine słyszy brzęk kostek lodu w szklance.

- To ostatnio wciąż się powtarza. - Głos jej się załamuje, ale zaraz ciągnie dalej. - Zaczęło się wtedy rano pod więzami, gdy był tu Jack. - Dlatego tak na ciebie patrzyłam, pamiętasz? Zaniemówiłam.

- Ja też zaniemówiłem.

- Czuleś to samo? - W głosie Catherine słychać ulgę, a potem ton jej głosu na powrót staje się ostry. - Co to spowodowało?

- Wtedy na dworze? - Thorn na chwilę przestaje mówić. Z oddali dochodzi odgłos serii uderzeń młota.

- Zapytałem cię, czy nie zakochałaś się w Jacku - mówi w końcu Thorn. - On powinien wiedzieć po dwudziestu pięciu latach praktyki, jak to się robi, zakładając, że zaczął w wieku piętnastu lat.

Na pochylonej głowie Thorna są plamki słońca.

- Tak! - woła Catherine - A ja wówczas stwierdziłam, że ty musisz wiedzieć równie dobrze jak on - jesteś mniej więcej w jego wieku i miałeś te wszystkie

dziewczyny: Sally, Dot... - Catherine wpatruje się w tulipany. - Skąd wiedziałeś, kiedy to było? Patrzyłam na ciebie i pomyślałam... - Przerzywa.

Thorn odchodzi. Jego długie nogi niosą go szybko przez migocący cień i słońce do domu. Wbiega po schodach po dwa stopnie na raz i z zamkniętymi oczami, nie tkniętą szklanką lemoniady w dłoni staje przy oknie gabinetu.

Po jakimś czasie otwiera niebieskie oczy - zamyślone i smutne jak oczy żeglarza albo mieszkańca bezkresnych równin. Widzi na jasnym tle tulipanów Tubbita i Catherine, jak z gołymi ramionami i nogami podnosi się z trawy na ręce i kolana, a potem skacze lekko na nogi. Słyszy, jak wbiega po schodach na górę, a potem dochodzi go łoskot przesuwanych słoików.

- Mrówki fruują! - woła Catherine do Tubbita, który niesie przez ogród na tacy ciasteczka. Znowu pada w trawie na kolana i balansuje oparta na jednej ręce.

Królowe mrówek wyglądają w powietrzu na tle topól i w trawie jak odłamki szkła. Ich skrzydła błyszczą przy każdym ruchu. Wytaczają się z dziury w pokrywie słoika, wyglądając jak kuleczki z celofanu.

Tubbit przechodzi przez chmurę fruujących mrówek machając rękami; stara się odpędzić je od ciasteczek. Na talerz spada jedna, wlokąc za sobą przyczepionego do niej jednego z małych męskich osobników, jedna z królowych. Catherine szuka w trawie na kolanach królowych, które pozbyły się już skrzydeł.

Książka o motylach „monarcha” jest na ukończeniu. Thorn pracuje obecnie nad mapą dróg ich wędrówek - od wylęgu aż do miejsca, w którym zimują. Tej nocy znowu słucha przy pracy dochodzących z radia, w pokoju Catherine, dźwięków orkiestry Benny'ego Goodmana. Potem Catherine zamyka drzwi i dźwięk klarnetu ucicha.

Przy śniadaniu jest jak zwykle: słońce prześwieca przez liście dzikiego wina nad oknem, a na stole stoi stara porcelana w greckie wzory. Thorn słyszy, jak Tubbit wychodzi przez tylne drzwi i idzie do swojego domku.

- Skąd wiedziałeś, że to się zaczęło wtedy pod wiązami? - Catherine bierze głęboki wdech, żeby uspokoić swój głos. - Tamtego ranka, gdy był tutaj Jack.

Thorn przez moment patrzy jej w oczy, a potem ucieka wzrokiem. Na jego policzkach zaczynają tworzyć się długie linie, które podkreślają grymas ust.

- Nie wiem. Wydaje mi się... że to oczy. - Nie patrzy na nią. - Nie zdarzyło mi się to pierwszy raz.

- Wiem - mówi Catherine.

- Nie. - Spuszcza wzrok i patrzy na swoją zwiniętą w pięść dłoń na stole. - Z tobą.

Żadne z nich nic więcej nie mówi i za chwilę obydwójce podnoszą się bez słowa. Catherine siada przy fortepianie. F znów brzmi fałszywie i swoim dźwiękiem coraz to psuje brzmienie utworu Czernego. Tubbit wraca i zbiera naczynia po śniadaniu. Thorn poszedł się ogolić.

A teraz zagra to szybko. Tubbit stoi w jadalni i słucha. Słyszy, jak Catherine pędzi bez opamiętania, a potem zaczyna znów od początku. Naprawdę ślicznie.

Laird myśli, że Catherine pojedzie z nim do jego siostry do Iowa, jak Thorn wyjedzie. Napisał, że przyjedzie tu po nią z siostrą. Tak będzie lepiej wyglądać - wie pan, starszy mężczyzna z młodą dziewczyną, napisał. Dziwnie tak pomyśleć, że Catherine jest już dorosła. Laird powiedział, że jego siostra kupi Catherine trochę nowych ubrań i pójdzie z nią do fryzjera. I napisał jeszcze: - Miej Thorna na oku, dobrze? Napisz, jeśli będzie się działo coś ciekawego.

Dlaczego tak napisał? Dlaczego ma mieć na oku Thorna?

Powinien był napisać: „Miej na oku Catherine”. Ona ma takie zmienne nastroje: czasem jest smutna, innym razem kręci się wesoło po domu. Może nie chce opuszczać domu, nie chce iść do college'u. Jej to dobrze zrobi, ale jemu będzie jej brakowało. Bardzo.

Ale przyjedzie w odwiedziny. Wróci tu, gdy Wade będzie we Francji. Pięknie gra. I ślicznie wygląda przy pianinie w tym kwiecistym szlafrocuku. Tak dorośle.

Ale co to? Żadne z nich nie tknęło jego pysznych, ciepłych rogalików. Będzie jej brakowało domowego jedzenia - przyjedzie do domu, żeby się z nim zobaczyć, na pewno przyjedzie.

Catherine przerywa utwór w środku, przestaje grać. Przesuwa wzrokiem po salonie. Nic nie robi; po prostu siedzi.

Światło słoneczne przesuwa się w ciągu dnia po biurku Thorna, a potem po koszu na śmieci do rogu jego łóżka. Thora wyciąga kartki z notatkami i próbuje się skupić nad drogami migracji motyli. Niektóre sprawy trudno uporządkować. Po pokoju fruwią trzepocząc skrzydłami albo unoszą się w powietrzu ćmy.

Późnym popołudniem podnosi wzrok i widzi ćmę pikującą pomiędzy nim a zarumienioną twarzą Catherine. Catherine stoi w drzwiach.

- Możemy się pobrać - mówi. - Jesteś młodszy od Jacka. Ludzie tacy jak my wciąż się pobierają. Możemy poczekać, aż będę miała dwadzieścia jeden lat i wziąć ślub.

Thorn chwytą przefruającą obok ćmę; ćma próbuje złapać na jego dłoni równowagę.

- Ale nie bierze się ślubu tylko dlatego - mówi po chwili Catherine i stawia bosą stopę na słońcu na dywanie. - Jak to długo trwa? - Ćma wyfruwa z jego otwartej dłoni.

- Chcę jechać do Francji.

- Chcesz zacząć i wyjechać, zanim to się skończy?

- Nie wiem - mówi Thorn.

Ćmy latają w słońcu, skrzydełka mają zielone jak spód wiosennych liści, gdzie nie sięga słońce i nie rozbiła ich koloru. Jedna przyczepia się Thornowi do zawiniętego rękawa. Na wierzchu ich skrzydeł widnieje purpurowoczerwony kształt gałęzi zakończonej pąkiem. Ćmy mają na łapkach jasnoróżową szcecinę, a brzuszki białe i pulsujące. Ich główki z ciemnymi oczkami ozdabiają czułki, bardziej strzępiaste i delikatniejsze od płatków śniegu.

- Będę musiała o tym pomyśleć - mówi Catherine. - Zamiast włóczyć się bez sensu, jak dotąd.

Thorn próbuje się uśmiechać, próbuje spojrzeć jej w oczy.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Lepiej się czujesz? - Jego oczy są prawie czarne.

- Nie. - Catherine kurczy się w sobie i idzie do drzwi. Oczy ma szeroko otwarte, tylko źrenice kurczą się pod wpływem światła, które pada ponad jego ramieniem na jej twarz. - Wciąż mówią do mnie twoje ręce... a nawet ubranie! Dlaczego? - Podnosi w zdenerwowaniu głos. - Może o to chodziło Jackowi i Shirley, gdy się nachylali, ocierali o przedmioty i uśmiechali? Może chcieli, żebyśmy tak się czuli?

Catherine porządkuje w myślach wspomnienia.

- Ale co by z nami zrobili, jakby już nas dostali? Nie są takimi ludźmi jak...

- Może oni nie myślą tak daleko naprzód? Co by Shirley ze mną zrobiła? -

Thorn zaczyna się śmiać i podwinięty na jego brązowej ręce biały rękaw koszuli wydaje się powiewać Catherine przed oczami. Jego długie palce ściskają biały jedwab... - Przepraszam! - woła.

Ale jej już nie ma w pokoju. Zbiega po schodach na dół.

- Nie chciałem! - krzyczy za nią, w odpowiedzi słysząc tylko odgłos bosych stóp na schodach.

Thorn zatrzaskuje za sobą drzwi gabinetu i idzie do pokoju Catherine. Dom jest pusty i pobrzmiwa w nim tylko jakieś odległe echo. Thorn bierze z łóżka poduszkę Catherine.

Poduszka pachnie jej włosami.

Głowa Janet w słońcu, pomiędzy nim a słońcem...

Czy tak pachniały włosy Janet? Thorn zamyka oczy. Książki dobrze się sprzedawały. Wyjechać do Anglii i zająć się badaniami much. Wyjechać do Francji... znaleźć Martę i Claire... spowodować, żeby pozwoliły mu pomóc sobie. Natychmiast stąd wyjechać.

Otwiera oczy i widzi, że kobieta na ścianie przygląda mu się, mruga nieznacznie powiekami i leciutko się uśmiecha. Poduszka pachnie szamponem, wiatrem i naftą.

W biblioteczce obok rzędów pustych słoików po dżemie stoją opasłe tomy Forela i Wheelera. Cieniutki tomik wierszy Frosta. Poezje Dickinson obok dramatów Szekspira, albumów o malarstwie, podręczników do chemii oraz zużytego egzemplarza „Alicji w krainie czarów”. Wszystkie drzwi były otwarte i kiedy weszła do domu...

Album z polnymi kwiatami. Thorn bierze go w rękę, spomiędzy kartek wypada zasuszona gałązka paproci.

- Dlaczego niektóre rośliny mają takie paskudne nazwy? - zapytała go kiedyś. - Jak, na przykład, trzęsido pospolite?

Thorn wkłada paproć z powrotem do książki, stawia książkę na półkę, a potem wzdycha i odwraca się.

Wzór na zasłonce wyczarowuje wspomnienie Catherine. W rękawach ubrań widocznych przez uchylone drzwi garderoby zachował się kształt jej ramion. Zielone rośliny na parapecie okna czekają w swojej ufności, aż ona wróci. Kobieta w ramce na ścianie czeka, aż dorośnie.

W korytarzu na górze pachnie płytą pilśniową, zawsze tam tak pachniało. W łazience pachnie mydłem, a rzędy łabędzi na tapecie pływają pomiędzy fontannami o nieprawdopodobnych kształtach. Wanna oparła się na łapach i czeka na swojego karzełka. W spłuczce toalety siedzi żaba i rehocze przy każdym pociągnięciu łańcuszka.

Popołudnie kończy się jękiem koparki wykopującej dół pod piwnicę kolejnego domu, które wyrastają teraz jak grzyby po deszczu, spośród piasku i betonu za oknem. Za stodołą, ogrodem i za domkiem Tubbita wciąż jeszcze jest pole, a na nim stoi wiąz. Catherine leży na wznak w jego cieniu.

Ponad nią chmury, jak bita śmietana, przesuwiają się po niebie, jakby ślizgały się po szkle. Powietrze pachnie dookoła. Każdej wiosny w to niebo ulatywały jej latawce. Unosiły się wysoko do góry, aż w końcu znikwały, a dookoła były tylko puste ulice z walającymi się po nich osłonkach paczków świeżych liści. Teraz ulice zostały wchłonięte przez miasto i wzdłuż nich stoją zaparkowane samochody.

Catherine mruży oczy patrząc na jasny błękit nieba. Przywiązywała latawiec do drzewa a do butów przymocowywała wrotki. Chociaż czuła przez buty ucisk sprzączek, wkładała w sześciokątny otwór kluczyk, jeszcze bardziej je dociskała. Jej palce czuć było metalem.

A potem brała w rękę sznurek latawca i czekała. Czekala dotąd, aż poczuła szarpnięcie. To z miejsca, gdzie znajdował się latawiec, gdzieś hen w pobliżu słońca nadlatywał wolno zimny wiatr. Latawiec był za wysoko, żeby można go było

zahaczyć, więc wydawało jej się, że to z całej siły ciągnie niebo. A ona czując, jak ono ciągnie, zaczynała też ciągnąć.

Odchylona do tyłu czekała na pierwszy obrót kółek wrotek. A potem następny. Przywiązana do nieba w mgnieniu oka nabierała szybkości, jechała po suchych gałązkach i po własnym cieniu tak szybko, że wrotki zaczynały pojękiwać na gładkim, nie używanym betonie i klekotać na szczelinach: klak, klak, klak, aż czuła w stopach wibracje...

Jechała tak szybko, że wydawało jej się, iż leci w powietrzu, i trzymała się kurczowo sznura. Gdy się wiatr zmienił, pociągnął ją przez piasek i zostawił gdzieś w krzakach pomiędzy przekrzykującymi się wróblami. Ziemia pachniała tam odwilżą. Stopy miała zdrtwiałe od latania.

Wiąz wznosi się ku niebu ciężki od liści, a jego nisko pochylone gałęzie kołyszają się nad jej głową. Leży tak, przypominając sobie, jak ciągnęło ją niebo - jest tak samo napięta jak wtedy sznur latawca. Nie czuje powiewu wiosny.

Catherine wzdycha; jej westchnienie jest jak łkanie. W błękitach jej oczu iskrzy się widoczne pomiędzy liśćmi wiązu niebo, wiatr rozwiewa na piasku jej popstrzone słońcem włosy.

Thorn patrzy przez liście topoli w różowe niebo. Będzie musiał jej poszukać. Dokąd mogła pójść? Czuje każdym zmysłem żar kończącego się dnia.

Catherine odwraca się na brzuch i kładzie policzek na ciepłym piasku. Przestaje widzieć bezmiar chmur, zapomina o niebie i wspomnieniach; widzi jedynie jakiś kamyk, kilka ździebeł trawy. Podnosi się na łokciu. Piasek w cieniu wiązu jest taki ciepły; czuje to ciepło każdym kawałkiem ciała. Zanurza w nim palce, pozostawiając na piasku ślad i wyrzuca go w powietrze. Piasek ulatuje z wiatrem.

Thorn idzie przez ogród do stodoły. Wchodzi po drabinie na górę. Na stryszku nie ma nikogo. Stary kocur, pogromca myszy i ojciec niejednego kota w okolicy, świeci żółtymi oczami i mruczy. Catherine leży na płask z twarzą w ciepłym piasku i zaczyna się uśmiechać.

W stodole pachnie wciąż końmi i starym drewnem, kurzem i sianem, w którym grasują myszy. Zapach ten miesza się w wiosenny wieczór z zapachem wina. Thorn

zaciąga się tym zapachem i schodzi na dół. Kocur drapie belkę pazurami - przestraszył się odgłosu kroków.

- Catherine? - pyta Thorn.

W drzwiach pojawia się wiotki cień i dotyka dłonią drewna stodoły.

- Myślałam całe popołudnie - mówi Catherine do ciemnej, zakurzonej stodoły.

Widzi tylko niejasno biel koszuli Thorn'a. - Chcę spróbować. Może uda nam się przejść na drugą stronę. - Thorn nie odzywa się. - Może będziemy chcieli wziąć ślub, kiedy to się skończy i będziemy już wiedzieli. Możemy to zrobić.

- Tak.

- Jak długo to trwa?

Widzi go teraz lepiej; podnosi swoje duże ręce dłońmi do góry w geście, który wydaje jej się francuski, i mówi:

- I tak wyjedziesz. Tak zdecydowałaś. Do college'u.

- Wydaje mi się, że trudno jest wyjechać, jeśli się nie skończy.

- Bardzo trudno.

- Myślałam o tym, żeby poczekać, aż wrócisz, a ja skończę college. Ale jestem już wystarczająco dorosła, a ty byłbyś... - Głos jej drży, więc przerywa, a potem ciągnie dalej. - Jeśli to wszystkiego nie zmieni. Ale zmieni. Wydaje mi się, że zmieni. Ale dlaczego miałabym się tego bać? A może, jak to już się skończy, zdecydujemy, że nie bierzemy ślubu. Ale to nie spowoduje, że przestaniemy być... przyjaciółmi, tak jak teraz.

- Nie. - Thorn czeka prawie się nie odzywając i pozwala jej się zastanawiać. - Będziemy się musieli kryć z tym, co robimy.

- Wiem. I będę musiała iść do college'u, a ty będziesz musiał jechać do Francji.

- Zgodziliśmy się, że tak będzie najlepiej.

- Czuję coś... - Głos Catherine mięknie. Odwraca się od niego. Gdy za chwilę znów się odzywa, jej głos brzmi już normalnie. - Czuję coś w powietrzu. Czujesz to? Od rana zmieniły się barwy dookoła i czuję, jakby wszystko mnie dotykało... To prawie boli.

- Będzie jeszcze gorzej - mówi Thorn z głębi stodoły. - Nie śpiesz się. Nie zaczynaj, dopóki się nie upewnisz, że tego chcesz.

Robi krok w kierunku wyjścia. Za drzwiami stodoły nocny powiew wiatru od jeziora zgina sumak, a potem puszcza go z szelestem liści.

- Chcę zacząć - mówi Catherine i milknie. Zastanawia się. Czuje się, jakby była tu sama; w stodole nie rozlega się żaden dźwięk, słysząc tylko szum wiatru w liściach drzew.

Thorn czuje jej ręce na ramionach.

- Nie boję się - mówi Catherine.

- Nie - odpowiada Thorn i za chwilę patrzą na siebie przerażeni, ponieważ ona go całuje.

Jest gorzej niż myślał: ten wiosenny mrok, ten głos i te usta.

Wszystko co mówią nie ma sensu, a on nie wyciąga po nią ręki, nie bierze jej. Nie myśli zupełnie o niczym i nie dotknie jej. Chciałby, żeby go tu nie było. Widzi twarz Janet w angielskim słońcu, pomiędzy sobą a słońcem. Jej włosy pachną mydłem i wiatrem, tak jak jej poduszka. Nagle ona wrywa mu się i biegnie w ciemności, w kierunku domu.

7

Przez całą noc w domu trwa tajemnicza rozmowa jednego ze stopni schodów z jedną z desek podłogi w korytarzu, z tyłu domu... zegara na dole z budzikiem w pokoju Catherine. Przez całą noc nie słysząc na schodach kroków. Nie pójdzie do niej, uciekła przecież.

Na śniadanie następnego rana nie przyszedł również. Catherine musi iść go poszukać.

- Chodź jeść - mówi przez zaciśnięte zęby. Jest jej wujkiem, Thornem Wade'em i tysiącem innych rzeczy, którymi zawsze był. A jednak, wydaje się tykać jak bomba zegarowa, wyć jak syrena... Thorn odkłada książkę i patrzy na nią, w stodole nie ma nic poza błękitem jego oczu.

Nie zrobi ani jednego ruchu. Nie spojrzy nawet na nią, będzie się trzymał od niej na dystans. Będzie ich dzielić odległość i milczenie. Wyrzuci nawet z oczu i głosu oczekiwanie.

- Chcesz, żebym ja wszystko robiła - mówi Catherine po wyjściu Tubbita. Milczenie odciska się na niej ciężarem wszystkiego, czym jest teraz Thorn.

- Powiedziałaś, że kobiety zawsze siedzą i czekają - odzywa się w końcu Thorn.
- I stroją się, żeby przyciągnąć uwagę.

Nic więcej jej nie obchodzi poza Thornem. Wydaje jej się dziesięć razy większy niż jest. Wydaje jej się, że poza Thornem nic więcej nie ma w jadalni.

- Jest strasznie ciężko - mówi.

Z ogrodu dochodzi krzyk: to Tubbit goni koty. Znow grzebały w jego grządce ze szparagami. Catherine podchodzi do okna.

- Wśród zwierząt osobniki żeńskie nie siedzą tylko, nie czekają i nie wyglądają ładnie - potrafią same o siebie zadbać.

Catherine patrzy przez gałęzie bluszczu do ogrodu, w którym kwiaty wyglądają jak witraże.

- Kiedy pójdę do college'u i poznam mężczyzn w moim wieku... - Przerzywa. - Dla nich to też jest strasznie trudne.

Catherine słyszy brzęk filiżanki do kawy o spodeczek.

- Dlaczego muszę to wszystko sama robić, skoro łatwiej jest po prostu poczekać na kogoś innego? - Jej słowa, odbite echem od szyby, wracają do niej.

Słyszy je i zaczyna się śmiać. A może płacze? Nie wie tego, ani jej to nie obchodzi. Odwraca się tak gwałtownie, że jej długie włosy zataczają w powietrzu koło i podbiega do Thornia.

- Chcę cię całować - cały dzień! - woła.

Thorn wstaje, wyciera jej oczy i śmieje się. Po jej twarzy spływa łza, która w blasku słońca wygląda jak iskra.

Thorn siedzi pochylony nad odbitkami swojej nowej książki; trzydziestokilkuletni mężczyzna z gęstymi, złotobrazowymi włosami i z zaciśniętą odwinętą dolną wargą, która wygląda tak, jakby wiedziała coś, czego nie widzą jego rozbiegane i nieobecne oczy. W starym domu nic się nie zmieniło; pobrzmiwają w nim jak dawniej wysoka trawa, sumak i karłowaty dąb.

Nowe domy podchodzą teraz coraz bliżej; w ciszy poranka słysząc uderzenia młota. Thorn podnosi głowę. Kim jest? Wyraz twarzy ma spokojny, gdy stara się to sobie uświadomić. Księżyc też wygląda tak, jakby miał skończony kształt. Ale co nocy powiększa się i w końcu staje się okrągły, nieruchomy i zaczyna świecić. Wtedy dopiero jest do końca sobą. Zawsze taki był, tylko nikt o tym nie wiedział.

Bo to człowiek się zmienił, nie księżyc. Kiedy raz widziało się go w całości, to może wracać do swojego wąskiego kształtu, ale i tak się czuje, że jest okrągły. Że czegoś w nim brakuje.

Czy on także widzi ją tak jasno i do końca?

Przez cały dzień są sami i pracują nad książką. Słyszą, jak Tubbit, jak zawsze punktualny, stąpając ciężko przygotowuje im posiłki, a potem sprząta i wychodzi. I znów są sami, a Thorn wtedy siedzi pochylony nad długimi paskami papieru.

Całowała go i ścisnęła, odkąd pamięta... czy jest coś, czego nie wie o tych długich rzęsach albo o tej opuszczonej ku dołowi linii ust? Widziała go skulonego z zimna i rozebranego prawie do naga w upalne lato - żadna pozycja jego ciała, żaden ruch mięśni, żaden kąt zgięcia łokcia, kolana ani wąskiej dłoni nie są jej obce.

Więc kim jest, gdy Catherine nachyla się nad nim, żeby położyć usta na jego ustach, jej długie włosy zakrywają kartki, a on prostuje się i obejmuje ją ramieniem? Kto patrzy jego oczami, gdy ona otwiera swoje? Gdy Thora podnosi swoje długie rzęsy, w tych oczach mieszka ktoś nowy i dom dookoła nich jest tak obcy, jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

- Dobrze spałeś? - pyta ją co rano Tubbit. Catherine otwiera oczy, żeby odpowiedzieć, że tak, i pomiędzy tym samym co zwykle uśmiechem Tubbita a oknem

jadalni widzi dwoje niebieskich oczu. Ich spojrzenie zmienia pokój i twarz Tubbita staje się tak samo nieznajoma jak twarz wieśniaka z obrazu wiejskiej zabawy Bruegla.

- Tak - mówi. - Dzięki. A ty? - Ten powtarzany codziennie rytuał przywraca ją do rzeczywistości. Pokój, twarz Tubbita, oczy Thornia spoglądające teraz nie na nią, lecz w okno.

Ale kiedy kończą posiłek i Tubbit wychodzi, znowu zaczyna się milczenie. Kryje ono to, czego nie mówią słowa.

Catherine wystukuje na maszynie nazwisko wydawcy i zatrzymuje się - myśli tylko o Thornie. Jego sylwetka w pokoju za jej plecami jest skończoną wartością, tak jakby on był odpowiedzią na każde pytanie.

Thorn siedzi i czuje lekki, wiejący od okna wiatr, który mierzwi gęste włosy i porusza kartką papieru w jego ręku. Widząc wyraz jej oczu przestaje dyktować.

Pocałunki nie wystarczają Catherine. Leży w nocy zwinięta w kłębek i myśli, jak ma zacząć. Czy powinna i czy potrafi? O prezerwatywach, które będzie musiał zakładać. O samym akcie, który nie może być przecież... godny. Czy to możliwe, żeby tylko o to chodziło? Nie tak. Jak mogą to robić inni?

Topolami zaczyna targać ciężki od deszczu wiatr.

Catherine wstaje z łóżka i idzie do pokoju Thornia. Słysząc uderzenia kropel wody o szyby, jest ciemno i bezpiecznie. Thorn leży pogrążony we śnie.

Dotyka go. Jedyne zmiana w jego oddechu mówi, że on czuje jej głowę na swoim ramieniu, jej ciało obok swojego. Catherine podnosi się na łokciach, ściąga nocną koszulę, a potem znów wślizguje się pod kołdrę i natychmiast usypia; jak gdyby podjęła decyzję, żeby odpocząć.

Thorn nie śpi. Leży i patrzy, jak światło dnia, niczym mokre diamenty, przedostaje się powoli przez okno do pokoju i obserwuje, jak z mroku wyłania się śpiąca w jego ramionach dziewczyna z długimi włosami. Jej oddech delikatnie jak piórko łaskocze go w pierś.

Łóżko Thorna jest teraz centrum wszystkiego, sercem dwóch domów pośród topól i kopułą nieba nad rozchodzącymi się we wszystkich kierunkach drogami. Każdego ranka budzą ich ptaki, każdego ranka w sypialni Thorna powiewają w oknie zasłony i pachnie wiosną.

- Nie chcę go jeszcze zakładać - mówi Catherine słuchając świergotu ptaków.

- Nie chcesz go wcale założyć - mówi Thorn.

- Ale muszę. - Catherine starym gestem z okresu dzieciństwa zakręca na palcu kosmyk włosów. - Przyzwyczajam się do chodzenia bez ubrania.

- Nowe doświadczenie - mówi Thorn.

- Nowe doświadczenie. - Catherine skrzyła ciasno kosmyk włosów na palcu, a potem go puszcza. - Muszę próbować - mówi i siada. Jedną pierś ma zaróżowioną od długotrwałego przyciskania do jego ciała. - To jedna z ostatnich rzeczy, których mogę się jeszcze z tobą nauczyć. Jeśli potrafię.

Słońce odbija się od ścian sypialni i oświetla zarys jej opalonego ramienia i białej piersi oraz powoduje, że końce jej włosów wyglądają jak puch. Jej jasnoniebieskie oczy są, gdy patrzy na niego, smutne i nieruchome.

- Potem będziemy musieli wyjechać - mówi.

Catherine przesuwając ręką w dół po policzku Thorna, a potem po jego owłosionej piersi aż do biodra. Jego kość biodrowa jest tak różna od jej kości biodrowej, wygląda jak podskórna zbroja. Pochyla się i ukrywa twarz w ciepłym zagłębieniu jego szyi.

- Ale to nie wystarczy - mówi i przesuwając ustami po jego szyi w kierunku krtani.

Wiosenny wiatr przynosi ze sobą głosy dochodzące z podwórka jednego z nowych domów. Catherine czuje, jak Thorn stara się przełknąć ślinę.

- To znaczy nie będzie wystarczająco. Nawet jeśli potrafię i będziemy się kochać, to nie będzie... wystarczająco.

- No dobrze - mówi Thorn zdenerwowanym głosem do ocierających się futerkami o kostki jego nóg kotów. - No już dobrze. Ale dajcie mi przynajmniej nałożyć wam do misek - zejście z drogi.

Koty zjadają, a potem znów znikają w stodole, żeby przespać tam narastający upał. Po lunchu Catherine chodzi po domu. Wydaje jej się on zagracony. W szybie okienka w drzwiach wejściowych, jak zawsze po południu, powstaje tęcza.

Catherine przechodzi obok zegara słonecznego i dzwoni trzymanymi w ręce monetami. Przywołuje w pamięci trasy autobusów i zastanawia się, dokąd pojechać. Ekspedientki stoją za ladą w sklepach i obrzucają drogie rzeczy na półkach takim wzrokiem, jakby to one tam rządziły. W biurowcu General Motors siedzą rzędami - jedna za drugą - sekretarki i stukają na maszynach. Ten monotonny dźwięk wydaje się tam najważniejszą rzeczą.

Catherine odwraca się. Stodoła obserwuje ją, jak idzie. Jest pełna nie dokończonych przez nią „projektów”.

Jeśli pójdzie do biblioteki, będzie mogła siedzieć i czytać książki, poustawiane na półkach, od podłogi do sufitu, jak skarby w jaskini Ali Baby. Tam siedzą przy swoich biurkach - w powodzi przedzierających się przez kurz promieni słonecznych - bibliotekarki.

Tubbit jest w ogrodzie i wyrywa cebulę; wśród liści połyskuje biel jego fartucha. Mówi jej, że na kolację będą mieli kurczaka. I ciasto czekoladowe.

- Northlawn - czyta Catherine na pierwszej tabliczce z nazwą ulicy.

Jakaś kobieta na jednym z podwórek przy końcu nowego, białego chodnika rozwiesza pranie. Ma na sobie marszczony, różowy fartuch, a w jej cieniu chodzi kot. Catherine czuje zapach gotowania.

- Be-ti! - krzyczy ktoś obok. - Chodź tu zaraz, Be-ti!

Jest upał, ale ona i tak włożyła spodnie. Na Livernois przesiada się w inny autobus i przypomina sobie, gdzie ma wysiąść, żeby dostać się do czynszówek na Brush Street.

- Gdzie ty się podziewałaś? - woła Jemmie i cofa do środka swoje czarne cielsko, żeby wpuścić Catherine do środka. - Strasznie dawno cię tu nie było! - Przygląda się dokładnie Catherine swoimi pięknymi, czekoladowobrazowymi oczami i połyskuje w uśmiechu bielą zębów. - Miałaś kłopoty? Usiądź, zrobię ci kawy.

- Nie, nic mi nie jest - Catherine zakłada włosy za uszy i siada przy stole. - Co słyszeć u Audrey? A u Basetta?

- Rosną jak na drożdżach, tak jak ty. Założę się, że żadnego z nich byś nie poznała. - Jemie stawia na stole przed Catherine filiżankę kawy. - Szkoda, że nie mamy lodu.

Catherine popija gorący napój. Jemie znów na nią patrzy, zastanawia się przez moment, a potem w milczeniu upija łyk kawy.

- Doroślejesz - odzywa się w końcu Jemie. Ich długotrwała znajomość powoduje, że czuje się swobodnie; poprawia się na krześle i przygląda się Catherine. - Musisz zacząć dbać o siebie, dziewczyno. Za chwilę pojawi się jakiś miły, młody człowiek i musisz być gotowa.

Słysząc, jak ogromne stopy pokonują po trzy schodki na raz i w pokoju pojawia się Basett. Catherine mówi, że nigdy by go nie poznała i Jemie się śmieje.

- Uczta dla oczu, no nie? - mówi do Catherine.

Basett podciąga modne spodnie, przygląda już gładko przyczesane włosy i chodzi przez chwilę po pokoju. Potem podchodzi do Jemie i uśmiecha się.

- Czego chcesz? - pyta Jemie. Patrzy na niego i zaczyna chichotać. - No, weź już sobie.

- Zabieram Sally do kina - mruczy Basett pod nosem szukając za pojemnikiem na pieczywo portmonetki Jemie. - Będę w domu koło dziesiątej, mamusku.

Na schodach słysząc łoskot, to Basett zbiega po nich w dół. Jemie zerka na Catherine.

- Stroszy pióra jak młody kogut. Mówiłam ci, że wyrósł jak na drożdżach. A wiesz, co przydarzyło się George'owi Anny?

Catherine musi wysłuchać teraz najnowszych plotek i różnych, upiększanych od ciągłego powtarzania w upalne noce na stopniach schodów na Brush Street, historii. Młodsze dzieci bawią się w tym czasie zwykle pod latarniami, a młodzież bierze wcześniej parę groszy i gdzieś idzie. Na ścianę pokoju padają gorące promienie słońca, a przez otwarte okna dochodzi odgłos ulicznego gwaru, wdziera się woń smoły i smażonego tłuszczu.

- O, idzie Audrey - mówi Jemie. - Ma dobrą pracę, sprząta pokoje w hotelu Crown. Naprawdę świetna praca. - Drzwi najpierw lekko się uchylają, a potem otwierają szerzej i staje w nich młoda kobieta, a za nią młody mężczyzna. - Audrey? -

mówi Jemmie jakimś niewyraźnym tonem. Audrey szybko się wycofuje i odwraca, a młody mężczyzna zbiega w dół po schodach stukając obcasami, zanim Jemmie zdążyła podnieść się z krzesła. - Audrey!

Audrey wchodzi i zamyka za sobą drzwi.

- Catherine! - woła.

Audrey jako mała dziewczynka była pulchna, miała mysi ogonek i biła wszystkich chłopaków w okolicy. Teraz jest wysoka, chuda, wygląda na bardzo zmęczoną i jest na tyle dorosła, że wytrzymuje spojrzenie matki i nie ucieka wzrokiem.

Jemmie patrzy na nią.

- Ten Everett Polk znów odprowadza cię do domu?

- Mam teraz dobrą pracę - mówi Audrey, potrząsa dzbankiem z kawą i nalewa sobie filiżankę. - Powiedziała ci mama? W hotelu Crown. Dostaję napiwki.

- Ten Everett Polk...

- Muszę się czasem trochę zabawić, prawda? - mówi Audrey nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Cały dzień pracuję i należy mi się jakaś rozrywka.

- Będiesz miała rozrywkę, jak nie będziesz uważać, zobaczysz - mówi Jemmie.

- Jak masz znaleźć jakiegoś miłego, młodego człowieka, jeśli...

- Takiego jak ty znalazłaś, mamusiu, co? - mówi Audrey popijając kawę. - Takiego jak ty?

- To był mężczyzna! - woła Jemmie patrząc wyzywająco na córkę. -

Najładniejszy mężczyzna na świecie!

- Everett też nie jest najbrzydszy - mówi Audrey z dumną miną. - Gdybyś zobaczyła, jaki jest zręczny albo jak tańczy, mówię ci!

Jemmie pokazuje w uśmiechu białe zęby, oczy jej się błyszczą.

- Całkiem jak matka! - mówi do Catherine. - Lubi ładnych chłopców, całkiem jak jej matka!

- No pewnie! - Audrey też się śmieje i wzrusza ramionami. - Zarabiam i mogę się trochę zabawić. Daję mu tylko tyle, żeby potańczył i trochę wypił, nie więcej!

- Ma miękkie serce dla mężczyzn. - Jemmie aż kipi z dumy wciąż nie przestając chichotać. - Trzymaj się tylko pracy, a wszystko będzie dobrze.

- Jasne, mamusku - mówi Audrey mrużąc w uśmiechu oczy. Opiera na stole łokcie i tak szeroko rozstawia kolana, że sukienka opina jej kościste biodra. - Załatw mi jakieś mieszkanie - mówi do zadowolonej czarnej twarzy po drugiej stronie stołu.

- Jasne - mówi Jemie.

W ulicznym żarze ryczą i sapią z wysiłku autobusy.

- Mamo! - woła jakieś dziecko i gdzieś z trzaskiem otwiera się okno. Wysoko ponad ulicznym zgiełkiem wrzeszczą coś do siebie i swoich dzieci dwie kobiety. Catherine wsłuchuje się i przypomina sobie śnieg, filiżankę czekolady i niemowlęta w koszach na bieliznę pod ścianą.

- Musisz coś ze sobą zrobić, dziecko - mówi Jemie. Catherine odwraca się i widzi, że obydwie na nią patrzą. Jemie wygładza fartuch i spogląda na Audrey.

- Taaa - mówi Audrey. - Może obetnij włosy. I zakręć. Powinno ci być ładnie.

- Musisz ładnie wyglądać, kochaniutka. Spotkasz jakiegoś młodego człowieka, wyjdiesz za niego za mąż, będziecie mieli ładny dom...

- Może trochę szminki. - Audrey zerka na Catherine ponad kościstymi palcami.

- A ty lubisz się malować? - pyta Catherine.

Patrzą na nią obydwie i Jemie zaczyna trząść się ze śmiechu. Audrey też się śmieje.

Catherine podnosi się, żeby wyjść.

- Jasne - mówi do niej Audrey. - Jasne, że lubię. Zobaczysz, że jak się zrobisz, to mężczyźni będą przed tobą klękać z zachwytem! Tak będziesz wyglądać! - klepie Catherine po ramieniu w otwartych drzwiach.

- Dzięki za kawę. - Catherine słyszy, jak słowa pożegnania biegną za nią w dół, po wąskich schodach. Potem drzwi się zamykają i śmiech ucicha.

Ufff, ale upał. Tubbit wyciera czoło pochyłony nad deską do prasowania i patrzy na Catherine w ogrodzie. Catherine nic nie robi, chodzi tylko i patrzy. Jest taka opalona, a przecież nie zaczął się jeszcze nawet lipiec. Przez cały dzień włości się bez celu. Pewnie myśli o college'u i o wyjeździe Wade'a do Francji. Powinna jednak więcej jeść.

Włości się po domu całymi dniami z kąta w kąt. A teraz gdzie znów idzie? Tubbit patrzy, jak Catherine rusza zwirowaną drogą. Pewnie idzie do kina. Niedługo zaczyna się poranek. Jeśli teraz obierze jabłka na szarlotkę, to w tym czasie wyschnie pranie. Myśli o tym, jak zostanie tutaj sam i będzie musiał dbać o dwa domy. Są gorsze zajęcia.

Poszła do kina. Kiedy wcale nie wygląda, żeby lubiła kino. Przychodzi potem do domu, rozmawia z Wade'em, złości się na niego, a potem czasami zaczynają się śmiać. Śmieją się z wielu rzeczy, w których wcale nie ma nic śmiesznego. Albo Wade opowiada jej, jak wychowywał się z dwiema dziewczynkami w jakimś mieście we Francji, gdzie znajdowała się kopalnia. O niewidocznych murach, o tym jak zostawiały dla niego różne dobre rzeczy i jak jego matka zarabiała na życie jako pielęgniarka - przechodząc obok nich z talerzami tam i z powrotem słyszy się różne rzeczy.

Ale kino jest po to, żeby człowiek się rozerwał.

Autobus ściga się wśród pól z rzucanymi przez chmury na drogę cieniami. Catherine musi wysiąść na przystanku przy sklepie, przed którym wystają chłopcy. Ma na sobie spodnie i długie włosy opadają jej na twarz, ale oni i tak odprowadzają ją gwizdami do kasy. Catherine zabiera resztę i wchodzi do przesiąkniętej zapachem kurzu i prażonej kukurydzy sali kinowej.

Widownia składa się w sobotnie popołudnie głównie z par, rozsianych po sali niczym wyspy wśród morza oparć pustych siedzeń. Ich twarze, tak jak ekran, to rozświetlają się, to zapadają w mrok.

- Przestańcie! - powtarza wciąż siedząca przed Catherine dziewczyna do kilku siedzących obok niej, podobnych do niej dziewcząt, które ćwiczą na fotelach skłony.

Filmy były dwa, więc gdy Catherine wychodzi z kina mrużąc oczy od światła, nie jest już tak upalnie.

- Czego chcesz? - pyta długonogiego chłopaka, który siedzi rozparty na schodach sklepu, przy przystanku.

- Czego ja chcę, kotku... Catherine przerywa mu:

- To ty gwizdałeś?

- No, Arnie - mówi inny chłopak - czego chcesz od tej damy? Powiedz jej, Arnie.

- No! - mówią chórem inni chłopcy. - Powiedz jej, Arnie!

- Nie znam was - mówi Catherine.

Chłopcy przyglądają jej się. Arnie odchyła do tyłu głowę i obrzuca Catherine uważnym spojrzeniem.

- Ależ znasz Arniego, ślicznotko. A może się umówimy? Chłopcy popierają go krzykiem.

- Dlaczego gwizdałeś? - pyta Catherine.

Arnie patrzy na innych, a potem wytrzeszcza na nią oczy i robi miny.

- Ponieważ masz duże... niebieskie oczy, dziecinko!

Śmiech, który się rozlega, uderza Catherine jak gorące powietrze.

- Całowałaś się kiedy po francusku? - pyta któryś z chłopaków i chowa się natychmiast za innych.

- Tyły też ma niezłe!

Obok przechodzą, obejmując się w pół, wracające z kina dwie dziewczyny. Zadzierają do góry głowy i udają, że nie słyszą gwizdów i zaczepk. Catherine biegnie w kierunku czekającego przed sklepem z używanymi rzeczami, autobusu.

Mężczyźni w autobusie wyglądają jak ci z kina, ale kobiety nie. Większość z nich, choć jest upał, nosi kapelusze i rękawiczki, a dziewczyny mają zmarszczki i wyglądają na zmęczone i znudzone.

Jest tak gorąco, że Catherine podnosi się z miejsca i staje obok kierowcy, gdzie podmuch wiatru z otwartego okna chłodzi jej rozgrzaną twarz. Z przydrożnej reklamy

uśmiecha się do niej filmowym uśmiechem pani Eugene du Pont III. („Pory na mojej twarzy są teraz dużo drobniejsze, a moja skóra czystsza i jaśniejsza” - głosi napis pod jej zdjęciem.) Dwie kobiety na innej reklamie nie uśmiechają się. („Mary jest bardzo dbającą matką” - głosi napis w jednym z dymków ponad ich głowami. „Nie zawsze papier toaletowy w jej łazience jest okropny” - głosi drugi.)

Catherine wysiada na przystanku Seven Mile i gdy cichnie odgłos autobusu, słyszy śpiew skowronka nad polami. Morze wysokiej zielonej trawy, rosnącej pomiędzy nowymi domami i wzdłuż topolowej alei, marszczy się na wietrze. Tubbita nie ma w kuchni, a Thorn jest w swoim gabinecie. Catherine obejmuje go, a on, tak jak zawsze to robił, wstaje, patrzy na nią i czeka. Obserwuje, jak Catherine odwraca się od niego z zaciętym wyrazem twarzy. - Jak było w kinie? - pyta i w odpowiedzi słyszy tylko jakiś obraźliwy dźwięk.

- Dobrze się bawiłaś w kinie? - pyta przy kolacji Tubbit. Catherine nie zjadła wiele, Wade też. Może to z powodu upału. Tubbit wnosi szarlotkę.

- Ojej! - Catherine rozjaśniają się oczy, śmieje się. - Tak jak zawsze. Kobiety rozbijają się po ulicach samochodami i mają różne problemy z urzędem miejskim albo z konkurencyjną mafią. Może to jakaś zasada, może muszą się trzymać jakiejś zasady. A mężczyźni zmieniają stroje, malują się i czekają na nie albo odwiedzają je w więzieniach.

- To chyba jakiś film gangsterski - mówi Tubbit.

- A drugi był o mężczyznach, którzy starają się dostać na scenę. Niektórym, rzecz jasna, chodzi tylko o to, żeby wziąć ślub. Jeden z nich dostaje w końcu rolę. I w końcu dziewczyny dostrzegają tych mężczyzn i całują się z nimi, i to jest koniec.

- Czy któreś z was chce lody do szarlotki? - pyta Tubbit.

- Ja chcę - mówi śmiesznym, ciekim głosem Catherine.

- Pan też? - pyta Tubbit Thorna.

- Też - mówi Thorn. - Muszę się ochłodzić.

Po wyjściu Tubbita Catherine zaczyna się śmiać. Gdy Tubbit wraca, obojga nie ma już w jadalni, a ich śmiech dolatuje z góry. Tubbit podchodzi do podestu schodów i krzyczy:

- Hej tam, zjeźdźcie na dół, bo się roztopią!

Lody nie zdołały ich ochłodzić. Słońce znajduje się teraz niżej i w nowych domach zaledwie kilka ulic od nich, tam gdzie kiedyś nie było nic poza polami, zaczynają pojawiać się światła. Liście topól poruszają się i światła migoczą.

Po kolacji Catherine idzie się przejść. Próbuje sobie przypomnieć, w którym miejscu stały małe domki, których strzegły psy. Kobiety rozwieszały w nich pranie, woda ściekała na wyłożone gazetami podłogi, a one podawały sobie, ponad główkami leżących na ich kolanach niemowląt, butelkę whisky. Teraz wzdłuż ulic stoją nowe domy, a mężczyźni w koszulkach bez rękawów podlewają trawniki przed nimi.

Dwie małe dziewczynki grają pod latarnią na chodniku w klasy. Z werand pobliskich domów dobiegają kobiece głosy. Rozmowa jest bezładna i odmierza ją, rozlegający się w równych odstępach czasu, pisk rozwieszanej na werandzie huśtawki. Niegdyś rosła tu wysoka trawa, słychać było w niej brzęczenie owadów, pod wiązami rozlegało się cykanie cykad i jak okiem sięgnąć panowała nieprzenikniona ciemność. Czasami biegła całymi kilometrami ścigając księżyc, innym razem nie spała całą noc, czekając na brzask.

Dziewczynki rozpostarły w koło spódnice i podkurczyły pod siebie gołe nogi tak, że w środku utworzył się romb, i grają w ciupy. Jakieś małe dziecko obserwuje je i stara się jednocześnie wsadzić butelkę w otwarte usta gumowej lalki.

Na niebie są te same gwiazdy, co kiedyś, Catherine wciąż pamięta imiona bogów i zwierząt, którymi nazwano zarys pajęczyny rozciągniętej pomiędzy dwoma światełkami. Twarz martwego mężczyzny, jakby narysowana kredą na tablicy, i siatkę, która powstrzymuje cię przed upadkiem w otchłań.

Gdy z mroku wychodzi Catherine, brzęk kamyków o beton ustaje na chwilę.

- Cześć - mówi Catherine.

- Cześć - odpowiada obojętnie mała dziewczynka, odgarniając z twarzy zwinięte w rurki włosy.

Tu gdzie teraz stoją ostatnie nowe domy i tabliczka z napisem „Northlawn”, rosły kiedyś sumaki. Catherine ułożyła wtedy między sumakami stertę śniegu wyższą od siebie, aż spociła się z gorąca, a potem przynosiła z domu i wylewała na śnieg wodę tak długo, aż powstała szklana góra. Zrobiła w tej górze drzwi, a w środku wygrzebała rękami jamę, dysząc przy tym jak parowóz. W końcu usiadła w ciemności

w swojej jaskini i czuła, jak coraz bliżej podpełza do niej chłód, aż przyszedł Tubbit i nakrzyczał na nią. Thorn mówił potem do niego:

- Nic jej nie jest, zbudowała sobie tylko igloo jak Eskimos.

Domy z lodu. Latem szalały. Dziury w ziemi przykryte deskami i darnią tak, że nawet Thorn nie mógł jej znaleźć. Siedziała tam w ukryciu całymi dniami zakradając się tylko od czasu do czasu do domu, żeby zostawić na kuchennym stole kartkę, że żyje i... jak myśli Tubbit, gdzie się podział jego placek z wiśniami? Budowała swoje domy wciąż dalej i dalej od widocznych poprzez liście topoli dachów, aż pewnego dnia usnęła samotna i przerażona, bo nie widziała już wcale domu.

Catherine wychodzi z kręgu światła rzucanego przez latarnię i znika w mroku. Odwraca się i widzi, że dziewczynki z nastroszonymi kokardami i nastawionymi uszami patrzą za nią obojętnym wzrokiem. W miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się jej kryjówka, teraz stoi dom i przez otwarte okna słychać dźwięki muzyki z radia. Wysoko w górze leci samolot; pilot kieruje go ku ledwie widocznemu na zachodzie światełku.

- Jeanie! - woła jakaś kobieta z miejsca, gdzie kiedyś rosły sumaki i skąd rozpościerały się we wszystkich kierunkach kilometry rozkołysanej trawy... - Chodź do domu - czas do łóżka!

„Northlawn”. Ostatnia tabliczka z nazwą ulicy. Gdy Tubbit z Thornem przywieźli ją tutaj samochodem, ich dwa domy były jak samotna, zacieniona wyspa w morzu trawy.

Żwir chrzęści jej pod stopami, a sumaki wyciągają do niej z ciemności gałęzie. Zaparkowali na porośniętej chwastami ścieżce, nie opodal zegara słonecznego, opowiadał jej kiedyś Tubbit. Przed domem nie było wtedy nic, tylko pole skoszonej trawy.

Na tle ledwie widocznego zarysu ściany drżą liście topoli. Samotna wyspa. Na tej wyspie jest dom. A w domu Thorn. Catherine zatrzymuje się obok zegara słonecznego i odwraca się. Obserwuje w czystym, gorącym ciągle powietrzu podchodzące coraz bliżej od południa i od północy światła, półkola świateł, z których dochodzą głosy, warkot samochodów, szczekanie psów i odgłos uderzeń młota.

Catherine zamyka oczy, odwraca się i biegnie w innym kierunku, tam skąd dochodzi szmer wody: to Tubbit zrasza trawę w ogrodzie. Catherine zrzuca sandały i wbiega pod zimną wodę. Czuje się wspaniale.

Biegnie do domu i krzyczy z podestu schodów:

- Thorn, chodź tu!

W domu wciąż jest gorąco. Thorn staje na szczycie schodów, zawinięte do kolan spodnie opadają mu na biodra.

- Chodź na dwór pod zraszacz! - mówi Catherine mijając go. Ściąga po drodze koszulę, zrzuca spodnie i przewraca wszystko w szafie w poszukiwaniu kostiumu kąpielowego. Światło padające z korytarza oświetla jej ciało, gdy wciąga na siebie obcisły kostium i zawiązuje tasiemki. Za chwilę znów jest w korytarzu i ciągnie go wzdłuż różanych tapet, w dół po schodach.

Skaczą, trzymając się za ręce, przez syczące koło, albo stoją, przywierając do siebie ciasno, obok obracającej się z sykiem podwójnej dyszy zraszacza. Usta mają otwarte, oczy zamknięte i trzęsąc się z trudem łapią powietrze.

Co tam się dzieje? Tubbit odsuwa zasłonkę w kuchennym oknie. Weszli pod zraszacz. Nic dziwnego, jest tak gorąco. Powinni przestawić zraszacz - twardo im jest tak skakać po trawie.

- Przestawcie, od czasu do czasu, ten zraszacz! - woła, ale nie wie, czy go słyszą wśród tego zgiełku. Zupełnie jak dzieci, a przecież tylko jedno z nich jest dzieckiem.

Sycząca ściana wody oddziela ich od całej reszty: gwiazd, domów, ogrodu. Zmieszana z błotem trawa przylepia im się do stóp, w przerwach pomiędzy kolejnymi strumieniami wystrzeliwującej ze zraszacza wody, po ich skórze spływają srebrzyste wężyki wody. Drżą i oddychają ciężko, a strumienie wody jak tańczące szable budują dokoła o centymetry od nagiej skóry, mur pomiędzy nimi a latem, wlewają im się do otwartych szeroko ust.

Zimno. Przemarzli do kości. Wychodzą spod wody do gorącego ogrodu i zawijają się w ciepłe, wełniane koce pachnące różami, liśćmi tytoniu i wilgotną ziemią. Tak bardzo łakną ciepła i czegoś suchego, jakby przemokli zimą na deszczu albo wpadli pod lód. Dzwoniąc zębami znajdują w łazience na górze ręczniki i

rozwieszają nad wanną ociekające wodą ubrania. Wycierają się wzajemnie, rozrzucając po podłodze kawałki trawy ze świeżo skoszonego trawnika.

Musi się zdecydować. To wszystko jej nie wystarcza. Nie wystarczają jej zimne pocałunki i dotyk zimnej skóry, która robi się ciepła, gdy dotyka jej ręką.

Musi się zdecydować. Pokój Thorna pogrążony jest w ciemności, lecz ona wie co robić. Boi się, ale musi podjąć decyzję.

- Czy to już wszystko? - pyta go, ale czuje ból, więc pyta dalej: - Czy to jest to właśnie?

I wie, że tak. Tak samo jak wie, że to właśnie jest księżyc. Dlaczego nie mieliby oboje płakać?

Ale przecież to jest zabawne, więc zaczynają się śmiać.

11

Thorn budzi się o brzasku. Catherine śpi w jego ramionach, długie włosy podobne do jedwabistych włosów Janet ma poplątane. Śniło mu się, że Marta i Claire szepczą do niego: - Chodź! Spiesz się, bo mama się obudzi!

Była jesień, słońce jeszcze nie wyszło, a on był taki malutki i miał takie krótkie nóżki; Marta i Claire musiały go nieść po wybrukowanej ulicy.

Gdy dotarli do buczyny, poczuli gorzką woń wilgotnego od pierwszego przymrozku drewna. Posuwali się na czworakach napychając sobie kieszenie i torby orzeszkami z drzew, których właściciel spał sobie spokojnie w pogrążonym w ciemności domu. Fasada tego domu stawała się coraz bardziej widoczna w nadchodzącym brzasku i wyglądała, jak odwracająca się w ich kierunku twarz.

- Obmyj sobie w korycie stopy, zanim ktoś je zobaczy! - Zrobił to, po czym zimny jak sopel lodu wszedł do łóżka pomiędzy dwie dziewczynki, żeby odtajać. Ich ciała pachniały wiatrem i leśnym poszyciem. Zakopane obok tylnego wejścia chrupkie i oleiste orzeszki miały smak wyzwania i niebezpieczeństwa.

Pojechać do Francji. Nic już mu nie zwróci tych naznaczonych dziewczęcym mysim ogonkiem przygód, grzebania w ziemi w poszukiwaniu grzybów, łąk pełnych

kwiatów, ani napychania umazanych dookoła na czerwono ust jagodami. Tak było aż do momentu, gdy zaczęły czyścić buty i nosić halki. Ścigające je spojrzenia chłopców w niedzielę przed kościołem. Mycie poczerniałych od dymu lamp. Gdy przekonały się, że wyjeżdża na dobre, głos im się łamał i unikały jego wzroku.

Zaczynają śpiewać ptaki. Thorn przygląda włosy Catherine, wilgotne kosmyki lepią jej się do twarzy. Patrzy na swoją dużą rękę: u nasady kciuka pojawia mu się siateczka zmarszczek. Catherine dotyka swoją drobną dłonią jego piersi. Gdyby od wieków wybierano panny młode tylko te najmłodsze - jak wielki byłby tłum starych panien?

Jej dzieciństwo to był bezmiar pól i pragnienie. Czy teraz znajdzie się w wąskim tunelu? Zapach słońca i kurzu. Krakanie gawronów. Jeśli nawet Catherine nie wygra, to przynajmniej będzie wiedzieć. Słyszy głos Janet i szelest słomy w stodole. Był młody, na jego dłoniach nie było zmarszczek, nie znał ułomności.

Uwalnia ramię, odsuwa się od Catherine i siada na krawędzi łóżka. Chłodne powietrze tańczy po jego nagiej skórze. Drobne piersi Catherine leżą przyciśnięte jej ramieniem; pierwsze promienie światła oświetlają zarys jej twarzy, małżowiny uszu, jej ręki i naciągniętej na kolanie skóry. Nawet we śnie jest czujna: jej jestestwo unosi się nad nią uzbrojone jak Pallas Atena, nawet przeciwko niemu. Zbliżała się do niego stopniowo, krok po kroku... krwawiła i cierpiała z własnego wyboru, poznając go. Będzie wiedziała już, czym to jest i czym to nie jest, a on dla niej będzie tym doświadczeniem. Na gałązce za oknem śpiewa kos, powietrze przesiąknięte jest wilgocią.

Catherine na wpół przebudzona wzdycha, szuka po omacku prześcieradła, przyzwyczajona do spania samotnie, poprawia je na łóżku. Jej nagie ramiona, gdy odrzuca je ponad głowę, wyglądają jak skrzydła, włosy spadają falami na plecy. Jeśliby nawet była niema, ciało jej i tak dobrze wyrażało potrzebę powściągliwości i szacunku dla siebie, tak jak w tym wierszu Rilkego o wyrzeźbionym popiersiu: „wyłamujesz się z wszelkich granic, jak gwiazda. I jak ona, widzialna w każdym miejscu nieboskłonu, musisz ciągle zmieniać swoje życie" *.

* Urywek z wiersza Rainera Marii Rilkego „*Starożytny tors Apolla*” - tłumaczenie angielskie M.D. Herter Norton; tłumaczenie polskie - Małgorzata Czartoszewska.

Na poduszce leży źdźbło trawy, a na prześcieradle drugie. Thorn bierze je w palce i patrzy jak na oczach się rozkruszają. Co zrobić, żeby tak ciągle nie poszukiwać? Żeby być mądrym, odważnym i zdecydowanym nie doznawać porażek. Żeby podskakiwać z radości, uśmiechać się i modnie się ubierać. Trzymać się kurczowo innych. Być łagodnym, uroczym i przebiegłym.

- Nie! - mówi do niego Catherine. Obraca go przodem do siebie i kłękając obejmuje go. - Nie martw się - nie przejmuję się tak bardzo przyszłością, jak na to wyglądam. Jestem szczęśliwa, spójrz! - Wyskakuje z łóżka i oświetlona pierwszymi promieniami słońca, ciągnie go za sobą obok fotela o owalnym zagłówku. Siedzi na nim przez moment jak skulone dziecko i w zamyśleniu skręca na palcu lok.

W lustrze, na drzwiach jego skrzypiącej szafy, widać odbicie dwóch pełnych powagi twarzy. Dwa nagie ciała, lekko zielonkawe od przeświecającego przez młode liście za oknem światła, są tak samo wyraziste jak i twarze.

- Jesteśmy tacy sami - mówi Catherine. - Nic się nie zmieniło. Nie jest tak, jak śpiewają we wszystkich piosenkach i pokazują na filmach. Ale jest przyjemnie i lubię to, chociaż człowiek się do tego przyzwyczaja. - Trzyma go mocno i patrzy mu w oczy. - Musiałam to wiedzieć, prawda? Ty miałeś zaledwie szesnaście lat, kiedy zacząłeś! - Przyciąga go leciutko do siebie, żeby go pocałować, i powtarza półgłosem, że go kocha.

- To tylko miłość - mówi Catherine i wypuszcza go z objęć. Naga i piękna jak posąg nachyla się w kierunku lustra. A gdyby tak Pigmalion, po wyrzeźbieniu Galatei, stał i przyglądał się, jak rzeźba rozpada się na kawałki? - Widzisz jaka jestem zielona? - pyta Catherine. Przeświecające przez liście światło powoduje, że skąpana w nim, wygląda jakby znajdowała się pod wodą. - Poczekaj, jak wrócisz. - Naburmuszona pochyła się nad lustrem, jej piersi, twarde i zielone, lekko się wydłużają i spływają po nich włosy. - Gąsienica! - mówi do swojego odbicia w lustrze.

Nadchodzi lipiec. Dni mijają im ciężkie od liści i deszczu i od tej siły, która trzyma ich razem w mroku i przy świetle dziennym na szczycie schodów, w ciemnej stodole i w głębokiej trawie. Czy spróbowała wszystkiego, co jest do spróbowania? pyta Catherine ciągnąc za sobą na dół po schodach, do chłodnego salonu, prześcieradło. Leżą w ciemności obok smukłego chińskiego wazonu i słuchają dochodzących z zewnątrz odgłosów nocy. Catherine wydaje się, że Chińczyk z wazonu, z dzbankiem herbaty i filiżanką w rękach, przygląda im się ze swojego okrągłego okna.

- A jeśli ludzie nie znają się wzajemnie, tak jak my się znamy, co wtedy? - pyta Catherine.

Z ciemności za oknem dochodzą odgłosy uderzeń o siebie chitynowych pancerzyków, zgrzytu blaszek, okrywy skrzydełek i odnóży, aż to wszystko, co powtarza wciąż od nowa chór owadów, wchłonie warkot samochodów na ulicy Seven Mile.

- Jestem taka szczęśliwa, i ty też - mruczy Catherine Thornowi do ucha. - I bezpieczna. W tym cały kłopot. - Przez zasłonę, którą tworzy brzęczenie owadów, wdziera się do salonu i podkreśla jej słowa wycie ciężarówka. Thorn wyciąga rękę i dotyka po omacku jej smukłego uda, a potem piersi.

Catherine śmieje się i łaskocze go, a gdy on wyciąga po nią rękę, najpierw znika za wazonem, a potem przemyka obok połyskującego nad kominkiem lustro. Na podłodze w korytarzu słychać szmer jej bosych stóp. Dosięga ją w kuchni, podnosi do góry całując i drażniąc się z nią, mruczy jej do ucha jakieś głupstwa ze wspólnie przeczytanych książek i znanych obojgu kawałów. I kołyszą się tak razem, mężczyzna i dziecko, na zmianę: to płacząc, to parszcząc ze śmiechu.

- Dość już! - prosi w końcu Catherine. - Brzuch mnie boli od śmiechu i strasznie chce mi się pić. - Chichocze jednak w dalszym ciągu z twarzą przytuloną do jego piersi, która aż wibruje od jej śmiechu. Thorn odchyła jej głowę do tyłu, zwija jej włosy w węzeł jedną ręką, a drugą odkręca kran. Woda jest wspaniała, taka zimna;

Catherine wciąga pod stary, mosiężny kran także jego głowę. Gdy całują się, ich usta są zimne.

O siódmej rano Catherine patrzy na mosiężny kran, jak błyszczy w słońcu, gdy Tubbit odkręca go, żeby nalać do czajnika wody na herbatę.

- Lato będzie upalne - mówi uderzając dłonią w pokrywkę czajnika. Słyszy, jak Wade schodzi na dół. - Grzanki - mówi wręczając Catherine talerz.

Thorn nie podnosi wzroku, gdy Catherine stawia przed nim na stole talerz. Tubbit jest w kuchni.

- Picie kawy to tak jak uczenie się - mówi miękko Catherine, po czym siada i upija łyk kawy. - Uzależniasz się od tego. Przyzwyczajasz się. - Uśmiecha się do Thorn, ale on nie odpowiada jej uśmiechem.

- Już jest trzydzieści stopni w cieniu - mówi Tubbit wnosząc jajka. - A nie ma jeszcze ósmej.

Thorn stara się przełknąć kawałek grzanki. Nie chce rozmawiać, ani na nikogo patrzeć. O Boże. Wspomnienie brzasku wraca... zaledwie kilka godzin temu... chociaż nie chce o tym myśleć; ani o śpiewie ptaków, ani o śnie, ani o tym, jak dotykał Catherine. Popija grzankę kawą i udaje mu się ją przełknąć. Nie, nie dla Catherine. Była mniejsza niż on, czy o to chodziło? I była jego; na ten krótki moment nim się zatrzymał, przebudziwszy się w końcu. O Boże.

- Trzydzieści. Właśnie sprawdziłem - mówi Tubbit.

Dziewczyna, której dotykał, to nie była Catherine. Catherine siedzi naprzeciwko niego i smaruje masłem grzankę, a jej włosy błyszczą w słońcu. Ta dziewczyna była mniejsza i chciała, żeby ją zdobył, chciała stać się jego łupem. Gdy się obudził, zobaczył, że to Catherine.

Catherine nakłada na grzankę marmoladę i patrzy spokojnie na Tubbita.

- Jesz marmoladę z grzanką, czy grzankę z marmoladą? - pyta ją, uśmiechając się, Tubbit.

- Grzankę z marmoladą - jeśli to twoja marmolada! - mówi Catherine i Tubbit się śmieje.

Dziewczęta na pocztówkach pokazywały pupy w krótkich spodenkach z taką miną, jakby rzucały wyzwanie - oglądała te pocztówki, jak była mała. Nie widziała

nigdy, żeby robiła tak którakolwiek z dziewcząt, które znała. Chłopcy chichotali między sobą i pokazywali je sobie palcami. Kartki miały ośle uszy i nikt się nie dziwił, że mężczyźni je oglądali.

- Trzydzieści stopni - mówi Tubbit i wychodzi.

Catherine wiedziała, zanim jeszcze się obudziła, że coś jest nie tak. Wyniosłość. Chęć górowania.

- Nie - mruknęła sennie.

Thorn patrzy, jak Catherine rozbija i starannie obiera białą skorupkę jajka.

Udaje mu się przełknąć jeszcze jeden kęs.

- Nie - powiedziała.

Catherine patrzy spokojnie, jak Tubbit wychodzi, i udaje jej się uchwycić spojrzeniem wzrok Thorn'a, zanim ten zdąży uciec.

13

Jest ostatni dzień sierpnia. Thorn ucina sobie w gabinecie po obiedzie drzemkę. Gorący wiatr powiewa liśćmi drzew nad dachem jego domu, a słońce opuszcza się nad horyzont i spotyka tam czarne chmury.

Catherine klęczy przy łóżku Thorn'a i przeczesuje palcami jego gęste włosy.

- Czuję się taka mała... - mówi. - Nie... to nie to. - Kładzie się obok niego; jej oczy są tak blisko, że Thorn widzi w nich różne odcienie błękitu. - Czuję się... taka nieważna.

Chłodne powietrze z wentylatora omiata w równych odstępach czasu ich nagie ciała.

- Tylko wtedy człowiek czuje się ważny, gdy mówi o miłości. - Catherine wtula twarz w jego ramię i jej głos jest zduszony. - Albo jak się ma dzieci. Ale niekoniecznie. Dzieci tak naprawdę się nie liczą.

Thorn nic nie mówi; Catherine leży nieruchomo. Wiatr ustał, liście wiszą na drzewach bez ruchu.

- Nie zauważyłam nigdy w warsztacie kogoś, kto interesowałby się tak jak ja przekładnikami - mówi w końcu Catherine. - Nikt tak nie wypytywał o wszystko w szpitalu, gdy go odwiedziłam, jak ja.

Słysząc jakby przetaczanie się beczek po dachu - to rozlega się pierwszy grzmot. Słońce chowa się za chmury.

- Czujesz się, jakbyś coś stracił, albo... - Catherine siada na łóżku. - Tak jakby ci coś zabrano i ty nawet tego nie zauważyłeś. W dalszym ciągu myślisz, że coś potrafisz... - Jeszcze jeden grzmot i następna błyskawica. - Nikt nie mówi, że nie potrafisz. Nie muszą tego mówić.

Wokół nich pociemniało i kontury przedmiotów zrobiłyby się zamazane jak na starych fotografiach.

- Dlatego uważam, że nie powinniśmy do siebie pisać - mówi Catherine. - Będziesz tam miał i tak wystarczająco dużo kłopotów. Muszę sama dać sobie radę. Poza tym... niedługo wrócisz. - Pochyla się, żeby go pocałować. Liście za oknem stają się bardziej zielone i trzepoczą na wietrze ożywiając monotony mrok pokoju. - Wierzę, że to potrafię - szepcze Catherine Thornowi do ucha, a potem na powrót podnosi głowę. - Na pewno.

- Nie. - Thorn odwraca twarz od okna i patrzy w mrok pokoju. - Nie potrafisz.

- Czy moja matka wierzyła w to? Thorn leży bez ruchu.

- Mówiła, że nigdy, tak naprawdę, nie miała wyboru. Wyszła za męża. To było takie proste.

Zieleń staje się ciemniejsza. W ogrodzie panuje cisza wyczekiwania, tak intensywna i głęboka, że wydaje się, jakby to była dżungla. Catherine odgarnia do tyłu długie włosy i patrzy na ogród.

- Więc dokąd mam pójść? - pyta.

Zrywa się burza i do pokoju wpada wiatr; niesie ze sobą woń pól i deszczu. Wentylator obraca się z szumem tam i z powrotem jak zabawka. Deszcz zaczyna siekać tysiące liści na raz.

Thorn idzie zamknąć okno. Catherine obserwuje siedząc na łóżku, jak znika w korytarzu jego barczysta sylwetka, słyszy, jak zamyka okno i jak idzie bosymi stopami po schodach.

Nie słyhać nic poza uderzeniami deszczu o szyby. W pokoju to się rozjaśnia od błyskawicy, to zapada w nim ciemność i słyhać grzmot. Catherine siedzi sama w mroku i słyha miarowego uderzania kropel deszczu.

W topolach szumi ciężki od deszczu wiatr. Thorn wraca do swojego pokoju i bierze Catherine w ramiona. Słyha odgłosu uderzających o szyby kropel deszczu, a na piersi czuje oddech Catherine.

- Jutro wyjeżdżasz! Ale to się nie skończyło, i jak będziemy mogli kiedykolwiek... - Po policzkach Catherine płyną łzy; żadne z nich nie słyzy już padającego deszczu.

Gdy otwierają oczy, świeci słońce. Odbija się w lustrze i pada na fotel oraz na łwie łapy szafki na ubranie. Jest tak jasne, że wywołuje w nich radość.

- To naprawdę jest wszystko, tak? - pyta Catherine. Leżą na łóżku z na wpół przymkniętymi oczami, są szczęśliwi. - Do czasu, aż dorosnę - odzywa się po dłuższej chwili Catherine. - Teraz musisz mnie traktować jak kogoś młodszego, ale wyobraź sobie, co będzie, jak już będziemy sobie równi! - Oczy jej błyszczą. - Czego nam wtedy będzie więcej trzeba? Wyobraź sobie tylko!

14

25 sierpnia 1939 r.

Drogi Panie Laird!

Niniejszym zawiadamiam Pana, że Wade wyjechał do Nowego Jorku i odpływa dzisiaj do Anglii, a potem jedzie do Francji. Mówi, że musi tam odnaleźć swoje kuzynki.

Może Pan przyjechać, kiedy Panu wygodnie. Catherine nie zdecydowała jeszcze, kiedy wyjeżdża do college'u.

Karl Tubbit

CZEŚĆ IV

**Na cmentarzu w miasteczku
rozsiadła się okrakiem,
by zaspokoić nasze ogromne pragnienie,
wieża ciśnień.**

**Wzdłuż brzegu ma
czerwony pasek rdzy
i widnieje na niej
nazwa naszego miasteczka.
Wygląda, jakby ktoś wznosił nią
toast za te wszystkie rzeczy,
bez których umieramy.
Jest pierwszą rzeczą,
jaką widzimy z daleka,
gdy wracamy do domu,
żeby spocząć
pod tym wzniesionym pucharem*.**

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz.

- Będziesz musiała przez jakiś czas pobyć sama - mówi Jack Laird patrząc, jak Tubbit nalewa kawę. - W Cedar Falls odpoczniesz trochę, zmienisz klimat, poznasz towarzystwo w swoim wieku.

- Jesteśmy tacy szczęśliwi, że do nas się wybierasz! - mówi Alice Knapp i uśmiecha się. Jest pulchna i nosi modny kostium z przezrzystego materiału, a na szyi perelki. I jest miła. - Mój brat tyle nam o tobie opowiadał, że mamy wrażenie, jakbyś należała do rodziny.

Bez Thorn'a dom sprawia wrażenie, jakby kręciło się w nim zbyt dużo obcych, którzy patrzą na Catherine w ten sam szczególny sposób. Ich wzrok ślizga się po niej i wyglądają, jakby z łatwością odgadywali to, co chcą widzieć. Alice siedzi w tej samej jadalni, w której kiedyś siedział obejmując ją ramieniem Thorn. Szeptał wtedy z ustami na jej nagim ramieniu: - Chciała, żebyś miała oczy szeroko otwarte i żebyś... nie czuła tylko, tak jak ona, że coś jest nie w porządku.

- Catherine snuje się po domu - mówi do swojej siostry Jack. Alice rozumie Catherine, siedziała przecież tutaj odcięta od świata z dwoma mężczyznami. Widać, że płakała; nie mówi wiele, ale to widać. Zachowuje się jakby śniła.

Koszule w szafie Thorn'a zachowały jego zapach, na szczotce do włosów w jednej z szuflad szafki na ubrania zostało kilka jego włosów. Śpi sama w swoim łóżku, bez Thorn'a, który był ośrodkiem, rdzeniem tego wszystkiego, co i tak jej nie wystarczało.

Niemcy i Rosja podpisały pakt; Francja i Anglia ogłosiły mobilizację.

- Kupimy ci trochę nowych ubrań. To zawsze sprawia dziewczętom radość. I może zrobisz sobie nową fryzurę - mówi Alice.

Oczywiście musi się zastanowić. To jeden z powodów, dla których

Thorn wyjechał - pozwolić jej zastanowić się. Zrobi to. Będzie trzymać się z dala od pokoju Thorn'a. Posłucha Alice Knapp. Niech zrobi, co chce. Pojedzie do Iowa, nie musi tutaj zostać, musi spróbować żyć między ludźmi. W domu znajdują się obcy ludzie, ale poza tym wszystko jest jak dawniej, przerażająco tak samo.

Przemyślała wszystko - mówi im - więc chciałyby pojechać na pewien czas do Cedar Falls, do Knappów. Jeśli oni chcą.

- Oczywiście, że chcemy! - mówi Alice. - Będziemy wszyscy tym zachwyceni! Jutro z rana poszukam w mieście salonu piękności i od razu załatwimy tę sprawę. A potem, w drodze do domu, wstąpimy po zakupy do Waterloo.

To nie wystarcza, nawet wtedy gdy, unosząc się w powietrzu jak motyle, opada się we dwoje z powrotem na ziemię i ciągle jeszcze bez tchu, przyobleka się na powrót swoją dawną skórę. Książki, filmy i bajki kończą się ślubem - dlaczego? Czujesz się tak, jakbyś się unosiła w powietrzu, a kiedy wracasz na ziemię, świat jest taki sam, nie zmieniony. Budząc się obok niego słyszysz samochody na ulicy albo przelatujący w górze samolot.

W salonie piękności czuć mieszaninę dziesięciu różnych rodzajów perfum. Catherine siedzi w gorącym i wąskim boksie i przysłuchuje się dźwiękom, jakie towarzyszą obcinaniu włosów. Patrzy, jak przymocowują ją sznurkami i klamrami do czegoś, co wygląda jak żyrandol na kółkach.

Z resztki jej włosów robią coś, co wygląda jak korkociągi. Czuje zapach spalenizny, miejscami pali ją skóra głowy. Potem musi odchylić się do tyłu i ręce o ostrych paznokciach najpierw myją, a potem płuczą w umywalce jej włosy, odgarniając przy tym korkociągi za uszy. Alice gawędzi o swoich synach, Dicku i Stevie, oraz o córce Babs. Opowiada też kobiecie w salonie, że jej córka Margie, która jest w średniej szkole, należy w tym roku do drużyny dziewcząt dopingujących szkolną reprezentację futbolową.

Jack, Alice i cała reszta uważają, że włosy są bardzo ważne, Catherine wyraźnie to widzi. Siedzi i patrzy, jak robią coś przy jej włosach, ale wcale jej tam nie ma. Leży w wysokiej po pas, kołyszącej się na wietrze w letni poranek trawie. Idąc nie pozostawia się w niej śladu i leży się nago na kłującej trawie między ścianami zieleni, a nad sobą ma się tak głęboki błękit, że wydaje ci się, że sama stajesz się błękitna i że świat kręci się wokół ciebie. Obserwują ją jedynie polne koniki. Wydaje jej się, że ich miodowych oczu jest tyle naokoło, iż połączone w pary zdolne są zaludnić cały świat.

W lustrze widzi pełne zachwyty spojrzenia. Alice pyta ją, jak się sobie podoba. Catherine bierze lusterko, które jej wręczają, i patrzy.

- Bardzo ładnie - mówi. Alice Knapp jest zadowolona. Zadowolona, gdy biorą bagaże Catherine, żegnają się z Tubbitem i wyjeżdżają do Iowa pozostawiając za sobą znikający za topolami stary, wiktoriański dom. Zadowolona, gdy rozmawiają o strojach, które kupią Catherine w drodze do domu.

Catherine patrzy na zadowolone twarze Alice i Jacka, lecz widzi twarz Thorna, pewnie tak samo bladą i zdziwioną jak jej, gdy żegnał się z nią na peronie i mówił, że niedługo wróci. Nie patrzył na nią, jakby nie mógł sobie wyobrazić, że kiedykolwiek wróci, i był, podobnie jak ona, oszołomiony żegnając się ze wszystkim.

Coś jest nie tak, Alice nie wie jednak co. Młodzież w średniej szkole inaczej się zachowuje - Margie i jej przyjaciele wciąż gdzieś chodzą, i Dick też. Albo to, jak Catherine stoi przed lustrem. Margie okręcałaby się w lustrze i tańczyła, i marudziła na temat najmniejszych drobiazgów, a to, że wygląda „za grubo”, a to że „za młodo”. A Catherine po prostu stoi.

Myrtle, ulubiona sprzedawczyni Alice, wieza na Catherine kolejne stroje jak na wieszaku, mówiąc przy tym, jaka Catherine jest ładna i jak jej dobrze w tym czy innym kolorze. Biedna Myrtle stara się zainteresować ją, ale Catherine mówi tylko, że kolejne mierzone przez nią sukienki, spodnie i stroje wyjściowe są bardzo ładne. Widać, że Myrtle także uważa, iż Catherine jest dziwna. Nawet wtedy, gdy przymierza kapelusze, pozwala po prostu wybrać w końcu Alice dwa z nich, tak jakby było jej wszystko jedno. To nie jest normalne. Catherine jednak sprawia wrażenie, jakby uważała, że jest zupełnie normalna i to cię nie wiadomo dlaczego złości. Trzeba jednak pamiętać, że Catherine nie miała szansy prowadzić normalnego życia tak jak wszyscy.

2

Catherine patrzy na spowity mgłą krajobraz Iowa. Samochód Jacka rzuca na drogę w popołudniowym słońcu zdecydowany, czarny cień. Zielone ściany kukurydzy otwierają się i pokazują pasma gołej ziemi, kręcącej się przed oczami jak szprychy obracających się kół. Catherine zamyka oczy, a potem otwiera i przygląda się, w

przerwie pomiędzy Alice Knapp i Jackiem, gładko posuwającemu się po poznaczonej cieniami drodze czarnemu ornamentowi, sterczącemu na masce samochodu.

Ciemne oczy Jacka obserwują ją coraz to we wstecznym lusterku; czuje na sobie ich spojrzenie. Ścisną ją w gardle i mruga oczami, a Jack obserwując w lusterku twarz dziewczyny zaciska dłonie na kierownicy i prawie nie widzi przed sobą drogi.

- Margie ma zapas lokówek, to pomoże ci zakręcić włosy. – Pani Knapp odwraca się z przedniego siedzenia ku Catherine swoim tłusciutkim profilem. - Nawet przy trwałej trzeba przeważnie na noc zakręcać włosy - Margie to zawsze robi. Podoba ci się fryzura Catherine? - pyta siedzącego z ponurą miną, za kierownicą, brata.

- Bardzo ładna. - Jack patrzy w lusterko i widzi ciemnoczerwone wargi, które nie wymawiają imienia Thorna, i te jasnoblękitne oczy; zastanawia się, o czym ona myśli. - Jesteśmy lekko spóźnieni.

- Mężczyźni tego nie rozumieją! - mówi pani Knapp do Catherine z konspiracyjnym uśmiechem. - Im salony piękności i zakupy zabierają tylko czas. Podoba ci się Myrtle? Ona zawsze znajdzie dokładnie to, co się chce. Nie mogłybyśmy zrobić zakupów w Detroit - ja bym po prostu nie potrafiła tego zrobić. Tam jest taki ruch i nie znam sklepów, a w Waterloo... - Odwraca się i patrzy w okno. - Już jest Cedar Falls, widzisz? Za rzeką. Tam! Tam jest dom!

Alice Knapp promienieje radością patrząc pomiędzy słupkami mostu na rzekę.

- Zaraz za mostem jest Main Street - w sobotę przyjeżdżają tu po zakupy farmerzy. A potem idą do naszego jedyne w mieście kina.

Gałęzie wiązów tworzą ponad głowami sklepienie, więc na ulicach panuje chłód i trawniki są zielone.

- Tu jest klub kobiety. - Jakieś dziecko na wrotkach trzyma się kurczowo znaku stopu i wpatruje się w Catherine.

Domy mają od frontu i z boku przestronne werandy, a Alice opowiada po kolei, kto w którym mieszka; padają, jedno po drugim, obce nazwiska. Następnie mijają wystawy sklepowe.

- To są nasze sklepy. Studenci nazywają je „psimi budami”. A to dom rektorski, musimy mieszkać na terenie uczelni. - Na bramie z cegły widnieje napis „ Absolwenci z 1912 roku”. Za nią znajduje się wybrukowany podjazd i cały z cegły dom. - Ale za to

mamy tu pełno studentów - mówi Alice, gdy zatrzymują się przed wejściem. - Witaj w domu, Catherine. Mam nadzieję - wysiada sztywno wyprostowana z samochodu - że Margie i Dick nigdzie nie poszli.

W domu panuje mrok i cisza.

- Przyjechali - dochodzi z góry szept Dicka. - O Boże, świetnie wygląda! - mówi, zbiegając na dół z Babs i Steviem, Marie. - Moja mama mówi, że musi iść z nami na tańce!

- A oto Jack, Pogromca Serc Niewieścich - oj, bo zemdleję. - Dick przygląda im się przez otwarte drzwi, a tuż przed nim stoi, dotykając niemalże głową jego brody, Stevie.

- Oooo! - mówi Margie i sprawdza wargami szminkę na ustach.

- Wysiada z samochodu! Nie ma kapelusza. Brązowe włosy... ładne nogi, no, no. - Dick otwiera szerzej drzwi. - Niezła. Zupełnie niezła. Właściwie to całkiem w porządku.

- Szczerze? - patrzy na niego pytająco Margie. - Na miłość boską, są już przy drzwiach - zobaczą nas. Stevie! Babs! Chodźmy do jadalni i wyglądajmy, jakbyśmy dopiero weszli.

Jack otwiera przed Alice i Catherine drzwi. Hall i saloniki wyglądają oficjalnie: kanapy o gładkich obiciach, stoły bez nakrycia, miękkie dywany, sztywne zasłony i atmosfera wyczekiwania.

- Marjorie? - rozlega się w ciszy wołanie Alice. - Richard?

- Cześć, mamó! - woła Margie i wchodzi do hallu z lekko zaskoczoną miną. Za nią postępuje Dick. Babs podbiega do Jacka, łapie go za ramiona, jak wysoko może, i szturcha go swoją rudą główką w brzuch. Jack śmieje się, obraca ją dokoła i pyta, jak się czuje jego ulubiony rudzielec przed pójściem do szkoły. Stevie stoi i przygląda się wujkowi z daleka.

- To jest Margie, to Dick... a to Babs i Stevie. Będziesz miała siostrę w tej samej klasie, Catherine, a brata w młodszej. A to Catherine, dzieci! - Alice udało się w końcu skierować ich wszystkich do szerokich schodów wiodących na górę. - Pokaż Catherine swój pokój, Margie, do kolacji macie czas, żeby się poznać. - Ty Jack wiesz,

gdzie jest twój pokój. - Alice i Jack idą korytarzem zostawiając Dicka, Margie i Catherine samych w drzwiach.

- Jesteś u siebie - rozgość się - mówi Margie uśmiechając się do Catherine. - Chyba przyzwyczaisz się do tego, że masz dwie nowe siostry i dwóch nowych braci. Dick przyniesie twoje walizki. - Pokazuje Catherine łazienkę i gdzie są ręczniki.

W pokoju Margie, poza jedną ścianą, przy której stoi podwójne łóże, wszędzie dookoła wiszą sztywne zasłony z organdy. Dzięki temu pokój sprawia wrażenie wyściełanego gniazdko. Catherine ma na sobie bawełnianą garsonkę w szkocką kratę o jaskrawoczerwonym kolorze, która podkreśla jej figurę, a szminka na ustach jest dokładnie dobrana kolorem do materiału.

- Podoba mi się twoja fryzura - mówi Margie opadając na miękkie łóżko.

Catherine dziękuje jej i patrzy na ścianę nad łóżkiem, wylepioną do połowy wysokości bajecznie kolorowymi, wyciętymi z pism zdjęciami.

- Jak ci się podoba moja ściana pocałunków? - pyta Margie, opierając się na łokciach i przyglądając się setkom całujących się par na zdjęciach. - Dick powiedział, że to głupota, jak to zobaczył! - Patrzy na Catherine i chichocze. - Dużo się całowałaś, powiedz! Ile razy? - Znów się śmieje wymachując zarazem w powietrzu jedną nogą. - Jesteśmy teraz siostrami. - Tak. - Margie siada na drugim łóżku i patrzy na ponaklejane pary. - Założę się, że mnóstwo razy. Pewnie z tłumem mężczyzn. W tym mieście umrzesz z nudów. W naszej klasie, na trzydziestu paru uczniów, jest tylko dwóch chłopaków, na których warto zawiesić oko.

Dick stawia w drzwiach walizki.

- Obejrzymy twoje ubrania, co? - woła Margie zeskakując z łóżka. - Chcesz zobaczyć mój strój na tańce w przyszłą sobotę? - Zamyka Dickowi przed nosem drzwi i stawia na łóżku jedną z walizek.

Kolor lakieru na paznokciach Catherine pasuje do jej szminki i ubrania. Włosy podskakują jej na ramionach tak samo jak Margie i ma ładnie opalone nogi. Tylko te jej oczy...

- Ojej! - woła Margie. - Świetnie! - Biega po pokoju z suknią w jasnoniebieskim kolorze przyłożoną do ciała. - Powiem Jimowi Beckerowi - mojemu chłopakowi - żeby powiedział Bobowi Hendersonowi, że przyjechałaś!

- Kolacja! - zagląda do ich pokoju, uśmiechając się, Alice Knapp. - Prawda, że ładna jest suknia Catherine?

- Szałowa! - mówi Margie. - Chodź, Catherine, musisz chyba umierać z głodu. - Margie prowadzi Catherine korytarzem, obejmując ją w pasie, i przygląda się Jackowi. - Czyż on nie jest cudowny? - Za nimi rozlega się na schodach tupot nóg. - O rany! - woła Margie, widząc pięcioletnią Babs ciągnącą się za nimi w długiej, różowej sukience. - Na jaką okazję to założyłaś?

- To moja nowa sukienka - ty masz swoją!

- Włóż lepiej tamtą z niebieskim kołnierzem.

- Spójrzcie na moją małą księżniczkę! - mówi stojący na podeście Jack.

Dziewczynka patrzy wyzywająco na Margie, a potem przechyla na bok głowę i schodzi na dół trzymając się poręczy, cała w uśmiechach. Jack chwyta ją w ramiona i pyta Catherine: - Czyż nie wygląda pięknie w tej sukience?

- Nie możesz jeść kolacji z takimi włosami, skarbie! - Alice zawraca dziewczynkę z powrotem na górę. - Gdzie masz buty?

- Dzieci... - kręci głową Margie.

- Dobry wieczór - odzywa się niski, zażywny mężczyzna w okularach stojący obok stołu w jadalni. W rozpościerającym się za nim dużym oknie widać dęby i wiązy, trawnik, dwie stare armaty i spacerujących, parami studentki i studentów.

- Wracasz z zebrania wydziałowego? - pyta go Jack. - Catherine, to jest George Knapp, tata Margie. George, to Catherine Buckingham, nowy członek rodziny.

- Cieszę się, że do nas przyjechałaś - słychać wydobywające się spod dwurzędowego płaszcza dudnienie. - Margie zawsze chciała mieć siostrę w twoim wieku. - Ma szeroki, wyuczony uśmiech. - A gdzie są Alice i Babs?

- Pewnie się stroją - mówi Jack.

- Ona chce założyć wizytową sukienkę - mówi znudzonym tonem Margie. - Usiądź koło mnie, Catherine.

Pokój jest obszerny, pomimo że stoi w nim duży stół. Oddzielono go łukiem od skromnie umeblowanego saloniku, ozdobionego starannie udrapowanymi zasłonami i lampami o przyćmionym świetle - tu raczej niemożliwe byłoby czytanie książek.

- No, jesteśmy! - mówi wesoło Alice. Wszyscy odwracają się i patrzą na ciągnącą się za nią z przymusem, Babs. Dziewczynka ma na sobie wizytową sukienkę, a w kokardy we włosach i w pasie wpięte papierowe bukietki niezapominajek, na jej nogach błyszczą pantofelki. Cierpi, idąc ze spuszczoną głową w kierunku krzesła przeznaczonego dla najmłodszego członka rodziny, a następnie przeciskając się tłusciutkim brzuszkiem pomiędzy nim a krawędzią stołu.

- Patrzcie no - mówi szeptem Jack - co to za piękność do nas przyszła.. I jaka nieśmiała. - Mówiąc to, patrzy na Catherine i nie potrafi zgadnąć, co kryje się w jej spojrzeniu.

- Babs - mówi Alice szeptem. Dziewczynka wślizguje się na krzesło. - Zachowuj się jak dama.

- Co słyhać u ciebie, młodzieńcze? - pyta Jack Stewiego. Chłopiec jest mały, jak na swój wiek, niewiele większy od Babs. Siedzi z łopatkami przyklejonymi do oparcia krzesła i patrzy na swojego wujka.

- Dobrze - mówi z grobową miną, trzymając się obiema dłońmi krawędzi stołu.- Znalazłeś to kółko do zestawu?

- Wiesz co - mówi Jack. - Wszystkie sklepy w Chicago były pozamykane. Ale pamiętasz, kiedy byli tu król i królowa angielska?

- Tak, widziałem na filmie - mówi z grobową miną chłopiec.

- Byłem tego dnia w Nowym Jorku i tam znalazłem te kółka.

Oczy chłopca błyszczą z podniecenia, jakby miał zamiar za chwilę skoczyć z miejsca i gdzieś pobiec, ale ściska tylko jeszcze mocniej rękami brzeg stołu.

- Jakie to miłe z twojej strony! - mówi do brata Alice. - Ale nie powinienes zawracać sobie tym głowy.

- Jak tam drużyna pływacka radzi sobie w tym roku? - pyta Jack Dicka.

- Dick jest najlepszy w stylu wolnym - mówi Alice.

- Nie! - mówi Jack. - A niech mnie diabli! W stylu wolnym! - Klepie Dicka po ramieniu, a ten się uśmiecha.

- Mamusiu? - mówi głośno Babs. - Czy mogę zaśpiewać wujkowi Jackowi moją piosenkę?

- A Margie jest w drużynie dopingującej drużynę futbolową - mówi George, biorąc z podsunętego przez gospodynię półmiska stek. Kobieta ma siwe włosy zwinięte z tyłu w kok, powieki opuszczone i obojętny wyraz twarzy. - Pani Hansen - mówi George, uśmiechając się do niej - to nowy członek naszej rodziny, Catherine Buckingham.

- Nie teraz, kochanie. Później.

- To zaszczyt być w drużynie dopingującej - mówi Jack do Margie, unosząc w górę brwi. Margie przechyliła głowę na bok i uśmiecha się. Jack nie patrzy na nią, obserwuje, jak Catherine przenosi wzrok z Margie na Babs i z powrotem. Thorn nauczył ją dobrych manier, trzeba to przyznać. Jacka ogarnia nienawiść gorętsza od kawy, którą nalewa mu właśnie do filiżanki gospodyni. Margie i Catherine siedzą obok siebie jak dwie dobrze wychowane uczennice. Musi powiedzieć to Alice - Catherine wygląda po prostu pięknie.

Margie nie przestaje opowiadać o zespole dopingującym, ale Jack prawie tego nie słyszy. Na twarzy ma uprzejmy uśmiech, wie oczywiście, że Margie odrzuca do tyłu głowę i trzepocze rękami. - Nie ma już tych strasznych, prostych włosów i lepiej widać teraz śliczne kości policzkowe, odziedziczone po Janet, i ten delikatny nosek - myśli. Nad czym ona się tak zastanawia, na litość boską?

- Ja chyba umrę! - Margie przerywa na moment, żeby zaczerpnąć powietrza. - Wiecie, o co mi chodzi?

- To znaczy, że wszystko jest wspaniale - mówi Jack uśmiechając się. Margie skromnie spuszcza wzrok i nie patrzy na Jacka. George zaczyna opowiadać o naborze do college'u.

Jack udaje, że słucha, ale cały czas patrzy na Catherine, która nie rozgląda się dookoła, tylko słucha uważnie i uśmiecha się. Równą uwagą darzy Margie, co Babs i Alice (która opowiada teraz o zwycięstwie George'a na ostatnim zebraniu wydziałowym) oraz wnoszącą deser gospodynię.

Jack je ciasto, pije kawę i wspomina, jaka Dorothy była oburzona, że dziewczynka była tak samotna. Shirley natomiast powiedziała, że to nie jest normalne i każdy to przyzna.

- Czy mogę już? Mogę? - Babs zeskakuje z krzesła, jak tylko znika ze stołu deser i kawa. Wszyscy idą za nią do salonu, gdzie stoi pianino.

Co za urocze stworzonko, myśli Jack i uśmiecha się do Babs. To już mała kobietka, a przecież nie chodzi jeszcze nawet do szkoły. Alice uderza w klawisze i skarży się, że dawno już nie grała... Rozlegają się akordy i Babs składa dłonie razem, uśmiecha się słodko, przechyla na bok głowę i śpiewa cienkim sopranem, że któregoś dnia znów zjawi się jej księżę...

Sukienka Babs kołysze się wraz z nią z boku na bok, a mała uśmiecha się, przewraca oczami i śpiewa dalej o księciu ze snów. Alice wygrywa palcami na pianinie trele z takim zapalem, jak gdyby wierzyła, że i po Babs przyjedzie księżę z bajki i upiększa tę obietnicę rozbudowaną frazą muzyczną.

Babs zaciąga szczebioczącym głosikiem, że księżę szepnie jej: „Kocham cię” i skradnie pocałunek. Jack uśmiecha się, wszyscy, za wyjątkiem Catherine, są rozmarzeni. Dziewczynka naprawdę ślicznie wygląda w tej sukience.

Dźwięki stają się teraz wysokie i Babs musi piszczeć, że on jest bardzo daleko stąd. Ale ona któregoś dnia odnajdzie swoją miłość. Jej sny się spełnią. Uśmiecha się podczas ostatnich akordów, a potem biegnie z chichotem do Jacka i z przekrzywioną na bok kokardą, ozdobioną niezapominajkami, pada mu w ramiona.

- Wspaniale! - woła Jack. - Powinnaś grać w filmie! Wszyscy klaszczą.

- Urocze stworzenie! - mówi Jack do Catherine, patrząc jak Babs wbiega po schodach na górę. Przez chwilę są sami w salonie. - Czyż nie jest urocza? - pyta Jack.

Catherine nie chce odpowiedzieć. Jack to widzi; czuje, że dziewczyna odsuwa się od niego, jakby się znajdowała w jakimś niezrozumiałym dla niej miejscu. Cóż, miły, normalny wieczór w rodzinnym gronie jest czymś odmiennym od życia na odludziu, z dwoma tylko mężczyznami...

Babs zbiega z powrotem na dół.

- Spójrz, przypięłam sobie niezapominajki na dole sukienki! - mówi do Jacka i podciąga sukienkę, żeby pokazać papierowe kwiatki.

- Świetnie! - mówi Jack. Co za urocza mała kokietka. Babs zadowolona znów wchodzi na górę po schodach, trzymając w górze sukienkę. Jack uśmiecha się do Catherine.

Catherine nie odpowiada mu uśmiechem. Ma takie podobne do Janet oczy...

- Przecież już wszystko za tobą! - mówi nagle Jack gwałtownym tonem. - Spróbuj zapomnieć o wszystkim! I nie martw się, on się odezwie. - Nie potrafi jakoś wymówić imienia Thorna.

- Zdecydowaliśmy, że nie będziemy do siebie pisać. - Twarz Catherine nie ma wyrazu. - Anglia przystąpiła do wojny...

- Catherine! Zgadnij, co się stało! - biegnie od telefonu Margie. - Jim zadzwonił do Boba i Bob chce cię zabrać na tańce w następną sobotę! Bob to najlepszy chłopak w całej szkole! Mamy szczęście; pokłócił się właśnie ze swoją dziewczyną!

Catherine patrzy na nią, a ona potrząsa modną fryzurą na pazia - taka jest młoda i śliczna z lekko podmalowanymi rzęsami.

- Umiesz tańczyć? - pyta Jack Catherine.

- Nie.

- Nie potrafisz tańczyć? - Margie patrzy na nią zdziwiona.

- To nic takiego - ja ją nauczę - mówi Jack. - Masz na dole jakieś płyty? Co wy tu tańczycie? Jitterburga?

- Raczej nie. Przynajmniej nie w długich sukniach. - Margie prowadzi ich przez jadalnię i korytarz przebiegający z tyłu domu, do piwnicy. Podłoga w dużym, chłodnym pomieszczeniu pomalowana jest na ciemnoczerwony kolor i nie ma na niej żadnych dywanów. Margie zaczyna przewracać stos płyt leżących obok gramofonu. - Bob nie jest taki narwany, jak te wszystkie inne głupki. A może „Deep Purple”? Jest spokojne.

- Dobrze. Patrz Catherine - to proste. Odstawiam jedną nogę w bok, dostawiam do niej drugą, a potem znów ją odstawiam i czekam. Raz... dwa... trzy. Cztery - mówi Jack, przemierzając pokój w rytm gromkiego zawodzenia orkiestry. - Najważniejsze, żebyś była rozluźniona, nigdzie się nie śpieszyła i pozwoliła się mężczyźnie prowadzić.

Jackowi nie jest obce trzymanie dziewczyny w ramionach, może poza tą jedną, która jest taka ciepła, lekka i wysoka. I tak młoda, że nie potrafi ukryć zakłopotania, iż znalazła się w ramionach mężczyzny. - Udawaj, że tańczyłaś już z setkami chłopców, sprawiaj wrażenie znudzonej - mówi, nie słysząc własnych słów. Jest zajęty własnymi

myślami. Thorn przecież musiał mieć ją tak blisko tysiące razy; obserwował ją przecież, jak rośnie, jak staje się równie piękna jak Janet...

- Całkiem niezłe! - mówi Margie klaszcząc w dłonie i obserwując podążające w ślad za błyszczącymi, czarnymi pantoflami brązowe półbuty i skarpetki do kostek. - Dobrze wam idzie! - Jaki wspaniały tancerz z tego Jacka - nie taki, jak ci narwańcy, jej rówieśnicy. I bywa w Chicago w eleganckim świecie, z pięknymi kobietami. Jego ciemne oczy, gdy tańczy z policzkiem przy włosach Catherine, iskrzą się tak, że wydaje się, jakby był z jakiegoś powodu zły. A teraz zamknął oczy. Płyta zawodzi o sennych ogrodach i zasnutych mgłą wspomnieniach.

Nie, myśli Jack. Nic takiego się nie stało. To tylko biedne stworzenie, które wychowało się z dala od świata. Takie lekkie, wiotkie... i ciepłe. A jednak Janet.

Jack otwiera oczy.

- Właśnie o to chodzi! - Uśmiecha się do znajdujących się, tuż obok, błękitnych oczu. Znow jest sobą. - Bądź rozluźniona. Margie, nastaw jeszcze jedną płytę; - tak dobrze mi się tańczy. Zatańczę teraz z tobą. - Catherine ma wilgotną dłoń, nie patrzy na niego. Czyżby nie podobało jej się? Włosy ma błyszczące, pozwijane w loki, ładnie pachnie...

Margie nie jest taka, jak Catherine: gawędzi z nim, uśmiecha się i za każdym razem, gdy Jack obraca nią w tańcu, pojękuje cicho: - Oooo! Nie zachodzi pomiędzy nimi nic, żadna wymiana uczuć, Margie przekazuje mu jedynie swoją energię, podobnie jak Babs. Catherine wyciera dłonie o plisowaną spódniczkę i patrzy na nich.

- A teraz walc! - mówi Jack. Orkiestra gra „Nad pięknym modrym Dunajem”, a on demonstruje, jak to należy tańczyć. Tym razem Catherine zachowuje się swobodniej, a Jack czuje, że zasycha mu w ustach i brak mu tchu. To jeszcze dziecko, jest starszy od niej o ponad dwadzieścia lat, i co chłopcy w szkole... - Nie przejmuj się chłopcami, których spotkasz - mówi niskim głosem. - Będą cię badali, będą chcieli dowiedzieć się, jak daleko mogą się posunąć wobec ciebie. Musisz trzymać ich na dystans - stać cię na to! Będą chcieli się z tobą umawiać, nie dadzą d spokoju...

Catherine budzi się i wydaje jej się, że słyszy śmiech Thorna. Trzyma głowę na jego owłosionej piersi i wyraźnie czuje na swoich ustach dotyk jego ust.

Rozgląda się po pokoju Margie. O brzasku pokój wydaje się niebieski.

Czuje się dziwnie, tak jakby starała się przejść po wodzie albo posuwała się po omacku po czymś twardym. Toaletka przyjmuje kształt przykrytej organdy góry, okna są zrobionym z materiału niebem o brzasku, a wszystko jest takie jasne i czyste, jakby nierealne. Pluszowe zwierzątka przypatrują się jej obojętnie oczami z guzików, a ponad jej głową, pełną marzeń z przeszłości, zawisła ściana całujących się par.

- Cześć! - odzywa się ze swojego łóżka Margie. Z początku jest zamyślona i nieobecna. Schodzi następnie z łóżka i zaczyna kręcić się i wykonywać dałem charakterystyczne dla siebie wygibasy, grzechocząc przy tym aluminiowymi lokówkami.

Co Catherine zamierza na siebie włożyć? pyta. Gdy Catherine wraca z łazienki, Margie stoi w otwartych drzwiach szafy i przesuwa w tę i z powrotem wieszaki z ubraniami. Jeśli Catherine założy różowy, bawełniany komplet, to ona założy niebieski. A może powinny obie włożyć sukienki? W spodniach jest gorąco, a dzisiaj może być upał.

- Chciałabyś obciąć włosy na pazia? - pyta Margie pomagając Catherine zdejmować z włosów lokówki. Stara się zawsze robić wszystko z wdziękiem, tak jakby chciała przeżyć każdy dzień trzepocząc leciutko skrzydełkami. Dziwnie się czuje, wyjmując lokówki z włosów Catherine.

Catherine boli głowa od leżenia przez całą noc na lokówkach. Chciałaby, żeby Margie leżała w łóżku jak normalna dziewczyna, a nie, to rzucała na boki głowę, to zaciskała wargi, to znów śmiała się, jak mała dziewczynka. Zachowuje się zupełnie tak, jak jej młodsza siostra, która ociera się stale o Jacka. Alice zresztą też to robi...

Na ramiona Catherine spada trzydzieści brązowych kiełbasek. W pokoju nie ma nic poza meblami, ubraniami i pluszowymi zwierzętami. Margie szczotkuje jej włosy

zaczესując je, to na wierzch, to pod spód i wyjaśnia, że chociaż mają paznokcie polakierowane czerwonym lakierem, mogą pomalować sobie usta na różowo.

- Cześć! - wita je Jack, gdy wchodzą do jadalni.

- Piękne bliźniaczki! - śmieje się Margie, a Alice patrzy na nie z zadowoleniem.

Po śniadaniu Jack mówi, że wyjeżdża, ale zostawia Catherine w dobrych rękach.

Przyjedzie niedługo na piknik, który planuje urządzić Alice.

Po wyjściu Jacka Margie mówi:

- Chodź, pokażę ci dom.

Catherine zauważa, że w pokojach nie ma nic poza meblami, ubraniami i ozdobami i, za wyjątkiem kuchni, może kilkoma książkami.

- Co robisz, jak masz wolny czas? - pyta Catherine Margie.

- Pytasz o hobby? - Twarz Margie przybiera znów obojętny wyraz. - Myślisz o znaczkach, robótkach ręcznych, czy czymś z tych rzeczy?

- Tak.

- Zbierałam kiedyś znaczki. Kiedy byłam dzieckiem. Catherine czeka, lecz Margie nic więcej nie mówi.

- Chciałabym przejść się po okolicy i zobaczyć, co gdzie się znajduje. Nie musisz ze mną iść - wiem, że masz swoje sprawy. - Na schodach dodaje: - Wrócę w południe, dobrze?

Margie mówi, że tak, jednocześnie obserwuje, jak Catherine znika jej z oczu, idąc w kierunku budynku, w którym znajduje się audytorium. Wszystko w porządku, myśli. Pewnie dzieci z dużych miast lubią same zwiedzać obce miejsca.

Catherine wraca na długo przed lunchem. Gdy tylko się zjawia, Margie wraz z matką zaczynają wypytywać ją, gdzie była.

Catherine odpowiada, że zainteresowały ją generatory w ciepłowni. Tam jest tak gorąco i... pełno pary.

To wyjaśnia, dlaczego tak wyglądają jej włosy, mówi Margie i pyta, czy ktoś widział ją, jak wracała.

Catherine poszła rano do ciepłowni zobaczyć generatory prądu, opowiada Alice przy lunchu mężowi, a on odpowiada, że to miłe.

Jest za gorąco, żeby cokolwiek robić, narzeka Margie, ale jeśli Catherine pójdzie z nią na górę, to ona zakręci jej włosy, żeby znów ładnie wyglądały na kolację. Chociaż, swoją drogą, dzisiaj i tak nikt nie przychodzi. A może wypróbowałyby, czy pasuje do ich szminki ten nowy, brzoskwiniowy lakier do paznokci?

Żeby tak mogła, leżąc w ciemności obok Thorny, słuchać szumu wentylatora, czuć na sobie jego powiew i wchłaniać nozdrzami zapach przesiąkniętego wilgocią ogrodu. Rozmawiać z Thornem, opowiedzieć mu o wszystkim. Oglądać, w pierwszych promieniach słońca, porozrzucane na prześcieradle żółta trawa. Mówić: - To nie tak jak w filmach albo. książkach - to jeszcze gorzej. A może to tylko tutaj, w tej rodzinie? - Topole w jej pamięci stają się ogromne, dom przeobraża się w otoczony murem zamek z wieżyczkami.

Gdy się otwiera jego drzwi, ukazują się pola i niebo. To nie ma sensu. Usta Thorny są ciepłe, włosy miękkie i gęste, a w jego ramionach, gdy go całowała, mogła się cała skryć... Catherine patrzy, jak Margie nakręca jej włosy na aluminiowe lokówki.

- Naprawdę miałaś bardzo długie włosy? - pyta Margie. Catherine kiwa głową.

- I nigdy wcześniej ich nie kręciłaś? - pyta znów krzywiąc się z lekka.

- Nie - mówi Catherine, tylko je myła. Margie, w dalszym ciągu zde gustowana, zawija jej włosy pod spód.

Już przed kolacją Margie mówi do matki szeptem (na wypadek, gdyby Catherine szła akurat korytarzem):

- Ona nie zna się ani na włosach, ani na tym, jak się lakieruje paznokcie. Nie umie też tańczyć. Nic nie umie.

- Więc naucz ją - mówi Alice, kolejny raz żałując, że musiała założyć na siebie do kolacji gorset. - Właśnie o to prosił nas wujek Jack, żebyśmy pomogły jej przystosować się do normalnego życia. Ona wychowywała się z dala od świata, gdzie nic nigdy się nie dzieje i gdzie niczego nie można się dowiedzieć.

Po kolacji dom pogrąża się w ciszy. Z kuchni dochodzą tylko odgłosy zmywania, a z gabinetu na dole dźwięk radia. Wszyscy słuchają słuchowiska w radiu. Wtedy Catherine szepcze do Alice, że wychodzi się przejść i wróci koło dziewiątej, ale Alice, zasłuchana w perlisty śmiech Hedy Lamarr flirtującej z Mortimerem

Snerdem, nie słyszy, co Catherine do niej mówi. Gdy w końcu uświadamia sobie, o co chodzi, Catherine już nie ma.

- Wyszła się przejść? - pyta pan Knapp.

- Powiedziała, że idzie na spacer i wróci koło dziewiątej - mówi Alice. -

Słuchałam radia i nie myślałam...

- Sama? - pyta Margie. - O, rany, nic z tego nie rozumiem, nawet gdybym się bardzo starała!

- Na pewno nic jej się nie stanie - daleko nie pójdzie - mówi George. -

Powinnaś z nią porozmawiać, Alice.

- Idę do Chucka - poszukam jej - mówi Dick. - Odprowadzę ją do domu, jak ją znajdę.

- Dobry pomysł - mówi George. Dick wychodzi tylnym wyjściem, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

- To małe miasteczko, ale młoda dziewczyna chyba, mimo wszystko, nie powinna... - Alice przerywa i spogląda przez okno na ulicę. Trzymając się za ręce idą do Studenckiego Ośrodka Metodystów dziewczęta i chłopcy.

W Cedar Falls jest mnóstwo domów z przestronnymi werandami od frontu. W każdym z nich w letnie wieczory rozlega się skrzypienie bujanych foteli. Światło ulicznych latarni prześwieca przez gałęzie wiązów. Gdy Catherine wychodzi, obok domu przejeżdża właśnie trolejbus, więc Catherine wsiada do niego.

W trolejbusie jest mroczno i siedzenia ustawione są przodem do środka tak, że ma się przed sobą wnętrze wagonu z jego poślubioną podłogą. Poza miastem już pojazd, przemykając się tunelem z liści, kołysze na wszystkie strony i stuka. Potem znów pojawiają się światła i Catherine wysiada na rogu jednej z ulic, na przedmieściu Waterloo.

Na wciąż rozpalonych jeszcze od słońca chodnikach siedzą czarni. Rzeka, płynąc w powodzi światła, przypomina odrobinę rzekę w Detroit. Wydaje się, że wystarczy tylko wsiąść w autobus jadący w kierunku Seven Mile, aby wbiec do korytarza, gdzie pozostawione jest dla niej światło, i zobaczyć, jak Thorn podnosi wzrok znad książki i pyta ją: - Co tak późno?

Nie ma tu Jacka Lairda z wlepionym w nią stale wzrokiem, który ciąży jej jak balast gdziekolwiek się ruszy. To zresztą nie ma nic wspólnego z nią. On mówi o jej matce, o tym, jaka była piękna i że kręcili się koło niej mężczyźni. Co mu się stało? Catherine obserwuje wydobywający się ze stosów drewna, po drugiej stronie rzeki, dym. Może to są właśnie te znane zakłady Johna Deera, w których produkują ciągniki?

Catherine stoi przez jakiś czas na moście i patrzy w czarną wodę. Wszystko tutaj jest rzeczywiste; niezależnie od tego, czy ma się zakręcone włosy, czy nie. Margie wciąż tylko podwija pod spód włosy, poprawiając fryzurę. Przekrzywia głowę na bok, patrzy znudzonym wzrokiem na Babs albo naradza się z matką. Ale gdy rozmawia z bratem, zmienia jej się ton głosu; widać, że się z nim liczy. Nie lubi go, ale liczy się z nim. A jeśli chodzi o Jacka, to zachowuje się przy nim podobnie jak Babs: szczebiocze jak dziecko, kręci się i kryguje. Wszyscy zwracają uwagę na Jacka, gdy ten wchodzi do pokoju, ale Dick i Stevie nie zaczynają natychmiast szczebiotać, wykręcać nerwowo palców ani przechylać głowy na bok - to w jedną, to w drugą stronę.

Światło padające z witryny sklepu oświetla chodnik aż do mostu. Catherine wchodzi do sklepu i czuje pomieszany zapach lekarstw i słodczy. Nad baterią buteleczek, pudełek i torebek obracają się ogromne, wiszące u sufitu wentylatory.

- Co podać? - pyta ją sprzedawca, gdy Catherine siada obok fontanny.

- Hamburgera i napój czekoladowy - mówi Catherine. Z lustra, umieszczonego za ladą z wiszącymi na haczykach filiżankami, spogląda na nią dziewczyna z pokręconymi włosami i czerwoną plamą w miejscu ust. Wygląda tak samo jak Margie i jej przyjaciółki. Tak jak dziewczyna z reklamy coca-coli pod zegarem, choć nie ma takich białych i równych, jakby zrobionych z porcelany, zębów. Catherine nie uśmiecha się. Dotyka swoich włosów. Potem pijąc napój przygląda się swoim nogom i stopom; widzi ich brązową skórę, białe, krótkie skarpetki i mokasyny.

Niespecjalnie rozmowna, myśli sprzedawca. Pewnie ma jakiś kłopot. Nawet niebrzydka.

- Hej, ślicznotko - mówi i czeka, aż Catherine nadmie uwodzicielsko wargi. Nic takiego jednak się nie dzieje. Catherine przygląda mu się tylko. - Masz jakiś problem?

- zagaduje ją znowu. - Gorąco, co nie?

Wygląda, jakby wcale nie słyszała tego, co on mówi.

- Tak, gorąco - odzywa się jednak i dalej popija swój napój. Chłopak obserwuje ją, jak wstaje, płaci za picie i schodzi ze stołka.

Lubi oglądać dziewczyny od tyłu, patrzeć, jak kołyszą biodrami. Ale ona nie robi tego. Ona po prostu wychodzi. I chociaż jest ładna i nic jej nie brakuje, to jednak czegoś w niej nie ma.

Catherine wsiada w ostatni trolejbus, zamyka oczy i widzi tramwaje w Detroit. Jest późno, starzy mężczyźni jedzą jedzenie z papierowych toreb, nieliczne pary wracają z jakiegoś przedstawienia. Nad ich głowami wiszą rzędem obskurne reklamy i kołyszą się zwisające z sufitu uchwyty. Wraca do domu, gdzie znajdzie Thorna. Thorn nie śpi jeszcze, gdy Catherine wraca z miasta. Gdy wchodzi do domu, do jego łóżka...

- Gdzie byłeś? - pyta ją Alice Knapp. Cała rodzina Knappów stoi na werandzie.
- Gdzie byłeś? - pyta George.

Opowiada, że była w Waterloo, jadła hamburgera, spacerowała nad rzeką i rozmawiała z różnymi ludźmi. Co? Pytają ją, gdzie była i patrzą na nią tak samo z przyganą, jak Tubbit. A tak naprawdę, to nie jest ich sprawa.

Alice idzie za Catherine na górę i oznajmia jej, że nie powinna tak sama wychodzić. Mieszkała przecież w dużym mieście i wie, jakie grożą jej niebezpieczeństwa. Może, na przykład, zaczepić ją jakiś mężczyzna.

- I zgwałcić mnie? - pyta ją Catherine.

- Właśnie! - mówi Alice.

Catherine mówi, że oczywiście trzeba uważać, ale nie można przecież siedzieć cały czas w domu tylko dlatego, że ktoś mógłby ci coś zrobić.

4

Rodzina Knappów stara się, żeby czuła się jak u siebie w domu, Catherine zdaje sobie z tego sprawę. Nie może jednak przestać myśleć o tym, kiedy Alice i Margie przestaną spędzać czas wyłącznie, albo rozmawiając przez telefon, albo przebierając się lub czesząc włosy, albo dyskutując na temat jedzenia albo innych ludzi. Pani

Hansen zajęta jest w kuchni, Babs i Stevie czasami bawią się zabawkami, a poza tym biegają w górę i w dół po schodach.

- Może poszłabyś ze mną któregoś dnia na spacer - mówi Catherine do Babs. - Chciałabym zobaczyć sklepy, bibliotekę...

- Nie wiem, gdzie one są! - odpowiada dziewczynka, wpatrując się w Catherine swoimi niebieskimi oczami. - Nie mogę wychodzić sama, bo mogę się zgubić! - W jej głosie brzmi wiara w to, co mówi; wdrapuje się ojcu na kolana i gniecie gazetę, którą ten czyta.

- Grzeczna dziewczynka - mówi w roztargnieniu jej ojciec, ratując od zniszczenia artykuł na temat kredytów stanowych, który właśnie czytał. Babs w dalszym ciągu podskakuje mu na kolanach, więc musi przestać czytać, by zachwycać się lalką, którą ta ma w kieszeni, i spytać, czy jej dziecko było dzisiaj grzeczne.

Nikt w całym domu nie wydaje się czytać książek, chociaż na jednej z półek jest pełno powieści Hugo i Zoli. Dicka i George'a najczęściej nie ma w domu. Poza tym w pokojach znajdują się głównie meble i ubrania.

Co Catherine ma zamiar na siebie włożyć? To jest pierwsza rzecz, jaką chce wiedzieć co rano Margie, gdy wstaje i zaczyna rozkręcać lokówki. Może, jeśli ma zamiar włożyć spodnium, ubierze się na czarno-biało? A może chce się ubrać na niebiesko?

Catherine budzi się wcześnie rano i czuje koło siebie na łóżku Thorn. Jego oczy są zwykle odrobinę smutne. Czasami Thorn nie chce ich otworzyć; mówi, że jest zbyt zmęczony i zbyt szczęśliwy. Chodzi o to, żeby się nie oszukiwać, lecz spróbować zrozumieć, co się naprawdę czuje, żeby nie popełnić omyłki.

Catherine obserwuje, jak nadchodzi dzień, i słucha oddechu Margie, a gdy robi się widno, zaczyna czytać „Ludzi morza”. Czyta w pokoju pełnym buteleczek z perfumami i pluszowych zwierzątek o szaleńcu, który walczy z oceanem i próbuje sam odbudować swój statek. Podnosi wzrok znad książki i odpowiada Margie, że dobrze. Ubierze się na niebiesko albo na biało, a wtedy Margie wstaje z łóżka i otwiera drzwi garderoby...

A jak Catherine ma zamiar się uczesać? Margie jest uczynna i życzliwa, wyjmuje jej z włosów lokówki i czesze ją to tak, to inaczej. W ten sposób spędzą czas aż do śniadania.

Przez całe rano i większą część popołudnia siedzą w domu. Czasami odwiedzają jakąś koleżankę. Catherine chce porozmawiać z Dickiem o piłę nożnej, ale on rzadko przebywa w domu, a kiedy już tu jest, to słucha w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, radia.

A gdy zadzwoni Bob Henderson, żeby zapytać Catherine, jaki kolor bukietu ma zamówić do jej sukienki, co mu odpowie? - zastanawiają się przyjaciółki Margie.

- Barb Henderson będzie miała różowy.

- Matka Betty nie pozwala jej kupić nowej sukienki. Dziewczęta tłoczą się na łóżku chichocząc i robiąc miny, obrzucają

Catherine taksującymi spojrzeniami. Podobnie jak Margie kręcą się, nerwowo zmieniając pozycję, a ich głosy przybierają wówczas piskliwy ton. Owijają sobie na palcach loczki i po kolei wydają z siebie „ochy” i „achy” na temat czyjejś nowej bransoletki. Ann Caldwell pada na łóżko obok Catherine.

- Jak chłopcy w Detroit się całują? - szepcze Catherine do ucha, przechylając przy tym na bok głowę i chichocząc.

- Catherine ma szczęście - Bob ma nowiutkiego chevy!

- Czy wiecie, że June została na lodzie? Nikt jej nie zaprosił!

Czy coś jest dziwnego w tym pokoju? patrzą pytająco ich oczy. Zapach kosmetyków do włosów i lakieru do paznokci. Takie już jesteśmy. Czy Catherine ma upiąć włosy do góry? A może puścić je luźno? Spróbujmy - i niech Barb powie, jak jest lepiej. A jak Ann myśli? O rany, ale ona ma włosy!

Biedna Margie. Chce pewnego dnia wyjaśnić coś Catherine, siedząc po wyjściu dziewcząt na pomiętej narzucie, obłożona pismami, które jej koleżanki zostawiły.

- Jesteś taka nieśmiała - mówi oskubując lakier z paznokci. - Poradzisz sobie na balu? - pyta ją, spuszczać wzrok. - Wychodziłaś gdzieś już wcześniej z chłopcami, prawda?

- Nie - mówi Catherine.

Margie wstaje i wychodzi z pokoju. Catherine siedzi i patrzy na jedno z leżących na łóżku kolorowych pism. W tle na okładce jest błękitne niebo. Takie niebo zasnuwane chmurami może być dziś w gorące popołudnie nad jej domem i domkiem Tubbita. Na dole okładki jest napis, że co miesiąc kupują to pismo trzy miliony kobiet.

Może powinna powiedzieć, że chodziła już z chłopcami. Jeśli leżało się obok Thorna obserwując niebo i przesuwało palcem po jego ręce, albo całowało kępkę włosów wokół jego sutka, to jasne, że było się z chłopcami.

Czuje ból w krtani. Na okładce pisma na tle nieba stoi dziewczyna. Dziewczyna jest autentyczna. Ma jedno oko lekko smutne i zrezygnowane, jak lalka. Szminka na jej ustach jest zgrana z rumieńcem na policzkach, tak samo dobrane są do siebie kolorem wstążki na sukience i kapeluszu oraz pasek. Dziewczyna stoi i trzyma w rękach ogromny kapelusz. Wszystko w niej jest dopasowane.

Wewnątrz pisma nic do siebie nie pasuje. Na wewnętrznej stronie okładki jest zdjęcie małej dziewczynki, zawiniętej w ręcznik z kobietą, która narzeka na trzymaną w ręce szczoteczkę do zębów. Na następnej stronie są zdjęcia czterech kobiet, które napisały do tego numeru, a na przeciwległej stronie znajduje się miska pełna płatków kukurydzianych, w którą te kobiety się wpatrują.

W domu panuje cisza, tylko na werandzie rozmawiają Margie z Alice.

Catherine zobaczyła po raz pierwszy takie pismo, gdy Tubbit wybierał z jednego z nich przepisy. Pochylony nad zdjęciami ciast i zapiekanek, wycinał je końcem rzeźnickiego noża, mrucząc coś do siebie pod nosem. Dziewczęta leżały obłożone nimi na łóżku przez całe przedpołudnie i studiowały różne wersje obcisłych kostiumów kąpielowych, spodenek gimnastycznych, a także suknię ślubną synowej Franklina D. Roosevelta.

Catherine odkłada pismo, zamyka oczy i słucha tykania zegara na podeście schodów. Nagle czuje, że potrzebuje przestrzeni i świeżego powietrza, więc schodzi na dół i wychodzi z domu.

Świeci słońce. W dole, poza terenem uczelni, znajdują się pola i farmy, a także ukryty wśród zarośli strumyk. Ktoś wrzucił kiedyś do niego zużyte płyty chodnikowe i woda przelewa się przez tę omszałą przeszkodę cienką warstwą z takim bulgotem, że zagłusza nieomal, stojący na sąsiednim polu, skrzypiący wiatrak.

Catherine przebiega na drugi brzeg po wystających z wody narożach betonowych płyt i przeprawia się przez zarośla w kierunku stojącego samotnie na słońcu wiatraka, który ze skrzypieniem pompuje wodę. Staje w cieniu jego zmurszałych ścian i skrzydeł, odwraca się i rozgląda dookoła siebie; na wzgórzu widzi budynek college'u i dach domu Knappów. Samotny wiatrak nie przestaje się kręcić. Catherine wie, na czym polega jego działanie, jego dźwięk jest taki rzeczywisty. Zapachy też są rzeczywiste; tak pachnie gorąca, czarna ziemia i prażące się na słońcu rośliny.

Obok wiatraka i dalej, w dół, całe pole porośnięte jest mleczem, a na nim znajdują się larwy motyla „monarchy”! Te same prążkowane gąsienice!

Catherine długo przygląda się gąsienicom. Następnego dnia, gdy Margie czesze jej włosy, Catherine mówi, że chce pomóc swojemu wujkowi i zrobić badania motyli „monarchy”, więc co rano będzie wychodzić na pole, niedaleko domu. Nie oznacza to, że nie odpowiada jej towarzystwo Margie albo, że nie chce, by Margie czesała jej włosy...

Będą musiały i tak wypróbować fryzurę Catherine przed bale, mówi Margie, więc dlaczego nie miałyby zrobić tego teraz? Mogą umyć włosy przed brydżem w piątek, wtedy będą akurat dobrze wyglądały na sobotę wieczór. Zaraz robi Catherine nową fryzurę.

- Bardzo ładnie! - mówi Alice, widząc Catherine przy śniadaniu. George odkłada gazetę i mówi, że siedzą z nimi przy stole dwie najładniejsze dziewczyny w Cedar Falls. Dick gwizdże z uznaniem. Babs i Stevie jak zwykle się spierają i nie chcą jeść płatków.

Alice i George uśmiechają się z zadowoleniem do Catherine. Catherine mówi im, że na polu, niedaleko od domu, znalazła larwy motyla „monarchy” i ma zamiar spędzać codziennie kilka godzin na badaniach.

Czy przyniesie je tutaj? pyta Margie. Czy będą żywe i rozpełzną się po domu?

Alice Knapp nie wie, co ma powiedzieć. Wychodzić tak codziennie, żeby prażyć się na słońcu? W końcu wciąż jest lato. To dobrze, mówi, że Catherine ma na sobie akurat tę spódnicę, którą zamierza włożyć na brydża. Jest za długa - czy Margie tak nie uważa? - więc może ją zaraz podłożyć.

Catherine staje na rozłożonej na kuchennym stole gazecie. Mówi, że motyle „monarchy” w Iowa są inne od tych ze stanu Michigan i może pomóc swojemu wujkowi, jeśli...

A może Dick z nią pójdzie, mówi pani Knapp. Albo Margie? Alice cofa się i przygląda, czy spódnica jest równa.

Margie wydaje jęk i mówi, że wszyscy przecież wiedzą, co słońce wyprawia z jej skórą, a Dick za chwilę wychodzi na trening.

Dick staje właśnie w drzwiach kuchni i mówi, że spotyka się zaraz w szkole z kolegami i będą trenować w sali gimnastycznej. Zatrząskuje za sobą tylne drzwi i na podjeździe słysząc klekot grata któregoś z jego kolegów.

- Jak ci się wydaje? - pyta Alice Margie. - Nie jest za krótka? - Obydwie cofają się o krok, żeby spojrzeć na Catherine.

- Jeszcze odrobinę - mówi Margie. Chodzi po kuchni zatrzymując się od czasu do czasu, żeby spojrzeć w okno.

Pani Hansen wchodzi z ogromnymi brytfannami ciasta, które przygotowała na brydża.

To takie niewygodne, mówi Alice wyjmując z ust szpilki, że szkolne kolory to fiolet i złoty. Żółty wygląda apetycznie, ale złoty to nie złoty, a spróbuj znaleźć fioletowy barwnik! A wyobraźcie sobie przyjęcie w stanowym uniwersytecie - tam mają jeszcze gorzej, czarny i złoty!

Czy nie powinny jechać po zakupy, przed przyjęciem w przyszłym tygodniu? pyta po chwili Margie. Ona i Catherine mają zamiar włożyć duże, słomkowe kapelusze, a do słomkowego kapelusza nie można przecież założyć białych rękawiczek.

Dlaczego nie? mówi Alice. Jeśli włożą do tego białe sandały, to wcale nie będzie źle wyglądać. Catherine stoi na stole i spogląda z góry na kuchnię. Pani Hansen ma włosy splecione i upięte z tyłu w kok. Pani Knapp znów trzyma w wargach szpilki.

Nad domem przelatuje samolot, a jego łoskot odbija się echem w pustych pokojach i korytarzach.

Babs zjadła w końcu śniadanie i wchodzi do kuchni. Skarży się, że nie ma co robić. Jej matka mówi, żeby poszukała swoich lalek z papieru.

Babs nie chce. Wchodzi pod stół i wali w niego krzesłem. Bezcelowe stukanie metalu o metal pozostaje przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki rozlega się w kuchni.

- Do zobaczenia, moje panie! - mówi, stając w drzwiach, uśmiechnięty pan Knapp. Następnie słychać na schodach jego żwawe kroki. Catherine widzi go, jak wyprostowany idzie z teczką w dłoni w kierunku budynku, w którym mieści się audytorium.

5

Następnego dnia, po śniadaniu, Catherine mówi, że musi pójść zapytać Dicka, który stoi po drugiej stronie ulicy i ogląda samochód Gordiego Bishopa, czy nie pożyczyłby jej swojego skautowskiego plecaka, który przydałby jej się w polu.

- No nie! - woła Margie - Nie pójdziesz tam chyba w tym stroju?! - Catherine wkłada więc na siebie nowe spodnie i chłopcę koszulę z zawijanymi rękawami i wydłużonym tyłem - tak się ubierają wszystkie dziewczęta. Margie czesze jej włosy i mówi, że musi zrobić sobie makijaż. A jeśli ma zamiar gdzieś się oddalić, to musi wrócić wcześniej, żeby zdążyć przygotować się do brydża.

Przy krawężniku stoją zaparkowane samochody. Chłopcy zauważają Catherine, zanim jeszcze zdążyła przejść przez ulicę, i gwizdzą na nią. Catherine podchodzi i pyta Dicka o plecak. Żadnego z chłopców wcześniej nie widziała i oni przyglądają jej się, gdy wydaje im się, że tego nie widzi. Dick ich przedstawia, a oni śmieją się i bacznie ją obserwują. Catherine pyta ich, co robią przy tym samochodzie.

Chłopcy spoglądają wzajemnie na siebie i Dick mówi, że to samochód Gordiego. Catherine zagląda pod maskę i mówi, że prowadziła już taki samochód.

Po chwili Dick mówi, że musi chyba pójść z nią do domu, bo plecaka może nie być tam, gdzie jemu się wydaje, że jest. Catherine w tym czasie zdążyła pożyczyć klucz od Boba Hendersona, który spytał Dicka, czy nie miałby nic przeciwko temu, żeby ona, gdy będzie szukał plecaka, rzuciła okiem pod maskę.

Po odejściu Dicka zapada cisza, przerywana jedynie pytaniami Catherine. Bob Henderson pyta ją o Detroit. Catherine odpowiada, że obserwowała przez parę dni

pracę na taśmie u Forda, a potem opisywała mu, jak podpatruje motyle. Jeśli będzie chciał wybrać się z nią któregoś dnia obserwować motyle albo je zbierać, to proszę bardzo, mówi. Po chwili żegna się ze wszystkimi, załadowuje plecak Dicka i odchodzi.

Pole kukurydzy sprawia wrażenie tak samo niedostępnego, jak stary wiatrak. Catherine znajduje w trzech różnych miejscach larwy, a także ich jajka, które pod mikroskopem wyglądają jak jakieś złote cudeńka od najlepszego jubilera, ale widziane gołym okiem robią tylko wrażenie złotego pyłku. Siada pod skrzypiącym wiatrakiem i zaczyna sporządzać notatki, dokładnie i starannie, jak gdyby Thorn tu był i wystarczyło tylko podnieść wzrok, żeby go ujrzeć. Catherine poci się z upału i wyciera dłonią lepką szminkę. Wiatrak nad jej głową obraca się.

Gdy wraca do domu, słyszy rozmowę Margie z matką. Co jest złego w interesowaniu się, jak działa samochód? pyta Alice, a Margie odpowiada, że nie ma nic złego i chłopcom się to nawet spodobało, ale chodzi o to, że ona nie wie, jak się zachować. Patrzy na wszystkich, jakby byli jakimiś dziwakami...

- Była przez tyle lat sama w Detroit - mówi Alice. - Wiesz, co powiedział wujek Jack. Ona dopiero zaczyna poznawać świat, dowiadywać się, co to znaczy wolność, przebywanie w towarzystwie rówieśników...

- I te jej robaki! - mówi Margie. - Opowiedziała Bobowi Hendersonowi o swoich robakach, a Gordie Bishop zapytał Boba po jej odejściu, czy umówił się z „panną Robaczycą"! Ona nie ma pojęcia, jak się zachować! Podchodzi do chłopców tak po prostu, patrzy na nich i rozmawia z nimi, zupełnie się przy tym nie uśmiechając. Patrzy na nich, jakby wszystko wiedziała, a przecież powinna... - Margie zniża głos i przestaje mówić, bo słyszy na schodach Catherine. - Chodźmy się ubrać.

Zanim Margie i Catherine zdążyły się ubrać, obydwie ogromne salony i gabinet na dole zastawione zostały stołami do gry i rozkładanymi krzesłami. Każdy stół był inny i na każdym stał bukiet kwiatów, dopasowany kolorem do serwety i małych serwetek.

Alice czeka właśnie na nie na podeście z listą w jednej ręce i stosem małych karteczek z nazwiskami w drugiej.

- Nie byłaś pewnie nigdy na przyjęciu brydżowym - mówi do Catherine.

Alice mówi, że dla wprawy pomogą pani Hansen roznosić talerze z lunchem - podaje się je z lewej strony - i nalewać kawę. Potem zbiorą talerze z prawej, podadzą z lewej ciasto i doleją jeszcze kawy. Kiedy wszyscy skończą jeść, wszystkie trzy posprzątają ze stołów. Nie muszą zmywać; przyjdą to zrobić dziewczęta z college'u. Margie i Catherine wprawiają się w podawaniu i sprzątaniu ze stołów, a potem słyszą dzwonek do drzwi i Alice mówi, że pewnie idą dziewczęta.

Wchodzi mnóstwo kobiet. Pewnie stale to robią, bo wchodzi tak zwyczajnie frontowymi drzwiami, uśmiechają się i rozmawiają pewnie tak jak zwykle. I chociaż jest pierwsza w południe, mają na głowach kapelusze.

Są do tego przyzwyczajone, Catherine poznaje to po ich twarzach. Ubrane są w jasne, pastelowe kolory, na kapeluszach mają kwiaty, na rękach białe rękawiczki. Ich oczy i radosne, podniesione głosy mówią, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Dla Margie nie ma w tym nic niezwykłego; uśmiecha się, potrząsa blond fryzurą i przedstawia wszystkim dookoła Catherine. Czy podoba jej się Cedar Falls? chcą wiedzieć kobiety. Czyż nie przyjemnie jest Margie mieć w domu przyjaciółkę w tym samym wieku? Oba salony i gabinet pełne są ich głosów, uśmiechów i kapeluszy. Jest. piątek, pierwsza w południe i Catherine doskonale tu pasuje - Kobiety, nie przestając się uśmiechać, pytają ją, czy nie uważa, iż Margie bardzo przypomina matkę?

Wszyscy wiedzą, co mają robić - siadają przy stołach w kapeluszach na głowach i z rękawiczkami schowanymi pod rozłożonymi na kolanach serwetkami. Płynie rozmowa przerywana tylko wybuchami śmiechu albo nagłą ciszą, która następuje, gdy do stołu podchodzi Catherine, żeby postawić talerz albo nalać do filiżanki kawy. Przestają wtedy rozmawiać o czyjejś ciotce w Chicago i zachwycają się lunchem.

A Thorn - myślała. Co zrobiłby Thorn?

A gdyby tak był dwórką Rigauda w czasach Ludwika XIV? Nosiłby wtedy jedwabne pończochy... chodziłby na wysokich obcasach i na plecy spływałyby mu loki. Odprowadzałyby go pełne podziwu spojrzenia. Wyglądałby dokładnie tak samo jak cała reszta. Jedna ze starszych pań zasypia na krześle. Jej twarz traci zwykły, radosny wyraz i zagłębia się w pióropuszu.

Co Thorn by zrobił, gdyby musiał siedzieć w piątkowe popołudnie tyle godzin w niewygodnych pantoflach na wysokich obcasach? I gdyby ktoś zachwycał się jego spódnicą, jedwabnymi pończochami i długimi lokami? Czy wyglądałby tak jak wszyscy?

- Alice ma taką piękną zastawę, prawda? - mówi do Catherine jakaś blondynka, upijając łyk kawy.

Przez cały ten czas za oknem przetaczają się z łoskotem ciężarówki, a studenci śpieszą na zajęcia.

Kobiety mówiłyby do Thorna, jak ładnie wygląda, pytałyby go, czy ma naturalnie kręcone włosy i opowiadałyby, jak studenci w college'u połykają złote rybki. Po lunchu na każdym stole muszą znaleźć się dwa pudełka kart do gry, notes do zapisu i ołówek, a także miseczki z miętowymi cukierkami i orzeszkami. Jak to miło, że wpadł z wizytą, powiedziałyby mu. I że jego spódnica doskonale dobrana jest do koloru oczu.

Na zewnątrz jeżdżą ciężarówki, chodzą studenci i profesorowie, tu i ówdzie zatrzymuje się i podzwania samochód z lodami. Margie mówi do Catherine, że ta pani w ogromnym różowym kapeluszu to matka Boba Hendersona. Przygląda ci się, widzisz?

A ta blondynka w brązowym kostiumie, mówi Margie, gdy kobiety w końcu wychodzą, - Czyż nie jest szalowa?

Niektóre kobiety są zmęczone. Wychodzą i przestają się uśmiechać. Na schodach patrzą uważnie pod nogi, żeby się nie potknąć w niewygodnych pantoflach. Inne odwracają się, jeszcze raz się uśmiechają i mówią, że mają córkę w wieku Catherine, albo pytają ją, czy nie uważa, że Margie podobna jest do matki.

Jakiś chłopiec przynosi gazetę. George Knapp wraca z teczką z pracy. Alice jest zmęczona, ale pewna, że przyjęcie się udało.

- Nie mogę jeść - mówi następnego dnia, przy śniadaniu, Margie. Wieczorem idziemy przecież na bal. Muszą z Catherine umyć znów włosy, na lunchu było tak gorąco. Nie mogą przecież iść z lepкими i przyklejonymi do szyi włosami.

Jak umyją włosy, muszą jeszcze trochę poćwiczyć krok i zadzwonić do Ann, Barb i Betty. Nad Cedar Falls rozpościera się pajęczyna utkana z dziewczęcych głosów. - Czy są jakieś dziewczęta, które nie wybierają się na tańce? - Catherine pyta Margie pomiędzy kolejnymi rozmowami. Margie mierzy ją niedbałym spojrzeniem, które stało się zapewne u niej już zwyczajem i mówi, że oczywiście. Są takie dziewczęta, które nie mają pary i stoją zwykle pod ścianą na szkolnych zabawach.

Margie prawie nie je ani lunchu, ani obiadu. Po lunchu ona i Catherine gola sobie włosy pod pachami i na łydkach, biorą wonną kąpiel, a potem nacierają się jeszcze płynem do ciała i skrapiają perfumami. Potem robią sobie manicure u rąk i nóg, używając przy tym kremu do skórek, który potem zmywają i nakładają na paznokcie najpierw podkład, potem dwie warstwy lakieru a na to warstwę lakieru ochronnego. Jeśli im się któryś paznokieć rozmaże, powtarzają wszystko od nowa.

Przy obiedzie zabawnie wyglądają z lokówkami na głowach i Dick oraz pan Knapp żartują sobie z nich. Tańce są dla dziewcząt bardzo ważne, Catherine stara się to zrozumieć. Musisz wyglądać zupełnie inaczej niż zwykle, tak że wszystkich aż zatka, jak cię zobaczą, mówi Margie. Nie przestaje mówić o tym, jak chłopcy zemdleją na ich widok, i ciekawa jest, co powiedzą na Catherine.

- No jak? - pyta Margie matkę. Patrzą obie na stojącą przed dużym lustrem, w pokoju Margie, Catherine. A ona zastanawia się, kto jest w tym lustrze. Wytworna, długa suknia wydaje się bardzo ważna - ktoś, kto nazywa się Bob Henderson, będzie przez cały wieczór wodzić tę suknię po parkiecie.

- Marzenie! - mówi Alice.

Niech chłopcy trochę poczekają, mówi Margie. Jej matka otworzy im drzwi i będzie rozmawiać z nimi przez chwilę, a potem one „zrobią wejście” i wtedy chłopcy zaniemówią z wrażenia. Catherine i Margie stoją w korytarzu na górze i słuchają

dochodzących z dołu głosów chłopców. Potem Margie przyobleka na twarz pogardliwą minę i zaczyna schodzić po schodach; Catherine idzie za nią starając się robić to samo.

Trudno zgadnąć, czy chłopcy oniemieli, czy zemdleli z zachwytu - według Catherine raczej wyglądali na zakłopotanych. Wszyscy czworo idą parami do samochodu, powoli, bo dziewczęta nie mogą iść za szybko.

Jim i Bib stoją sztywno wyprostowani, trzymając otwarte drzwi do samochodu i czekają, aż Margie i Catherine wejdą do środka i zabiorą sukienki, żeby mogli zamknąć drzwi. Jest gorący letni wieczór, wszyscy są już lekko spoceni, szczególnie chłopcy ubrani w garnitury i koszule, z ciasno przylegającymi do szyi kołnierzykami. Margie robi dumną minę, jakby robiła chłopcom grzeczność, że z nimi w ogóle gdzieś idzie.

Jest dość sztywno. Catherine zna kilka dziewcząt z wchodzących do budynku damskiego klubu w towarzystwie chłopców, poznaje też kilka sukni. Ale jest też dużo „dziewcząt z miasta”, które mieszkają w centrum Cedar Falls, więc przypatruje jej się mnóstwo obcych twarzy. Kręcone schody prowadzą do, znajdującej się na piętrze, damskiej toalety. Jedna jej ściana jest cała w lustrach. Każda dziewczyna podchodzi do niej, robi minę, jakby to, co widzi, nie robiło na niej specjalnego wrażenia, a potem staje obok i przygląda się innym. Kilka dziewcząt stanęło w koło i dotyka wzajemnie swoich sukien albo przypina sobie w pasie bukietki. Większość jednak podnosi zarazem dumnie do góry głowę i boi się. Czego one się boją? Jest tu trochę starszych osób, ale nie tak wiele. To „przyzwoitki”, wyjaśnia jej szeptem Margie, gdy Catherine ją o nie pyta.

Wracają na dół, gdzie spotykają stojących pod ścianą, wciąż wyglądających na zakłopotanych chłopców. Może to dziewczęta organizują te tańce, a chłopcy muszą na nie przyjść i wszyscy razem udają zadowolonych? Gdy dziewczęta widzą chłopców, z którymi przyszły, zaczynają rozmawiać z nimi i śmiać się, obracając w palcach karneciki z tańcami, do których chłopcy się wpisują. Bob podaje Catherine jej karnecik i Catherine mu dziękuje. Jest dokładnie w jej wieku i wie nie więcej od niej, ale za to wygląda na bardziej od niej przestraszonego. Poprawia kołnierzyk przy szyi i mankiety koszuli.

W sali balowej zaczyna grać szkolna orkiestra, więc wszyscy idą tam podziwiać dekoracje z balonów i czytają rozłożony na środku podłogi napis z tektury, z życzeniami dobrej zabawy. Starsi „uczestnicy” uśmiechają się z balkonu i machają do młodzieży. Bob obejmuje Catherine i zaczynają tańczyć fokstrotę. Catherine stwierdza, że nie jest to bardzo trudne: trzeba tylko znać krok, rozluźnić się i pozwolić partnerowi się prowadzić. Bob tańczy średnio. Jack Laird obracał ją dookoła, a potem przebiegał parę kroków do przodu, a Bob tylko robi parę kroków w jedną stronę, potem parę kroków w drugą i znów od początku. Po jakimś czasie Catherine zdaje sobie sprawę, że nie będą nic innego robić. Raz tylko usiedli na moment, a drugi raz przeszli do połączonego z salą dużego salonu napić się ponczu owocowego i zjeść ciasto.

Chociaż w sali balowej obracają się wentylatory, jest gorąco. Catherine pocą się ręce, poci się cała i zastanawia się, jak musi czuć się Bob w swoim wełnianym garniturze. Muzyka wciąż gra, a Bob tańczy tylko w przód i w tył. Catherine nie widzi, żeby ktokolwiek dobrze się bawił, ale większość obecnych stara się śmiać i rozmawiać. Po dziewczętach widać, że martwią się o swoje stroje i o to, jak wyglądają ich włosy, a chłopcy wyglądają, po prostu, na zgrzanych. Muzyka gra bez końca i wkrótce chłopcy z zespołu wyglądają na jeszcze bardziej zgrzanych od reszty. Tańce są różne: raz dziewczęta wybierają chłopców, z którymi przyszły, innym razem układają na stos po jednym z pantofli, a chłopcy wybierają ze stosu but swojej dziewczyny i proszą ją do tańca. Jim zbliża się, od czasu do czasu, do nich w tańcu, stuka Boba lekko w ramię i wtedy Catherine musi tańczyć z Jimem do momentu, aż Bob z kolei zastuka w ramię Jima.

O jedenastej robi się chłodniej, ale to nie ma znaczenia, bo i tak wszyscy są tak lepcy od potu, że tego nie czują. Catherine zdażyła już zadać Bobowi wszystkie pytania, jakie jej przyszły do głowy, i on także zadał jej kilka pytań. Trudno mówić, gdy człowiek ociera się o drugiego, z twarzą bliżej, niż by się miało na to ochotę. Trzeba, rozmawiając, albo mówić drugiemu w ucho, albo patrzeć ponad jego ramieniem na innych... którzy robią to samo. Na plecach Catherine, w miejscu gdzie trzyma rękę Bob, jest mokra plama.

W końcu orkiestra gra pożegnalną melodię i wszyscy zaczynają mówić sobie wzajemnie, jak dobrze się bawili, i ustawiają się w kolejce, żeby podziękować przyzwoitkom. Gdy idą wszyscy czworo do samochodu, wieje chłodny wiatr. W samochodzie Margie chichocze na tylnym siedzeniu z Jimem. Przed domem chłopcy wychodzą z samochodu, pomagają dziewczętom wysiąść, odprowadzają je do drzwi, mówią dobranoc i dziękują za dobrą zabawę. Margie i Catherine także dziękują chłopcom za dobrą zabawę i wchodzą do domu.

7

- Napij się - mówi Jack wręczając Dickowi butelkę piwa. Siedzą obydwaj w cieniu i obserwują, jak Margie, Catherine i Alice pakują resztki pozostałego z pikniku jedzenia. Stevie i Babs są z ojcem na jeziorze i słyszą dochodzące stamtąd głośne krzyki.

- Jak tam pływanie?

- Chyba dobrze - Dick pociąga łyk piwa. - Jest taki jeden Stan Beecher w szkole, który myśli, że jest ósmym cudem świata, bo jest w ostatniej klasie. Za każdym razem, gdy zaczynam rozmawiać z Betty Marshall, wcina się i mówi, że jesteśmy patałachy i powinniśmy wracać do przedszkola. Mamy nowego trenera, uczy mnie nawracania i innych bajerów - ekstra.

- To świetnie - Jack otwiera następną butelkę.

- Mhm. Ten palant ma teraz swój własny samochód - wielkie mi co. Kay George i ta Betty Marshall robią miny, jak go zobaczą, no wiesz. Widzę, że Betty ma tego wszystkiego dość, więc zaprasza mnie na przyjęcie na plaży, nad rzeką. Ale pod koniec zjawiają się Stan Beecher z Kay. Wtedy Betty klei się do mnie, a że pachnie szałowo, więc biorę ją za rękę. Stan ściska Kay. Kay jest brunetką i miała kiedyś piegi, więc nazwaliśmy ją pieguską, ale teraz jest niczego sobie i już jej tak nie nazywamy. - Dick pociąga duży łyk piwa i zaczyna kasłać. - No więc Betty to wkurza, mówiąc delikatnie - ciągnie dalej. - Siada więc mi na kolanach i zaczyna chichotać. Ona jest teraz zupełnie inna, niż kiedyś; w dzieciństwie była najlepiej umięśnioną dziewczynką,

z jaką się zmagalem. Pomyślałem sobie, że ją połachoczę, to dopiero zacznę się śmiać, bo wiedziałem, że ma łachotki pod ramieniem. Na to ten palant Stan też zaczyna łaskotać Kay tak, że tamta aż zaczyna piszczeć: - Stan, nie, proszę! - chociaż założę się, że on nie ma pojęcia o łaskotkach u kobiet.

- Chyba nie - mówi Jack tłumiąc śmiech. Dick patrzy na jezioro i mruży oczy.

- Gdyby ta kłoda, na której siedziałem, nie była taka twarda jak kamień, to siedziałbym na niej całą noc, ale Betty jest ciężka jak ołów, chociaż, oczywiście, wszystko ma tam gdzie trzeba.

- Mhm - mówi Jack.

- Wtedy Kay nagle podnosi się, zwala Stana z kłody i krzyczy, że nie jest taka, że nic jej nie obchodzi, co robią inne dziewczyny i że w paru sprawach nie ustępuje, niezależnie od tego, co myślą inni. Do Stana to dociera i zaczyna wszystkich przeproszać.

- Fajna dziewczyna! - mówi Jack.

- Tak. A wtedy Betty ściąga mnie z kłody, wali mnie tak mocno, że słyhać na kilometr, i biegnie w kierunku ogniska tak szybko, że prześciga nawet Kay. Więc kiedy Kay, cała zdyszana, dobiega do ogniska, Betty już tam jest i obydwie idą zostawiając nas samych.

- Jak to kobiety - mówi Jack.

- Ty masz doświadczenie, więc chcę cię o coś zapytać - mówi Dick. - Czy nie uważasz, że kobiety kierują się w dużym stopniu uczuciami. Postępują bez sensu.

- Masz rację - odpowiada po przełknięciu piwa Jack. - Właśnie dlatego chciałem zapytać cię o Catherine.

- O Catherine?

- Tak... Czy uważasz, że ona jest taka jak inne dziewczęta? Miałaś dużo okazji, żeby jej się przyjrzeć.

- Ona jest... - Dick opróżnia swoją butelkę. - Nie wiem. Wydaje mi się, że nie patrzy na chłopców tak, jak powinna. Dziewczęta patrzą na nas w pewien sposób, a ona nie. Sam nie wiem. Czasem mnie to złości. Ale jest ładna. I mogłaby się naprawdę podobać, gdyby wiedziała, jak się zachować.

- A co powinna robić? - pyta Jack.

- O rany, nie wiem. No wiesz, kokietować cię, drażnić się z tobą, zwracać na siebie uwagę tak, żeby nie było tego widać... tak jakoś umiejętnie... jak to one... Mówią facetowi, że jest przystojny, że przepadają za facetami z samochodem, no wiesz. I udają cały czas, że są słabe i że się wszystkiego boją. No wiesz.

- Tak się zachowują dziewczęta w średniej szkole.

- No pewnie. Człowiek się wtedy dobrze czuje; i o to chodzi. One wiedzą, jak to robić, żebyś czuł, że jesteś mądry. Jeśli dostaną dobry stopień, to nie pokazują go całej klasie - tak jak to robi Catherine; zupełnie jakby była Bobem Hendersonem albo jakimś innym chłopakiem. Poza tym dziewczyny zawsze rozmawiają o ubraniach. A przy Catherine wszystko robi Margie. I Catherine wygląda ładnie.

- Ślicznie - mówi Jack.

- Czasem doprowadza człowieka do szału. Idzie sama na spacer - spaceruje po mieście tak, jakby było jej własnością... jakby chciała wszystko o nim wiedzieć. Co tu jest do wiedzenia? Wszystko jest tu takie samo, jak gdzie indziej, chociaż to małe miasteczko, a nie Detroit.

- Ona niewiele wie o świecie - mówi Jack.

- Więc powinna siedzieć w domu razem z Margie, żeby nie musiał wciąż jej szukać. Dziewczyny nie wychodzą same z domu, tak jak ona. Mówi, że wszystkie ważne rzeczy robią w szkole chłopcy. Próbowałem jej wytłumaczyć, że dziewczęta mają swoją drużynę dopingującą, klub gimnastyczny i tak dalej. Po prostu jest czasem denerwująca i tyle. Cały czas chce coś wyjaśniać. Co tu jest do wyjaśniania?

8

- Ależ ona jest tu dopiero trzy tygodnie! Dopiero od tygodnia chodzi do szkoły!
- mówi Alice do Margie. - Co pomyśli o tym Jack? - pyta męża, który wrócił właśnie z sobotniego zebrania zarządu. - Catherine nie ma, szuka gąsienic. Powiedziała, że od poniedziałku chce zacząć chodzić do college'u. Jej wujek ma podobno przyjaciela w college'u Gilmana, zadzwoniła do niego i on jej powiedział, że może zacząć. Więc ona wyjeżdża...

- Sama podjęła nagle taką decyzję, jakby nigdy nic! - krzyczy Margie.

- Podniosła słuchawkę, zadzwoniła i załatwiła sobie - mówi

Alice. - Zapytała mnie, rzecz jasna, czy może skorzystać z telefonu. Ale co mogłam powiedzieć?

- Jack mógłby ją zabrać ze sobą, jak będzie wracać do Chicago. Przyjeżdża przecież dzisiaj, prawda? - mówi George poluzowując krawat.

- Tak, przyjeżdża, ale co on sobie pomyśli? Ona zachowuje się tak, jakby nie miała ochoty tu dłużej zostać. Jest miła, to prawda, ale taka... dziwna. Patrzy na nas, jakby nie bardzo rozumiała, co my robimy.

- Miałem z nią kilka razy bardzo przyjemne rozmowy - mówi George. - Szczególnie wtedy, gdy powiedziałem jej, żeby nie wychodziła nigdzie sama, a jeśli chce dowiedzieć się czegoś o mieście, o Waterloo, albo o rolnictwie...

- Ona mówi, że Dick nie musi siedzieć w domu, a przecież ma dopiero szesnaście lat - mówi Margie.

- O Jezu, powiedziałem jej, że to co innego - mówi Dick. - Powiedziałem, że ja to co innego. Mnie się nic nie stanie.

- A co ona na to odpowiedziała? - pyta Alice.

- Że jej też się nic nie stanie. Więc co miałem powiedzieć? Że jej się stanie?

- A tak dobrze się zaczęło - mówi Alice. - Umówiłaś ją z Bobem Hendersonem... Tak ślicznie wyglądała w tej niebieskiej sukni, prawda?

Margie wzdycha.

- Ona jest po prostu dziwna - mówiłam ci! Chodzi jakoś tak dziwnie. Nie umie rozmawiać z chłopcami. Nie wie, co ma im mówić, żeby byli zadowoleni. Jak się do nich uśmiechać. Prawdę mówiąc, gdyby nie ja, to mogłaby cały tydzień chodzić do szkoły w tym samym ubraniu.

- Czy dzieci w szkole były dla niej niemiłe? - pyta Alice.

- No wiesz, nie rozmawia się z koleżankami cały czas o lekcjach i nie podchodzi się przy całej klasie do nauczyciela, żeby dać mu wycinek z prasy, który go zainteresuje! - mówi Margie.

- Czy mówiła ci, że dzieci są cały czas przestraszone? - mówi Dick. - Mnie powiedziała, że boją się ośmieszenia, tego że będą się różnić czymś od innych, albo że wiedzą za dużo.

- Jak ona może pójść do college'u, skoro nie ma żadnych porządnych spódnic ani swetrów? - pyta Margie.

- I zastanawiała się, dlaczego chłopcy zawsze trzymają się razem i wyglądają, jakby nie lubili dziewcząt - mówi Dick.

- Ona nic nie rozumie! - woła Margie. - Nie podchodzi się tak po prostu do chłopców i nie zasypuje się ich pytaniami. Trzeba się zachowywać - no nie wiem - jak dama, tak jakby cię nic nie obchodzili... nie wiem...

- Miałem wrażenie, że chciała mi przekazać, iż nie chce cały czas siedzieć w domu - mówi George. - Wytłumaczyłem jej, że ty i ja uzupełniamy się wzajemnie - uśmiecha się do Alice - ty zajmujesz się życiem towarzyskim i domem...

- Przed ślubem ja też uczyłam w szkole - mówi Alice.

- Spytała mnie, czy gdyby coś mi się stało, musieliby zatrudnić nowego dziekana - mówi do Alice George.

- Co to ma do...

- Ona podchodzi, tak po prostu, do ludzi - mówi Dick. - Podchodzi do ludzi tak, jakby była Bobem Hendersonem albo kimś innym.

- Nie możemy mówić Jackowi o takich głupstwach - mówi Alice. - Musimy mu chyba powiedzieć, że uważamy, iż powinna iść do college'u Gilmana. Znam jej rozmiar, więc możemy z Margie kupić jej trochę ubrań i później wysłać.

- Ona, po prostu, tak się zachowuje... - mówi Margie.

9

Catherine siedzi pomiędzy nagrobkami, na wzgórzu przy Dwunastej Ulicy i obserwuje posuwające się rzędem mrówki. Każda z nich niesie zwiniętą larwę; trawa na cmentarzu oznaczona jest białymi punktami, przyczepionymi do czarnych odnóży mrówek.

Kamienie nagrobne rzucają cień na groby, kwiaty, zielony trawnik i wysypaną żwirkiem drogę. Catherine podnosi wzrok znad mrówek i patrzy na górującą nad miastem wieżę ciśnię. Wygląda ona jak ogromna czara na nogach, na tyle pełna, że mogłaby zaspokoić każde pragnienie.

- Mówi, że mamy wyjaśnić, dlaczego Ofelia się topi - słychać dobiegający z kępy sosen, niedaleko od Catherine, dziewczęcy głos.

- No, dobrze - mówi męski głos. - Więc jaka jest przyczyna?

- Przestań. Muszę to napisać.

- Przestań? Co ci się stało?

- Nie mówię, żeby w ogóle, tylko daj mi napisać. O piątej muszę być w domu!

Posuwające się rzędem mrówki, niezmiennie od czasów Homera, odprawiają swoje tajemnicze misterium. Z nieznanых powodów wdrapują się ze swoimi młodymi na źdźbła trawy, mając przed sobą tylko jeden cel.

- Przestań! - zza drzew wyłania się dziewczyna z kartkami papieru i książkami pod pachą i siada na prążkowanej, wyrzeźbionej na podobieństwo drewnianego pnia, kamiennej ławce z wrytym u jej podstawy napisem „Usiądź na mnie i odpocznij”. Widząc Catherine pochyla głowę i zaczyna pisać.

Catherine oddala się i zanurza w cień zbiornika wieży ciśnię. Na rzędach grobów wciąż jeszcze stoją, w butelkach po mleku, zwiędnięte kwiaty - zostawione tam z okazji Dnia Pamięci. Wypełniony tonami wody zbiornik rzuca na nie z góry czarny cień.

10

Catherine obserwuje mijane po drodze łany kukurydzy i gładko przesuwający się po nich cień samochodu Jacka.

Czuje na sobie, od czasu do czasu, jego spojrzenie. Szminka ma słodki smak i jest lepka jak lody. Catherine oblizuje usta, ale ślina powoduje, że jest jeszcze gorzej.

Nie musi trajkotać tak jak Margie, ale dlaczego w ogóle się nie odzywa? zastanawia się Jack. Podziękowała Knappom oraz pani Hansen i powiedziała, że ma

nadzieję znów się z nimi zobaczyć za jakiś czas, a teraz siedzi sztywna jak posąg i wpatruje się w okno.

Po prostu wstała i wyszła. Młode dziewczęta nie podejmują tak szybko decyzji. Powinny trochę się zastanowić, posłuchać czyjejś rady, a nie tak, ni z tego, ni z owego, decydować się jechać do college'u.

Jack nie wie, co ma powiedzieć. O co jej, do diabła, poszło? Zaprowadzili ją do fryzjera, kupili jej ładne stroje; wszystko tak dobrze się zapowiadało, a tu nagle ona stwierdza, że nie może u nich dłużej zostać. Jest bardzo miła i mówi, że wszyscy byli dla niej tacy dobrzy, ale jego nie oszuka.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zatrzymać się w Amanas, żeby coś zjeść - odzywa się Jack. - Nie zboczymy wiele z drogi, a poza tym jest tam ciekawie.

- Z przyjemnością - mówi Catherine i Jack widzi w słońcu, na tle kukurydzy, profil Janet. Czy to wszystko, co powie? Ogarnia go gniew - co ten Thorn z nią zrobił? Nie potrafi być szczęśliwa w normalnej rodzinie; nie potrafi się nawet zachować. Nikt mu tego nie powiedział, ale on to widzi.

Tubbit też nie mówił za wiele. Był uparty. A może lojalny? Niech Thorn trzyma się od niej z daleka, niech zostanie we Francji, tam jest jego miejsce. A jeśli już o to chodzi... co się stało? Spogląda na Catherine. Jest taka podobna do Janet. Jak się tak na nią patrzy, to wygląda na zwyczajną, młodą dziewczynę. Gdyby nie te oczy. I sposób w jaki na ciebie patrzy; jak siada, jak chodzi i w jaki sposób trzyma ręce. Wszystko to powoduje, że sam nie wiesz, dlaczego jesteś na nią zły.

Nagle spostrzegają przed sobą na drodze czarny powóz.

- To Amisze - mówi Jack zwalniając, żeby spojrzeć na drogę przed sobą. - Wciąż poruszają się powozami. - Gdy samochód zatacza szeroki łuk, mijając czarne, ciągnięte przez konia pudło, Catherine widzi w środku, na tle zielonych pól, opalone twarze; cała reszta jest czarna. - W Amanas będzie ich więcej. - Catherine ogląda się za siebie i widzi kurczącą się w oddali sylwetkę powozu, który wygląda jak na obrazie sprzed stu lat.

Jack spogląda na Catherine. Knappowie dali mu wyraźnie do zrozumienia, że Catherine nie pasuje do nich. Może będzie jej lepiej w małej uczelni artystycznej, takiej jak college Gilmana. Może znajdzie tam sobie przyjaciół. Ubrania będzie mogła

przysyłać do prania do Cedar Falls; Alice powiedziała, że Tubbit nie potrafi zająć się jej strojami. Catherine będzie mogła odwiedzać Cedar Falls, kiedy tylko będzie miała ochotę, a poza tym niedaleko będzie Chicago, więc Jack może ją często widywać i nie będzie taka samotna.

To miło ze strony Alice. Przy wjeździe do Amanas Jack patrzy na Catherine i nie wie, dlaczego robi się zły.

- Tu jest dobre jedzenie - mówi zatrzymując samochód przy krawężniku. - Jest silny wiatr. Ja zaparkuję samochód, a ty wejdź do środka i uważaj po drodze na swój śliczny kapelusz.

Gdy Catherine wysiada, wiatr zadziera jej spódnicę. Przy krawężniku stoją dwie młode Amiszki; ich ciężkimi spódnicami wiatr nawet nie zakolysze. Zamykając drzwi Catherine widzi, że Amiszki mają przez cały czas wzrok wbity w ziemię. Czarne czepki zasłaniają im oczy, a ręce mają schowane głęboko w fałdach spódnic.

Czy wiedzą, że kilka kroków dalej, ubrani na czarno, młodzi Amisze biegają w tę i z powrotem i śmiejąc się, wkładają do powozu jakieś paczki? Brody tych młodych ludzi wydają się z innego świata, świata pełnego przygód, w którym na pokłady statków ładuje się towary lub zdobywa mury jakiegoś miasta. Pod czarnymi kapeluszami z szerokim rondem połyskują ich białe zęby i czerwone wargi.

W drzwiach restauracji Catherine się odwraca; spódnice Amiszek w dalszym ciągu sterczą nieruchomo na wietrze.

Jakaś kobieta w średnim wieku zderza się z Catherine w otwartych drzwiach.

- Przepraszam! - mówi. Potem, kołysząc się na wysokich obcasach i ręką przytrzymując kapelusz, uważnie patrzy pod nogi schodząc po schodach. Jack popychany wiatrem mija ją, pokonując po dwa stopnie na raz.

Zostają doprowadzeni do stołu. Jack odstawia krzesło dla Catherine a ona mu dziękuje. Jack czuje jednak, że wszystko jest nie tak, jak powinno być - Catherine rozgląda się dookoła tak, jakby była właścicielką tego wszystkiego, albo coś w tym rodzaju. Przy stoliku obok siada jakaś kobieta. Jest przystojna, pewnie albo mieszka w Des Moines, albo zatrzymała się tu przejazdem. Weszła z gracją, zachowuje się bardzo powściągliwie, a teraz pochyla się nad stołem i uśmiecha do mężczyzny, z którym przyszła. Ma ładne nogi.

Restauracja jest, jak zawsze, przytulna i pachnie w niej świeżym chlebem. Catherine czyta kartę dań i mówi do Jacka, że zje pieczeń.

Kobieta przy sąsiednim stoliku robi to samo, co Margie, myśli Catherine. Zajęło jej sporo czasu, zanim się zorientowała, co takiego robi Margie, ponieważ było to jak taniec, i to bardzo skomplikowany. Po pierwsze zmieniał jej się głos. Gdy rozmawiała z koleżankami, głos miała albo piskliwy z podniecenia, albo mówiła szeptem, chichocząc przy tym. Natomiast, gdy podchodził do niej w szkolnym korytarzu Jim, głos Margie łagodniał i nie był już taki donośny. Zmieniały się też jej oczy; spuszczała lekko w dół powieki i wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

Catherine obserwuje kobietę przy stoliku obok. Ale to nie koniec zmian. Margie nie trzymała już książek i zeszytów, tak jak wcześniej, lecz bawiła się nimi. Nie stała już na obu nogach i nie trzymała wysoko głowy, lecz gdy widziała, że Jim się zbliża, robiła się jakby mniejsza - opierała się plecami o framugę drzwi, a jeśli nie miała o co się oprzeć, to stawała na jednej nodze, drugą zginając w kolanie i podkurczając pod siebie.

Catherine obserwowała Margie i nigdy nie widziała, żeby patrzyła na Jima wprost albo, żeby trzymała wysoko głowę, chyba że przechyloną na bok. Nie układała już tak samo warg wymawiając słowa, lecz rozchyłała lekko usta i robiła nadąsaną minę. Oczy miała rozbiegane i trudno jej było zatrzymać na czymkolwiek wzrok, a jeśli już się to udało, to najczęściej patrzyła w podłogę.

Jim też się zmieniał, było to widać z daleka, gdy się ich obserwowało razem, na korytarzu. Ścisnął przeważnie coś w rękach i stojąc, patrzył na Margie z góry. Nie krzyczał do niej ani nie klepał jej po ramieniu tak jak swoich kolegów, i widać było, że czuł się nieswój. A gdy wracał do grupy chłopców, oni klepali go swoimi ogromnymi dłońmi.

Catherine spróbowała raz, patrząc w lustro, zachowywać się tak jak Margie i strasznie głupio wyglądała mrugając oczami i robiąc omdlałą minę. Kiedy wyobraziła sobie, że mogłaby tak się zachowywać przy Thornie, czuła się, jakby była marionetką w teatrze lalkowym, z dużą głową i długimi rzęsami, a reszta ciała jakby gdzieś znikła...

- Nie jesteś moim prawdziwym wujkiem - mówi Catherine.

Jack patrzy na nią zaskoczony. Obserwował siedzącą obok opartą na łokciach kobietę, która wyglądała prawie tak, jakby stół stał się jej częścią; jakby była mała i słaba i rozplątywała się w oczach siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny...

- Nie - odpowiada Jack.

- Właśnie tego nie rozumiem - mówi Catherine.

- Czego nie rozumiesz? - Jack patrzy, jak siedząca obok nich kobieta przesuwając upięscioną dłoń po swoim nagim ramieniu, jakby rozkoszowała się dotykiem swojej skóry. Gdy mówi, gestykuje otwartą dłoń z szeroko rozpostartymi palcami i uśmiecha się.

- Znałeś moją matkę i ojca...

- To najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem! - mówi Jack. - Przy niej człowiek czuł się tak, jakby ona znajdowała się pod jego opieką, jakby musiał ją chronić...

Catherine śmieje się. Czy widział wcześniej, jak się śmieje? Janet śmiała się słodko i pieszczotliwie, odrzucając przy tym do tyłu głowę o krótko przyciętych włosach...

- Moja matka urodziła mnie w stodole i nie było przy niej nikogo, poza moim wujkiem...

- Nie było go tam - mówi Jack niskim głosem. Jego oczy są całkiem czarne, bez odrobiny światła.

- Co?

- Nie było go tam - powtarza Jack z nie ukrywaną złością. Ton Catherine staje się rzeczowy.

- Pewnie ci o tym nie powiedziano, ale on tam był.

Kelnerka podaje zupę. Catherine rozwija na kolanach serwetkę i bierze do ręki łyżkę; jest zadowolona, że nie jest razem z Margie w szkole. Uczniowie siedzieli grzecznie w rzędach, jak w teatrze, ale wcale nie patrzyli na nauczycielkę, tylko na siebie wzajemnie. Prawie przez cały czas patrzyli na siebie wzajemnie. Bali się ośmieszyć albo czymś wyróżnić - wyraźnie to się czuło. Nigdy nie pokazywali po sobie, że się cieszą albo że czegoś nowego się dowiedzieli.

Na każdej przerwie dziewczęta tłoczyły się w toalecie i rozmawiały o swoich nowych swetrach, spódnicach albo butach... gdzie je kupiły i ile kosztowały. Mówiły zawsze, że lubią, jak mają coś nowego.

Poza toaletą nie robiły tego. Jak tylko znalazły się w korytarzu, chichotały i obejmowały się i niby trzymały się razem, ale tak naprawdę to obserwowały jedna drugą. Wszyscy patrzyli, co robią „mili” chłopcy i „lubiane” dziewczęta i Catherine zauważyła po jakimś czasie, że zarówno w klasach, jak na korytarzach, wszyscy wodzą za nimi cały czas wzrokiem.

Catherine podnosi oczy. Jack patrzy na kobietę przy sąsiednim stoliku. Najważniejsze rzeczy w szkole to, jak się wygląda i czy umówiło się na randkę. Zajmowało to dziewczętom większość czasu. Wszystkie mówiły, że mają zamiar jak najszybciej wyjść za mąż.

Catherine kończy zupę i wzdycha - to nic, że po drugiej stronie stołu siedzi Jack Laird. I tak czuje się wolna. Nie mogła zgadnąć, czy dziewczęta kochały swoich chłopców, czy nie. Mówiły o tym, jak ich złapać albo jak spowodować ich zachwyty, jak ich „rozgryźć” albo jak ich „zdobyć”. Nie wydaje jej się, żeby wiele z nich miało z nimi stosunki; chyba, że tak to zrecznie ukrywały. Jeśli lubiły swoich chłopców i miały zamiar za nich wyjść, to dlaczego zachowywały się tak, jakby chłopcy byli całkiem różnymi od nich stworzeniami? I dlaczego chłopcy także zachowywali się tak, jakby dziewczęta były inne od nich? Czasami zdarzało się, że jakiś chłopiec oddalał się nagle od grupy szepczących coś między sobą w korytarzu chłopców, podchodził z głupią miną do jakiejś dziewczyny i mówił:

- Betty, ślicznotko, co byś powiedziała na mały balecik dziś wieczorem?

Płomień świecy, stojącej w czerwonej podstawce na stole pomiędzy Jackiem i Catherine, rysuje wzory na serwecie w szachownicę.

- Dlaczego zawiozłeś mnie do Knappów? A teraz wiesz mnie do college'u, i chcesz mi kupić ubrania... - Catherine przerywa, widząc wzrok Jacka.

- Kochałem twoją matkę - mówi Jack i czuje, że wargi ma sztywne. - Jesteś taka do niej podobna.

- Podobna? - Dlaczego ona tak się kładzie na stole i wsuwa dłonie pomiędzy krawędź stołu a swój biust? - Ależ nie jestem - jeszcze nie!

- Jesteś zupełnie jak ona. - Głos Jacka jest tak silny, że wydaje się, jakby drżał od niego płomień świecy. - Nie wiesz, jaka jesteś piękna?

Jackowi drży w dłoni łyżka. Catherine patrzy na niego ponad oświetlonym blaskiem świecy stolikiem.

11

Na zdjęciu w folderze college'u Gilmana widać znajdujący się na wzgórzu budynek uczelni, a wokół niego miasteczko, przechodzące na zboczach w farmy. Uczelnia założona została w połowie dziewiętnastego wieku przez kościół Metodystów. Połowa jego absolwentów zawsze albo zakładała własne interesy, albo otrzymywała dobre posady, a przy tej okazji sporządzała w testamencie zapisy dla uczelni.

Studenci college'u mieszkają w dwóch dużych domach akademickich, po trzy osoby w pokojach. Dziewczęta nazywają swoje piętrowe łóżka: górne - Niebo, środkowe - Ziemia, a dolne, składane - Piekło.

W każdym pokoju jest ciasno, gdyż musi się w nim zmieścić wszystko: ubrania wciśnięte w mały schowek zwany garderobą, pluszowe zwierzątka, talerze, książki i fotografie chłopców. Bywa, że dziewczęta siedzą ściśnięte na fotelu, na dwóch krzesłach oraz na dolnym i górnym łóżku (machają wtedy innym nogami przed nosem). Przez okno widać kilometry pól uprawnych, ale gdy jest zimno, zasłania się je kocami.

Współmieszkanki Catherine - Ruth Stone i Peggy Schmidt - szczególnie objaśniają jej, że po każdym weekendzie trzeba w niedzielę zameldować się w domu akademickim o wpół do ósmej wieczorem, bo inaczej dostaje się „minuty”. Na pierwszym roku dziewczęta nie wyjeżdżają na weekendy, tylko się uczą. Na każdym pokoju jest jakiś znaczek - na ich drzwiach narysowane są trzymające się za ręce miotły i widnieje napis: „Jesteśmy zgrabne, tak samo zgrabnie sprzątamy i śmiecimy”. Koleżanki Catherine robią miejsce na jej ubrania, książki i lokówki, pozwalają jej

włożyć część ubrań do walizek w pawlaczach, a ponieważ jest spóźniona, , zaczynają opowiadać jej wszystko to, co powinna wiedzieć.

O rany, ale ma szczęście. Nie będzie musiała chodzić w berecie, które noszą wszystkie studentki pierwszego roku, ani, na szczęście, przechodzić otrzęsin. Co by zrobiła, gdyby w samym tylko staniku i owinięta spiętym dwiema agrafkami ręcznikiem musiała na wysokich obcasach czołgać się w dół po schodach przez cztery kondygnacje, a wszystkie dziewczyny ze starszych lat przyglądałyby jej się? Albo rozdawać wszystkim przechodniom w mieście po kawałku papieru toaletowego? Albo czyścić szczoteczką do zębów schody kaplicy?

Ruth ma włosy tak jasne, jak to tylko jest możliwe u blondynek, i lekko wylupiaсте, schowane pod długimi, ciemnymi rzęsami oczy. Obejmując Catherine ramieniem czuje, że jest ona lekka jak piórko, po czym dotyka jej bawełnianego kompletu i pyta, czy mogłaby go kiedyś od niej pożyczyć.

Peggy przyjechała z Iowa, ale ubrana w swoje kaszmirowe swetry, mogłaby równie dobrze uchodzić za dziewczynę z miasta; poza tym jest zdolna i szybko kojarzy różne szczegóły. Ma w domu chłopaka, są zaręczeni i czasami, gdy wraca późno do domu z randki, a rodzice już śpią, zdarza się, że jej chłopak rozpina jej z tyłu sukienkę, bo sama nie może sięgnąć.

Czy to był ojciec Catherine? chcą wiedzieć. Catherine odpowiada, że nie. To tylko taki wujek - ona nie ma ani ojca, ani matki. Dziewczęta myślą jakie to smutne. Mówią też, że jej wujek wygląda jak gwiazdor filmowy, i zachwycają się jego samochodem.

Zajęcia odbywają się w różnych budynkach i salach; trzeba przechodzić z budynku do budynku i z sali do sali, nosząc ze sobą książki. Przedmioty Catherine ma następujące: angielski, retoryka, biologia, francuski, plastyka i wychowanie fizyczne. Studentki obserwują się wzajemnie, podobnie jak w szkole średniej, ale poza tym robią też notatki i uczą się. Jak się uczy codziennie po trochu, to nie ma się zaległości i wcale nie jest trudno.

Przed posiłkiem śpiewa się „Panie, zasiądź z nami do stołu”, następnie rozlega się rumor odsuwanych, a potem, na powrót, przysuwanych krzeseł i wszyscy, rozmawiając, zaczynają przesuwać po stole talerze z jedzeniem. Chłopcy zatrudnieni

w kuchni chodzą z tacami na głowie i noszą jedzenie. Zaraz po kolacji trzeba być z powrotem w akademiku, gdzie dziewczęta zbierają się w dużym, narożnym pokoju, w którym mieszka Anna Dennison. Anna jest opiekunką młodszych studentek.

- Wróciła Dotty! - mówi Ruth, patrząc jak otwierają się drzwi. - Pocałowałaś go?

- Na pierwszej randce, głupia?

- Co masz zamiar robić po studiach? - pyta Catherine Annę.

- Wyjść za mąż - mówi Anna. - Jeśli nie przystąpimy do tego czasu do wojny i Don nie będzie musiał jechać walczyć.

- A ja chcę jechać w długą podróż poślubną na Zachodnie Wybrzeże i wybrać się tam na derby - Peggy trzyma między kolanami butelkę lakieru do włosów, którym utrwala sobie fryzurę.

- Zabrał cię gdzieś na kolację, Dotty?

- Daj jej spokój! - mruczy z grzebieniem w ustach Peggy. - Umieram z głodu - zadzwonimy do cukierni, żeby nam coś przywieźli. Niech każda napisze na kartce, co chce.

Catherine pisze, a potem pyta:

- Nie chcesz robić magisterium? Masz same piątki...

- Ja? - Anna przerywa robótkę i patrzy na Catherine.

- Moja siostra miała w domu dziesięć pryszniców. Szkoda, że nie widziałyście, ile miała rzeczy - mówi Ruth.

Marie wciera sobie w łydki płyn do ciała.

- Joe mówi, że będzie prawnikiem i że wynajmiemy sobie mieszkanie w Nowym Jorku.

- A teraz mają dwa pokoje i gdzie ona ma to wszystko pomieścić? Wszystko jest u nas, na strychu.

- Moja siostra zna jednego chłopaka, który robi magisterium - mówi Anna - ale tam nie ma ani jednej dziewczyny; nigdy nie słyszałam, żeby jakaś dziewczyna robiła magisterium.

- Czy któraś z was przeczytała już „Powrót Indianina” na zajęcia z angielskiego?

- Jesteś na biologii - mogłabyś prowadzić badania nad mszycami - mówi Catherine.

- No pewnie - śmieje się Anna. - Prawdopodobnie na wydziale entomologii będzie jedna dziewczyna i jedyne co można po tym robić, to uczyć.

- Chciałabym sobie znaleźć jakiegoś fajnego chłopaka - rozmarza się Marie.

- Zazdroszczę Annie - chciałabym już być na ostatnim roku i wychodzić za mąż.

- Jaki chcesz mieć wzór na srebrach? - pyta Peggy.

- „Kwietniową różę”.

- A ja „Uwielbienie”.

- I mieć troje dzieci - mówi Marie. - Dwóch chłopców i dziewczynkę.

- A mówiłaś, że twój tata jest dziekanem na wydziale biologii w Illinois... - mówi Catherine.

- Jego zdaniem kobiety, które robią magisterium, dziwaczejają. Mówi, że nie słyszał, żeby któraś z nich była normalna.

- Zadzwoiłaś do cukierni, Dotty?

- Jakie nabożeństwo będzie jutro? Chyba się zerwę. Catherine patrzy na skrzący się na palcu Anny brylant.

- Co się robi po biologii? Czy trzeba uczyć? Pomyślałam, że może ja bym studiowała biologię.

- Tata mówi, że kłopot polega na tym, że trzeba dużo jeździć w teren i mieszkać tam tygodniami, robiąc różne badania, a przecież trudno być tam samej, z mężczyznami. Ale jeśli nie chcesz uczyć, to możesz jeszcze pracować w laboratorium albo być sekretarką. - Czy ktoś przeczytał już „Powrót Indianina”?

12

- Zabiera cię na kolację? - pyta Ruth.

- No wiesz, zgódź się! - woła Peggy. Jej współmieszkanki stoją na korytarzu obok Catherine, gdy ta rozmawia przez telefon. Catherine mówi Jackowi, że będzie zaraz gotowa, i odwiesza słuchawkę.

- Jest boski! - mówi Ruth. - Przystojny, ma wspaniały samochód i w ogóle.
- Będę musiała uprasować sobie spódnicę od kostiumu - mówi Catherine.
- Spódnicę od kostiumu? - Ruth spogląda na Peggy.
- Będzie tu o szóstej.
- Dzisiaj? - wrzeszczy Peggy. - Nie mówiłaś, że to dzisiaj!

Ona naprawdę ma zamiar włożyć na siebie wełniany kostium! Ruth nie wierzy własnym uszom.

Peggy przybiegła do telefonu z kawałkami waty pomiędzy palcami nóg, a teraz siedzi na dolnym łóżku i patrzy, czy nie rozmazał jej się lakier na paznokciach.

- O Boże - mówi - ona naprawdę ma zamiar włożyć kostium.
- A jakie ma włosy! - jęczy Ruth, patrząc z daleka na Catherine, która idzie korytarzem do prasowni. - Prawie nigdy ich nie kręci! Mogłaby wziąć czasem ode mnie duże wałki i płyn do utrwalania i zawinąć je pod spód, tak jak Beth...

- Czy kiedy pomalowała sobie paznokcie?

- Nigdy!

- Trudno jej powiedzieć, że nie może tak iść! Gdyby tak wyskubać jej brwi, ciekawe, co on by sobie pomyślał?

W małym pomieszczeniu, w którym znajduje się prasownia, jest ciemno. Wtyczkę od żelazka włącza się do kontaktu, który znajduje się wysoko nad głową. W umywalce namoczone jest czyjeś pranie, a nad głową przewieszona są sznurki, na których wiszą, omiatając ci twarz - gdy pod nimi przechodzisz - czyjeś majtki i biustonosze ociekające wodą. Catherine czeka, aż żelazko się nagrzej, i myśli o tym, że Jack znał Thorna i jej matkę.

Tubbit nie lubił prac i prasować. Catherine odsuwa na bok wiszącą nad jej głową koronkową bieliznę i rozkłada na desce odwróconą na drugą stronę spódnicę. Jack znał Thorna i jej matkę. Ale ona go nie lubi.

Trzeba stale myśleć o strojach, myślenie o nich zabiera tyle czasu.

Kiedy człowiek gdzieś się wybiera, najpierw myśli o ubraniu: przebiera się w nie w wyobraźni i patrzy, czy nie ma gdzieś plam albo czy nie jest pomięte. Nie lubi Jacka. Za każdym razem, gdy się z nim spotyka, czuje w środku jakiś ciężar. Ale to

Jack powoduje, że ona tak to odczuwa. Jack powoduje, że wszystkie kobiety tak się przy nim czują: kelnerki, urzędniczki, jej współlokatorki.

Myśli o jego oczach, które, schowane pod gęstymi brwiami, patrzą zawsze dokoła obojętnym wzrokiem. Tylko po mięśniach jego twarzy można poznać, że wszystkie nerwy ma napięte i skupione na niej, jakby była tym punktem, w którym spotykają się wszystkie linie perspektywy. Podobnie napiętą uwagę mają koty - jeśli zrobisz niespodziewany ruch, natychmiast skaczą na równe nogi i patrzą na ciebie, choćby chwilę przedtem spały z zamkniętymi oczami i zwiniętym ogonem. Jack ma pełne wargi i pionowe kreski w kącikach ust, jak wyrzeźbiony w marmurze rzymski cesarz.

- Pożyczę ci moją niebieską sukienkę z cekinami - mówi Ruth, gdy Catherine wraca i wkłada na siebie kostium i bluzkę.

- Dzięki za propozycję, ale jest za zimno - mówi Catherine. - Czasem w restauracji można umrzeć z zimna. - Ruth i Peggy patrzą, jak Catherine zakłada pasek do pończoch, naciąga jedwabne pończochy i wsuwa na nogi pantofle. Potem czesze włosy, maluje lekko usta szminką, bierze torebkę i rękawiczki. - Do zobaczenia - mówi.

- To zbrodnia - jęczy Ruth patrząc za Catherine.

Jak jej się podoba college? chce wiedzieć Jack. Przyjechał taksówką; mówi, że tak jest wygodniej, gdy pada. Otwiera przed nią drzwi akademika, a potem drzwiczki samochodu, uśmiechając się przy tym do przechodzących obok studentek. Przebywał przez kilka tygodni na Zachodnim Wybrzeżu, dlatego się nie odzywał. Ale teraz Catherine musi zobaczyć wszystkie warte zwiedzenia miejsca w Chicago. Jack opowiada jej o przedstawieniach, o muzeach i o nocnych lokalach i przygląda jej się tym swoim szczególnym rodzajem spojrzenia, w którym jest jakieś tępe uwielbienie.

Otwiera przed nią drzwi restauracji „Złoty krąg” i bierze od niej płaszcz. Kelner odsuwa dla niej krzesło. Jack zamawia dania. Mogłaby być głucha albo niema, być lunaticzką, staruszką i nie wiadomo jeszcze kim, a i tak, prawdopodobnie, we wzroku Jacka pozostałby ten sam tępy wyraz jakiejś czci.

Obok nich przemykają bezszelestnie, w pantoflach na wysokich obcasach, kobiety. Jack uśmiecha się do Catherine. Kobiety poprawiają sobie włosy,

uśmiechając się przy tym znad puderniczek, a potem siadają, skręcając przy tym lekko biodra, i znów się uśmiechają. Jack opiera się wygodnie o aksamitne oparcie krzesła i patrzy, jak błyszczące różowe lampy odbijają się w lustrach.

- Jest Jack Laird, Sally! - mówi, nachylając się do Sally, Ingrid.

- Nie obchodzi mnie to! - Sally Quints wydyma usta i wodzi, zakończonym czerwonym paznokciem, palcem po krawędzi stojącej przed nią szklanki z wodą.

- On jest niesamowity! Czy nie byłaś na jachcie...

- Nie obchodzi mnie! - odyma wargi Sally, przyglądając się znad szklanki Catherine. Kelnerzy chodzą w tę i z powrotem po puszystych dywanach; zaczyna grać orkiestra.

- Jesteś taka podobna do swojej matki - mówi Jack. Catherine nic nie mówi.

Jack mówi, że przez całe lata kochał się w Janet. Catherine jest taka do niej podobna, że ma wrażenie, jakby Janet żyła, a nie roztrzaskała się o kamienie i spaliła w samochodzie. Jack przerywa i patrzy przed siebie.

Janet była piękna, mówi znów po chwili. Catherine ma jej ruchy. Trzyma, tak samo jak Janet, wysoko brodę, ma takie same jasne oczy i wysoko sklepione kości policzkowe.

Kelner zabiera ich talerze po zupie. Orkiestra zaczyna grać begina.

- Przejdźmy obok ich stolika - mówi Ingrid patrząc na swojego partnera, lecz uśmiechając się do Sally. - Nie wiem, co to za jedna jest z nim - wygląda, jakby dopiero co skończyła szkołę! - mówi do Sally. - Jeśli ty go nie chcesz, biorę go na siebie. Założę się, że nie jest taki cwany, na jakiego wygląda. Wiesz, o co mi chodzi?!

- Pokłóciliśmy się - mówi Sally.

- Pardon, nie wiedziałam, przepraszam. - Ingrid siada wygodniej na krześle. - Skąd on ma na to wszystko, jeśli można spytać?

- Robi jakieś interesy z wojskiem. Jego firma produkuje coś dla nich, przerabia, czy coś takiego.

Może gdyby go lubiła, opowiedziałaby mu o college'u. Jak naprawdę się tam czuje.

Ale co mu mogła powiedzieć? Że jak szła wczoraj z kaplicy do akademika, to chmury płynęły nad jej głową i dookoła, aż po horyzont, nie było ani jednego drzewa, które mogłoby im w tym przeszkodzić, tak jak w Detroit?

Ale jest już siódma trzydzieści i musi wracać do akademika. Po drodze mijają zegnające się pary. Studenci uprawiają na trawie zapasy, udają się grupami do miasta albo do biblioteki, czy gdzie tam jeszcze chodzą, podczas gdy dziewczęta muszą już pozostać w budynku.

Catherine minęła po drodze dwie studentki z wyższego roku, stojące przy deskach do prasowania, i pozdrowiła kilka dziewcząt z wałkami na głowie. Usłyszała dochodzący od strony schodów dźwięk dzwonka, który odbił się metalicznym echem od drzwiczek w skrytkach na korytarzu, i usłyszała, jak ktoś krzyczy:

- Barb, na trzecim piętrze jest do ciebie telefon.

Poczuła pomieszany zapach perfum, mydła i zmywacza do paznokci.

- Corky dostała z domu paczkę - powiedziała Joanna, gdy Catherine mijają ją na korytarzu. - Jeśli nie każą nam iść do pokoju się uczyć, to spotykamy się o dziesiątej.

W pokoju, który dzieliła z Ruth i Peggy, nie było nikogo. W resztkach dziennego światła zobaczyła porozrzucane znajome przedmioty. W schowkach, w których stale czekały na uprasowanie jakieś ubrania, panował już mrok. Na sznurku pomiędzy kaloryferem i umywalką wisiała bielizna. Podeszła do umywalki, włożyła dłonie pod ciekący kran i przejechała nimi po włosach. Powinna je zakręcić. Nie potrzebowała już do tego światła. Stała i zastanawiała się, od czego zacząć odrabianie pracy domowej. Zawsze robiła wszystko z wyprzedzeniem, prace domowe oddawała przed czasem i otrzymywała same najlepsze oceny.

Szukając w szufladzie po omacku lokówek zobaczyła w lustrze, że w pokoju jest całkiem ciemno i nagle wydało jej się, że za nią znajduje się łóżko Thorna. Gdyby podniosła wzrok, zobaczyłaby swoje odbicie w lustrze zawsze skrzypiącej toaletki, a na łóżku jego długie ciało i przypatrujące się jej w zamyśleniu oczy...

Stojąc sama w pustym pokoju i otoczona zewsząd składanymi łóżkami, biurkami, schowkami na ubrania, bielizną na sznurku, lokówkami, studentkami przy desce do prasowania, podzwaniającym na schodach echem, paczką z domu i ciemnością - niczym na dnie studni - aż krzyknęła z przerażenia. Przytknęła twarz do

szyby i poczuła chłód. Chmury na horyzoncie śpieszyły do miejsca, gdzie zaszło słońce.

- Twoja matka uwielbiała tańczyć - mówi Jack. - Może teraz zatańczymy, a deser zjemy później?

Catherine tańczy przyciśnięta do niego w tłoku na parkiecie i obserwuje siedzących przy stolikach gości, oświetlonych różowym blaskiem lamp. Trudno przy nich rozmawiać. Ludzie ci podnoszą się niekiedy z krzeseł, drepczą w miejscu na parkiecie, objając się o inne pary i spoglądają, ponad ramieniem partnera, na twarze innych.

Musi tu być gdzieś kuchnia, taka prawdziwa, w której unoszą się różne zapachy, panuje ruch i zgiełk, gdzie kucharki wkładają na talerze jedzenie i wycierają brzegi półmisków ścierką, zanim podadzą je kelnerom. Gdy muzyka ucichnie, goście wyjdą i ulotni się dym z papierosów, przyjdą całkiem inni ludzie, którzy zabiorą ze sobą obrusy, wyczyszczą dywany...

- Dobrze tańczysz, jeśli mogę wydawać oceny - Jack śmieje się patrząc jej w oczy.

To co dzieje się teraz, w tym pomieszczeniu, to udawanie. Udawanie, że jedzenie pojawia się w tajemniczy sposób, że dywany są zawsze czyste, a obrusy wyrastają ze stołów jak białe kwiaty - oczywiście, jeśli patrzysz na to obojętnie i traktujesz tak, jakby to powinno być, jakby należało ci się to.

- Spójrz na nich - mówi Ingrid patrząc na tańczących Jacka i Catherine.

- Co mnie to obchodzi - mówi Sally.

Jack uśmiecha się pod nosem. Tam jest Sally. Niech sobie patrzy. Może Catherine nie jest najlepiej ubrana, ale jest o dziesięć lat młodsza od Sally i jest najpiękniejszą dziewczyną na tej sań. Gdyby była lepiej ubrana...

- Dobrze się bawisz? - pyta dziewczynę. - Chcesz zjeść deser?

Catherine siada w różowym świetle lampy i wygląda tak świeżo jak kwiat, który dopiero co rozkwitnął. Patrzy obojętnym wzrokiem po sali, jakby nie wszystko było dokładnie tak jak powinno, jakby należało jej się coś więcej.

- Opowiedz mi, jak jest w Gilmanie - mówi Jack. - Zacznij od początku, opowiedz mi o zajęciach, o randkach, na których byłaś...

- Nie byłam na żadnych randkach - mówi Catherine. Opowiada mu o wykładach, o przyjęciu urodzinowym swojej współlokatorce i o profesorach. Jack słucha paląc jednego papierosa, potem następnego. Żadnych randek. Może się nie podoba. A może Thorn... czy on...

- Wiesz co - mówi Jack pochylając się w jej kierunku w różowym świetle lampy - gdy przyjadę po ciebie w następny piątek, zrobimy coś wyjątkowego. Pójdziemy do salonu piękności Henriego i każemy im uczesać cię i zrobić makijaż. Zobaczysz, nie poznasz sama siebie, zaskoczysz swoje współlokatorce, wszystkich. Nie każemy ci zrobić dorosłego makijażu, tylko taki, jaki noszą dziewczęta w college'u. Zobaczymy, co im wyjdzie.

Catherine nie odzywa się.

- Nie podoba ci się ten pomysł? - pyta Jack. Catherine patrzy na niego i widzi w jego oczach zdumienie.

- Nie - mówi Catherine.

- Nie podoba ci się? - Twarz Jacka wydaje się mieć dookoła różową poświatę.

- Cześć - mówi jakaś przechodząca obok stolika, pod ramię z mężczyzną, blondynka uśmiechając się szeroko. Za nimi podąża, także się uśmiechając, inna para. Jack patrzy na Catherine i strzepuje popiół do popielniczki.

- Twoja matka była piękną kobietą...

- Czy ty naprawdę dobrze ją znałeś? - pyta Catherine patrząc mu w oczy. - Nie wydaje mi się, żeby ona miała czas przejmować się swoim wyglądem.

- Janet kochała stroje! - Głos Jacka staje się bardziej uroczyście niż zamierzał. - Nigdy nie widziałem, żeby miała na sobie dwa razy ten sam strój. Jeździła do Londynu albo do Nowego Jorku po stroje z nowych kolekcji. Rob jej na to pozwalają - nie wiedziała nawet, skąd się biorą pieniądze, nie potrzebowała tego wiedzieć. Wszystkie kobiety ją naśladowały - jej fryzurę i makijaż, sposób w jaki się śmiała i patrzyła na ciebie tymi swoimi oczami... Nie było drugiej takiej jak ona! - Przerywa, po czym dodaje: - Znałem ją wiele lat. Dużo dłużej niż...

Catherine patrzy na niego ponad stolikiem, czekając co powie dalej.

Jack nie mówi więcej. Nie patrzy nawet na nią; wyjmuje papierosa, zapala go i wydmuchuje strumień dymu.

- Byłem dwa razy żonaty. Nie zrobiłem dobrze. Poczekaj, aż sama się zakochasz - zobaczysz wtedy, jak to jest.

Patrzy na zegarek, a w świetle lampy połyskują jego spinki do mankietów.

- Może zatańczymy jeszcze, zanim będę musiał cię odprowadzić do akademika? Nie będą zachwyceni, gdy się spóźnisz.

Trzyma ją w ramionach i patrzy na spływające na kołnierz kostiumu włosy. Jest taka młoda i lekka. Kupił jej trochę strojów, ale nie będzie bardzo na nią naciskał w tej sprawie; to nie jej wina. Pewnie ma rozmiar 34. Jest praktycznie jakby jej wujkiem, więc może chyba kupić jej, od czasu do czasu, jakiś prezent, prawda? Jak już będzie miała sukienkę, to współlokatorki podpowiedzą jej, że powinna zadbać o siebie, wiadomo jakie są dziewczyny. Ta Peggy Schmidt i Ruth... jak to miała na nazwisko ta blondynka? Ruth Stone... to miłe stworzenia.

Gdy wychodzą ze „Złotego Kręgu”, już nie pada. Catherine odchyła do tyłu głowę i oddycha głęboko.

- Przejdźmy się - mówi.

- Zgoda - mówi Jack i zatrzymuje się obok taksówki. - Ta dama chce się kawałek przejść - mówi do kierowcy. - Jedź za nami, dobrze?

Przesiąknięty wilgocią wiatr gna po chodniku płachtę papieru. Catherine uskakuje jej z drogi i wciąga nosem powietrze - nawet tutaj czuje się zapach jesieni. Dobiegają do niej znajome miejskie dźwięki, i przywodzą na pamięć Detroit: odgłos klaksonu pomieszany z piskiem hamulców, rozlegające się najpierw czyjeś wołanie, a potem gwizd.

Jack dogania Catherine, bierze jej rękę i wkłada sobie pod ramię. Patrzy na nią i uśmiecha się; jego biały jedwabny szalik połyskuje w światłach przejeżdżającego samochodu.

Catherine nie ma żadnego innego miejsca, gdzie mogłaby pojechać na święta, poza Cedar Falls. Nie wie, dlaczego nie ma ochoty jechać do Detroit. Tubbit napisał, że na święta wyjeżdża odwiedzić swoich krewnych w Dakocie Południowej, a ona, z pewnością, dobrze się będzie bawić u Knappów w towarzystwie młodych ludzi.

Wszyscy w college'u Gilmana mówią o herbatce mającej się odbyć w domu przewodniczącego zarządu uczelni. Dziewczęta będą wyciągać z pudełka, umieszczonego w kaplicy, nazwiska chłopców i wylosowany młodzieniec będzie musiał przyjść po swoją dziewczynę do akademika zabrać ją na tę herbatę i odprowadzić potem do akademika.

Catherine wyciąga Billa Donnella. Marie go zna, mówi, że to taki przystojny chłopak z pierwszego roku. Dziewczęta spędzają mnóstwo czasu na dowiadywaniu się, kim są ich chłopcy, i zastanawiając się, w co mają się ubrać. Catherine rozmyśla, dlaczego nie ma ochoty jechać do Detroit.

Bill Donnell jest miły i zjawia się na czas.

- Cześć. Ty jesteś Catherine Buckingham? - pyta.

- Tak - mówi Catherine. W czasie gdy zapina płaszcz, on poprawia sobie krawat.

- Wydaje mi się, że powinniśmy ustawić się w kolejce, bo o drugiej piętnaście będzie tłok - mówi Bill. Obok męskiego akademika wije się długa kolejka czekających na wietrze par.

- Czy w waszym akademiku też obowiązują godziny powrotu? - pyta Catherine.

- Niby jest taka zasada, że musimy być w akademiku tak, jak dziewczęta, ale chyba nie ma określonych godzin. W mieście nie ma specjalnych rozrywek, ale jeden kumpel na naszym piętrze ma samochód.

Catherine uśmiecha się, Bill natychmiast także się uśmiecha i czuje ulgę. Powinna częściej się uśmiechać; zawsze o tym zapomina. Ruth upierała się, żeby zakręcić jej włosy; poczekaj, jak zobaczysz Billa Donnella... - powiedziała.

Catherine nie ma pojęcia, o czym ma z nim rozmawiać; on też. Dom przewodniczącego zarządu college'u znajduje się obok budynku, w którym mieści się wydział sztuk pięknych. Jego drzwi są otwarte i wciąż znika za nimi kolejka par.

W środku leżą w stosach ubrania, a dziewczęta sprawdzają w lustrach swój wygląd. W drzwiach salonu stoi rektor do spraw studenckich i Catherine, zgodnie ze zwyczajem, recytuje formułkę:

- Jestem Catherine Buckingham, a to jest Bill Donnell.

Rektor, miły, siwowłosy mężczyzna, zwraca się następnie do kolejnego, stojącego w rzędzie mężczyzny:

- Panie rektorze Haynes, Catherine Buckingham i Bill Donnell. - Mówi to takim tonem, jakby wręczał mu przesyłkę.

Catherine przechodzi wzdłuż rzędu mężczyzn, którzy podają jej rękę i uśmiechają się; gdy mówią do niej, nachylają się w jej kierunku i lekko podnoszą głos. Skąd jesteś? Jak ci się tu podoba? pytają. Gdy podają rękę Billowi, zniżają głos, prostują się i podnoszą do góry głowę. Catherine stara się pamiętać o uśmiechu. W którym akademiku mieszkasz? Czekasz na ferie?

Na końcu rzędu stoi ogromna, spowita w iskrzący welon z ozdób, choinka. Na stole w jadalni stoją dwa rzędy półmisek z kanapkami i ciastem oraz pucharków z ponczem. Po piętnastu minutach wszyscy udają się po swoje płaszcze, a w drzwiach żegna ich żona przewodniczącego, życząc im wesołych świąt.

Kolejka par przesuwa się obok budynku wydziału sztuk pięknych z powrotem do akademika. Niebo w to niedzielne popołudnie jest szare od chmur, na drzewach nie ma już liści, a trawa i ścierniska na polach są brązowe. Bill dziękuje Catherine, że z nim poszła, a ona dziękuje mu za miło spędzony czas. Wchodząc do akademika Catherine mija w portierni stos toreb z kanapkami na wieczór, a w koszach na śmieci widzi pełno ogryzków z jabłek i resztek kanapek.

Jak tylko wchodzi do pokoju, dziewczęta zaczynają wypytywać ją o Billa i opowiadają o swoich partnerach. Catherine mówi, że Bill jest miły i przystojny, a potem podchodzi do umywalki, żeby umyć ręce. Gdy wkłada pod wodę mydło, przypomina sobie, jak to robił Thorn, widzi pod kranem jego, pokryte brązowymi włosami, dłonie i wąskie długie palce...

- Twój wujek Jack jest super - mówi Ruth. - Zabrał nas wszystkie do kina i do restauracji.

- Żałuję, że ja nie mam takiego wujka - mówi do Catherine Peggy.

- Ja też - dodaje Ruth.

Zaczynają obydwie przymilać się do Catherine.

- Twój wujek chce nas zabrać do Henriego - mówi Peggy. - To dla nas jedyna szansa, żeby tam pójść, prawda Ruth?

- Będziemy bosko wyglądać na święta - mówi Ruth. - Założę się, że nas w domu nie poznają! Tam można sobie zrobić paznokcie, specjalny makijaż, uczesać się. Henri powie ci, w jakich kolorach jest ci najlepiej, jakie odcienie są dla ciebie korzystne, a jakie nie - po prostu wszystko!

- Jeśli powiesz swojemu wujkowi, że ty nie pójdziesz, to my też nie będziemy mogły pójść! - woła Peggy.

14

Nie widziały Henriego osobiście - może była to tylko nazwa? - Ale salon był po prostu bajeczny. Ruth i Peggy muszą wszystkim o nim opowiedzieć. Te boskie kosmetyczki i te szklane kabiny, w których ci to wszystko robią! Spójrzcie na włosy Ruth - wytarły je i pokazały, jak układać i w ogóle. Peggy powiedziała im, że zawsze chciała mieć kręcone włosy. Prawda, jak jej ładnie?

Catherine wygląda zachwycająco, no nie? Zrobiły jej taką prostą fryzurę, pokazały jej, jak robić makijaż, jak podkreślać ołówkiem brwi i nakładać na policzki róż...

Jack śmieje się i flirtuje z Peggy i Ruth, gdy zjawia się, żeby zabrać Catherine do Cedar Falls na święta.

- Urocze stworzenia - mówi do Catherine w drodze do domu. Catherine wspaniale wygląda z tą prostą i gładką, lekko podwiniętą pod spód fryzurką. Alice na pewno to zauważy, i Margie też.

Alice zauważa, naturalnie.

- Ojej! - mówi zaraz, jak tylko widzi Catherine. - Prawie cię nie poznaliśmy! - I zwraca się do Margie: - Czyż Catherine w tym kapeluszu, na wysokich obcasach i w ogóle nie wygląda dorośle?

- Pysznie! OK - mówi Margie. Pokój Margie, jak zwykle, jest cały w organdyńce, na łóżku leżą Ann Caldwell i Barb Henderson, a dokoła nich porozkładane są ubrania i czasopisma.

- Cześć! - mówi Catherine zdejmując kapelusz i potrząsając głową. Zagląda w lustro i sięga do torebki po grzebień.

- Barb idzie na jesieni do Gilmana - mówi Margie. - Chce ci zadać parę pytań. Catherine siada przed lustrem.

- A ty wciąż masz zamiar iść do Brymore'u?

- Chyba tak - krzywi się Margie.

- Czy tam można chodzić w spodniach na zajęcia? - pyta Barb. Patrzy, jak Catherine maluje szminką usta. - Czy naprawdę tam trzeba się cały czas uczyć?

- Opowiedz nam lepiej o Henrim i o restauracji Empire Room - mówi Anna.

- W co się ubrałaś?

- Jak tam było? Chodzi mi o te występy...

- Co powiecie, dziewczęta, na lunch? - pyta Alice, stając w drzwiach pokoju Margie. - Zadzwońcie do swoich mam, a jak już będziecie gotowe, to zejdźcie na dół.

- Uważasz, że powinnam zabrać ze sobą tylko spódnice i swetry, czy kostiumy bawełniane też? - pyta Margie, pomagając Catherine powiesić jej ubrania.

- Na twoim miejscu wzięłabym garsonki i parę bluzek - mówi Catherine. - Dżinsy nosi się teraz męskie, z guzikami z przodu i długie koszule na wierzch.

- Guziki z przodu! - powtarza dziewczęcy chór w drodze na dół. Widząc czekającego tam Jacka, dziewczęta zaczynają chichotać.

- Siostra Mary Happel ma takie - mówi szeptem Barb. - Chodzi na uniwersytet.

Jakie te dziewczyny ładne, myśli Jack, patrząc jak wdzięcznie siadają za stołem, jak włosy podskakują im na ramionach i jak zerkają na niego, gdy wydaje im się, że nie patrzy na nie.

- Ale na zajęcia nie nosi się spodni - mówi Barb do Catherine.

- Nie w Gilmanie - mówi Catherine. - Nosi się też wysokie buty albo półbuty... oraz mnóstwo kapeluszy.

- Na randki? - pyta zdumiona Anna.

- Jeśli odbywają się w kościele. Albo, gdy idzie się do miasta, na występy do lokalu, na herbatę do kogoś albo na przyjęcie...

- Chodźmy razem po zakupy! - mówi Barb. - Weźmy Betty i pojedźmy się rozejrzeć. Ona jedzie do Iowa. A powiedziałyście Catherine, że Walt i Sue się pobrali?

- Wiesz co - mówi Barb do Catherine, podając rogaliki - powinnam napisać do swojej współlokatorki, której jeszcze nie widziałam. Musimy kupić do naszego pokoju narzuty na łóżka i zasłony...

Knappowie planują rodzinne święta Bożego Narodzenia, mówi do Catherine Alice. Poza tym w college'u będzie wystawiana sztuka, a w kościele będzie przyjęcie. Margie urządza w piwnicy sylwestra, będzie dwanaście par, a dla Catherine został zaproszony Bob Henderson.

Catherine wychodzi pewnego dnia z domu i idzie nad strumyk. Skorupa śniegu jest taka twarda, że przez większą część drogi jej buty na futerku nie zapadają się w śniegu. Catherine staje przy starym wiatraku i słucha, jak w jego skrzydłach gwizdzą wiatr. Wiatrak wygląda na tle ciemnych, zwiastujących śnieg chmur samotnie i niezgrabnie.

Widzi na krzakach nad strumykiem jakiś nieznaną jej rodzaj orzeszków. Zrywa kilka i idzie do domu. Odgłos wiatraka staje się coraz słabszy, a gdy zbliża się do domu, zostaje całkiem zagłuszony przez silnik nowego samochodu Gordiego, który Dick wraz z przyjaciółmi wypróbują przy krawężniku.

- Cześć - mówi Catherine do Dicka i Boba Hendersona. Bob pyta ją, kiedy będzie wracać do college'u, a ona odpowiada, że za dwa dni.

- Cały czas musisz się tam uczyć? - pyta Gordie.

- Nie cały czas - mówi Catherine i wchodzi na werandę, rozbijając po drodze orzeszek, żeby zobaczyć, co jest w środku. Otwiera drzwi pokoju Margie i widzi za oknem, ponad koronami drzew, samotny wiatrak.

W dniu urodzin Catherine, w marcu, jest odwilż. W salach i korytarzach akademika, na podłodze, jest pełno śladów błota. Catherine tak długo siedzi w czytelnicy, że niewiele brakuje, a dostałaby „minuty”.

W budynku jest gorąco i tłoczno; dziewczęta uczą się w salach, jeszcze ubrane w spodnie i koszule, bo o tej porze wracają studentki z ostatnich lat, odprowadzane przez swoje sympatie. Później drzwi zostaną zamknięte na klucz i można będzie czuć się swobodnie.

Dziewczęta stoją przy deskach do prasowania albo biegają w tę i z powrotem do łazienki. W ciągu dnia trzeba uważać, bo do akademika przychodzą sprzątać na korytarzach i opróżnić kosze na śmieci studenci.

- Mężczyzna na drugim! - słychać wtedy. - Mężczyzna na trzecim!

Pokoje dziewczęta sprzątają same, jeśli tylko uda im się być w komplecie w tym samym czasie. Prawie wszystkie noszą włóczkowe kapcie i na podłodze jest pełno nitek.

Catherine ma dłonie brudne od farby drukarskiej.

Będąc w Cedar Falls śledziła ruchy Niemców w Polsce, znalazła na mapie Łódź i Wisłę oraz miejsce, w którym Rosjanie przekroczyli polską wschodnią granicę. Knappowie nie rozmawiali wiele o wojnie.

- Cześć - Catherine pozdrawia napotkaną na korytarzu koleżankę. We Francji też jest wojna.

Z radia na trzecim piętrze dochodzą skoczne dźwięki, a gdy podchodzi do drzwi swojego pokoju, słyszy, że ktoś śpiewa, że czas wytoczyć baryłkę. Otwiera drzwi i widzi, że pokój jest pełen dziewcząt.

- Sto lat! - krzyczą wszystkie widząc Catherine. Na stole stoi ciasto i nalewka z wiśni. Peggy i Ruth kupiły jej perfumy. A poza tym dostała paczki: pudełko ciastek i kilka chusteczek od Tubbita, radio od Jacka oraz czerwoną nocną koszulę od Knappów. Skończyła osiemnaście lat.

Na zachodzie Europy wojna zaczęła się naprawdę.

Lato przychodzi tego roku wcześniej - w maju jest równie ciepło jak w roku ubiegłym w Detroit, kiedy miała siedemnaście lat. W pokoju Thorna tańczyły wówczas słoneczne promienie, a ona powiedziała: „Możemy wziąć ślub”. W powietrzu unosi się zapach bzu, dziewczęta wpinają jego gałązki we włosy.

Dziewczęta wyległy na trawnik przed budynkiem opalać się i słuchają dobiegających przez otwarte okna dźwięków radia. Upadła Dania. Niemcy zajęli Holandię. Potem Niemcy wkroczyli do Francji.

Ruth siedzi na kocu obłożona książkami i kremami do opalania, obejmuje Catherine ramieniem i mówi innym dziewczętom, że ojciec Catherine jest we Francji - to znaczy nie całkiem jej ojciec, lecz wujek, który ją wychował - i to jest straszne.

Wszyscy uważają, że jeśli Francja nie wygra, Ameryka będzie musiała zaangażować się w wojnę; chłopcy będą musieli iść walczyć.

Francuzi nie wygrywają. Gdy Catherine udaje się na letnie wakacje do Detroit, Brytyjczycy ewakuują się z Dunkierki.

Pod koniec maja następuje ochłodzenie. Catherine siedzi w pociągu z Chicago do Detroit z gazetą na kolanach i przygląda się swojemu odbiciu w szybie. Ubrana jest w turkusowy lniany kostium i czarny kapelusz w kształcie dużego talerza, opuszczonego na jedno oko. Peggy i Ruth pomogły jej kupić ten strój i zakręcić włosy, i kazały jej się trzymać.

Dzięki Bogu, że na podróż zrobiło się chłodniej. Ruth powiedziała jej, żeby włożyła czarne rękawiczki, to nie będzie widać na nich brudu, i ostrzegła, żeby uważała na kostium; musi ułożyć spódnicę płasko, zanim usiądzie, bo inaczej się wygniecie.

Nie jechała pociągiem, odkąd w wieku jedenastu lat wsiadła kiedyś do jednego w Detroit i długo nim jechała, wypytyjąc po drodze o wszystko mechanika. Wróciła do domu cała. Tubbit stwierdził, że to cud, ale ona tylko pytała, dlaczego mechanik przez całą drogę interesował się, gdzie ona mieszka. Nikt poza tym nie wypytywał nikogo w pociągu, gdzie mieszka, ani nie próbował wsadzić go do innego pociągu, żeby jechał do domu.

To co Catherine widzi teraz przez okno, nie jest tak rozległe jak pola w Michigan, gdy miała te jedenaście lat. Prowadziła ten pociąg pośród ciągnących się z

obu stron bezkresnych pól, tak jak prowadzi się konia, żeby zawiózł ją gdzieś hen, daleko.

Gdy wysiada z pociągu, Tubbit nie może jej poznać. Ona nie widziała go prawie rok, ale z daleka rozpoznaje jego siwe wąsy i pochylone ramiona.

Nie, mówi jej, nie ma żadnych wiadomości od pana Wade'a. Bez słowa patrzy na jej wysokie obcasy i na kapelusz. Jest szczęśliwy, że ją widzi. Myślał, że przyjedzie na święta Bożego Narodzenia, ale wie, że to daleko. Cieszył się z jej listów.

Jadą do domu nowym fordem Tubbita. Catherine ogląda po drodze znajome ulice i zastanawia się, czy umarł już Irlandczyk Mac i co się stało z mężczyznami, którzy w czasie Kryzysu spali w porzuconych samochodach.

Nowe domy znów przybliżyły się o ulicę. Mijają tabliczkę z napisem „Northlawn” i samochód zatrzymuje się pod topolami. Catherine wyskakuje z samochodu i biegnie w stronę domu. Tubbit patrzy za nią.

Minęło tyle dni i miesięcy. Kwiaty w ogrodzie wyglądają tak samo jak wtedy, gdy wyjeżdżała stąd z Jackiem i Alice, ale tamtych kwiatów już nie ma, umarły - to są nowe kwiaty. Schody prowadzące na werandę też skrzypią tak samo.

Catherine płacze, widząc jak na ścianie pojawia się i znika tęcza, gdy zatrząskuje za sobą drzwi. Nareszcie wszystko się za nią zamknęło i teraz czeka z zamkniętymi oczami na to, co ma przyjść. Będzie pachniało świeżym powietrzem i wiatrem szumiącym w wysokiej trawie, tak że nie będzie musiała nigdzie stąd wychodzić.

Oczy ma zamknięte i czeka. Ten przytłumiony dźwięk to pracująca w kuchni lodówka; słychać także tykanie zegara w korytarzu. Nigdzie nie pachnie tak jak tutaj: starymi dywanami, politurą do mebli i zupą jarzynową.

W końcu otwiera oczy - nic nie zmieniło tego domu, wszystko jest w nim takie samo. Wszystko naokoło jej się przygląda - to jest tylko zalany słońcem zwykły dom, w którym słychać odgłos lodówki w kuchni i tykanie zegara w korytarzu.

Słychać stukot jej obcasów w korytarzu.

W salonie stoją te same znajome fotele i ten sam połyskujący w promieniach słońca chiński wazon na podłodze. Lustro nad kominkiem jeszcze bardziej wyblakło; Catherine jest w nim tylko plamą w turkusowym kostiumie i czarnym kapeluszu na

głowie. Prawie nie widać twarzy, a usta są dużą czerwoną plamą na pocętkowanym szkle.

16

W szufladzie wciąż znajduje się szczotka Thorna. Jego koszule w szafie zachowały w pamięci kształt jego ramion. Catherine całe noce nie śpi.

Nie może jednak cały czas siedzieć w domu; wychodzi więc na dwór, mija nowe domy i kładzie się pod wiązem. Na niebie są te same pierzaste chmury, wiąz znowu ugina się pod ciężarem liści. Catherine zanurza dłonie w ciepłym, suchym piasku, a potem przepuszcza go między palcami i piasek ulatuje z wiatrem. Z oddali dochodzi jęk koparki.

W fabryce Forda zaprzestali produkcji, inne fabryki... pogubiła się już w tym wszystkim, co się dzieje w Detroit. Musi odwiedzić szkołę i zobaczyć, czy dzieci wciąż szorują tam codziennie i polerują drewniane podłogi.

W pewien upalny poranek zatrzymuje się przy ogrodzeniu domku Tubbita i patrzy na nowe podwórka, zawieszane praniem, pełne dzieci i zabawek. Widzi, że nowa ulica o nazwie Northlawn podchodzi do granicy ich posesji... a potem, z drugiej strony, za domkiem Tubbita i stodołą, biegnie dalej.

Noce spędzone w pokoju Thorna są czarne, gdy więc budzi się po drzemce i patrzy na jego rzeczy, twarz ma mokrą, w gardle czuje ból i nie może oddychać. Na półce stoją rzędem książki z jego nazwiskiem, a ona czuje, jakby coś ją od nich oddzielało. Jakby patrzyła na nie przez kraty, była Alicją z krainy czarów i miała kilkanaście centymetrów wzrostu. Chyba zawsze znajdowała się po drugiej stronie niewidzialnego muru. Jego oczy zawsze były dalekie. Gdy krzyczy do niego we śnie, jego oczy patrzą na nią z daleka - smutne i bezradne. A ten pokój przygląda jej się, jakby zawsze o tym wiedział. Rzeźbione liście na wezgielisku łóżka, fotel z owalnym zagłówkiem, szafka na ubrania na lwich łapach... to są tylko świadkowie. Na jednym z podwórek stuka na wietrze maszt do wieszania flagi.

Łóżko jest wąskie. Na toaletce wciąż stoją puste słoiki po dżemie. Są tam też jej książki. Kobieta na obrazie patrzy ze ściany. Catherine, zasypiając na wygodnym materacu, który zdążył przez te wszystkie lata dopasować się do jej ciała, patrzy na poruszane wiatrem rośliny na parapecie i rozpaczliwie płacze. Przestrzeń dokoła niej rwie się na strzępki i ulatuje w kierunku księżyca. W którejś z ciemnych ulic, pomiędzy nowymi domami, szczeka pies.

17

Bardzo ładnie wygląda, pomyślał Karl Tubbit. Z tak obciętymi włosami i tak ubrana. Ledwie ją poznał, gdy wyszła z pociągu. Ale gdy tylko weszła do domu, włożyła na siebie stare ubranie, zmyła twarz i powiedziała, że ma za dużo roboty, żeby cały czas kręcić włosy.

Mogłaby przestać włóczyć się po domu i zacząć pracować nad tymi „projektami”, które leżą porozkładane po całym domu. Chciała zostać sama w dużym gmaszysku; nie szkodzi, że będzie się czuła samotna, będzie przychodziła do niego na posiłki.

Wędrowała po domu. Czasami spała w pokoju Wade'a, czasami w swoim, a Tubbit niekiedy zastanawiał się, czy spała w ogóle - światła paliły się do późna w nocy.

Potem zaczęła opowiadać. Mówiła mu, jak strasznie się czuła w Cedar Falls, gdzie wszyscy uważali, że jest tak, jak powinno być.

Pytał ją wciąż, co takiego jej tam przeszkadzało, ale ona mówiła tylko, że musiała siedzieć prawie cały czas w domu, z dziewczynkami w jej wieku. One patrzyły na nią i interesowały się tylko jej strojami i włosami. Nikt nie rozmawiał w ten sposób o wyglądzie chłopców, powiedziała, ani pana Knappa. Oni nie musieli cały czas siedzieć w domu i bez końca rozmawiać o makijażu, strojach i fryzurach.

Powiedział, że podobają mu się jej włosy; że w tej fryzurze wygląda dorośle. Na co ona odparła, że Knappowie mają małą córeczkę, która nie chodzi jeszcze do

szkoły, a gdyby zobaczył, jak ona dorosłe wygląda... Jak te kobiety, które przywoził do nich Jack Laird i które uśmiechały się i mizdrzyły demonstrując swoje stroje.

Co ma robić? - spytała go w pewne upalne popołudnie, gdy sadzili razem kwiaty. Wysiał te same nagietki, które zawsze mieli w ogrodzie, teraz Catherine podawała mu do posadzenia sadzonki. Powiedziała, że nie może przecież siedzieć w domu i czekać, aż wróci Thora.

Co za głupstwa tu opowiada, powiedział. Pewnie, że nie może - chodzi przecież do college'u, uczy się różnych rzeczy, ma znajomych...

A ona podała mu nagietek i stwierdziła, że w akademiku zamyka się drzwi na klucz, a dziewczęta muszą wpisywać, o której godzinie wchodzą i wychodzą. Czy nie zdają sobie sprawy, jak one się czują? Najgorsze jednak, że dziewczęta w Cedar Falls i te w college'u przywykły do tego. Nie przeszkadza im wcale, że nie mogą wychodzić. Nie są wcale ciekawe, jak wygląda miasto, w którym mieszkają, ani co się w nim znajduje. Chodzą wciąż tymi samymi, znanymi sobie ścieżkami i nie zastanawiają się, czy jest coś jeszcze poza tym.

I w tym jest problem, wiedział o tym. Biegała zawsze tam gdzie chciała, po całym Detroit, a teraz musi uczyć się, jak być damą, musi ładnie wyglądać i zdobywać wykształcenie. Powiedział jej, że ma szczęście mogąc się uczyć. Dodał, że przywyknie do tego wszystkiego, potrzebuje tylko trochę czasu.

I wtedy zaczęła płakać. Było mu strasznie przykro, gdy patrzył, jak klęczy z nagietkami w ręku i pyta go przez łzy, jak można się do tego przyzwyczaić, no jak? Czy on przyzwyczaiłby się? W czasie zajęć nie mówi się o strojach, o makijażu ani o nowych fryzurach. Dowiadują się o nowych odkryciach, poznają różne filozofie, wiersze, sztuki i powieści, piękniejsze niż cokolwiek innego na ziemi. Uczą się o bitwach i obrazach. Co mają do tego stroje, włosy i makijaż? A symfonia? Czy ktoś napisze jakąś symfonię tylko dlatego, że ładnie wygląda?

- Czy ktoś napisze książkę, jeśli będzie miał taką jak trzeba szminkę? - spytała odkładając sadzonkę. Zaczęła trzeć oczy, rozmazała przy tym na policzku mokrą ziemię. - Czy oni naprawdę wierzą w to, że jak się ma ładną fryzurę, to można odkryć lekarstwo na jakąś chorobę?

- Pewnie, że nie - powtarzał. Ma po prostu ciężko pracować i uczyć się...

- Dlaczego więc wszyscy uważają, że taki istotny jest wygląd? Jest tyle rzeczy, które chciałabym robić - powiedziała.

Ale tak naprawdę to niewiele robiła. W pokoju gościnnym miała rozłożony duży projekt na temat mrówek - dlaczego nad nim nie pracowała? Mogła malować - w schowku miała rozciągnięty na sztalugach, na pół skończony olejny obraz. Zawsze miała milion rzeczy, które chciała robić, a teraz siedziała tylko i liczyła. Zajmowała się ich finansami; trzeba przyznać, że robiła to dobrze. Chociaż pan Laird powiedział, że gdyby zabrakło im pieniędzy, to w każdej chwili może im pomóc.

Tymczasem wieści, które nadchodziły, były naprawdę złe. Niemcy atakowały Francję wzdłuż Sommy i w Paryżu wszystkie dworce były zatłoczone. Rząd francuski uciekł do Tours, a Włochy wypowiedziały wojnę Francji i Anglii. Pod koniec czerwca było po wszystkim - Hitler bez kłopotu zdobył Francję. Aż trudno sobie wyobrazić, że cały kraj może tak szybko zrezygnować z walki i poddać się. Siedzieli, patrzyli w gazety, słuchali radia i żadne z nich nie mogło w to uwierzyć.

Pomyślał, że pewnie wkrótce Wade do nich napisze. Nie będzie przecież siedział we Francji, gdy Niemcy maszerują wzdłuż i wszerz po Europie. Pewnie jest w Anglii. Ale nie napisał. Była już jesień i Catherine wyjeżdżała z powrotem do college'u, a od niego wciąż nie było wiadomości.

Powiedziała, że nie chce jechać.. Martwił się o nią bardzo i czasami długo ze sobą rozmawiali. Lubił te ich rozmowy. Czasami czytała mu, gdy coś robił; chciała znów przeczytać „Alicję w krainie czarów” i „Po drugiej stronie lustra”. To dziecinne książki, ale lubił je. Nie podobało mu się tylko, że Catherine za bardzo się nimi przejmowała i stawała się smutna.

- Widzisz? - mówiła Catherine. - Widzisz, jak traktują Alicję? Ona tego nie rozumie, bo przecież to jest bez sensu. Rzecz w tym, że ona widzi, jakie to wszystko jest głupie, ale gdy o tym mówi, wszyscy są dla niej niemili!

Naprawdę martwiła się z tego powodu.

- Nikt w całej książce nie jest miły dla Alicji, poza Białym Księciem, ale on jest tak samo zagubiony jak ona. - Którejś nocy śniło jej się, że jest taka duża jak dom; siedzi w nim uwięziona, tak jak Alicja - z nogą wystającą z komina i ręką przez okno.

Bardzo nie miała ochoty wracać do college'u; szkoda, że musiała.

Bardzo mu jej brakowało. Dziwnie było tak mieszkać tutaj samemu i sprzątać dwa domy. Zaczął chodzić do pobliskiego kościoła. Przy kościele był klub, w którym grano w kręgle. Poznał w nim kilka osób, spotykali się przy różnych okazjach i zaprzyjaźnili. Czasem ci ludzie przychodzili do niego z żonami na kolację i było bardzo przyjemnie.

Musiał ogrzewać zimą duży, stary dom, żeby nie przemarzł, a kiedy Catherine przyjechała do niego na drugim roku studiów, na święta Bożego Narodzenia, przyjemnie spędzili czas razem. Tylko, że Catherine była taka cicha. W dalszym ciągu bardzo tęskniła za Wade'em - musiała za nim tęsknić, bo spała w jego pokoju i lubiła o nim rozmawiać. Powiedziała, że pewnie pomaga swoim kuzynkom przeżyć jakoś okupację. Chciał im pomóc. Jak by sobie poradziły inaczej z Niemcami? Roosevelt został prezydentem na trzecią kadencję i Catherine była z tego powodu zadowolona.

Widział, że w czasie tych świąt pracowała trochę nad projektem o mrówkach. Niczego tam nie ruszał; odkurzał tylko dookoła tego, co nazywał jej „projektami”, a więc w pobliżu jej mrówek, notatek, różnych kartek i rysunków, zeszytów nutowych i całej reszty. Czasami jednak, gdy przyszedł zawołać ją na kolację, siedziała tylko zamyślona w ciemnym pokoju.

Jak zawsze kupili dużą choinkę i porozpinali na niej światełka. Zaczęła wtedy opowiadać, jak ludzie ustawiali w domach choinki i tak jakoś je podświetlali, że wyglądały, jakby same świeciły. Ale tamte drzewka nie miały korzeni. Nie rosły tak naprawdę. Gdy już miało się ich dość, wyrzucało się po prostu suche drzewko na śmietnik.

Powiedziała, że dużo się uczy w college'u, na co on odrzekł, że ma szczęście. I co w tym dobrego? spytała go. Nie uważa, żeby naprawdę doroślała, ani, że jest przygotowana do tego, aby coś robić. Bo gdzie pójdzie? Uczyć do szkoły, żeby przekazać te trochę wiedzy, którą zdobyła? Spytała go, dokręcając żaróweczki, ile zna sławnych kobiet, które robiły coś ważnego. Do głowy przyszła mu Amelia Earhart. Podniosła do góry sznur lampek, które oświetliły ją różnymi kolorami tak, że wyglądała naprawdę ślicznie. A jemu przyszła do głowy jeszcze tylko pani Curie. Powiedziała, że nie chce być nauczycielką ani sekretarką, ani pielęgniarzką. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym.

W domu zostały wszystkie jej rzeczy. Przyjeżdżała tu, rzecz jasna, na lato i w czasie świąt Bożego Narodzenia. A potem był Pearl Harbor; tysiące Japończyków osadzano w obozach w Wyoming i gdzie indziej - znów była wojna. Wojna światowa. Od Wade'a w dalszym ciągu nie było listów.

W 1942 roku rozeszła się wieść, że w Willow Run koło Ypsilanti montuje się tysiąc bombowców dziennie. Nie była to prawda. Trzeba było zapłacić siedem centów, żeby dostać się do Willow Run i wrócić autobusem z powrotem do Detroit, a zarabiano się zaledwie około dziewięciu dolarów dziennie. Okoliczni jednak biedacy oraz czarni i tak jeździli tam autobusami i swoimi gruchotami, żeby dostać pracę.

Zmieciemy Japońców z mapy świata, i Niemców też, mówiono dookoła. Gdy Niemcy zaatakowali Rosjan, nagle wszyscy poczuli do „czerwonych” sympatię. Tubbit nie musiał sadzić w swoim ogrodzie kwiatów z okazji zwycięstwa - rosły w nim zawsze.

Pierwszym, naprawdę przykrym doświadczeniem związanym z wojną było racjonowanie benzyny. Tubbit dostał talon A na piętnaście litrów na tydzień. Za każdym razem, gdy Catherine jechała do domu, pociągi były zatłoczone. Potem zaczęto racjonować cukier; najpierw dostawało się cztery kilo na tydzień, potem sześć i kawę. Można było zbierać zużyty tłuszcz i zanosić go do sklepu, wtedy dostawało się czerwone punkty, ale i tak trudno było cokolwiek za nie dostać, nawet mleko przychodziło co drugi dzień. Whisky w ogóle nie można było kupić, ale on i tak jej nie pił. Za papierosami też nie tęsknił, podobnie nie przeszkadzało mu racjonowanie butów.

Co mu doskwierało, to kartki na masło i mięso, różne puszki i ser. Trzeba było wypatrywać na półkach czerwonych cyferek, które mówiły, co ile ma punktów, i trzeba było pilnować, kiedy poszczególne kartki traciły ważność (publikowali to w gazetach). Ale i tak trudno było dostać to, co się chciało.

W Gilmanie z początku cieszą się z powodu wojny; wszyscy biegali, krzyczeli i skakali do góry z radości, że w końcu Ameryka do niej przystąpiła.

Potem chłopcy zaczęli jakoś dziwnie patrzeć, jakby prawdziwe życie toczyło się teraz gdzie indziej a college przestał być ważny. Patrzyli na Ciebie nie widzącym wzrokiem, bo przecież nie szłaś tam, gdzie oni się wybierali. Ty miałaś po prostu dalej studiować. Dzięki wojnie chłopcy zyskują na ważności, to było widać. Ludzie zaczynają ich inaczej traktować.

Catherine mówi często Jackowi, że nie może nigdzie z nim pójść, bo musi się uczyć. Siedzi potem w swoim pokoju przy biurku, na którym dziewczęta powycinały serca, kwiatki i różne inicjały: wpatruje się pod lampką w kartkę papieru.

*Ona jest jak jedwabny namiot na równinie
W letnie południe, kiedy wiatr ciepłym przelotem
Osuszył rosę, kiedy naprężenie linek
słabnie i podmuch lekko kołysze namiotem... **

* Wiersz Roberta Frosta „*Jedwabny namiot*” w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

Chłopcy zaczynają opuszczać college. Catherine pisze w każdej chwili wolnej od nauki i w uczelnianym piśmie zostają opublikowane jej wiersze oraz opowiadanie.

- Masz naturalny dar pisania - mówi jej profesor Knowland i dodaje, że Catherine myśli i pisze za pomocą obrazów, przedmioty wyobrażają dla niej uczucia. To niezwykle.

Pani profesor Knowland jest jedną z tych kobiet (mówi o tym Catherine), którym wydawało się, że zdobywając tytuł doktorski, staną się awangardą i zrobią karierę. Teraz jest żoną prawnika, mieszka w eleganckiej dzielnicy, kupuje drogie stroje i perfumy. Radzi Catherine, żeby spróbowała napisać wiersz, wykorzystując

tylko jedno porównanie, tak jak to zrobił Robert Frost w swoim „Jedwabnym namiocie”. Ma prawdziwy dar do porównań.

Catherine pisze więc wiersz, w którym, podobnie jak Frost, wykorzystuje jako porównanie namiot, ale nie pokazuje go nikomu. Pani profesor Knowland była w awangardzie i miała zrobić karierę, ale wie także, że dziewczęta podziwiają jej stroje. Uważa, że „Jedwabny namiot” jest sonetem lirycznym, który Frost dedykował swojej żonie, a może matce:

*...A wysmukły maszt z cedru, jego pion najdłuższy
(Centralny filar, lecz i szpic mierzący w niebo:
Jest w tym jakaś symbolika pewności duszy)
Stoi tak, jakby mógł nie zawdzięczać niczego
Tym czy innym wiązaniom - raczej luźne więzi... **

Catherine spała w namiocie, gdy była dzieckiem. Tubbit z początku nie mógł sobie darować, że zostawała sama na noc w pustym polu.

Jeśli chodzi o namiot, to pamięta, że nie można go dotykać, kiedy jest mokro. Kiedy to raz zrobiła, musiała, cała przemoczona i zawstydzona, wrócić do domu.

*... Łączą go tysięcznymi jedwabnymi niciami
Miłości i uwagi ze wszystkim, co więzi Obwód Ziemi
- i tylko mu powiew kapryśny,
Który w letnim powietrzu tkaninę napina,
O tym, że więzi są więziami, przypomina**.*

* op.cit.

** op.cit.

Najczęściej jednak przypomina sobie, jak leżała w ciemności w namiocie i wyobrażała sobie, że go nie ma. Słyszy się wtedy najlżejszy szmer: cykanie świerszcza... szelest liści... odgłos samochodu na ulicy Seven Mile.

Czuje się nocny chłód, wchłania zapach wilgotnej trawy i jest tak, jakby się spało pod gołym niebem, tyle że nie widać gwiazd.

Ma się wtedy wrażenie, że gdy człowiek się uniesie, to poczuje na sobie chłodny powiew wiatru, jednak gdy próbujesz się wychylić, niewidzialne płótno zatrzymuje cię w ciemności. A potem opadasz z powrotem na swoje miejsce. Nie ma innej drogi, to jedyne wyjście z namiotu.

W Dniu Matki rektor wygłasza mowę na temat roli kobiet w czasie wojny. Tłumaczy wszystkim zebranim w kaplicy studentkom, jakie to jest ważne, by nasi walczący mężczyźni mieli pewność, że pozostał ktoś, kto podsyca ich domowe ogniska. Oni wiedzą, o co walczą; chcą wyzwolić świat, a potem wrócić do domu - do dziewczyn ze swoich snów i wraz z nimi stworzyć nowy, lepszy świat.

Gdy Catherine jedzie latem do Detroit, obydwa domy, stodoła i topole otoczone są dookoła nowymi posesjami. Catherine zerka na zaparkowane przy krawężniku samochody oraz na stojące na chodniku wózki i rowery na trzech kółkach. Myśli o tym, że w jej wspomnieniach pozostało morze traw, sumak, karłowaty dąb i chmury na niebie.

Na jesieni Dotty Smith opowiada Catherine o pomysle przywódców studenckich utworzenia samorządu, zabiera ją także na zebrania. Catherine nie spotyka się przez pewien czas z Jackiem; do późnej nocy spiera się z Dotty, Marie Carey, Donem Reedem, George'em Canalettim i Billem Donnellem. Catherine ujmuje sprawy w punkty i stara się znaleźć odpowiedzi na wszystkie możliwe argumenty rektora, a reszta notuje i stwierdza, że świetnie jej to wychodzi.

Wtedy Bill Donnell śmieje się i mówi, że Catherine rzeczywiście potrafi myśleć, po czym porusza sprawę, którą Catherine przedyskutowała przed chwilą z każdej strony. Powtarza to wszystko, co ona wcześniej mówiła, a cała reszta słucha go uważnie i mówi, że ma rację. Że to jest właśnie koronny argument za powstaniem samorządu studenckiego, a Bill powinien iść i rozmawiać z administracją uczelni.

Po zebraniu Bill Donnell chce się umówić z Catherine na randkę. Marie i Dotty są zachwycone; każda dziewczyna w college'u marzy o tym, żeby Bill Donnell się z nią umówił. Pomyśleć tylko: sławny Bill Donnell będzie rozmawiał z administracją w sprawie utworzenia samorządu studenckiego, a Catherine ma mieć z nim randkę!

Powinna założyć fioletowy spodniom, mówi Peggy, a Ruth dodaje, że musi wypróbować na niej nową fryzurę.

Bill zabiera Catherine na hamburgery i koktajl, opowiada jej, co ma zamiar zrobić. Ona patrzy na niego i mówi, że przecież to były jej pomysły, ona je wymyśliła. Bill mówi z uśmiechem, że jest naprawdę wspaniała - i piękna, i mądra.

Później, siedząc w czasie świąt Bożego Narodzenia przy biurku Thorna, Catherine widzi ponad dachami nowych domów ulatujący z komina szkoły dym. Patrzy nań zwłaszcza wtedy, gdy czyta najgorsze wiersze Emily Dickinson, te w których jest taka skromna i słodka.

Ale są także inne wiersze, samotne jak wiejący ponad śniegiem wiatr, albo głos rozmawiający sam ze sobą przez całe życie.

*Widziałam, jak oczy gasnące
krążyły po pokoju
i - jakby szukając czegoś -
gubiły jasność swoją.
Mgła się na nich coraz częściej snuła,
aż powieki - na zawsze spojone -
nie wiadomo od jakiego szczęścia
odgrodziły wzrok wieczną zasłoną*.*

* Urywek wiersza Emily Dickinson „Widziałam jak oczy gasnące” w tłumaczeniu Kazimiery Hłakowiczówny.

Catherine musi napisać pracę semestralną na temat Emily Dickinson. Pewnego dnia przechodzi obok szkoły. Na szybach okien przyklejone są te same, co zawsze, choinki, a za dziećmi zatraskują się tak samo podwójne wejściowe drzwi. Catherine stoi na wydeptanym śniegu i myśli o rozstrojonych skrzypcach, o zniszczonych i podrapanych ławkach, o znudzonym wzroku uczniów, o tym, jak po lekcjach musiała czuć się nauczycielka, którą przez cały dzień ścięgała pytaniami mała dziewczynka w sukience Shirley Temple.

Czasami Catherine leżała w święta na łóżku Thorna i przyglądała się porozkładanym zdjęciom. Czyżby to była ona, w tym białym łóżeczku? Czy to możliwe, że Thorn wniósł ją tymi schodami na górę, pierwszej nocy, gdy tu spali? W którym pokoju stało wtedy jej łóżeczko? Zamyka oczy i stara się sobie przypomnieć. Ze zdjęcia patrzy na nią, wymachując w powietrzu piąstkami i gołymi stópkami, mała dziewczynka.

Widzi wysokiego mężczyznę z dzieckiem. Oboje mają takie miny, jakby byli pewni, że ona wie, dlaczego stoją tacy sztywni - z zadartymi do góry brodami. Albo o czym marzą, gdy chodzą na kolanach po ziemi koło ogrodzenia Tubbita, gdy o kilometr od nich zaczynają wyrastać nowe domy?

Dziewczynka na zdjęciach jest coraz wyższa, a wysoki mężczyzna, jakby coraz smutniejszy. Przysunęli się do siebie bliżej. Tubbit krzyczał do nich zawsze: - Przysuńcie się do siebie bliżej! Nie mogę was razem objąć! - chociaż mógł, oczywiście. I oto są, dwie przytulone do siebie maleńkie postacie, stojące pośród krzaków albo w ogrodzie między grządkami. Słońce rzuca cień na ich twarze powodując, że ich oczy wyglądają, jakby były wpadnięte, a na obszernych spodniach widać każdą zmarszczkę.

Jak śmiesznie wygląda z tymi długimi włosami spływającymi jej luźno na plecy i bez szminki. Wpatruje się w obiektyw z taką miną, jakby czekała tylko, by wrócić do poprzednich zajęć, a tu jest tylko dlatego, że Tubbit pragnie wypróbować swojego nowego kodaka.

Zdjęcia są ostre. Catherine ogląda je pod lupą i widzi, że Thora patrzy na nią ze swego świata takim wzrokiem, jakby widział za dużo. Jej własna twarz także odpływa ze wspólnego zdjęcia i widzi swoje oczy: są spokojne. Taki jest świat, wydaje się mówić jej blada twarz. Jak inaczej mogłoby być?

CZĘŚĆ V

**Uspokoila się w końcu; nie ma już w sobie
żaru, który zdolny jest przenosić drzewa.
Żadne zwiędnięte ogrody nie zwałą już jej się
w ramiona.**

**Niegdyś czuła na skórze gorący dotyk słońca
i całe morze koniczyny, świeżej i zwyczajnej jak
pragnienie.**

**Teraz każde drzewo jest nieruchome
jak iglica na dachu kościoła.**

**Ogrody to tylko kwiaty. Dojrzała koniczyna
wybucha różem i bielą, i kołysze nią
jedynie przelotny wiatr. Dotyk jest tylko
dotykiem słońca *.**

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz.

1

Po świętach Bill Donnell zabiera Catherine do kina. Jeanette MacDonald wygląda na filmie, w swoich plisowanych sukienkach, jak mała dziewczynka, ale wyraz twarzy ma zimny i pełen pogardy. Słysząc jej sopran w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach i trzyma on jednocześnie na dystans patrzącego na Jeanette z uwielbieniem Nelsona Eddy'ego. Catherine wyobraża sobie to, co jest poza

zasięgiem kamery: orkiestrę, kamerzystów, charakteryzatorów, garderobianych - wszystko to jest takie profesjonalne i podniecające.

Jedzą lody i popijają cokę, a Bill mówi, że jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawił, nie zna żadnej innej dziewczyny, z którą można by tak rozmawiać. W drodze powrotnej do Chicago zatrzymuje samochód w jakimś ciemnym miejscu, niedaleko od akademika, i zaczyna ją obejmować.

- Przestań! - mówi Catherine pochylając nisko głowę, żeby nie mógł jej pocałować, odpycha go jednocześnie od siebie. Co go napadło? Jest zakłopotana i wściekła przepychając się z nim na przednim siedzeniu - a gdyby to ona zaczęła się tak zachowywać w stosunku do niego? - Przestań! - powtarza głośniej.

Zwariował chyba! Dlaczego miałyby mu na to pozwolić? Prawie się nie znają i na pewno nie dała mu w żaden sposób do zrozumienia, że chce się z nim kochać.

- Skończ z tym! - mówi. Jeszcze przed chwilą byli przyjaciółmi, a teraz patrzą na siebie, jakby byli wrogami. Czy nie widzi, że tego nie chce - jeszcze nie? Bill wciąż próbuje ją zmusić, żeby go pocałowała, więc Catherine z trudem mu się wyrwa i biegnie do budynku. Mija portiernię, idąc po schodach do góry stara się opanować; zastanawia się, co go napadło.

- Naprawdę nie chciałem - mówi Bill następnego ranka - Nie miałem zamiaru cię obrazić! - Czeka od samego rana na portierni, aż Catherine zejdzie na śniadanie, i gdy tylko ją widzi, natychmiast zaczyna przeproszać.

- A co miałeś zamiar zrobić? - pyta Catherine. Patrzą na siebie schowani za oparciami krzeseł i szepczą, żeby nikt ich nie usłyszał. Catherine ma zarumienioną z gniewu twarz, a jej oczy ciskają iskry.

- Jesteś ładna - mówi Bill. - Trudno faceta winić, że próbuje.

- Dlaczego trudno?

Bill uśmiecha się tylko, jakby to było wystarczające wytłumaczenie.

- Dlaczego trudno cię winić o to, że próbowałeś?

- Z taką dziewczyną jak ty łatwo stracić głowę.

Catherine patrzy na niego ze złością i odwraca się, żeby odejść. Bill łapie ją za rękę.

- Wynagrodzę ci to! - mówi.

- Nie musisz, nic takiego się nie stało, chodzi tylko o to, że ja nie chcę... A co ty byś powiedział, gdyby ktoś się na ciebie rzucił? Prawie cię nie znam, zresztą ty mnie też. - Catherine uwalnia rękę i idzie do stołówki.

- Zaczekaj! - Bill dogania Catherine przy wejściu do stołówki, ale nie może z nią rozmawiać, bo otacza ich mnóstwo osób. Catherine siada przy stoliku, przy którym nie ma już wolnego miejsca i Bill musi odejść.

- Cześć! - mówi Peggy dołączając do Catherine w drodze do kaplicy. Wiatr powoduje, że spódnice i płaszcze oblepiają im łydki w długich kolorowych skarpetach. Peggy ma jaskrawoczerwone, a Catherine zielone.

- Cóż to ja o tobie słyszę? - zagaduje do Catherine, pojawiając się u jej drugiego boku, Dotty Smith. - Wszyscy mówią, że Bill Donnell je ci z ręki. Jak ty to zrobiłaś, mała?

- Róże! - mówi Peggy. - Dostała ich dziś rano cały tuzin!

- Opiera mu się! - mówi Dotty, uśmiechając się do Catherine. - To ich doprowadza do szaleństwa! Dobra robota, tak trzymać! - chichocze, widząc pędzącego za nimi z tyłu Billa Donnella. - Chodź, Peggy, nie będziemy tu robić tłoku...

- Catherine!

Catherine odwraca się i czeka na Billa. Dziękuję mu za róże. On zachowuje się, jakby róże wszystko zmieniły; mówi błagalnym tonem, że chce się z nią spotkać i wszystko jej wynagrodzić. Catherine obiecuje w końcu, że się z nim spotka, ale że nie będą nigdzie jeździli samochodem.

Siedzą więc na stopniach biblioteki i piją cokę. Bill jest wysoki, jego włosy przypominają Thorna. Mówi, że ma zamiar zająć się polityką; studiuje nauki polityczne a latem pracuje w biurze burmistrza. Pod koniec semestru idzie służyć w marynarce. Żeby coś osiągnąć, trzeba swoje odsłużyć, prawda? zwraca się do Catherine.

Catherine mówi, że nie wie, ale wydaje jej się, iż ona na pewno niczego nie osiągnie. Bill mówi, że Catherine ma poczucie humoru i pyta ją, czy napisze do niego, jak pójdzie do marynarki. Chce, żeby była jego dziewczyną. Podoba mu się, że mu się oparła.

Catherine pyta go, dlaczego. Czy on nie zrobiłby tak samo, gdyby ktoś na niego tak napadł, a ledwie by go znał? Jest na niego zła, ale on się śmieje. Mówi, że jest małą złością, a mężczyźni lubią, jak się z nimi droczyć.

Nie czuje się mała i nie droczy się z nim. Jemu błyszczą oczy i wygląda, jakby chciał, tak dla zabawy, być jej przeciwnikiem. Zachowuje się jakoś inaczej, może wprawia się przed pójściem do marynarki. Wszystko jedno, w każdym razie ona nie zamierza z nim walczyć. Mówi mu, że nie wydaje jej się, żeby się zaprzyjaźnili.

Bill pisze do niej z marynarki, że co noc on i jego kumple są pijani i obawia się, że zanim zdążą ich przeszkolić, wykitują.

Gdy Catherine czyta list, siedzące wokół niej na łóżkach dziewczęta zastanawiają się, czy wystawić jednoaktówkę czy kabaret.

- O rany! - mówi Dotty, patrząc na list w ręce Catherine - niech Bill przyśle ci swoją odznakę, żebyś mogła ją nosić!

Dziewczęta przestają rozmawiać i patrzą z zainteresowaniem na Catherine. Lois Lester śmieje się, opierając głowę na wezglowiu łóżka i pyta ją:

- Jesteś jakaś dziwna. O co ci chodzi?

- Chciałabym iść walczyć - mówi Catherine. - Wojna to najważniejsza rzecz...

- Myślę, że powinnyśmy wystawić jednoaktówkę - mówi Mary Ellen. - W szkole średniej wystawiałyśmy taką jedną, była bardzo fajna, miała tytuł: „Automat z życzeniami”.

- Jeśli nie jesteśmy wystarczająco dobre, żeby walczyć, żeby do nas strzelano i żebyśmy ginęły... - ciągnie dalej Catherine, ale słucha ją tylko Lois.

Mary Ellen podskakuje na łóżku, odrzucając do tyłu włosy.

- Nazywa się „Automat z życzeniami”. Na scenie ustawia się ogromne pudło z różnymi kólkami, tarczami i przyciskami. Ludzie podchodzą do niego i mówią, że chcieliby być kimś innym.

Catherine odgarnia włosy za uszy i przysuwa się do Lois. Ona faktycznie nie zwraca uwagi na swój wygląd, myśli Lois. Ma takie dobre stopnie i przeważnie wszędzie chodzi, sama.

- Płacą i wchodzą do automatu, a wtedy rozlegają się straszne zgrzyty i z drugiej strony wychodzi całkiem inna osoba. To jest, tak naprawdę, ktoś inny, tylko przebrany za tamtego, trudno jest tak szybko się przebrać - mówi Dotty.

- Żołnierze wracają i mogą powiedzieć, że tam byli. Byli tam, a gdyby tam nie poszli...

- Inne grupy mają zamiar przygotować szarady - mówi Dotty.

- Zaprosili Marty Langer, tę która tak wszystko wie, dlatego tylko, że ona ma odznakę piechoty powietrznej - mówi Peggy. - Ona nie chciała się angażować, ale kiedy ją poprosili, nie opierała się długo i zgodziła się.

Catherine patrzy na list, który trzyma na kolanach.

- Bill znalazł sobie w czytelni takie miejsce, w którym mógł przesiedzieć całą noc. - Znów zakłada włosy za uszy. - To było dla niego ważne - mówi z taką miną, jakby to rzeczywiście było ważne. - Ważne, bo mógł tam siedzieć przez całą noc i myśleć.

- Czy ktoś wie, gdzie będą robione pamiątkowe zdjęcia na zakończenie? - pyta Dotty.

- Profesorowie też inaczej na nas patrzą - mówi Catherine do Lois. - To ważne. Każdy szczegół jest ważny... nawet taki, którego prawie się nie zauważa. -

Wyczołguje się z dolnego łóżka, pod zwisającymi z góry kapciami Mary Ellen i patrzy w okno.

- Pewnie będziemy musiały włożyć białe bluzki i będziemy wyglądać jak przedszkolaki! - mówi Dotty, krzywiąc się z niesmakiem.

- A do ślubu jak byś się ubrała? - pyta ją Mary Ellen. - Na czerwono?

- A jakie to ma znaczenie? - Dotty robi minę jak do fotografii na biurko. - Daj mi tylko jakiegoś chłopa, to pójdę do ołtarza tak jak stoję!

Na zboczach wzgórza znajduje się kilka domów, a potem już tylko, jak okiem sięgnąć, białe poprzetykane gdzieś tam łąkami pola. Na początku, gdy Catherine była na pierwszym roku i musiała stawiać się co wieczór w akademiku za kwadrans ósma - nie jak teraz o dziesiątej - wstawiała codziennie przed świtem, kiedy wszyscy spali, i wymykała się niepostrzeżenie z akademika.

Przed brzaskiem ulice były niebieskie. Jako pierwszą otwierano kawiarnię „Jarvis”, która znajdowała się przy drodze wylotowej z miasta; tam zatrzymywali się kierowcy ciężarówek. Chodziła tam co rano, rozmawiała z panią Jarvis i przysłuchiwała się rozmowom kierowców.

Chodziła też do domu starców, który znajdował się na First Street, zaraz za bankiem. Światła zapalali tam przed świtem i nikomu nie przeszkadzało, że ktoś wchodził i rozmawiał z siedzącymi na wózkach w salonie i patrzącymi przed siebie, jakby kogoś wypatrywali, staruszkami.

Teraz plan miasta ma w głowie. Na pierwszym roku zaszła pieszo aż do pierwszych gospodarstw. Zna tę okolicę na pamięć; wszystkie dziwne detale każdego domu, starą, stojącą w polu samotną stodołę, pozostawione na polu, obok rzędów kukurydzy, zepsute dynie...

Catherine opiera czoło o szybę i myśli, że kiedyś znów będzie musiała tam pójść. Jak będzie miała czas.

2

Wiosenny deszcz bębni o szyby.

- Co za strata. Jezu, tak mi przykro - mówi Jeanne i siada na łóżku obok Catherine.

- Wychował się we Francji - mówi bezbarwnym głosem Catherine. - Chciał tam wrócić, żeby pomóc swoim kuzynkom, a potem zaczęła się wojna i weszli Niemcy...

- Tak - mówi łagodnie Jeanne. - Tak. - Wstaje. - Był dla niej jak ojciec - tłumaczy stojącym w drzwiach Barbarze i Helen. - Wychował ją. Obydwie jej współmieszkanki wyszły akurat do miasta, wyobrażacie sobie?

- Jezu - mówi Barbara. - Tak mi przykro.

- Obydwu nam jest przykro. - Helen rozgląda się po korytarzu - chce jak najszybciej podzielić się tą wiadomością z innymi. Wycofuje się z pokoju. - Doty - mówi szeptem - Catherine dowiedziała się właśnie, że jej ojciec zginął we Francji, a jej współlokatorki poszły do miasta.

- No nie!

- Zaraz po tym, jak zeszłego lata padł Paryż. Ale ona dopiero teraz się dowiedziała. Miał tam jakieś kuzynki, pamiętasz? Nie był jej prawdziwym ojcem, ale ją...

- Myślałam, że jej ojciec to ten, co ją podwozi tym cadillakiem... taki przystojny facet, podobny trochę do Cary'ego Granta.

- No wiesz! To jej chłopak!

- Niezły!

- Przyszedł właśnie, żeby ją zabrać do Empire Room potańczyć i dowiedział się o tym.

- Nieźle.

- Właśnie dzisiaj! Nie wiadomo, co ona robi... - jej ojciec nie żyje, a on czeka na dole w smokingu. - Dotty i Hellen stoją w drzwiach pokoju Catherine i szepczą między sobą.

- Muszę się ubrać - mówi Catherine tym samym bezbarwnym głosem.

- Może powinna ubrać się na czarno - mówi Dotty.

- Mam czarną sukienkę! - mówi Helen i wybiega z pokoju.

- Powinna zakręcić włosy - mówi Jeanne wracając do pokoju z Helen i z sukienką. - I włożyć gorset.

- Wiesz co, zbierzmy jej włosy z tyłu w kok.

- Orchidea! Ktoś przysłał jej, orchideę - czeka właśnie na nią w portierni! - rozlega się zbiorowy pisk.

- Nie widzisz, że jej zimno? - Dotty pomaga Catherine włożyć gorset. - Najpierw włóż sukienkę, a potem się umaluj. Musisz umalować sobie rzęsy...

- Pośpiesz się! Cary Grant czeka na ciebie na dole, a dziewczyny na portierni mdleją z zachwytu.

Pełne, czerwone usta w lustrze mówią: - Chce się ze mną ożenić. -
Obramowane ciężkimi od tuszu rzęsami oczy nic nie mówią. Spinki we włosach drapią Catherine w głowę, jedwabne pończochy podrażniają jej skórę i powodują swędzenie, a gorset jest tak sztywny, że jej ciało robi się różowe w białe cętki.

Obraz w lustrze wygląda, jak wyjęty z filmu. Dotty podnosi spódnicę Catherine i odsłania długie, szczupłe nogi w jedwabnych pończochach. Materiał sukienki, udrapowany na ramionach, połyskuje wokół piersi i ramion. Na jednym z ramion wyrasta orchidea.

Dziewczęta odprowadzają ją korytarzem. Catherine ma na sobie wizytowy płaszcz, torebkę oraz białe rękawiczki. Pantofle uwierają ją w palce. Jest jej zimno. Idzie korytarzem i czuje dochodzący z prasowni zapach krochmalu. Jack stoi koło portierni pomiędzy innymi czekającymi na swoje dziewczyny i spoglądającymi na jego smoking chłopcami. Zaraz zauważa, że jej twarz nie ma wyrazu. Ale gdy podchodzi do niego, jest taka piękna, że cały drży i ma ochotę obsypać ją pocałunkami. Opanowuje się jednak i mówi:

- Pada deszcz - pozwól, że ci pomogę. Na zewnątrz czeka na nich taksówka.

Całkiem jak w Hollywood. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie oglądano w akademiku.

- Jezu! - wzdycha na podeście schodów Jeanne. - Mam nadzieję, że ma na tyle rozumu w głowie, że powie mu tak! Czego można więcej chcieć!

- Trudno sobie wyobrazić! - Oczy Dotty błyszczą. - Naprawdę trudno!

3

Jack mówi, że Catherine jest w szoku i powinna gdzieś wyjść, więc siedzi teraz z orchideą na ramieniu i patrzy na tańczące na podeście półnagie kobiety. Thorn nie żyje.

Jack patrzy na nią z uwielbieniem, jak na jakąś boginię. Mówi, że może robić co chce; rozmawiać albo płakać, jemu to nie przeszkadza. Może rozmawiać o Miltonie albo o czymkolwiek, po to tylko, żeby mówić. Choćby o tym, jak wszyscy siedzą w klasie dzień po dniu, profesor czyta Milтона, a dziewczyna obok niej w ławce nie słucha, ponieważ pisze list do swojego chłopaka. Adam mówi Archaniołowi Rafaelowi, że poprosił Boga, aby dał mu do towarzystwa równą sobie ludzką istotę, ponieważ czuje się osamotniony pomiędzy zwierzętami:

*Jakaż to przyjaźń między nierównymi... **

* Urywek poematu Johna Milтона „*Raj utracony*” w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego.

Bóg jednak nie zrozumiał go, mówi Adam do Rafaela, i dał mu Ewę. Nie była to prawda: Adam dostał Ewę Milтона, wdzięczącą się niczym kelnerzy w Empire Room. Jack mówi jej, że nie musi się o nic martwić - on pojedzie do Detroit, porozmawia z Tubbitem i dowie się, co on ma zamiar dalej robić, nie musi się tym martwić.

Catherine tańczy z Jackiem i Jack miażdży w czasie tańca orchideę. Opowiada mu, jak czytała kiedyś razem z Thornem „*Raj utracony*” Milтона i że podniosła nagle w czasie czytania do góry rękę. Powiedziała wtedy, że główną postacią „*Raju utraconego*” jest Ewa, nie Szatan... Milton nic nie mógł na to poradzić, że Ewy decyzja spowodowała upadek Rodziców - mówi Jackowi, a orkiestra gra „*Chodź, pójdziemy puszczać latawca*”. - Ewa wykorzystuje Szatana i zastanawia się nawet przez moment, czy ma podzielić się jabłkiem i całą swoją wiedzą z Adamem. - Stara się nie płakać, a Jack patrzy na nią i mówi, że się nią zaopiekuje.

Jack pomaga Tubbitowi sprzedać dwa domy i ziemię. Catherine nie może jechać do Detroit. Jack mówi, że to nie zrobiłoby jej dobrze, i jedzie sam. Tubbit nie chce mieszkać tam dalej samotnie, chce wrócić do Dakoty Południowej.

Tubbit uprzęta obydwie domy, pakuje w pudła ubrania Thorna, jego szczotkę z kilkoma złotobrązowymi włosami i zabłocone kalosze, które Catherine nosiła na pole, wysłała je biednym. Gołębie gniazda w stodole i klatki dla królików, to wszystko zostaje. Tubbit pakuje siatki na motyle i szklane pojemniki na trzmiele i szerszenie, wylęgarnie Thorna i wszystkie kasetki z motylami i ćmami. Ale co się stało z brązowymi od wosku ulami, strzelnicą i kołem młyńskim, które Thorn z Catherine sami zbudowali, tego Catherine nigdy się nie dowiedziała.

Pudła zostały wysłane do Cedar Falls; gdzieś trzeba było je złożyć. Catherine przypuszcza, że znajdują się w nich jej książki i spisy - tysiące zapisanych jej pismem

lub Thorna karteczek z nazwami owadów - historia okazów, listy przeczytanych książek, spostrzeżenia dotyczące przemiany owadów, opisy miejsc, obserwacje temperatury... papier ciężki od spędzonych nad nim razem godzin.

Gdy wyjeżdżała z Detroit po raz pierwszy, wtedy gdy obcięła i zakręciła włosy, sądziła, że przerywa prace na krótko. Nie chciała zostawiać ich na długo, ponieważ dojrzewały w jej głowie, tak jak jej wiedza o Thornie. On był innym rodzajem wiedzy. Tak jak ten klucz, który leży na stole i nie można po niego sięgnąć, bo się jest za niskim, aż przychodzi taki dzień i się mówi: „Chcę zacząć”.

Catherine jedzie przed dyplomem do Cedar Falls, ale nie zagląda nawet do pudeł. Wie, jak wyglądają jej notatki: są pełne niedbałej pośpiesznej bazgraniny, tak jakby nie chciała czekać, żeby dowiedzieć się następnej rzeczy, jakby musiała się wszystkiego dowiedzieć natychmiast. A pomiędzy wierszami przebija nieśmiałe echo innego rodzaju wiedzy: przychodziła do tych notatek od Thorna, a potem wracała do niego z powrotem.

Czasami Catherine wychodzi gdzieś z Jackiem, ponieważ on mówi o Thornie i znał jej matkę. Janet Buckingham była piękna, a Thorn i Janet jeździli razem po Nottinghamshire, w poszukiwaniu robaków. Catherine tańczy z Jackiem z rzęsami ciężkimi od tuszu. Bywa nieraz bliska omdlenia od dźwięków perkusji, saksofonu i trąbki, powtarzających wciąż i wciąż tę samą melodię.

Więc mówi Jackowi, że musi się uczyć, i siedzi wtedy przy biurku z wyskrobanymi na nim sercami i stokrotkami, wpatruje się w kartkę papieru pod lampką na biurku. Czuje się wtedy bliższa Thorna i tak wolna, że prawie nie może tego znieść. Nie słyszy dochodzących z korytarza dźwięków - czuje tylko, jak otwiera się przed samą sobą, bezkresna jak wszechświat. Wraca do domu z nocnych klubów i z kina przesiąknięta dymem, z obolałymi palcami nóg, czerwonymi śladami w pasie i na ramionach, a tu nagle ściany się kładą, zewsząd napierają wiersze i słowa... wydaje jej się wtedy, że gdyby zapamiętała, mogłaby napisać coś naprawdę dobrego.

Jest od tego jak pijana. Nic, nawet Thorn, nie jest bliskie temu uczuciu; jest z nim sama i czuje się wystarczająco silna. To właśnie miała na myśli mówiąc o Ewie, w tę straszną noc, gdy dostała wiadomość o Thornie i gdy tańczyła z wygniecioną orchideą na ramieniu, nie roniąc z powodu Thorna nawet jednej łzy. Pocieszała się

przy pomocy Ewy - głupiej Ewy głupiego Miliona - gdy Archanioł wyjaśniał wszystko Adamowi i ostrzegał go. Nawet dziewczętom w klasie to się nie podobało. Ewa, wbrew temu co uważał Milton, wahała się, czy podzielić się wiedzą z Adamem, czy nie. Jedynie osamotnienie (tak wydaje się Catherine) spowodowało, że podzieliła się tym, co czyni człowieka bardziej pijanym, niż jakikolwiek trunk.

Catherine każdej nocy widzi podchmielonych mężczyzn w mundurach ze swoimi dziewczynami: czuje się bardziej pijana niż oni, pijana słowami. Trzymając się za ręce szli wolno i samotnie przez Eden. Jack mruczy jej coś do ucha. W środku naszej drogi przez życie doszłam, w ciemnym lesie, do siebie. Jack uważa, że oszalała z powodu utraty Thorna, i ma rację, ale nie wie, że jest też odurzona tym, co ma zamiar zrobić. Ma zamiar napisać o tym wszystkim co myśleli Frost... i Milton. Jack patrzy na nią czarnymi oczami, w których migocą odbite od parkietu światła, i szepcze, że jest piękna. A ona słyszy tylko słowa Szekspira: „Jak do skowronka, o brzasku dnia wschodzącego na posępnej ziemi, śpiewa hymny u bramy niebieskiej”. Czy chce iść gdzie indziej potańczyć? pyta ją Jack. Może przed pójściem chce się odświeżyć i poprawić włosy?

Cały czas gdzieś się śpieszy, tak jak wtedy, gdy robiła tamte notatki. Wraz z utratą Thorna pojawiła się w niej jakaś siła. Profesorowie podziwiają jej analizy, mówią, że nigdy nie mieli na wydziale anglistyki lepszej studentki. Jest lepsza nawet od Waltera Fielda, którego, zaraz po skończeniu studiów, chce zatrudnić uniwersytet w Chicago (ma kategorię D). Ucząc się tam może on jednocześnie uzyskać tytuł magistra, a następnie zrobić doktorat i zostać na uczelni. Mówią, że Catherine jest ich wybitną studentką i będzie pierwszorzędną nauczycielką w średniej szkole; powinna dostać pracę w najlepszej szkole - może w Oak Park.

Na ostatnim roku Catherine zostaje prezeską Klubu Anglistyki. Ponieważ jest także jedną z przywódczyń studenckich na uczelni, dziewczęta z niższych lat przyglądają jej się z podziwem. Jej koleżanki mówią, że ma szczęście będąc z kimś takim, jak Jack, zwłaszcza teraz, gdy tak mało jest mężczyzn. Jack przyjeżdża na uroczystość rozdania dyplomów. Tubbit też. Rocznik '43.

Jack wychował się w mieszkaniu na trzecim piętrze od podwórka, w starej kamienicy w pobliżu doków. A teraz jest bogaty, cholernie bogaty. Każdy kontrakt, który uzyskał, zamienił w kopalnię złota. Dorothy i Shirley ponownie wyszły za mąż, więc nie musi płacić alimentów, interes po wojnie nie będzie może już dawał takich profitów, ale jest niemały; jedyne czego teraz chciał, to Catherine. Chciał uczynić ją szczęśliwą. Thorn nie ma; zniknął tak jak ten most na Loarze, gdy Niemcy zdobyli Paryż. Jack próbował dowiedzieć się czegoś więcej, ale nawet Czerwony Krzyż nie wiedział nic ponadto, że Thorn nie żyje.

Catherine nie wyjdzie, oczywiście, za niego tak od razu. Teraz, gdy ma swój tytuł, zechce pewnie spróbować rozwinąć trochę skrzydeł. Jack może poczekać. Jedyne czego chce to, żeby była szczęśliwa.

Powiedziała, że nie chce uczyć, więc Jack zadzwonił do Charliego Bettsa z wydawnictwa Smith and Rand w Bostonie - starego kumpla jeszcze z okresu pierwszej wojny światowej. Catherine zaczęła pracować tam jako korektorka, odnajmując jednocześnie tanie mieszkanie przy ulicy Charles w Cambridge. Chryste, co to za straszna dziura! Ale ona starała się zaoszczędzić pieniądze, żeby móc pojechać po wojnie do Francji i dowiedzieć się, co się stało. Nie chciała wziąć od niego pieniędzy, nawet gdy jej powiedział, że ma więcej, niż jest w stanie wydać.

Ale i tak mógł poczekać.

Ma zamówienia dla wojska na dziesięć milionów. Cały czas musi walczyć o ludzi. Podniósł wydajność o trzydzieści procent i płaci dodatkowo za przepracowane niedziele i święta. Dotknęły go trochę dzikie strajki, ale ma w obydwu fabrykach organizacje pracownicze - to jest coś nowego - a poza tym, jego rozruszniki do samolotów są najlepsze na rynku.

Carole Emery, jedyna kobieta w Smith and Rand, wściekła się widząc, że Catherine przepisuje na maszynie korespondencję i biega na posyłki, wzięła ją zatem pod swoje skrzydła. Nie mogła jej jednak powiedzieć, że nie zajdzie dalej niż ona, że

co najwyżej może zostać najniżej opłacanym redaktorem. Tak to już jest. Po wojnie zresztą i tak miliony kobiet opuszczają biura czy fabryki i wrócą do domu.

Jedyne czego pragnął Jack, to żeby Catherine była szczęśliwa. Powiedział, że pożyczycy jej pieniędzy na założenie własnego wydawnictwa, ale ona odpowiedziała, że nie zdobyła jeszcze wystarczającej wiedzy. A poza tym, nie byłyby to jej własne pieniądze, a ona chce sama do czegoś dojść. Wydawało jej się, że może to zrobić pisząc w Smith and Rand, w jakimś kąciku, na maszynie i przynosząc co noc do domu czyjeś wypociny. Chryste!

Inwazja w Afryce Północnej spowodowała przerwy w dostawach ropy, ponieważ większość jej była zużywana przez silniki spalinowe w lokomotywach. Latem Mussolini poddał się i zanim nastąpiła zima, alianci zdobyli Aleuty i jak szaleni zrzucali przez dwadzieścia cztery godziny na dobę bomby na Niemców.

Catherine była taka słodka. Nic nie wiedziała o życiu. I wcale nie musiała wiedzieć - on przywykł do babrania się w błocie, wyrósł na tym biegając w za krótkich spodniach po najgorszych dzielnicach Chicago, przysłuchując się wszystkiemu i kombinując. Było dużo możliwości: ochrona i zastraszanie, stręczycielstwo, przemyt, wrzucanie cukru do zbiornika na benzynę i zapychanie kartoflami tłumika, grożenie tym w urzędzie miasta. To samo było w małych miasteczkach; odwiedzał swoją babcię na wsi i widział, jak chłopaki w krótkich spodenkach podsłuchiwali w stajniach i koło tawerny, a jeśli byli sprytni, mieli, gdy dorośli, miasteczko w małym palcu. Tam, na dole, odbywały się różne spotkania parafialne w kościele, ludzie chodzili na koncerty albo oglądali w muzeach posągi z dużymi piersiami, ale za to bez ud. Oni natomiast dzielili się tym, co usłyszeli, siedząc na dachu budynku sądu okręgowego.

Jack zabrał razem Carole Emery i Catherine najpierw do teatru, potem do opery, a jeszcze później wielokrotnie na kolację. Zaprosił je obie do Nowego Jorku na święta Bożego Narodzenia. Zdawało mu się, że Carole pojedzie. Lubił ją, była inteligentna. Musiała być inteligentna, żeby zająć tam, dokąd zaszła. Poza tym, co Jackowi bardzo się podobało, była jednocześnie i twarda, i bardzo kobieca. Jednym słowem, Carole Emery, miała dużo zdrowego rozsądku.

- Dobry Boże, a któż to? - pyta Mallory z działu łączności, wchodząc z fakturami. Pokoje w wydawnictwie Smith and Rand to ohydne dziury, z których rozchodzą się ciche rozmowy i stukot maszyn do pisania. Powietrze w Bostonie jest tak zanieczyszczone, że parapety okien są czarne od sadzy, a rękopisy z tego tygodnia różnią się od zeszlotygodniowych tylko tym, że są bardziej szare.

- Znajoma Charliego Bettsa - mówi Betty Tarr. Patrzą obydwie, jak Catherine znika za drzwiami pokoju Carole Emery. - Catherine. Buckingham. Prosto z prowincji - mówi szeptem Betty. - Żadnego makijażu, za grosz stylu, i spójrz na te jej włosy...

- Bet Cardiff jej nie podszczypuje.

- On już zaczął rozmawiać o niej z Emery. „Popracuj nad nią trochę, Emery” - wiesz, tym swoim zawodzącym głosem. „Zrób nam wszystkim przysługę, Emery, zrób ją na bóstwo”. Obrzydlistwo!

Edna obraca w palcach przyniesione ze sobą kartki papieru.

- Wesson kazał to wszystko przepisać. - Nie powiedziałam ci jeszcze najlepszego. Kiedyś przychodzi tutaj drugi znajomy Charliego, o rany, mówię ci, zupełnie jak Cary Grant. - W pokoju stukoczą zawzięcie wszystkie maszyny do pisania - I zgadnij, co się okazuje?

- No? - pyta Edna z zainteresowaniem.

- Cary Grant przychodzi po Catherine! Gdy Gloria ją o niego zapytała, Catherine powiedziała, że idą razem do najlepszego lokalu w mieście, a potem na przedstawienie. Wyobraź sobie, z takim wyglądem!

- Tak? - Edna aż otworzyła ze zdziwienia usta.

- Na to Gloria - wiesz jak to ona - mówi: „Chyba nie pójdziesz tam tak ubrana?” Ale o piątej wchodzi pan Przystojniak i Catherine wychodzi z nim, tak jak stała. On otwiera przed nią drzwi, a my wszystkie siedzimy i nie możemy dojść do siebie z wrażenia.

- Jezu - mówi Edna i przerywa, bo Catherine wychodzi z pokoju Carole zamykając za sobą drzwi.

- Figurę ma niczego sobie - mówi Betty. - Gdyby tylko trochę o siebie zadbała.
- Sama nie wiem - Betty wzrusza ramionami. - Może ona ma inne zalety?
- Może ona się tutaj zmieni - mówi Edna.
- Poczekaj chwilę - mam tu listy do podpisania dla Wessona - mówi Betty i przewraca papiery.
- Może ona ma coś na niego - mówi Edna.

6

Z początku Carole Emery prawie nie zauważała nowej dziewczyny. Nie miała, oczywiście, zamiaru odmawiać Charliemu Bettsowi, gdy poprosił ją o tę przysługę - Charlie od czasu do czasu podrzucał jej coś poza książeczkami dla dzieci i była mu za to wdzięczna. Gdy więc Charlie przyprowadził tu tę Catherine Buckingham, Carole posadziła ją w kącie swojego pokoju i dała coś do przepisania. Wiedziała, że Catherine przyszła tu zaraz po skończeniu jakiegoś niedużego college'u, gdzieś koło Chicago.

Carole była, jak zwykle, bardzo zajęta; wojna czy nie, drwale rozpoczęli strajk, a wiadomo, co to oznacza dla wydawnictwa. Carole próbowała to uświadomić wazniakom w wydawnictwie, ale czy oni chcieli ją słuchać? Wysyłała więc listy do wszystkich swoich autorów i starała się możliwie szybko przepchnąć ich książki. Będzie potem siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak inni będą drukować książki na papierze toaletowym, jeśli go zdobędą.

Dziewczyna siedziała w kącie pokoju i Carole widziała, że ją obserwuje. Powinna coś ze sobą zrobić - to było pierwsze, co Carole o niej pomyślała. Potem zdała sobie sprawę, że ta dziewczyna jest trochę dziwna. I w końcu naszła ją trzecia myśl, nie mająca zresztą nic wspólnego z poprzednimi, że dziewczyna jest inteligentna. Wyczuwało się, że od lat pochłaniała mnóstwo książek, a tego nic nie jest w stanie zastąpić. Jeśli tego się nie ma, każda nowo przybyła dostaje w Smith and Rand maszynę do pisania, papier firmowy do listów i znaczki do lizania. Ta Catherine kocha książki, to jest oczywiste, a poza tym jest inteligentna - a to rzadkie zjawisko w tym interesie. Gdyby tylko zechciała coś ze sobą zrobić.

Catherine nosiła do pracy wciąż ten sam kostium i wydawała się nie zwracać uwagi na swój wygląd. Nie powinno to Carole przeszkadzać, a jednak tak było. Szczególnie, jak przyszli do niej w pewne piątkowe popołudnie Paul Cardiff i Joe Holser i zaczęli narzekać na jej wygląd - tak, jakby to była jej wina.

- Popracuj nad nią trochę, Carole - mówi Paul opierając się o jej biurko.

Za nim wchodzi do pokoju redaktorki Charlie Betts. Charlie ma jak zwykle plamy na krawacie i nie zapina wystarczająco ciasno paska od spodni, więc z tyłu robi mu się torba.

- Taaa... - mówi Joe Holser, przyłączając się do nich. - Niech nie nosi codziennie tych spódnic, niczym stara służąca. - Jest tłusty i łysy i pokazuje w uśmiechu zepsute zęby.

- Mogłaby robić swoim wyglądem furorę - mówi jęśliwym głosem Paul. Gdy nachyla nad nią sine policzki i zaczyna jej oddychać prosto w nos, Carole cofa się i sięga po skoroszyt. - Wyświadczyć nam wszystkim grzeczność i zrób coś z nią!

Carole przywołuje na twarz uśmiech i daje im gestami do zrozumienia, że zbliża się Catherine. Odwracają się i zauważają, że stukot maszyn brzmi jakoś inaczej, bardziej miękko. Wszystkie sekretarki mają wzrok utkwiony w mężczyźnie, który podąża za Catherine. I trudno się temu dziwić; mężczyzna ma lat czterdzieści kilka, ubrany jest w garnitur prosto od krawca z Nowego Jorku i ma urodę gwiazdora filmowego.

Catherine wchodzi do pokoju Carole, wyjmując z szafy płaszcz i kapelusz. Charlie przyskakuje do gwiazdora i przedstawia go Paulowi, Joemu i Carole:

- Jack Laird, mój kumpel z czasów wojny! - mówi.

Carole ma nadzieję, że kumpel Charliego z czasów wojny zainwestuje w interes, wygląda, że ma pieniądze.

Nikt nie zwraca uwagi na Catherine, która wyjęła już płaszcz i kapelusz, a teraz bierze pod pachę plik rękopisów. Gwiazdor przerywa rozmowę i podchodzi, żeby jej pomóc.

Jest po prostu uprzejmy, myśli Carole, ale gdy widzi wyraz jego twarzy, zmienia zdanie. Jego oczy pod ciemnymi rzęsami, gdy spogląda w dół na Catherine,

nie są jedynie przyjazne. Nie przerwał rozmowy z Charliem tylko dlatego, żeby pomóc damie się ubrać.

Catherine chowa włosy za uszy we właściwy sobie sposób i wkłada na głowę kapelusz, a gwiazdor bierze od niej plik rękopisów. Catherine nie uśmiecha się, mówi tylko Carole dobranoc, a potem idzie obok Jacka Lairda między rzędami biurek, za którymi siedzą wpatrzona w nich sekretarki. Jack otwiera przed nią drzwi i wychodzą - ona w starym kapeluszu, tym samym co zawsze płaszczu i, jak zwykle, z bladą twarzą.

- Potnijcie mnie na kawałki, nie wiem, o co tu chodzi - mówi Joe Holser.

- To równy gość - mówi Charlie. - Naprawdę równy gość.

7

- Ma za dużo pieniędzy... i za dobrą prezencję. - Mówi Carole do czajnika. Gdy się ma pięćdziesiąt lat, można mówić do siebie. A poza tym, gdzie znalazłaby, lepszego rozmówcę?

Kuchnia i łazienka Carole są urządzone nowocześnie, chociaż dom na Brattle Street, w którym mieszka, został zbudowany przed 1800 rokiem. Dom chyli się ze starości, słychać w nim chrupanie korników i pachnie przeszłością, ale ta jego patyna cieszy Carole. Za oknami płynie jedwabistym strumieniem, migocząc światłami, stara Brattle Street.

- To dlaczego - Carole zadaje pytanie lodówce - zabiera również mnie? - Ma jeszcze czas, żeby wypić filiżankę kawy; nie będzie jej wtedy burczało w żołądku przed obiadem, który w Wayside Inn zawsze jest spóźniony. - Cześć, ślicznotko - mówi do odbijającej się w lustrze postaci w nowej, czarnej sukience, futrze z norek i... do filiżanki kawy. Może Jack Laird chce, żeby oni dwoje wyglądali na rodziców Catherine? A może mu o to nie chodzi? Mniejsza z tym. Carole odwraca się w lustrze - szwy ma proste.

Domy mają drewniane ogrodzenia. Pewnie pierwsi zamieszkujący tu Jankesi chcieli odgrodzić się od sąsiadów. Długie, ciemnobrązowe deski płotu okalającego jej dom są przycięte na górze, z obu stron ukośnie. Przez огоłocone z liści, o tej porze

roku, krzaki Carole widzi światła i ogromny zarys samochodu Jacka. Niech ci to nawet nie przychodzi do głowy, dziecko, mówi do siebie idąc do drzwi. On wyraźnie szaleje za Catherine.

Jest miło, myśli idąc obok niego chodnikiem, a potem wślizgując się z gracją na tylne siedzenie samochodu (na pewno będzie chciał, żeby Catherine siedziała z przodu). Inaczej nie czułaby się taka odprężona. Stara przyjaciółka rodziny. Carole patrzy na sztachety i jest zaskoczona; dokładnie na to miała ochotę. Jest miło. Nareszcie nie musi cały czas mieć się na baczności. Może przyglądać mu się z podziwem i pokazać się sąsiadom - niech widzą, kto ją zabiera na obiad.

- Lubisz Catherine, wiem. - Jack jedzie w kierunku Mount Auburn, gdzie Catherine ma swoje obskurne mieszkanie, na światłach odwraca się do Carole. - Ona cię podziwia. - Jego oczy, pod poznaczonym bruzdami czołem i gęstymi brwiami, tworzą czarną plamę.

A więc o to chodzi.

- Chcę, żeby była szczęśliwa - mówi Jack i skręca w Mount Auburn. Carole wygląda rękawiczki. Przyjaciółka rodziny. Obiady, teatr, opera, wycieczka do Nowego Jorku na Boże Narodzenie... - kto by odmówił? Wujkowie i ciotki w Omaha będą musieli świętować w tym roku bez niej. Nie zasiądzie z nimi do tradycyjnie nakrytego stołu, nie pójdzie do kościoła na pasterkę, nie będzie zapachu naftaliny w szafie, ani kociej sierści na meblach.

Jack zatrzymuje się na podjeździe do garaży.

- Ona chce odnieść sukces w wydawnictwie - mówi, odwracając się do Carole i obraca jednocześnie kluczyk w stacyjce. - Wydaje mi się... - Przerywa i wzrusza ramionami. - Wydaje mi się, że potrzeba jej przyjaznej osoby. Kogoś, kogo podziwia. Nie chce przyjąć ode mnie pieniędzy, ma teraz swoje.

W pewnym sensie jest to komplement. Poza tym w jego głosie jest uczucie. Jack patrzy na nią, uśmiecha się lekko i ściska ręką w rękawiczce oparcie fotela.

- Pójdę po nią - mówi.

Carole patrzy za nim, jak ubrany w eleganckie palto, omija kałuże i daje nurka pod sznurami z rozwieszoną bielizną, potem znika za rogiem. Na Mount Auburn turkocze trolejbus, w smaganych listopadowym wiatrem krzakach świergoczą ptaki.

Święta będzie spędzać w Nowym Jorku. Nie w Omaha, ale w domu na Walnut Hill, w którym wyrosła.

Ripla, ripla, ripla. Ril!

To my dzieci z Walnut Hill!

W co się bawimy? Co za pytanie!

W chowanego i w szukanie!

W domu na Walnut Hill ojciec bił twoich braci. Twoja matka i siostry płakały. Dźwięczy jej jeszcze, w domu na Walnut Hill, gniewny głos ojca i odgłos uderzeń.

Ponad pochylonymi nad stołem głowami, w upiętych warkoczach

krzyżowały się wojownicze spojrzenia i trwała nieustanna walka. Nie jej walka - ryk ojca skierowany był do Toma, Elmera i Pete'a.

Jeśli matka zobaczyła w twoich oczach błysk współczucia, natychmiast ostrzegła cię spojrzeniem. Jeśli śmiałaś się odezwać, ojciec nie dyskutował z tobą, tylko wysyłał cię do swojego pokoju. Bez upominania zmywałaś naczynia po obiedzie; najstarsza córka musiała dawać przykład młodszym siostram. Odgłosy kłótni ojca z braćmi ścigały ją po schodach na górę i przenikały przez podłogę do pokoju, który dzieliła z Ruth i Mabel.

Uczył się człowiek życia poprzez strach. Tuż koło oparcia łóżka znajdowały się drzwi prowadzące na strych. Czy coś czyhało na nią na schodach za tymi drzwiami, nasłuchując w ciemności jej oddechu? Śniło jej się „to” w nocy, kiedy cała spocona ze strachu budziła się, tłumiąc krzyk. Aż którejś nocy, gdy skończyła jedenaście lat, zaczekała, aż Ruth i Mabel usną i... otworzyła drzwi.

O metr od jej nakrytej prześcieradłem głowy rozdziawiła się, jak otwarty grób, czarna dziura.

Ale nauczyła się spać z tym przerażeniem.

Czasami, na dziurawym drewnianym chodniku o kilka przecznic dalej, rozlegały się kroki, którym najpierw towarzyszyło szczekanie jednego psa, a potem całej gromady. Świadoma czarnej otchłani za drzwiami na strych i mokra od potu myślała, jak strasznie i czarno jest na zewnątrz, gdy tymczasem jej brat Pete, młodszy od niej, wracając do domu pogwizdywał sobie wesoło pod nosem.

Czy on się bał? Wesoła melodyjka towarzyszyła mu aż do kuchennych drzwi, które zamykały się za nim z trzaskiem. Nazajutrz będzie lanie, mówił odgłos jego pośpiesznych kroków na schodach, ale on nie przestawał pogwizdywać. Za" pomocą swoich kroków, skrzywienia drzwi sypialni i kłótni, która czekała go następnego dnia, określał się.

Carole leżała na łóżku obok Mabel i nasłuchiwała czegoś, co było równie oczywiste jak odgłos kroków na dziurawym chodniku, gdyby tylko mogła to usłyszeć.

Do domu wraca o północy, pogwizdując sobie wesoło, dziewczyna. Jej gwizd słyhać we wszystkich domach dookoła. Gdy stanęła pogwizdując na progu domu, oślepiły ją światła. Nikt nie spał. Wszyscy krzyczeli jej imię, jej imię powtarzano w każdym domu, który minęła. Musiała opuścić miasto.

Czymże więc były drzwi na strych?

Carole mruga oczami pozbywając się wspomnień i spogląda do góry, w oświetlone okno mieszkania Catherine. Światło gaśnie.

- Chodź - mówi Jack gasząc światło. Widać, że Catherine płakała, mówi, że właśnie wyrzuciła do kosza swoją powieść. Nic z niej nie wynika. Była o dwóch mężczyznach, którzy kochali tę samą kobietę. Nic z niej nie wynika, nie pozostaje po niej nic, mówi. Po zamknięciu tej książki nikt nie pomyśli: widzę i czuję coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem ani nie czułem. Zwyczajne rzeczy wydają się obce.

- To nie jest normalne - mówi Jack. - Śliczna, młoda dziewczyna siedzi przez cały dzień przy maszynie do pisania, pocierając ze znużenia oczy, bo wydaje jej się, że potrafi pisać. Siedzisz tu sama, a tam czeka na ciebie cały świat.

- Dlaczego to jest nienormalne? - pyta Catherine. - Gdyby to nie było normalne, nie robiłabym tego.

Jack wychodzi, wyławia z kosza na śmiecie powieść i macha nią do czekającej w samochodzie Carole, po czym wraca na górę.

- No, chodź już - mówi do Catherine, która włożyła już swój stary kapelusz i płaszcz. - Chodźmy stąd i zabawmy się.

Carole patrzy, jak idą oboje do samochodu, i stwierdza, że problem tkwi w tym, że Catherine nie zna samej siebie. Większość dziewcząt zna siebie, widać to po

ruchach ich bioder, gdy idą; świadomie wypychają do przodu biusty. A Catherine jest taka cicha, taka samotna.

Nie wie nawet, że należy siadać pod lampą, bo wtedy jej światło rozlewa się po włosach. Nie wie też, że jak się pod odpowiednim kątem ustawić do światła, to biodra wydają się szczuplejsze. Nie skierowuje w dół stopy, gdy zakłada nogę na nogę, ani nie robi wystudiowanych gestów rękami. Gdy się patrzy, jak podpira dłonią policzek albo wyjmuje z ust włos, można czasem pomyśleć, że jest lekko opóźniona w rozwoju. Trochę dziwaczna, jakby sama siebie nie lubiła. Ale Carole chyba lubi siebie. Z nią jest wszystko w porządku? Tak, zupełnie w porządku.

Jack Laird pomaga jej wejść do samochodu z taką miną, jakby była najpiękniejszą kobietą, jaką zna. Catherine podnosi do góry palto i siada obok niego z miną dwuletniego dziecka. Jack uśmiecha się, oczy mu błyszczą; jest tak samo ślepy jak ona.

8

Carole czuje się teraz odpowiedzialna za Catherine. Jack zrobił wszystko, żeby święta Bożego Narodzenia w Nowym Jorku wypadły uroczyście, a on się na tym zna. Całkiem się zapominało, że jest wojna.

Carole obserwuje Catherine. Dlaczego ona w ten sposób siedzi? I dlaczego nie kupi sobie czegoś nowego? Zasłania przez chwilę oczy rękami - rozumuje zupełnie jak Paul Cardiff i Joe Holser; chce zmienić Catherine, przerobić ją. Ogarnia ją gniew i rezygnacja, część tych uczuć skierowana jest przeciwko Catherine. Czy zupełnie jej nie obchodzi, jak wygląda? Carole siedzi i słucha dochodzących z biura głosów.

Catherine awansowała - co wieczór może brać do domu z przewalającej się sterty jakiś rękopis. Carole zauważyła, co to znaczy dla Catherine, widziała, jak błyszcząły jej oczy. Przypomniała sobie, jak śniła o sławie podczas poprzedniej wojny... Nie, nie może płakać; ma pomalowane rzęsy, raczej będzie się śmiać.

Catherine tak ciężko pracuje. Jest taka inteligentna. Czyż nie widzi, że to wszystko jest bez znaczenia?

Może jest zbyt pesymistyczna, jeśli chodzi o Catherine, myśli Carole, zakrywając znów rękami oczy. Myśli, że po tych wszystkich latach mogłaby zabrać ze sobą, na zebranie w męskim gronie, jeszcze jedną kobietę. W charakterze protegowanej i jednocześnie sekretarki, która szybko by się uczyła, zaglądając jej przez ramię.

Ale Catherine nie uczyła się chyba. Była taka inteligentna, ale nie okazywała nikomu choćby odrobiny szacunku. Nie przypochlebiała się, (budziło to w niej zawsze skrępowanie), jak to robią inne dziewczęta w stosunku do Carole, która była tu jedyną redaktorką. Nie chodzi o to, że Carole marzy o wywróceniu świata do góry nogami. Już nie. Już nie chce być pierwszą kobietą, która przedrze się przez mury obleżonego miasta. Obejrzała się za siebie wystarczająco dużo razy, by się upewnić, że nie zagraża jej żadna inna kobieta - za wyjątkiem starsuszek i półwariatek nie było za nią nikogo. Carole wzdycha i przewraca na biurku papiery.

Co ma powiedzieć o powieści Catherine?

Wzięła ją do domu, ale bała się do niej zabrać. Co druga osoba, z którą miała do czynienia w Smith and Rand była sfrustrowanym pisarzem; Carole przywykła do przewracania pierwszych stron książek, których nikt później nie czytał. Ale tak wspaniale spędziła czas w Nowym Jorku i niedługo miała tam wrócić z Jackiem i Catherine, więc mogła przynajmniej tyle zrobić.

Pisze nieźle, zupełnie nieźle. Musiała stwierdzić, że książka zrobiła na niej wrażenie. Catherine wie co robi. Tę samą pewność czuje się u dobrego skrzypka, gdy wydobywa ze skrzypiec pierwsze dźwięki, albo u doświadczonego hydraulika, który z wprawą zabiera się do skręcania rur.

Im dalej jednak Carole zagłębiała się w powieść, tym dziwniej się czuła... Chociaż nie bardzo wiedziała, co było w niej takie niepokojące. Z przyjemnością czytała o beztróskich latach dwudziestych w Bostonie i w Anglii - widziało się tam, słyszało i czuło szaloną zabawę. Ale po przeczytaniu następnych stu stron nie wiedziała, co ma myśleć. Miało się wrażenie, że książka wpadła przez jakąś szczelinę do innego świata i leży tam, prawie niedostępna; że tańczy po niej jakiś obcy refleks świetlny.

Carole wstaje i patrzy przez okno na rozciągnięte sznury z bielizną i ceglany mur. Nie może przecież rzucić dziewczynie prosto w twarz, że denerwuje ludzi tym, że dziwnie się ubiera albo inaczej czesze. Nie może jej powiedzieć, że musi nauczyć się uśmiechać. Gdyby była nieładna, nie miałyby to większego znaczenia, ale ona potrafiła być czasem taka piękna. I w tym jest cały problem - każdy uważa, że Catherine może wszystko naprawić.

Catherine musi podjąć ten trud; zacząć przesiadywać u kosmetyczki i fryzjera, śledzić modę i ubierać się tak, by z jednej strony nie zwracać na siebie uwagi i nie niepokoić mężczyzn, a z drugiej - odpowiednio i młodo wyglądać. Catherine będzie musiała się tego nauczyć... Czyż nie słyszy dookoła siebie szeptów i nie widzi wlepionych w nią spojrzeń?

Carole wzdycha - mężczyźni nie lubią Catherine. Co ma z tym wszystkim począć? Znowu jedzie z nią do Nowego Jorku i Catherine myśli, że jest jej przyjaciółką.

9

W apartamencie hotelu Plaza całe ściany, od podłogi do sufitu, wyłożone są lustrami. Carole kładzie książkę Catherine na stoliku obok okna i chodzi w tę i z powrotem po puszystym dywanie.

- Dlaczego ci się nie podoba? - pyta Catherine.

- On ma taki chłopięcy wygląd, jest taki wysoki i dziwny... Ona ma mnóstwo pieniędzy i wie, jak chce wychować swoją córkę, i mówi mu o tym... - podsumowuje książkę Carole i zamyśla się.

Catherine ma na sobie ten sam kostium i takie... miękkie włosy - Carole obserwuje w lustrze jej odbicie.

- Nie mogłabyś dodać jej trochę ujemnych cech, tak żebyśmy się mogły z nią identyfikować? Może nienawidzi męża i uwielbia uwodzić mężczyzn? Może jej mąż uwodzi inne, więc ona urodziła to dziecko jemu na złość? A może powinnaś spowodować, żeby się w sobie zakochali i wylądowali w łóżku?

Catherine nie odzywa się. Zaczyna rozpinać płaszcz.

- Włóż tę suknię z krepy - mówi Carole. - Jack mówi, że musimy być gotowe na szóstą, jeśli mamy zdążyć potem do teatru.

Ma świetną figurę, myśli Carole, patrząc na Catherine stojącą przed nią tylko w majtkach. Catherine z nachmurzoną miną wiesza w szafie kostium i bluzkę.

- Rękawiczki muszą pasować do kapelusza, kapelusz do butów, a buty do torebki - mówi. - Wkłada głowę w otwór sukni i zawiesza ją na sobie jak worek. - Niektóre dziewczyny w college'u szyły sobie same ubrania. Całymi dniami nie myślały o niczym innym, tylko o strojach. - Carole podchodzi i zapina Catherine z tyłu guziki. - Ich umysły zajmowało tylko to, jak wyglądają. - Catherine zakłada włosy za uszy. - Jakby poza tym nic nie istniało.

Carole patrzy, ponad ramieniem Catherine, w lustro. Gdy trzyma wysoko głowę, nie widać, że ma pięćdziesiąt lat, myśli. Ma ładny owal twarzy.

- Nie jesteśmy bogate, tak jak Jack, prawda? - pyta Catherine. - Nie zaszliśmy na sam szczyt i nie mamy własnego towarzystwa...

- Obróć się, wyprostuj ci pasek - mówi Carole. Catherine obraca się.

- Kiedy on otwiera przed nami drzwi i podsuwa nam krzesło, żebyśmy usiadły, to tak, jakbyśmy były kalekami, albo jakbyśmy były stare. - Wsuwa stopy w niebieskie pantofle.

W pokoju robi się tak cicho, że Carole słyszy uderzenia deszczu o szyby. Potem Catherine podchodzi do niej i kładzie jej rękę na ramieniu.

- Nie chciałam przez to powiedzieć, że ty nie odniosłaś sukcesu. Odniosłaś go - mówi. - Nie to miałam na myśli.

10

Samochody nadjeżdżające z przedmieść pojawiają się u wylotu tunelu na Mount Auburn Street i z turkotem zdążają pomiędzy szpalerami drzew nad rzeką, mijając po drodze szpital Sillmana, w kierunku Watertown. Szyny znajdują się w odległości zaledwie kilku metrów od przysłoniętego żaluzjami okna Catherine, ale ona

nie słyszy ani odgłosu przejeżdżających trolejbusów, ani ustawicznego trzaskania drzwiami w sklepie pani Reilley na dole.

- To musi być wielka scena - napisała na kartce Carole. Kartka długi czas leży na półce nad kominkiem, w pokoju Catherine. - Kochał jej matkę, potem wychował ją, a teraz zostaną kochankami - twoi czytelnicy nie będą mogli się doczekać, jak on się zachowa.

Pani Reilley ma łagodny głos i twarde spojrzenie Irlandki z Bostonu, przywiązanej do swojej własności. Ma buldogi, więc jej posadzki pozaściełane są gazetami a Catherine musi na nie uważać, kiedy przychodzi zapłacić czynsz. Córka pani Reilley pracuje w urzędzie telekomunikacyjnym i trzaska w całym domu drzwiami. Swoją wnuczkę nazywa pani Reilley brzdącem. Brzdąć zaczął zostawiać ślady palców na stolarce, odkąd zaczął raczkować, i obecnie czarny pasek kończy się tam, gdzie może sięgnąć ośmioletnie dziecko.

- Musisz nadać temu trochę pasji. To wszystko, co przytrafia się dziewczynie, gdy go traci i musi jechać do tego małego miasteczka, gdzieś w Iowa, będzie jak dynamit, jeśli czytelnik będzie wiedział, że ona przeżywa najbardziej burzliwy romans w swoim życiu. O czym ona myśli, gdy idzie do łóżka jakby ze swoim ojcem? Czy w ich ukrywanym z konieczności związku jest jakiś posmaczek...

Sklep pani Reilley na rogu domu też jest jej własnością. W kącie, w którym stoi jedyny stolik dla gości, jest ciemno i parno. Od świtu do zmierzchu przed drzwiami sklepu zatrzymują się trolejbusy.

Catherine słyszy turkot trolejbusów, trzask drzwi, głosy klientów kupujących bochenek chleba i nie czuje się taka samotna. Piętro należy do niej - spogląda przez kartonowe żaluzje w dół, na przejeżdżające samochody i tramwaje. Na podłodze jej mieszkania leżą stare deski, kuchenka jest wielkości szafy, a w łazience wisi pranie, które zrobiła w samoobsługowej pralni, znajdującej się w domu obok. Kominek przy ścianie ma półkę i palenisko, ale nie ma w nim miejsca na ogień.

Catherine codziennie chodzi do pracy w wydawnictwie Smith and Rand, aż do pewnego marcowego popołudnia, kiedy podnosi wzrok i widzi na sobie spojrzenie Carole.

- Nie chcę ci zrobić przykrości, ponieważ jesteśmy przyjaciółkami - mówi Carole. Łokcie opiera na biurku i z białych palców robi rodzaj hamaka, na którym kładzie brodę. - Z początku myślałam, że jest ci to obojętne, albo że nie lubisz siebie. Naprawdę tak myślałam. Wiesz, że ja też pisałam?

- Mówiłaś mi - mówi Catherine.

- I nie chcę obrazić twoich uczuć - Carole podnosi brwi; nos ma prosty, ostro zakończony. - Ludzie nie są dla ciebie mili, prawda?

Catherine zastanawia się przez chwilę, a potem mówi:

- Zadaję im pytania. Nic nie wydaje mi się takie samo, jak... Dzwoni telefon. Carole odpowiada komuś, że nie. Jeśli nie dostaną papieru, to stracą książkę, i odwiesza słuchawkę.

- Dlatego właśnie musisz pisać - mówi do Catherine. - Widzisz różne rzeczy. - Przekłada papiery na biurku. - Tutaj do niczego nie dojdiesz - w żadnym takim miejscu, jak to, nic nie osiągniesz. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

Catherine nic nie mówi. Carole patrzy w okno na mroźny śnieg, ceglane mury, sznury z bielizną i puste okna. Ma błyszczące, brązowe włosy i ubrana jest w drogie rzeczy w dobrym stylu.

- Z początku myślałam, że wszystko jest ci obojętne, że nie jesteś wrażliwa, albo że nie lubisz siebie. Teraz widzę, że znajdowałam się na niewłaściwym tropie. Ja nie wiem nawet, gdzie jest ten właściwy trop, ale wiem jedno, że tutaj do niczego nie dojdiesz.

- Podpatrywałam ciebie - mówi Catherine. - Gdy zabierałaś mnie ze sobą na lunch.

- No i co, nic z tego, prawda? - Carole ogląda swoje palce. - Nie dostałyśmy Waringa. Jones odmówił. Człowieka, który pragnął mieć milion, wydało Random House. Przez chwilę myślałam już, że opuściło mnie szczęście. Ale to ty. I to nie była twoja wina.

Znowu dzwoni telefon. Carole słucha, a potem mówi:

- Powiedziałałam mu, że Kransky ma nowy „Jeden świat”, ale nie możemy tyle zapłacić. Obiecuj mu drugie wydanie. - Kładzie słuchawkę. Na ulicy słychać wycie samochodu strażackiego. Carole patrzy na Catherine, a potem odwraca wzrok. -

Mężczyźni cię nie lubią. Kobiety też. Założę się, że zawsze chcą cię zmieniać. Mówię ci, zmień wszystko.

- Ale ty nie zmieniasz! - mówi Catherine. Carole składa dłonie i robi gest, jakby je wykręcała.

- Bo nie jestem dobrą pisarką! - Siedzi przez jakiś czas zastanawiając się, co ma powiedzieć. - Nie wiem nawet, czy się rozumiemy - czy ty chcesz pisać?

- Tak. Jeśli będę mogła.

- Więc pisz! - Carole pochyla się w kierunku Catherine. - W ten sposób sama możesz do czegoś dojść. Kobietom od wieków to jedno się udaje. Masz pieniądze?

- Nie mam dużo. Ale mogę przeżyć.

- Samotna artystka pracująca na strychu? Skończ z tym, masz przecież Jacka Lairda!

Catherine nic nie mówi. Powinna coś zrobić ze swoimi włosami. Carole łapie się na tej myśli i zaczyna się śmiać.

- Wyjdź za niego, na miłość boską. Będiesz mogła pisać całymi dniami. Ja bym się na twoim miejscu nie zastanawiała ani chwili!

Catherine to widzi.

- Dlaczego? - pyta zdziwiona. - To nigdy nie byłyby moje pieniądze, to zawsze byłyby pieniądze Jacka.

- Nie o to chodzi. - Carole błyszczy oczy. - To gra; a ty w niej wygrywasz. On szaleje za tobą. - Znow się śmieje. - Będiesz mogła pisać. W zamian będziesz musiała tylko ładnie wyglądać i od czasu do czasu przyjmować trochę gości. Przez resztę czasu możesz pisać.

- Ale energię czerpie się ze środka. Kiedy mój wujek... - Catherine przerywa. - Gdybym wyszła za Jacka, nie miałabym tyle... Nie robiłabym nic, byłabym niczym...

- Jack na wszystko by się zgodził - szaleje za tobą. Catherine krzywi się.

- On myśli, że jestem taka jak moja matka, a przecież nie znał jej, tak naprawdę. Ona nie zawsze myślała tylko o strojach, przyjęciach i flirtach...

- Jeśli ma się w zasięgu takiego mężczyznę, jak on, to się go naprawdę zdobywa. On pracuje dla ciebie! - krzyczy Carole. - Wszyscy to wiedzą. Jest przystojny, bogaty i należy tylko do ciebie. Na tym polega ta gra. Wszystkie kobiety

będą ci zazdrościć. I nieważne, że jesteś inna niż one. I tak będą cię naśladować, ponieważ masz jego. Będą chciały się z tobą przyjaźnić, a ty będziesz miała czas, żeby pisać. Będziesz też mogła mieć rodzinę. Czego więcej można...

Dzwoni telefon.

- Tak? - rzuca Carole w słuchawkę. - Nie. Nie wiedziałam o tym. - Odkłada słuchawkę. - Chcesz pracować w biznesie? Tak? To idź z szefem i wszystkimi innymi mężczyznami do stacza! - Śmieje się gorzko. - Idź tam i słuchaj, jak o wszystkim decydują. Przysięgam, że oni podczas sikania załatwiają połowę spraw, a potem wychodzą i już wiedzą, co i jak... i może mi wtedy powiedzą. A co powiesz o szatni w klubie sportowym? Albo o męskich wypadach? Cholera! - Patrzy na Catherine. - Wszystkie, co lepsze dziwki, w tym mieście wiedzą więcej o Smith and Rand niż ja - chcesz się założyć?

Catherine nie odpowiada.

- Napisz o tym! - mówi Carole. - Ja jestem dobra, ale jeśli wybiorę się gdzieś z nimi, co powiedzą na to ich żony? A jeśli któryś z nich będzie chciał się ze mną przespać? Jeśli to zrobię, to będę już zawsze tylko jego małą pomocnicą, a jeśli mu odmówię, to będą mnie mieli za jędzę.

Tak czy owak tracę; mężczyźni o tym wiedzą. Więc kiedy naprawdę coś ważnego się dzieje, czy myślisz, że mi o tym mówią? Pewnie, zapraszają mnie na zebranie, albo żebym poznała kogoś ważnego, ponieważ wiedzą, że nie mogę tam iść. Albo wiem, że nie będę tam mile widziana. Mogą więc mnie zapraszać. - Odsuwa od siebie papiery na biurku. - To oni robią wszystkie ważne rzeczy. Są specjalnie do tego celu szkoleni i wszyscy im w tym pomagają.

Carole patrzy przez okno na śnieg, tak jakby Catherine nie było.

- Niedługo nie będę mogła tu pracować, ponieważ muszę spotykać się z ludźmi, muszę sprzedawać wciąż świeże pomysły. Spójrz na mnie. Mężczyźni nie lubią podstarzałych kobiet. Kobiety też ich nie lubią. Dzieci zresztą także. Przed pracą idę na spacer, na błonie i wiesz, co mówią te młode lumpy, jak mnie mijają, i to na tyle głośno, żebym mogła usłyszeć? Pytają mnie: - Ile mi zapłacisz, babciu? - Albo: - Zgadnij, kto ma pajęczynę, wiesz gdzie?

Catherine nie odzywa się przez dłuższą chwilę, a potem nieśmiało zaczyna:

- Odwiedzałam kiedyś Murzynów na Brush Street w Detroit. Kobiety mówiły mi, że jestem ładna i że powinnam się ładniej ubierać, ale traktowały mnie, jakbym nic nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć. -' Spojrzała na Carole, a potem odwróciła wzrok. - Matki zarabiałały na dom, ponieważ mężczyźni, pewnie nigdy, nie myliby toalet ani nie prali czyichś rzeczy. Więc kobiety pracowały całymi dniami, a potem wracały do domu. Gotowały, sprzątały, użerały się z mężczyznami, wysyłały dzieci do szkoły i znów szły do pracy. Dla swoich synów były miłe, psuły ich i kupowały im ubrania, pozwalały, żeby ich oszukiwali. Ale córkom nie.

W szyby zaczyna uderzać śnieg, powoli robi się ciemno. Catherine przygląda się swoim rękom.

- Chcę pisać o tych wszystkich, drobnych sprawach. Nikt ich nie zauważa, bo są takie drobne i kiedy o nich pomyślisz, mówisz sobie: - To takie nieważne.

- O Boże - mówi Carole. - Siedzisz tu cały czas i patrzysz.

- Patrzę i uczę się.

W pokoju przez chwilę jest cicho, a potem Carole mówi:

- Spróbuj pisać.

Przez chwilę słychać odgłos pociągu w metrze, a kiedy on milknie, dochodzi stukot maszyn do pisania i uderzanie śniegu o szyby.

- Zupełnie jak psy, prawda? - mówi Carole. - Kołyszą zadkami, skamlą z rozkoszy i piszczą...

- Ty nie. Ty uśmiechasz się i wydajesz się taka mała i bezradna. Robisz wrażenie sennej i mówisz, jakbyś była małą dziewczynką i tylko przypadkiem udało ci się powiedzieć coś z sensem. - Catherine patrzy Carole prosto w oczy. - Też tak potrafię. Zauważyłam, że jeśli się uśmiechnę, to mogę powiedzieć to, co myślę. I jeśli przechylę głowę na jedną stronę, tak jak ty to robisz. Patrzę na ciebie i uczę się. Nie chcę się zachowywać jak dziewczęta w college'u, ale mogę robić to, co ty.

Carole nic nie mówi. Patrzy, jak Catherine idzie po płaszcz.

- Dobranoc - mówi Catherine, patrząc na Carole od drzwi. - Przykro mi, że się tu nie sprawdziłam. I dzięki za wszystko.

Błonia Bostonu są takie rozległe - gdy się przez nie idzie w kierunku metra, ostre, mroźne powietrze powoduje, że czujesz się wolna, nawet jeśli chce ci się płakać.

Catherine dołącza do zmierzającego w dół tłumy i stukając obcasami po zabłoconych schodach biegnie do pociągu.

W wagonie widzi tu i tam mundury, khaki i granatowe. Ludzie w pociągu mają zwykle twarze bez wyrazu, gdy tymczasem mężczyźni w mundurach mają poważne, a niekiedy nawet dumne miny, tak jakby mundur powodował, że stali się ważni.

Za oknem migają wykładane kafelkami ściany tunelu. Catherine wysiada na Harvard Square i słyszy, jak dwaj profesorowie Harvardu dyskutują na temat nowych wyników badań, dotyczących Chausera. Catherine przysłuchuje się przez moment ich rozmowie.

Potem idzie po schodach i widzi przed sobą, na ścianie jednego z budynków, porośnięty bluszczem zegar bez wskazówek. Przy wyjściu z metra chłopcy sprzedający gazety, otoczeni obłoczkami pary, wykrzykują o kryzysie Vichy; ta kolejna wiadomość wojenna odbija się echem po dziedzińcu uniwersytetu, pomiędzy czytelniami a kaplicą.

W ulicznym megafonie zawodzi Frank Sinatra, a jasne wystawy sklepowe oświetlają na żółto chodniki. Przechodnie zatrzymują się przed ekspozycją, mrugają oczami, a potem znów rozplývają się w światłach i kolorach.

Płatki śniegu jak isierki wirują w światłach samochodów opuszczających plac. Potem sklepów jest coraz mniej i dalej, wzdłuż ulicy, ciągną się stare, pomalowane na żółto domy. Przechodniów jest także coraz mniej; starszy mężczyzna walczy na chodniku z wiatrem. Catherine mija jakąś kobietę, która otrzepuje gazetę ze śniegu o ogrodzenie. Przed zabytkowym Craigie House nie stoją już autobusy z turystami, ale Catherine patrzy na kremowe ściany budynku połyskujące w ostatnich smugach światła i jak zawsze zatrzymuje się: tu mieszkali Henry Longfellow i Jerzy Waszyngton.

Catherine nigdy nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego przyciągała ją przeszłość, gdy mieszkała w Bostonie. Tylko Thorn by to zrozumiał. Śnieg gromadzi jej się na rzesach. Samochody suną po mokrym aksamicie ulicy, a w ich światłach tańczą płatki śniegu.

Przeszłość ciągnie ją jak magnes. Catherine obserwuje za oknem budynku przyćmione światelko. Kiedyś siedział tam i pisał Waszyngton. Patrzył na padający

śnieg, tak jak ona teraz. Longfellow także musiał pisać - najpierw jedno słowo, a po nim drugie, innego sposobu nie ma. Możliwe więc, że i ona czegoś dokona; to jest właśnie ten magnes przeszłości. Jak długo Henry Longfellow wpatrywał się w ten śnieg, zanim napisał: „To Szkuner Hesperus płynął przez lodowate morze”? A potem dalej: „I szyper wziął swoją małą córeczkę, żeby dotrzymała mu towarzystwa...”

Stary człowiek brnie przed dziewczyną przez zaspy śnieżne, walcząc z wiatrem. Catherine ma oczy pełne łez. Mury starych domów przesiąknięte są zapachem tysięcy płonących w kominkach ogni. Ten zapach czuje się nawet latem - przeszłość wyciąga po ciebie rękę i ciągnie cię. Ale Thorn nie żyje.

*Jej oczy błękitne jak len
Policzki jak dzień o brzasku
Płeć jej biała jak pąki głogu
Które otwierają się w maju **

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz

Gdyby Thora był tutaj, mogłaby mu o tym wszystkim powiedzieć.

Drzwi wejściowe do Craigie House ozdobione są na święta wiankami z gałęzi świerku. Mogłaby zapytać Thorna, dlaczego jej matka wybrała akurat jego.

Ale ten Thorn, którego wyobraża sobie Carole, chodzi po ciemnym korytarzu na piętrze. W korytarzu pachnie płytą spilśnioną, a w łazience mydłem. Te zapachy są takie rzeczywiste. Ten mężczyzna z wyobraźni Carole jest zafascynowany dziewczyną - nauczy ją różnych rzeczy, mówi Carole.

Te krople deszczu, uderzające w szyby okien w sypialni, są świetne - mówi Carole. I to dziecko nie wie, oczywiście, co robi, gdy idzie z nim do łóżka. Wyobraża sobie, jak dziewczyna ściąga nocną koszulę i usypia. Świetne, naprawdę bardzo zabawne. Dobry początek.

Mężczyzna idący przed Catherine posuwa się w ciemności, z wolna obracając do tyłu głowę, jakby wiedział, że ktoś za nim idzie. Potem zatrzymuje się pod lampą na rogu, odwraca się i patrzy na Catherine przez grube, niczym lodowa tafla, szkła.

- Panienko? - mówi. - Panienko, czy mogłaby mi panienka powiedzieć, jak dojść do ulicy Mason?

Ma twarz ślepeca.

- Minał ją pan - mówi Catherine. - Pokażę panu. - Catherine podaje mu rękę, starzec bierze ją pod ramię i gdy przechodzą przez ulicę, przysuwa się do niej bliżej.

Portfel mam w drugiej kieszeni, myśli Catherine. Staruszek przywiera do niej jeszcze bardziej i wiesz ją na ramieniu; śnieg staje się szary.

- Źle widzę o zmroku - mówi stary drżącym głosem. Gdy przechodzą pod ustawionymi w koło lampami, podnosi twarz, ale Catherine nie widzi jego oczu za grubymi szklami. - Jesteś córką Edisona, tak? - pyta. - A twoja matka nie żyje. - Ostatnie słowa szczególnie podkreśla, tak że brzmią one prawie jak oskarżenie.

- Nie, to nie ja - mówi Catherine. - To jest ulica Mason. - Wchodzą w następny tunel, utworzony z unoszących się w powietrzu, oświetlonych lampami ulicznymi śnieżnych płatków. - Chce pan, żebym znalazła pana dom?

- Nie. Dziękuję. Skręć tutaj i zaraz będzie mój dom. Więc teraz będziesz mieszkać z ojcem - mówi stary człowiek, potrząsając głową. - Dziękuję - dodaje i odchodzi powłócząc nogami po chodniku.

Catherine patrzy za nim, jak znika w gęstej chmurze śniegu. Pomylił ją z kimś innym. Biegnie z powrotem, uwolniona od posuwającego się drobnymi krokami starego mężczyzny, który wieształ jej się na ramieniu i miał rysy, jak rzeźbione na szkle. Nie być ślepa - widzieć świat, nawet, jeśli wydaje się on bez sensu. Może o 'tym napisać. Nie zobaczy jej, jak biegnie. Catherine mija ogrodzenie z palików i ślizga się po ubitym śniegu. Od mroźnego powietrza aż boli ją w płucach, a w ustach czuje mokry smak.

Znów jest na Brattle Street obok Craigie House. W perspektywie widzi, przez spadające śnieżne płatki, dziewięć zaopatrzonych w okiennice okien. W jednym z nich pali się światło.

W pewną śnieżną noc, taką jak ta, był tam Jerzy Waszyngton. I była wojna, zupełnie jak teraz. Młodzi mężczyźni, uroczyści i dumni w swoich mundurach wiedzieli, że są na tyle ważni, żeby umrzeć za swój kraj.

W bezwietrznym powietrzu ta gwiazdna konstelacja płatków układa się w niewidzialny sznurek. Czy to śnieg się porusza, czy ziemia? Stojące wzdłuż ulicy domy wydają się unosić wśród bieli, a Catherine patrząc na to, także przez chwilę się unosi. Potem wydaje okrzyk i czuje znów przyciąganie, znów zaczyna biec.

- Hej! - Na rogu wychodzi z bocznej ulicy jakaś kobieta. - Pomyślałam sobie, że ci o tym powiem. Ten stary chodzi tutaj i jak widzi młodą dziewczynę, to prosi, żeby z nim poszła - tylko o to mu chodzi. Pomyślałam sobie, że ci o tym powiem. - Kobieta przechodzi na drugą stronę ulicy.

Catherine patrzy za odchodzącą kobietą i przez chwilę, jedynym dźwiękiem, jaki słyszy, jest jej własny oddech. Nie przejeżdża żaden samochód. Nie wieje wiatr.

Na Brattle Street otwierają się, jak błyszczące oko, drzwi jakiegoś domu. Potem oko się zamyka. Jest taka cisza, że słycać trzask zamka.

11

Catherine nie pracuje już w Smith and Rand i zaczyna książkę od początku. Od horyzontu do horyzontu niebo, trawa i piasek. Jeśli uczucia są przedmiotami, to czym jest to niebo? A przelatujące w górze samoloty?

Ale kto zechce czytać o jakimś myszkującym, pośród wysokich traw, dziecku, które rozciera Uście sumaka po to, żeby sprawdzić, czy można z nich uzyskać barwnik? Jeszcze jedna książka o radościach dzieciństwa. Tymi wszystkimi samolotami latały kobiety.

A dalej wstecz? Rob Buckingham poszedł do Harvardu. Biedactwo, same tylko sflaczałe mięśnie i skóra. Gdyby nie wyjechała do Cedar Falls, nie uwierzyłaby, że tak właśnie czują matki i ojcowie. Dopóki nie zobaczyła sztywno wyprostowanego na krześle Steviego i nie usłyszała zamykających się z trzaskiem drzwi za Dickiem.

- Przeczytaj książki Colette o Klaudynie - mówi Carole. - U niej jest to samo: Renard też jest jej ojcem i kochankiem, a ją męczy to, że jest sama i musi na sobie polegać. To jest zupełnie naturalne.

Wojna toczy się wolno, tak jakby na przeszkodzie stały te ciała, które dostały się w jej tryby. Wojska sprzymierzone marudzą na włoskiej ziemi, Rosja walczy o każde kolejne miasto. W oknach widać coraz więcej złotych gwiazd. Lista rannych i poległych wydłuża się, kartki na żywność, wiadomości z frontu. A ona próbuje pisać o tym, co się dzieje, gdy się mówi: - Chcę zacząć.

- To mogłoby być naprawdę dobre - mówi Carole. - Ona nie wie, o co chodzi, i chce, żeby... A może oni w tej stodole dotkną się przypadkiem, no wiesz...

Z biura Jacka znajdującego się na szczycie wieżowca, w Chicago, rozciąga się widok na jezioro. Za drzwiami siedzą przy biurkach maszynistki. Jack, w świetnie skrojonym garniturze i z siwiejącymi lekko włosami, opiera się o róg biurka i wpatruje ciemnymi oczami w Catherine. Jest zaledwie małym trybikiem w wojennej machinie, prawdziwe pieniądze zarabiają grube ryby.

- Zaczynałem na ulicach Chicago, bez centa przy duszy. Gdy miałem dwanaście lat, otworzyłem, na spółkę ze starym Izraelem, warsztat mechaniczny. Miałem szczęście, to wszystko. Zacząłem biznes od niczego, miałem tylko szczęście - uśmiecha się Jack.

- Wiedziałam, jak działa radio, gdy skończyłam dziesięć lat - mówi Catherine. - Mogłam je rozłożyć na części i złożyć z powrotem. Z samochodami mogłam zrobić to samo.

- Nie wątpię - Jack uśmiecha się jeszcze szerzej. - Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby jakaś dziewczyna zadawała w zakładach takie pytania, jak ty. Byłem z ciebie dumny.

Co z młodymi chłopcami, wracającymi teraz do domu bez rąk, bez nóg, bez oczu? Mogłaby chociaż pisać dla Wujka Sama na maszynie, segregować akta w biurze albo łączyć rozmowy, jeśli nie chcą, żeby umierała.

Każdego ranka idzie przez godzinę w innym kierunku - nieważne dokąd, jak powiedział kot Cheshire. Bo domy na przedmieściach ciągną się kilometrami; poznawała je już dawno temu. W centrum Bostonu jest pełno śpieszących się mężczyzn, są wszędzie: w biurach i urzędach, fabrykach, szkołach i uniwersytetach oraz w sklepach. Catherine siedzi w parku i obserwuje matki z dziećmi i niemowlęta w wózkach. Gdy wychodzi gdzieś z Jackiem, wypytuje go o matkę.

- Miała jasnoszare oczy - mówi Jack. - I tak jakoś trzymała głowę, że włosy spadały jej na policzek, i wiedziałeś, że drażni się z tobą; że nie jest szczęśliwa. Nie pasowała do bostońskiej arystokracji, ale świetnie grała, tak jak to kobiety potrafią. - Wydawało się, że wierzy w te wszystkie nieprawdopodobne rzeczy, o których mówi. - Janet mogła nadać sens mojemu życiu. Jaki sens ma życie, jeśli nikogo nie możesz uszczęśliwić?

- Masz ten swój stary dom - mówi Carole. - A może by tak twoja bohaterka lekko się wstawiła i zaczęła się z nim gonić po jego zakamarkach? To byłoby naprawdę śmieszne: - doświadczony mężczyzna i młoda dziewczyna.

Catherine rozmawia w czasie lunchu z Mabel Burns. Catherine je swój lunch, a Mabel opiera się na pudełku z ciastem, obserwuje, jak na grillu opiekają się kanapki, i mówi:

- Dziecino, ja tu pracuję, odkąd skończyłam piętnaście lat, i nigdy nie leżałam w żadnym pomieszczeniu na zapleczu, z rozłożonymi nogami, żeby zachować pracę, ani nie musiałam jej szukać w czasie wojny. Zobaczysz, jak tylko wojna się skończy, te wszystkie kobiety wylecą z pracy.

Mabel lubi Catherine. Mówi, że Catherine jest smutna i pyta, dlaczego takie śliczne stworzenie jak ona ma taką smutną minę.

- Znajdź sobie jakiegoś chłopaka z kategorią D - mówi Mabel. - Czytaj pisma dla kobiet. Zauważyłaś, jak wszystkie ekspedientki rzucają swoje zajęcia, gdy tylko w drzwiach sklepu pojawi się ktoś do wzięcia?

Catherine wciąż kupuje jakieś rośliny i wkrótce wszystkie parapety w jej mieszkaniu są zastawione doniczkami. Forel, Wheeler i „Alicja w krainie czarów” stoją na półkach i przyglądają się, jak Catherine pisze na maszynie. Tak samo przygląda jej się akwarelowy portret, który wyjęła z jednego z pudeł, wysłanych przez Tubbita do Cedar Falls. Kobieta w średnim wieku patrzy ze ściany na Catherine, na papierowe żaluzje w oknach i przez nie na Auburn Street.

Catherine może teraz chodzić wszędzie. Któregoś wieczoru udaje się do dzielnicy włoskiej: Włosi tańczą, wznoszą okrzyki, śmieją się i wyglądają z okien. Wszędzie dookoła widać śpiące dzieci. Z drugiego końca ulicy patrzą na Catherine posągi świętej Dziewicy; wyobrażające procesję ubranych na niebiesko kobiet o

beznamiętnym wyrazie twarzy, obwieszonych wiankami, bransoletami i paskami z banknotów dolarowych. Plaże w upalne, letnie dni, od stoisk z napojami aż po brzeg wody, pełne są obnażonych ciał. Nocą, z rozłożonych nad rzeką koców, dochodzi przyciszony dźwięk radioodbiorników. Wieści z frontu doprawione są lemoniadą.

Zaczyna pisać swoją powieść od początku, od tego jak wyglądał Boston wtedy, gdy po raz pierwszy przyjechał tu Thorn. Janet poznawała Boston i uczyła się; prowadziła dziennik, była ciekawa wszystkiego, inteligentna. I wiedziała dokładnie, jak chce wychować swoje dzieci.

- Ojciec Janet miał przedzalnie bawelny. To wszystko, co wiem o pochodzeniu jej pieniędzy - mówi Jack. - Nie wydaje mi się, żeby Janet widziała kiedykolwiek z bliska przedzalnnię. Rob miał dobrych doradców i był sprytny - Janet nie musiała nigdy martwić się o pieniądze. - Uśmiecha się do Catherine w przerwie między aktami nowej sztuki. - Thorn i ja byliśmy najbiedniejszymi spośród wszystkich otaczających ją mężczyzn. - Jack patrzy na nią smutno. - I wtedy pojechała z Robem tym samochodem. - Czy prowadziła? - powtarza Jack. - Nigdy nie widziałem, żeby prowadziła. Nie znała się na silnikach, ani na samochodach i nie wiedziała, jak to działa. Dlaczego miałyby prowadzić? Była prawie tak samo piękna, jak jej córka, wiesz o tym?

Jack mówi swoim przyjaciołom, że Catherine pisze książkę.

- To będzie bestseller - mówi.

Janet Buckingham jest, jak oblażona ze ściany farba. Thorn nie ma od dawna, a jej oczy i usta rozpływają się.

12

Carole powiedziała, że Catherine ma szczęście, i spytała ją, jak jej się wydaje, ile jeszcze razy Jack będzie prosić, żeby za niego wyszła? Nie śpieszy mu się, daje jej czas do zastanowienia, ale przecież taki mężczyzna jak on ma swoją dumę. Wszystko jedno, ile ma lat - i tak nie wygląda na więcej niż czterdzieści. A poza tym wie, co lubią kobiety...

Carole przestała mówić o Jacku, bo zobaczyła, że Catherine nie ma wesołej miny. Zaczęła więc mówić o jej powieści. Powiedziała, że teraz, gdy Catherine wstawiła do niej te sceny miłosne, które sugerowała, jest dużo lepsza. Czytelnicy będą umierać z ciekawości, żeby się dowiedzieć, którego z dwóch starszych mężczyzn dziewczyna wybrała; szczególnie, że obaj tak się wzajemnie nienawidzili.

- Zupełnie jak... - śmieje się Carole. - w Pigmalionie? Jak z Bogami i ich dziewiczymi córkami?

Catherine nie odzywała się i była taka smutna. Jack próbuje nowej strategii, wie o tym. Zaczyna z lekka zwiększać na nią presję, jakby była niedoświadczona w tych sprawach, jakby Thorn nigdy do niej nie należał, jakby była miastem, które należy odkryć. Catherine ogląda balet i czuje jego rękę na swojej. Tancerz unosi nad głową, w piruecie, swoją partnerkę; oboje są zdyszani i otwierają usta w uśmiechu.

- Muszę zobaczyć Detroit - mówi w czasie przerwy do Jacka Catherine. - Nie mogę już dłużej wytrzymać. Już raz tak było. Trzymałam się jakoś, dopóki nie obcięli mi włosów i ten mężczyzna na koparce mi nie wyjaśnił... - Widząc wyraz jego twarzy zakłada włosy za uszy i próbuje się uśmiechnąć. - To wszystko jest takie głupie. Te wszystkie sznurki, które jedne po drugim się zrywają i nie wiesz czego się trzymać. - Catherine myśli o pierwszej tancerce baletu, która śliska od potu i z napiętymi mięśniami spada - cała w bieli - z umieszczonej na szklanej górze wieży, otoczonej ciernistym żywopłotem i lasami nie do przebycia, prosto w ramiona księcia. Wszystko z taką miną, jakby to było możliwe. - Konduktorzy w metrze noszą teraz kokardki i różne ozdoby, które błyszczą tak, jak te przedmioty, które „Alicja” widziała na półce w sklepie - mówi. - Nawet jeśli masz pieniądze, żeby za nie zapłacić, i wiesz, czego chcesz, odsuwają się, gdy po nie sięgasz. Twarz Jacka nie ma wyrazu.

- Oczywiście! Możemy jechać do Detroit, ale jeśli myślisz, że to spowoduje, iż będziesz się czuła...

- Mogłabym uczyć angielskiego w Oak Park - mówi Catherine, a spojrzenie ma tak jasne i twarde jak błękitne lustro na ścianach ich łóży. Gdyby tak Thorn mógł żyć i żeby mogła go dotykać, robiłaby to wtedy tylko, gdyby musiała. Coraz rzadziej i rzadziej, aż stałaby się wolna... - Jak tylko wojna się skończy, pojedę do Francji - mówi Catherine. - Odnajdę go, jeśli nie zginął. - Jaką ona ma smutną twarz. - To takie

głupie - mówi znów Catherine. - Mogę być sekretarką albo nauczycielką - wszystkiego można się nauczyć - ale Carole uważa, że jestem za stara.

Światła w teatrze przygasają i Jack nie musi jej odpowiadać.

Jack załatwia kartki na benzynę i w któryś weekend, po wyzwoleniu Paryża przez aliantów, jadą do Detroit. Catherine ma wrażenie, że wojna nigdy się nie skończy - nie pamięta już, jak to było, zanim wojenne hasła, pieśni, plakaty, zawiadomienia o kolejnych ograniczeniach, przepisy na ciasta bez cukru oraz przydziały stały się normalną codziennością. Czerwony, biały i niebieski przemieszały się razem i wszystko zrobiło się bezbarwne, jak zestarzały śnieg. Jak jeżdżące po Mount Auburn trolejbusy. Jak powieść, którą przerabiasz wciąż od nowa, starając się opisać uczucia, których nie jesteś już pewna.

Przekazują cię z samochodu do hotelu Statler jak paczkę, z którą należy się delikatnie obchodzić. Nie była tu, odkąd w wieku jedenastu lat wybrała się sama na obiad. Na ulicach Detroit fruwały papiery, ale w hotelu Statler ręczniki są puszyste, a chromowane baterie w łazienkach wyglądają, jakby nigdy wcześniej nie były używane.

Catherine odsuwa zasłony i wychyla się przez okno. Zgiełk uliczny trwa bez niej, niezależnie od niej i nie potrzebuje, żeby go rozumiano. Jej powieść ma już rok i nie ma dla nikogo żadnego znaczenia, chyba że napisze ją tak, jak chce Carol. Kobiety prowadzące ciężarówki na Seven Mile!

W tym warsztacie, na rogu ulicy, dowiedziała się od pewnego mężczyzny o istnieniu przekładni i zobaczyła, jak to działa. Była burza i na podłodze stała kałuża wody pomieszanej z olejem, a Thorn stał w bramie po drugiej stronie ulicy i widziała go przez drzwi.

W czasie kolacji stoliki w hotelu Statler błyszczą tak samo dyskretnie jak krany. Jack tańczy z promienną miną z Catherine, kłapy jego smokingu błyszczą - musiał zarabiać na życie, odkąd skończył dwanaście lat, a teraz mieszkają w hotelu Statler.

Musiała przyjechać do Detroit, mówi do Jacka w czasie kolacji. Kiedyś miała plan miasta i znała na pamięć wszystkie linie tramwajowe. Jack obserwuje ją.

- Kierowca zawsze wrzeszczał: „Plany miasta po dziesięć centów!” - mówi Catherine i Jack uśmiecha się. - W ten sposób można poznać każde miasto: Boston,

Nowy Jork. Chociaż ludzie potrącają cię na ulicy i podszczypują - mówi Catherine. - I gwizdzą na ciebie, zupełnie jakby cię nie było we własnym ciele.

Skończyli jeść i wstają, żeby znów zatańczyć, a Catherine mówi:

- Mogłabym ci opowiedzieć o Billu Donnellu, który znalazł sobie takie miejsce w czytelnicy, w którym mógł siedzieć długo w nocy, żeby przemyśleć sprawę, żeby zyskać odrobinę czasu... - odrzuca do tyłu włosy. - Ale jakie to ma znaczenie, poza tym że uzalę się nad sobą? Mogłam nie wracać na noc do akademika i zostać wyrzucona z uczelni. Nie musiałam prasować ubrań, kręcić włosów, uśmiechać się ani patrzeć, jak studenci z pierwszego roku udają się wieczorem do miasta. Nie musiałam siedzieć w domu z Margie.

Jack ściska ją w tańcu i mówi jej we włosy:

- Lepiej wróćmy do pokoju i wyśpijmy się.

Ranek w Detroit jest chłodny, taki jak Catherine pamięta. Kobieta w mundurze piechoty morskiej uśmiecha się na plakacie i mówi: „Ja wysłałam swojego marynarza na wojnę. Ty też możesz to zrobić!”

Gdy ukończyła college w czerwcu 1943 roku, tysiące białych Amerykanów maszerowało Woodward Avenue i szukało czarnych, żeby ich zabić, aż musiał interweniować 701-szy batalion policji wojskowej. Jack lawiruje swoim cadillakiem pomiędzy innymi samochodami, w kierunku wyjazdu z miasta.

A oto stary teatr Roxy. Na markizie rozpiętej nad jego wejściem jest napis: „W tym teatrze Spencer Tracy kupuje obligacje i znaczki wojenne”. Catherine próbuje sobie przypomnieć, co powiedział Thorn. Tubbit prowadził starego forda, a ona spała w dziecinny wózek, umieszczonym pomiędzy przednim a tylnym siedzeniem. Potem długo jechali zwirowaną drogą przez piasek i trawę, aż zobaczyli gąszcz sumaków, topole, dwa stare domy i stodołę.

Cadillac jedzie wzdłuż ciągnących się kilometrami bungalowów. Jack nie patrzy na Catherine, lecz na jadący przed nimi samochód i uśmiecha się.

- Pamiętasz, jak przyjechałem tu po raz pierwszy, żeby cię zobaczyć? Gdy zadzwoniłem, Thorn odebrał telefon i miał taki głos, jakby rozmawiał z duchem - nie przypuszczał nigdy, że się odezwę.

Catherine obserwuje profil Jacka na tle znajomych teraz ulic. Five Mile Road. Drzwi sklepu mięsnego Joego zamykają się z trzaskiem, gdy światła cadillaca prześlizgują się po jego wystawie.

- Pamiętasz, jak w czasie Kryzysu nic tu nie było? - pyta Jack. - Wszystkie domy stały opuszczone. - Catherine ogląda się za siebie i widzi podwójny ślad opon samochodu Thorny. Ciągące się kilometrami dwie samotne linie pomiędzy zasypanymi śniegiem podwórkami domów, kiedy nie było tu nic, oprócz kilku wyrwanych z ziemi wyschniętych krzewów, które wiatr gonił po bezdrożach.

Six Mile Road. Tu, dawno temu, pracowały pod błękitnym niebem koparki i leżały sterty czerwonożółtego piasku, a teraz kilometrami ciągną się wzdłuż ulic domy z cegły, a na parkingach rosną młode drzewka.

- Seven Mile - mówi Jack.

- Seven Mile! - krzyczy Catherine. Domy zasłoniły jej widok - nie widziała ostatniego ich rzędu i początku zwirowanej drogi. - Zawróć! - mówi.

- Co? - Jack patrzy na nią i skręca, a potem skręca jeszcze raz. Wzdłuż ulic rosną nowe drzewa. Na chodnikach bawią się dzieci. Drogę przebiega pies. - Wiesz... - zaczyna Jack.

- Zawróć jeszcze raz! - woła Catherine. Jack zawraca na Northlawn.

- Wiesz, oczywiście, że nie ma już waszego starego domu - mówi. Robi mu się niedobrze, gdy myśli, po co to zrobił. Czy po to, żeby uświadomiła sobie, że Thorny nie ma? Żeby porzuciła nadzieję, że żyje?

Wszystkie ulice są takie same, tak samo przecinają się pod kątem prostym. Catherine pojmuje to w końcu. Jeśli będą jeździć całymi godzinami, wciąż zawracając, nigdy nie dotrą do zwirowanej drogi. Rząd domów rzuca na trawniki chłodny, niebieski cień.

- Zatrzymaj się! - mówi w końcu Catherine. Płacze. Jack chciałby móc ją objąć, pocałować, powiedzieć, że mu przykro. Chciałby jej to wszystko wynagrodzić, a jedyne, czego zawsze pragnął, to żeby była szczęśliwa. Ale ona nie chce, żeby jej dotykano ani ją pocieszano - chce tylko znaleźć jedną tabliczkę z nazwą ulicy.

Znajdują ją w końcu. Na tabliczce jest napis „Northlawn”. Catherine mruga powiekami, wyciera oczy i patrzy na napis. Najbliższy ze wszystkich znaków

ulicznych, jakie znajdowały się pomiędzy pustymi, jak okiem sięgnąć, domami. Mijali go przez tyle lat, przechodząc albo przejeżdżając obok niego zwirowaną drogą. Czy któreś z nich pomyślało wtedy, że ten znak będzie jedyną rzeczą, jaka pozostanie?

- Tyle lat - mówi Catherine do siebie, jakby Jacka tam nie było. - I zawsze tylko ten napis: „Northlawn”. Nic więcej.

13

Na jesieni 1944 roku wydawnictwo Smith and Rand miało ogromne zyski i po tym, jak Carole spędziła razem z Jackiem i Catherine Święto Dziękczynienia, aż do Bożego Narodzenia, prawie się nie widywali. Carole pomyślała wtedy, że Catherine jest bardzo cicha i mizerna i że wygląda na zmęczoną; powiedziała, że większość czasu spędza nad swoją powieścią.

Braki papieru i podatki nie zahamowały po Nowym Roku wydawniczego boomu. Książki sprzedawały się dobrze, a nawet bardzo dobrze; ludzie kupowali nie tylko nowe książki, ale także stare, dobrze znane tytuły. Wydawnictwa wydawały o połowę więcej tytułów niż zwykle, a ich zyski zwiększały dodatkowo kieszonkowe wydawnictwa dla wojska. Wielu pracowników Smith and Rand wyjechało na wojnę, więc Carole musiała pracować dłużej i nie miała czasu myśleć o Catherine i jej książce.

W styczniu Carole wyjechała, a gdy wróciła, czekała na nią wiadomość od Jacka: Catherine jest chora i zabrano ją karetką do szpitala. Szybko wydała polecenia sekretarkom i złapała taksówkę.

W Bostonie pada w styczniu deszcz i na ulicach jest breja.

- O mały włos nie umarła. - Jack jest taki zły, że gdy widzi Carole w szpitalnym korytarzu, jest prawie nieuprzejmy. - Tak mówią lekarze. Nic nie zauważyłaś? Wiedziałaś, że przez cały czas siedziała w tej norze na Auburn Street? Szczególnie po powrocie z Detroit. Przez całą zimę w tej norze, za wyjątkiem tego czasu, gdy ja tu byłem. A ja prawie cały czas wyjeżdżałem...

- Nie przychodziła do biura - mówi Carole.

- Dlaczego do niej nie zajrzałaś?

- Myślałam, że zajęta jest pisaniem. I Bóg jeden wie...

- Pozbawiłaś ją tej pracy - zostawiłaś ją na pastwę losu i zostało jej tylko siedzenie tam i pisanie - przez cały rok.

- Jej dozorczynie powiedziała mi, że ma grypę - mówi Carole. Ich rozmowie zaczynają przysłuchiwać się inni, więc Jack bierze

Carole pod ramię i idą oboje w kierunku pokoju Catherine.

- Leży tylko - mówi Jack drżącym głosem. - Mówiłem ci, jak ta wizyta w Detroit ją przygnębiła. A ja nie mogłem przyjeżdżać tu tej zimy tak często, jak bym chciał. Potem musiałem pojechać na Zachodnie Wybrzeże. Nie powinienem był tego zrobić. A gdy przyjechałem, ona leżała w łóżku i nie poznawała mnie. Mówiła, że żadna ze studentek nie robi magisterium ani doktoratu - takie tam rzeczy. I że ktoś o nazwisku Walter Field nie był tak zdolny jak ona, ale ona nie mogła wyjeżdżać w teren.

Carole i Jack, elegancko ubrani, mijają, podążając szpitalnym korytarzem do pokoju Catherine, wózki, pielęgniarki i sanitariuszy.

- A swoją drogą, kim jest ten Walter Field? - pyta Jack. - Ona wciąż powtarza, że on robi doktorat i będzie wykładać na uniwersytecie w Chicago.

- Nigdy ze mną o nim nie rozmawiała - mówi Carole. Jedna z pielęgniarek przypatruje się Jackowi, gdy ją mijają.

- Catherine nie miała szansy - to wszystko. - Jack patrzy ponuro na długi korytarz. - Wiesz, że mnie zależy tylko na tym, żeby była szczęśliwa. Nie musi pracować! Jeśli będzie chciała, może przez cały dzień pisać. A ona leży tam i martwi się, że musi ładnie wyglądać i że nigdy do niczego w biznesie nie dojdzie. I ciągle opowiada o tym Walterze Fieldzie.

To jakiś jej kolega z college'u. - Jack przystaje przed drzwiami jednego z pokoi i puszcza przed sobą Carole.

Zawsze dziwnie jest zobaczyć znajomą twarz na łóżku szpitalnym, ale tę Carole ledwie rozpoznaje. Catherine ma oczy szeroko otwarte, ale nie wie, gdzie jest, ani kim oni są - Carole jest tego pewna. Patrzy na nich smutno i mówi, że to nie wystarczy.

- Co nie wystarczy? - pyta Jack pochylając się nad nią, ale ona nie odpowiada. - Jest taka rozpalona! - mówi do Carole. - Starają się jak najszybciej obniżyć jej temperaturę.

- To krygowanie się... uśmiechanie... ocieranie o przedmioty! - Głos Catherine jest tak samo słaby jak ona. - Straszne - szepcze. - Owijać się materiałem i ciągnąć go za sobą po korytarzu.

Wchodzi pielęgniarka zmierzyć jej temperaturę; Catherine leży cicho z termometrem w ustach. Jack z Carole idą w kierunku drzwi.

- Rozumiesz, o czym ona mówi? - pyta Jack szeptem.

- Muszę znowu ją umyć - mówi pielęgniarka, strząsając termometr. - Proszę poczekać na zewnątrz.

- Najwyraźniej na śmierć się zamartwia z jakiegoś powodu - mówi Jack oddalając się wraz z Carol korytarzem. - Powiedziała mi dziś rano, że „chce zacząć”. Odpowiedziałem, że jeśli o mnie chodzi, to może zaczynać wszystko co chce, niech mi tylko powie, o co jej chodzi. Ale powiedziała tylko, że nie ma dokąd iść. Gdzie ona chce iść? Zabiorę ją, gdzie zechce!

- Przepraszam - zaczepia Jacka lekarz. - Czy pan jest ojcem dziewczyny o nazwisku Buckingham?

- Nie, ale jestem za nią odpowiedzialny - mówi Jack. - Jeśli coś jej potrzeba...

- Chyba wyjdzie z tego. To grypa. Spada jej temperatura. - Doktor ma zabójcze wąsiki i czarne oczy. - Głodzą się, żeby wyglądać jak gwiazdy filmowe - mówi oburzony. - Tym dziewczynom należy się czasem klaps. Ma szczęście, że się tu znalazła. Niech pan spróbuje przemówić jej do rozumu. - Gdy odchodzi, jego biały wykrochmalony fartuch szeleści z poirytowania.

Jack patrzy za doktorem i zastanawia się.

- Może tak się zapamiętała w tym pisaniu, że zapomniała o jedzeniu - mówi Carole, idąc wraz z Jackiem do poczekalni. - Znałam pewnego pisarza...

- Na biurku w jej mieszkaniu nie było nawet jednej kartki - mówi Jack. On i Carole zajmują dwa krzesła obok okna. - Poszedłem tam, żeby zobaczyć, ponieważ mówiła o pisaniu i pytała, czy może pisać powieść, jeśli nie jest uczesana. - Częstuje Carole papierosem, sam też bierze. - Mówi o swoim wujku we Francji, o jakimś

niewidzialnym murze i o tym Walterze Fieldzie. - Jack patrzy na Carole. - Może weszłabyś do niej, jak już pozwolą, i spróbowała się dowiedzieć, co ją gnębi. Ona cię bardzo lubi.

W pokoju Catherine jest ciemno i Catherine wygląda, jakby spała. Dokoła wąskiego łóżka stoją kwiaty od Jacka, a obok nich kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Carole patrzy na szczupłą, młodą twarz i wdycha zapach lekarstw.

Jest zaskoczona słysząc łamiący się głos Catherine.

- Nie możesz wyjeżdżać w teren ani robić innych rzeczy i dziwaczniejsz dlatego, że cię nie chcą. Musisz starać się podobać. - Głos Catherine jest monotony. - Cały czas. - Teraz jej głos się zmienia i zaczyna krzyczeć: - Jakbyś była kaleką! Albo stara!
- W przyćmionym świetle widać cieknące jej po policzkach łzy. - Chcę jechać do Francji!

- Już dobrze - uspokaja Catherine Carole i nachyla się, żeby ją pocałować i odgarnąć z twarzy mokre włosy.

Po twarzy Catherine w dalszym ciągu płyną łzy. Mamrocze coś niewyraźnie o trwaniu, chmurach i ciemnym lesie. Następnie w pokoju zapada długa cisza.

Jack delikatnie uchyla drzwi.

- Jak ona się czuje? - pyta szeptem.

- Wydaje się, że usnęła - odpowiada szeptem Carole i wychodzi do niego na korytarz.

- Czy powiedziała ci coś o tym Walterze Fieldzie?

- Ani słowa - mówi Carole. - Chce jechać do Francji.

- Zabiorę ją tam! - woła Jack. - Jak tylko wyzdrowieje. Mam mieszkanie w Paryżu i wielu przyjaciół - mieszkałem tam długi czas. Pojedziemy i poszukamy jej wujka, chociaż Bóg jeden wie, czy on żyje. Mam tam wielu znajomych. To jej dobrze zrobi, jak myślisz?

- Chce jechać do Francji, co do tego nie ma wątpliwości - mówi Carole do Jacka, gdy ten otwiera drzwi szpitala i puszcza ją przed sobą przodem.

Jest chłodno jak na styczeń. Przez cały tydzień, kiedy Catherine dochodzi do siebie w szpitalu, jest chłodno. W jej pokoju jest pełno róż, które Jack przysyła jej codziennie. Jest taka chuda. Carole zastanawia się, czy dlatego tak się zmieniła, ale po

chwili decyduje, że to zmienił ją wyraz oczu. Catherine próbuje sama jeść i trzęsą jej się przy tym ręce. Chodzi, wspierając się na ramieniu pielęgniarki.

Jack przysyła jej ogromne radio, a także bieliznę i perfumy. Skąd on bierze takie rzeczy w czasie wojny? Pielęgniarki wchodzą po kolei do pokoju, żeby to wszystko zobaczyć.

Catherine siedzi przy oknie i patrzy na Jacka i Carole. Jack ma pomarszczone czoło, bruzdy wokół ust i posiwiałe skronie. Catherine nigdy nie pokazuje po sobie, że zauważa, jak inne kobiety się za nim oglądają. Jack nazywa Catherine swoją kochaną, małą dziewczynką i mówi, że nie pozwoli jej dłużej mieszkać w tej norze na Auburn Street.

- Co byś powiedziała na zamieszkanie w jednym z tych nowych domów na Memorial Drive? W tych, które zbudowano zaraz, jak zaczęła się wojna? - Jack podsuwa Carole pudełko czekoladek. I mówi do

Catherine: - Może zamówię meble, żebyś mogła, jak tylko cię stąd wypuszczą, tam zamieszkać?

Oczy Catherine mają taki sam kolor, jak jej niebieska koszula. Catherine patrzy przez moment na Jacka, a potem opuszcza wzrok i wpatruje się w swoje dłonie na prześcieradle.

- Dobrze - mówi.

Jack jest taki szczęśliwy, że sam niesie wszystkie zakupy. Carole zabrała go ze sobą, bo widziała, jaką mu to daje radość. Jack nie żałuje pieniędzy, cieszy się, że Catherine pozwoliła mu opiekować się sobą.

- Niczego więcej nie pragnę - powtarza Carole w salonach, hurtowniach oraz na zapleczach sklepów, gdzie kupują wszystko, czego trzeba do nowego gniazdka Catherine. - Niczego. - Ale wiadomo, że to nieprawda. Carole to wie.

Wie i jest zła. Ten gniew prześladowuje Carole całymi dniami. I nic nie pomaga, że pyta siebie, dlaczego właściwie jest zła teraz, gdy wszystko dobrze się ułożyło. Catherine czuje się lepiej (jest tylko trochę jeszcze słaba) i na pewno nie będzie już sama w tym okropnym miejscu. Jack traktuje ją jak księżniczkę, jest przystojniejszy niż kiedykolwiek; czyż można mieć większe szczęście niż Catherine?

A jakie ten Jack ma możliwości! Chociaż nigdy nie mieszkał w Bostonie, Catherine ma wszystko co najlepsze, bo Jack wie, jak różne rzeczy załatwić w czasie wojny, kiedy wszystkiego brakuje. A najlepiej jest wymieniać jedne dobra na inne.

Gdy Catherine wypuszczają ze szpitala, Jack nalega, żeby do samochodu podwieziono ją na wózku. Ponieważ pada deszcz, gdy podjeżdżają pod dom, przynosi dla Carole i Catherine parasole i z szerokim uśmiechem wprowadza je do mieszkania Catherine.

- Nie ma jak w domu! - mówi.

Mieszkanie jest imponujące. W błyszczących podłogach odbijają się jak w lustrze nowe meble, a za oknami widać, unoszącą ze sobą w deszczu mosty i światła, rzekę.

Jack usadawia Catherine i Carole na ogromnej kanapie, wyjmując z bufetu kieliszki i porcelanowe naczynia.

- Mamy szampana! - mówi, machając butelką. Gdzież on dostał szampana?

Carole patrzy, jak Catherine bierze od Jacka kieliszek.

- Ona jest taka szczupła - mówi Jack do Carole. - Czy nie powinna mieć nowych ubrań?

Carole nic nie mówi; gniew kładzie się smugą na tym, co powinna teraz czuć. Catherine uśmiecha się do Carole, i Carole patrzy na nich oboje.

- Chyba tak - mówi z ociąganiem, ale słyszy w swoim głosie pewien szczególnie ton i usilnie się stara, żeby to, co mówi, zabrzmiało serdecznie. Tak jak nakazuje sytuacja. - Można to bez trudu załatwić!

Głos Jacka jest także serdeczny.

- Pojedziemy do Francji. Kup jej parę rzeczy na drogę.

Carole kiwa głową, po czym przysłuchuje się jeszcze przez jakiś czas, z pobłażliwym uśmiechem, ich rozmowie, potem mówi, że musi wracać do wydawnictwa. Gdy Jack wychodzi odprowadzić ją do taksówki, Carole zauważa, że choć w pokoju błyszczą podłogi i stoją piękne meble, czegoś jednak brakuje. I nie pomaga ani piękny widok z okna, ani to, że wszyscy są tacy radośni.

- Może, jak objedziemy Francję w poszukiwaniu jej wujka, Catherine się uspokoi - mówi Jack do Carole, pomagając jej wsiąść do taksówki. - Jeśli tylko

Catherine się zgodzi, weźmiemy w Paryżu ślub. Ale jak my sobie tam bez ciebie poradzimy? - Uśmiecha się do niej. - Po powrocie urządzimy powitalne przyjęcie! Jeśli wszystko się uda. Największe w Nowym Jorku, specjalnie dla ciebie.

Gdy taksówka rusza, Jack wciąż się uśmiecha. Jest ciepły dzień, jak na styczeń. Chłopiec sprzedający na Boylston Street gazety krzyczy, że Rosjanie zajęli Warszawę.

14

Gdy zmarł Roosevelt, Catherine i Jack byli w Paryżu. Carole dostała od Catherine list, w którym ta donosiła jej, że podróżują po Francji i wciąż szukają jej wujka. Potem Jack napisał, że jakiś krewny widział, jak wujek Catherine został zabity, gdy upadł Paryż. Catherine ciężko to przeżyła, napisał. Zabiera ją z powrotem do Paryża.

Potem upadł Berlin i Niemcy w końcu się poddali. Catherine napisała, że ona i Jack pobrali się w Paryżu. Wkrótce wracają do Nowego Jorku, bo chce przed przyjęciem powitalnym, które odbędzie się w sierpniu, kupić sobie trochę nowych strojów i urządzić mieszkanie koło Central Parku. Carole musi przyjść na przyjęcie, będzie na nim honorowym gościem.

Smith and Rand rozwijało się i Carole udało się pojechać do Nowego Jorku dopiero w ostatniej chwili. Na Hiroszimę spadła nowego rodzaju bomba. Rosja zaatakowała Japonię. Nie rozmawiano już o tym, ilu amerykańskich chłopców zginie podczas inwazji na Japonię; zrzucono następną bombę, tym razem na Nagasaki.

Tego dnia, gdy jechała w końcu do Nowego Jorku, wojna się skończyła. W pociągu było pełno ludzi i wszyscy byli podnieceni. Carole patrzyła, jak grupa studentów wymachuje gazetami i podskakuje na siedzeniach. Uśmiechano się i cieszący, że nareszcie był koniec wojny.

Na ulicach Nowego Jorku pełno było teraz młodych mężczyzn. Niektórzy byli kalekami, a wszyscy mieli bardzo krótko obcięte włosy. Carole uważała, że wyglądają w nich okropnie. Dookoła panował zgiełk; chłopcy obejmowali dziewczęta, całowali je i krzyczeli, że wojna się skończyła. Carole dotarła w końcu do hotelu i przebrała się

na przyjęcie. Jack zadzwonił i powiedział, że po nią przyjedzie, bo inaczej nigdy by do nich nie dotarła.

Na Times Square dzieją się niestworzone rzeczy; jest tam chyba ponad milion ludzi. Wpatrują się w tablicę Timesa, cieszą się i tańczą, deptając po walających się po ziemi gazetach. - Jack trzyma otwarte drzwiczki taksówki, czekając aż Carole pozbiera fałdy długiej sukni.

- Wyglądasz wspaniale!

- Długo się nie widzieliśmy - mówi Carole uśmiechając się. - Jak się czuje młoda małżonka?

- Jest piękna! - Jackowi błyszczą oczy. - Wydaje mi się, że jest naprawdę szczęśliwa. Miała dużo pracy przy mieszkaniu i bardzo zeszczupiała. Musiała kupić sobie wszystkie nowe stroje, zmieniła fryzurę; zajęło jej to mnóstwo czasu. Pokazałem Catherine nowe sklepy i salony piękności i musiałem wyjechać do Chicago. Pokój zmienił wiele spraw.

Na taksówkę spada deszcz porwanych gazet, a na każdym skrzyżowaniu tłum ludzi blokuje przejazd.

- Niech pan się zatrzyma na następnym rogu - mówi Jack do kierowcy.

Dom przy Central Parku jest tak wytworny, jak Carole sobie wyobrażała. W hallu na dole, oraz w windzie pełno jest elegancko ubranych ludzi; Jack klepie ich kolejno po ramieniu i przedstawia wszystkim Carole. Wygląda na to, że pierwsze przyjęcie Catherine w Nowym Jorku będzie na dużą skalę. I tak faktycznie jest. W olbrzymim mieszkaniu jest równie tłoczno i jest ono oświetlone tak samo jasno jak Times Square.

- Wchodź - mówi Jack, podając okrycie Carole pokojówce, podczas gdy służący otwiera drzwi nowym gościom. Jack nosi smoking z taką samą swobodą, jak zegarek albo okulary. - Zaprosiłem tu dzisiaj paru przyjaciół, którzy mogliby zainwestować w Smith and Rand - przedstawię cię - mówi do Carole.

Carole patrzy, jak kobiety obracają w kierunku Jacka twarze, zupełnie tak, jak słoneczniki obracają się do słońca. Jack zaprasza je do salonów, w których stoją zastawione stoły i tańczy mnóstwo gości. Przez cały dzień myślała o tym, co Catherine mówiła w szpitalu... że to nie wystarczy. Krygowanie się... uśmiechanie... ocieranie o

przedmioty! Jack jest przyjacielem Carole, i to nie takim sobie zwykłym przyjacielem. A jednak on sam, jego mieszkanie, ten tłum eleganckich gości denerwują ją dzisiaj. To prawda: skończyła się wojna, trwała ona długo i ludzie spragnieni są luksusu - widać to po ich oczach, po jej zresztą też. Musisz starać się im podobać. Cały czas.

Carole zgrzyta ze złości zębami, ale opanowuje się i wchodzi do jasno oświetlonego salonu uśmiechnięta.

Kobiety ciągną tu dzisiaj za sobą mnóstwo materiału. Przesuwają wzrokiem po sukni Carole. Proszę bardzo, niech sobie patrzą, jest tak samo wytworna, jak każda z nich - przy jej pracy jest to konieczne.

Przepycha się przez tłum za Jackiem i bierze kieliszek, który on jej wręcza. Zatrzymują się obok stojącej kołem i odwróconej do nich plecami grupy mężczyzn w smokingach.

Widząc Jacka mężczyźni odwracają się i ich oczom ukazuje się Catherine.

- Carole! - woła.

Carole całuje powietrze obok gładkiego policzka i połyskującej kaskady włosów, robi krok do tyłu. Poznaje tę twarz. Oczy są inne, ale owal twarzy i kształt policzków pozostały niezmienione. Każda kobieta w tej sali mogłaby pozazdrościć jej figury, której kształty podkreśla jeszcze materiał prostej, białej sukni.

- Musimy porozmawiać w wolnej chwili! - mówi Catherine z uśmiechem, po czym bierze Jacka pod ramię i obydwójce znikają w tłumie.

Carole staje z kieliszkiem w ręce pod ścianą i obserwuje tłoczących się wokół Jacka i Catherine ludzi. Kobiety, którym Jack ją przedstawia, cofają się o krok, żeby lepiej jej się przyjrzeć, mężczyźni natomiast przysuwają się bliżej i oczekują na moment, kiedy mogliby z nią porozmawiać. Catherine się śmieje. Gdy przechyliła głowę na bok, jej włosy zataczają w powietrzu szeroki łuk. Często spuszcza wzrok i patrzy na kieliszek, robiąc wrażenie, jakby była nieśmiała.

Carole stawia kieliszek i odchodzi. Tyle godzin spędzonych na przymiarkach, tyle wizyt w salonie piękności. Po co. I...

- Niezły ubaw! - Carole słyszy obok siebie jakiś nieprzyjemny głos. - Skąd Laird wytrzasnął tyle alkoholu? Musiał chyba ogołocić cały Paryż!

Moe Moeller. A więc to on jest jednym z tych finansistów, których Jack ma jej dzisiaj przedstawić? Carole zna Moe i wie, że on niewątpliwie ma pieniądze, tyle że nie dla Smith and Rand. Absolutnie nie dla Smith and Rand. Według niego, oni wydają szkolne podręczniki.

- Chyba tak - przytakuje Carole z uśmiechem i pyta sama siebie, co, u licha, tu się dzieje? Podczas gdy Moe mówi o tym, że skończyła się wojna, Carole przygląda się sobie w otoczonym z obu stron palmami lustrze. Gdyby mógł ją teraz zobaczyć jej ojciec... On, który jeździł po kraju sprzedając różne towary i od noszenia walizek miał pochylone plecy i długie, jak u goryla ręce. Jak sobie radzę? Carole lubi pytać ojca, wyobrażając sobie, jak stoi i patrzy na nią, z wąsami i ze złotym zegarkiem z dewizką.

Catherine tańczy teraz z jakimś ubranym w smoking osiłkiem. Potężny mężczyzna obejmuje owłosioną ręką jej nagie plecy, a ona patrzy na niego z uśmiechem.

Jack stoi w otoczeniu grupy mężczyzn, z których żaden się nie uśmiecha.

Carole tańczy z Moe. Moe także się nie uśmiecha, ale Carole tak. Jakie to ma, do diabła, znaczenie, myśli robiąc krok do przodu, a potem do tyłu. Starzejesz się, dają ci złoty zegarek, ale masz także akcje i obligacje, no i kamienicę w Omaha. Właśnie tak.

Carole bierze ze srebrnej tacy, którą podsuwa jej kamerdyner, kieliszek wina. Goście zaczynają się czuć coraz swobodniej, widać, że dobrze bawią. Przyjęcie z pewnością okaże się udane.

- Cześć - mówi Catherine. Jack powiedział jej, że jest tu Moe, i Catherine przypomina sobie, co on mówił o Smith and Rand - widać to w jej oczach, gdy się do nich uśmiecha. Moe nie pamięta jednak, gdzie widział wcześniej Catherine. - Panie Moeller? - mówi Catherine. Moe trzyma rękę Catherine o wiele dłużej niż potrzeba, żeby się przywitać. - Carole, chodźmy zjeść coś w bufecie.

Carole idzie za nimi.

- Raczej nie - mówi Catherine do Moellera w czasie, gdy Carole nakłada sobie na talerzyk kawior. (Kawior! Skąd Jack bierze kawior?!) Catherine mówi: „Raczej nie” i uśmiecha się przy tym tak łagodnie, że Moeller, który bynajmniej nie przepada za tym, żeby ktoś miał inne od niego zdanie, a jeśli jest pijany (a jest już), wali w

takim wypadku na oślep pięściami, wkłada po prostu spokojnie do ust oliwki i kawior. Słucha przy tym Catherine, która opowiada, że to niedorzeczne twierdzić, że Smith and Rand wydaje podręczniki. Catherine śmieje się i sięga mu wdzięcznie przed nosem swoim szczupłym, nagim ramieniem, żeby wziąć z półmiska plasterki szynki. Moeller mruga powiekami i patrzy za nią, jak zgrabnie przeciska się pomiędzy krzesłami, kołysząc biodrami.

- Carole, chciałbym, żebyś poznała mojego starego przyjaciela - odzywa się za plecami Carole Jack. - Carole Emery - George Armour. George jest zainteresowany Smith and Rand. Opowiedziałem mu, co wyprawiałaś z książkami w miękkich okładkach... - Jack kładzie rękę na ramieniu George'a, uśmiecha się do Carole i odchodzi.

Zapytać go, co robi. Pozwolić mu mówić o sobie. Carole zaczyna robić to, co zwykle, to jej druga natura. Armour bierze ją jednak za rękę i przysuwa się do niej bliżej.

- Powiedz mi, kto to jest ta nowa żona Jacka - pyta ją, dmuchając w ucho dzinem. - Swoją drogą on potrafi wybierać! To prawda, że nie trzeba specjalnie się starać, żeby mieć ich na pęczki, ale trzeba przyznać, że te, z którymi on się ożeni, są nie najgorsze. - Mruga oczami. - Jack mówi, że ją znasz.

- Tak - mówi Carole. - Znałam ją. Jest pisarką... z Bostonu. Pracowała w pewnym wydawnictwie.

- Pisarką? - Armour unosi ze zdziwieniem brwi. - No, no - mówi i trąca Carole łokciem. - Założę się, że jest dobra w łóżku. Nie ma to, jak doświadczenie! „Pisz o tym, na czym się znasz” - mawiał zawsze mój nauczyciel i do czego ja zawsze się stosuję - to pomaga natchnieniu.

Tymczasem podchodzi do nich Moe Moeller, obejmuje ramieniem George'a mruczając coś niewyraźnie, że George to jego stary kumpel.

Zauważa, że Carole świetnie się trzyma. Obydwaj obdarzają ją tym samym uśmiechem, specjalnie zarezerwowanym dla kobiet, które świetnie się trzymają. Carole też się uśmiecha, dziękuje mu za komplement i odwraca się. Jakie to ma znaczenie? Znajdą sobie zaraz jakieś młode stworzenia i będą na nie patrzeć całkiem inaczej; zawsze jakieś takie znajdą się na przyjęciu.

- Brakowało nam ciebie, Carole! - woła Catherine i wyciąga do niej ramiona. Na jej palcach połyskują pierścionki.

- Jak było na weselu? - pyta ją Carole. Catherine opowiada jej w szczegółach; jak była ubrana i o samej ceremonii. Wyrzuca z siebie potok słów z taką łatwością, jak składający raport oficer, zatrzymując jednocześnie kamerdynera, żeby wydać mu jakieś polecenia. Potem wraca do tematu i dodaje, że uroczystość była skromna, ponieważ dowiedzieli się właśnie, że jej wujek jednak nie żyje.

- Skarbie, wojna się skończyła! - mówi jakiś dobrze ubrany mężczyzna, ściskając Catherine, po czym odchodzi.

- Dowiedziałaś się, co się z nim stało? - pyta Carole.

Catherine wpatruje się w swoje długie, czerwone paznokcie i brylant na palcu.

- Dowiedzieliśmy się, że zginął po tym, jak załamał się front w czerwcu 1940 roku, pamiętasz? Rząd w Paryżu zabrał wszystkie barki, ciężarówki, samochody i wszystko, co tylko mógł, i wyniósł się do Tours, a francuscy żołnierze włóczyli się po Paryżu, rolnicy pędzili swoje stada przez...

- To musiało być straszne.

- Widziała to kuzynka mojego wujka, Marta. Na ulicach walał się porzucony dobytek, pełno było śmieci - wszystko, co tylko miało koła, wyjeżdżało z Hal. Wyobrażasz sobie trzy miliony ludzi na ulicach? - Catherine wydaje się zatopiona w myślach.

Carole potrząsa głową.

- Dookoła pełno było dymu i ognia, a w okolicach Paryża płonęły zapasy ropy i gazu. Na nabrzeżu całymi nocami ryczały porzucone krowy. I zbliżali się Niemcy, zdążając przez Paryż do Angouleme.

- Pozostało sto czterdzieści miliardów dolarów zaoszczędzonych z wojny - mówi do nich, stojący obok Carole mężczyzna. - Ciekawe, na co je wydadzą?

Catherine rozgląda się po tłumie tak, jakby wcale go nie widziała.

- Miliony cywili i żołnierzy podchodzą do Loary i czekają, żeby się przeprawić na drugą stronę. Z samolotów, z których Niemcy ostrzeliwali z karabinów maszynowych drogi, żeby ich nie blokowali, musieli wyglądać jak mrówki. A kiedy znaleźli się na mostach, Niemcy je wysadzali.

- Na nylonowe pończochy! - woła jakaś kobieta.

- Na nowe samochody! - krzyczy jakiś mężczyzna.

- Tam właśnie zginął twój wujek?

- Nie był moim prawdziwym wujkiem. - Catherine uśmiecha się do stojących obok nich gości, po czym odwraca się do nich tyłem. - Nie był ze mną spokrewniony, jego matka wyszła tylko za mąż za mojego dziadka. On mnie wychował.

- Gdzieś koło Chicago - mówi, na wpół do siebie Carole, ze wzrokiem utkwionym w kieliszek z winem.

- Koło Detroit - prostuje Catherine. Carole wpatruje się w swój kieliszek i nie śmie powiedzieć, że wie, iż jej dom był w stylu wiktoriańskim i była tam stodoła, a z tyłu, za nią, znajdował się drugi domek.

Stary człowiek w fartuchu, wznoszące się dookoła nowe domy, dziecko trzymające w ramionach lalkę - wszystko to przesuwają się w jej wyobraźni, jak jakieś ciężkie meble. One ustawiają się dokładnie na swoich miejscach... Gdy już zostanie sama, będzie miała czas to przemyśleć, poruszać się między nimi.

- Tysiące... miliony ludzi poległo na drogach od niemieckich karabinów. I tam właśnie Marta zobaczyła zabitego Thorna. Nie mogła nawet wrócić po ciało; ona i jej dzieci poszły dalej z mężczyzną, któremu nikt nie ufał, chociaż ona wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. - Catherine ma doskonały makijaż, myśli Carole. Nikt by nie odgadł, że jej rzęsy są sztuczne. - Ktoś z jej wioski zapłacił, żeby pochowano Thorna koło mostu i oddał jego rzeczy. Znaleźliśmy jego grób.

- Tak mi przykro - mówi Carole, podnosi wzrok i widzi przed sobą twarz, którą pamięta.

Catherine rozgląda się dookoła, jakby nie potrafiła zrozumieć najzwyczajniejszych rzeczy. Dlaczego ci ludzie tłoczą się tutaj, kobiety w najnowszych kreacjach i w modnych fryzurach, a panowie, niezmiennie, na czarno i biało?

- Tu nie wie naprawdę nikt, co się wydarzyło, co ludzie zrobili innym ludziom.

- Przez moment w jej oczach widać strach. - Zabili Thorna.

- Strasznie mi przykro - powtarza łagodnie Carole. Co można jeszcze powiedzieć? Catherine przypomina sobie zraszcz do trawy; obraca się w jej pamięci i

wyrzuca z siebie na tle czarnego nieba białe fajerwerki wody. Widzi porysowane ławki w szkole.

- Miałam wrażenie, gdy spotkaliśmy Martę, że ona głoduje *. Siedziała tam z pamiątkami, które pozostały po jej rodzinie. - W oczach Catherine pojawiają się nagle łzy. - Jack szybko postarał się o jedzenie i o doktora. Pomogliśmy jej otworzyć mały sklepik; chciała tego. Radzi sobie teraz.

* Mieszkała ciągle w tym samym miasteczku - w górniczym domu, o którym wspominał Thorn - małym, czystym i pustym.

Carole kładzie rękę na spoczywającej na oparciu krzesła młodej, połyskującej brylantami dłoni Catherine, nie zdając sobie sprawy, dlaczego jej współczuje, ani nie wyczuwając złożoności jej cierpienia.

- Najlepsze życzenia dla ślicznej młodej małżonki! - mówi jakiś mężczyzna, całując Catherine w rękę. - Jack to wspaniały gość! Musicie odwiedzić mnie razem w Miami!

- Marta przekazała mi wszystko, co pozostało po Thornie: jego rysunki, notatki. Potem wróciliśmy z Jackiem do Paryża i pobraliśmy się. - Catherine bierze głęboki oddech i jej twarz, zawsze tak zmienna jak chmury na niebie albo powierzchnia wody, staje się, pod falami błyszczących włosów, nieruchoma.

- Chcę wszystko o pani wiedzieć, moja droga - mówi do Catherine jakaś postawna kobieta w czerwonej sukni. - Znam Jacka Lairda od wieków i mam nadzieję, że teraz, gdy wojna się skończyła, odpocznie trochę. A on to potrafi, musi to pani wiedzieć! - uśmiecha się promiennie do Catherine i, skinąwszy głową w stronę Carole, zabiera ją ze sobą.

Carole patrzy za odchodzącą Catherine, widzi, jak mężczyźni odprowadzają ją wzrokiem, i znów ma wrażenie, że czegoś tu brakuje, że pośród tych wytwornych sukni, kwiatów, śmiechu i muzyki jest jakiś zgrzyt. Chociaż mieszkanie jest takie piękne, wojna się skończyła, a wszyscy są tacy radośni. Gdzieś daleko stąd, w Omaha, młoda dziewczyna idzie samotnie nocą do domu i gwizdże... Carole wzrusza ramionami. Czyż wszystko nie skończyło się dobrze?

Obok niej stoi przy oknie George Armour i spogląda w dół, na ulicę.

- Oszaleli - mówi do Carole. - Poustawiali się, jeden za drugim, i krążą po całym mieście śpiewając : „Wojna się skończyła!

- Więc jest pan pisarzem? - pyta go Carole. W jej głosie jest zaskoczenie i podziw jednocześnie.

Armourowi rozjaśniają się oczy i zaczyna opowiadać historię swojego życia. Carole spaceruje z nim po sali, z kieliszkiem w dłoni, robiąc wrażenie, jakby się przysłuchiwała. Faktycznie jednak czeka, żeby nawiązać w jakiś sposób do Smith and Rand. Człowiek, który pisze...

- Zawsze uważałem, że noszę w sobie książkę - mówi Armour. Carole mija, stojących razem, Jacka i Catherine.

- Jak panu się podoba moja żona? - słyszy, jak Jack pyta wysokiego mężczyznę z brodą. - Prawda, że jest piękna?

- Miał pan tyle ciekawych przygód - mruczy Carole. Czy to ma jakieś znaczenie, że Catherine przysuwa się bliżej do Jacka i przesuwa palcem po błyszczących włosach? Jack szepcze jej coś do ucha. Czy kogoś to obchodzi, że Catherine podnosi jedno ramię tak, że jej suknia przylega do jej ciała i podkreśla linię biustu?

- Czy chciałaby pani zobaczyć to, co do tej pory napisałem? - pyta Armour wyczekującym tonem.

- Oczywiście - mówi Carole. Mieszkanie Jacka jest właśnie takie, jak się spodziewała: ogromne i pięknie urządzone. I prawie nie dochodzi tu uliczny zgiełk ani blask światła znajdującego się nisko, w dole, Nowego Jorku.

- Proszę mi opowiedzieć coś więcej o wydawaniu książek w miękkich okładkach - prosi ją George.

Carole przechodząc patrzy w lustro. Ma równie dobrą fryzurę, jak każda inna obecna tu kobieta, a jej figura wciąż jest niezła. Mówi do kobiety w lustrze, że naprawdę nie czuje się nigdy samotna. Przyzwyczała się już do tego. Lubi to. A jednak złość powoduje, że jej oczy ciskają iskry.

Armour chce wiedzieć, czy wydawanie książek w miękkich okładkach to tylko czysto wojenne zjawisko, czy może należałoby, teraz, gdy wojna się skończyła, zainwestować w to.

Carole kończy drinka i opowiada o plusach wydawania książek w miękkich okładkach. Jak zwykle, może robić dwie rzeczy na raz. I ładnie wygląda. Jest, z niewiadomego dla siebie powodu, wściekła, ale uśmiecha się słodko do Armoura i mówi, że przyszłość należy do książek w miękkich okładkach. Myśli o swoim ojcu. Niech jej się, łajdak, przygląda, tam gdzie jest. Ciekawe, czy wie o jej akcjach i obligacjach? A o największej kamienicy w Omaha?

15

- Jest znakomity - mówi panna Wainwright. Jack sprowadził ją z Nowego Jorku, żeby „zrobiła” dom dla Catherine w Oak Park, salonik więc, w którym siedzą z Catherine, zarzucony jest książkami i próbkami materiałów. - Te rozległe trawniki i kępy drzew czynią z domu prawdziwy „klejnot” - mówi panna Wainwright do Catherine. - Ma królewskie otoczenie.

Żadna z nich nie słyszy dzwonka telefonu; odbierająca go pokojówka mówi, że pana Lairda nie ma w domu. Panna Wainwright patrzy na Catherine i mówi, że mając takie oczy i włosy, powinna otaczać się błękitem. Mówi, że Catherine ma w sobie coś z madonny. Jej nieśmiałość i nieuchwytność. I że jest taka kobieca. Żadnej czerwieni ani pomarańczu... zdecydowanie błękitem. Pokojówka mówi, że pani Laird jest w domu i wchodzi do saloniku.

- Przepraszam na chwilę - mówi Catherine uśmiechając się i opuszcza, kontemplując widok z okna, dekoratorkę wewnątrz. Mija kolejne pokoje ogromnego, wspaniale umeblowanego domu, który Jack chce „unowocześnić”, odbiera telefon w gabinecie Jacka.

W pokoju wszystko jest obce. Wzdłuż ścian ustawione są na półkach drogie książki, które jakiś dekorator wybrał, bez wątpienia, ze względu na kolory ich grzbietów: czerwony, zielony i niebieski. Catherine idzie przez pokój w kierunku

ogromnego, założonego papierami biurka Jacka i myśli, że przez trzy miesiące nie miała czasu zajrzeć do żadnej z tych książek. Te tomiki obok telefonu to pewnie zbiory poezji, myśli podnosząc słuchawkę. Czy Jack czyta czasem Browninga, zastanawia się. Albo Tennysona, albo Elliota? A Szekspira? A Dantego.

- Halo? - mówi do słuchawki.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani Laird - mówi głos po drugiej stronie.

Catherine nie słyszy tych słów, jeszcze ich nie słyszy. Dopiero potem, w nocy zaczyna się układać to, co musiał do niej powiedzieć. Teraz czuje tylko, że wraz z tembrem i intonacją tego jedyne na świecie, niezapomnianego głosu wraca do niej inny świat. Unosi się w ciemności i czuje inne usta na swoich, słyszy głosy przyzywające ją na kolację, uderzenia młota, czuje zapach starej stodoły, widzi oczy Tubbita, żdzbla trawy, łóżko o brzasku dnia, wiatr, chmury, przestrzeń... - ...jestem starym znajomym Jacka i staram się odnaleźć Catherine Buckingham. Czy wie pani może przypadkiem, gdzie ją mogę znaleźć?

- Thorn - mówi Catherine tak niskim głosem, że Thorn jej nie słyszy; sześć lat przelatuje jej przez głowę tak szybko i z takim łoskotem, jak ekspresowy pociąg, który zostawia za sobą tylko zimną pustkę. Widać w niej jedynie skórzane grzbiety książek Tennysona, Browninga, Keatsa i Dantego, oraz biały czepek pokojówki, która zagląda do gabinetu, a potem zamyka za sobą drzwi.

Głos czeka cierpliwie po drugiej stronie linii, która nie może istnieć, bo po drugiej stronie jest grób w pobliżu Loary i widmo domu pomiędzy topolami.

- Pani Laird? Tu Thorn Wade - mówi głos. - Byłem we Francji. Może Jack wspominał pani o mnie? Dzwonię z Nowego Jorku. Próbowałem połączyć się z moim domem w Detroit...

Catherine nie może mówić.

- Czy widziała pani ostatnio Catherine? Może wie pani, gdzie ona pracuje? Jestem jej wujkiem. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie mógłbym ją znaleźć? - Łany trawy. Noc wypełniona szumem liści. Próbuje wymówić jego imię. - Z kim mówię? - Jego głos jest teraz głośniejszy, bardziej wyraźny i ostry. Prawie tak, jakby tu był i trzymał ją w ramionach. - Pani Laird?

- Tak - mówi. Oczy ma zamknięte i czuje pustkę tych sześciu lat, które minęły.

Przez moment nie odzywa się, a potem pyta:

- Catherine?

- Tak.

Oprawne w skórę tomy dziwnie się zachowują, migają jej w oczach jak lampki na choince. Catherine szybko przysuwa krzesło i siada na nim zgięta w pół, ze słuchawką przy uchu.

- Thorn - mówi.

- Nic ci nie jest? - Zadawał jej w przeszłości to pytanie, ilekroć się zadrapała albo zacięła, miała wybuchy złości albo doznawała rozczarowań. A także po pierwszym razie... - Catherine?

- Wszystko w porządku - mówi.

- Nie miałem zamiaru cię przestraszyć - mówi Thorn. - Chciałem najpierw porozmawiać z Jackiem, a potem jak już będziesz wiedziała, zobaczyć się z tobą. - Catherine widzi niewyraźnie łóżko Thorna: po białej pościeli i fotelu z owalnym oparciem wędrują rzucane przez liście cienie. - Jesteś u niego z wizytą?

- Nie - mówi Catherine. Oczywiście ma w dalszym ciągu zamknięte i wciąż tam jest - Tubbit woła w stodole koty, a za oknem śpiewa ptak.

- Byłem ranny, ale przedostałem się razem z partyzantami w góry - mówi Thorn. - Potem znów zostałem ranny, bardzo ciężko, przez dłuższy czas nie wiadomo, kim jestem. Nie mogli cię zawiadomić, że żyję. Kilka tygodni temu odzyskałem wreszcie przytomność i poczułem się na tyle dobrze, żeby wybrać się w podróż i zdobyć jakieś pieniądze.

- Nic ci nie jest? - Catherine czuje pod palcami jego włosy i kształt jego ust. Jego oczy patrzą na nią spod długich, ciemnych rzęs.

- Jestem jeszcze trochę osłabiony. A jak ty się czujesz?

Catherine czuje ściskanie w gardle. Nie może odpowiedzieć na to najzwyczajniejsze pytanie, tak bardzo zwyczajne, że otwiera się pod nią jak czarna dziura.

- Dobrze - wykrztusza w końcu.

- Catherine? - mówi Thorn i słysząc, że nie odpowiada, mówi dalej: - Pokojówka powiedziała mi, że jest tam pani Laird. Czy Jack znów się ożenił? - Mówi to, żeby dać jej czas, żeby ta rozmowa wydawała się normalna.

Nagle obok Catherine pojawia się Jack, nachyla się nad nią, potrząsa nią i próbuje zajrzeć jej w twarz.

- Co się stało? - pyta. Poprawia Catherine na krześle i bierze od niej słuchawkę. - Kto mówi? - odzywa się wojowniczym tonem do słuchawki.

Catherine widzi jak przez mgłę, że zmienia się wyraz twarzy Jacka. Bierze głęboki oddech, żeby odpowiedzieć na pytanie Thorna, żeby mu powiedzieć...

- Nie! - woła Catherine zabierając Jackowi słuchawkę - mówi do tego głosu i do starego domu, do łąków traw i do odgłosu deszczu za szybą, w ciemnym pokoju. - Wyszłam za Jacka. Wyszłam za niego w maju tego roku. - Jeśli jest jakaś odpowiedź, to Catherine jej nie słyszy. Wybiega z gabinetu i biegnie korytarzem do łazienki, ucieka tam, gdzie jest chłód, mrok i cisza.

W saloniku leżą poukładane rzędami materiały: satyna, bawełna i aksamit w różnych odcieniach błękitu.

- Nareszcie! - słyhać energiczny głos panny Wainwright, gdy pojawiają się w nim Catherine z Jackiem.

Panna Wainwright obrzuca ich obydwójce wzrokiem i stwierdza, że mężczyzna też jest przystojny. I bogaty. Jego żona jest na tyle młoda, że mogłaby być jego córką; widać, że on szaleje na jej punkcie. Panna Wainwright poprawia ręką włosy, uśmiecha się i pokazuje im projekt salonu.

- Czy nie wydaje się panu, że błękit jest kolorem pana żony? - pyta. Należy zwracać się do męża (panna Wainwright powtarza to zawsze swoim asystentom), ale nie spuszczać wzroku z żony.

- Oczywiście chce pan, żeby cały dom odzwierciedlał jej osobowość... jej szczególne cechy! - mówi do Jacka.

Urządzanie wnętrz tak naprawdę nudzi mężczyzn; to zrozumiałe, ich interesują całkiem inne rzeczy. To żony, mówi swoim asystentom panna Wainwright, nie mają nic do roboty poza wydawaniem pieniędzy.

Wszystko skończyło się nie najgorzej - powtarza sobie często Jack. Okazało się chociaż, że Thorn nie zginął.

Gdy usłyszeli tę wiadomość, Catherine urządziła właśnie dom w Oak Park i byli już małżeństwem od kilku miesięcy. Gdy zadzwonił Thorn, Catherine wiedziała już, że może nie ograniczać się z wydatkami i że ma do swojej dyspozycji dekoratorkę wnętrz, która doradzi jej, jakimi kolorami powinna się otaczać i co idzie w parze z jej osobowością. Wiadomo, że gdy Thorn zadzwonił, przeżyła szok, że on jednak żyje.

Dom w Oak Park był prawdziwym wyzwaniem dla Catherine. Była bardzo zajęta wybieraniem materiałów i przeglądaniem katalogów z antykami. Czas, żeby kupić sobie parę ładnych rzeczy. Gdy przypomni sobie jej pokój w Detroit, to przykryte kocem łóżko, i te wszystkie butelki z mrówkami... Pewnie, że czuła się tam samotna. Włóczyła się po okolicy, gdzie nie było nic poza głęboką trawą i mamroczącym pod nosem Tubbitem. Takie śliczne stworzenie. Jack skłonny był się założyć, że wiedziała, jaka była ładna, gdy spojrzała w lustro, i na pewno musiała się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie miała jakiegoś chłopca.

Teraz miała swój własny, duży dom i dość pieniędzy, żeby go urządzić. Nic w nim nie robiono od czasu jego rozvodu, a Shirley nigdy nie miała dobrego gustu. Ciężka praca dawała Catherine pocieszenie po powrocie z Francji, gdzie próbowali znaleźć Thorna. Widzieli rozbite rodziny, uwolnionych z obozów zagłady Żydów i włóczących się po całej Europie, w poszukiwaniu swoich bliskich, jeńców wojennych. To przygnębiłoby każdego. Podróżowali razem z tobą i rozmawiali, i niby byli, ale prawie jakby ich nie było. Nazywali ich „przesiedleńcami”, i właśnie tacy byli, jakby nie z tej planety. Nagle, w czasie najzwyczajszej rozmowy odnosiło się wrażenie, że nie rozumieją, co się do nich mówi, że nie potrafią zrozumieć toku twojego rozumowania. I czułeś się tak, jakbyś wydawał jakieś niezrozumiałe dźwięki, a nie mówił. A oni patrzyli na ciebie tak, jak to czasem robi Catherine.

Wycieczka do Francji przygnębiła Catherine, i właśnie wtedy, gdy już zaczęła się z tego otrząsać, zadzwonił ten telefon.

Thorn zachował się dobrze, trzeba mu to przyznać - trzymał się od niej z daleka. W końcu to nie jego wina, że gdy ściągnęli go wtedy, ledwie żywego, z tego mostu na Loarze i jeden z jego kolegów z dzieciństwa zaopiekował się nim, nikt nie zawiadomił o tym Marty, ponieważ była ona z mężczyzną, któremu nie ufano. Powiedzieli jej więc, że Thorn zginął i go pochowano. Uratowano mu w ten sposób życie.

Catherine doszła do siebie. Przez jakiś czas chciała się dowiedzieć od Thorn, jak to było, gdy walczył we francuskim ruchu oporu, został ranny, nie mógł jej zawiadomić, że żyje. Nic dziwnego - przez prawie dwa lata Europa pogrążona była w chaosie.

W każdym razie przeżyli w Paryżu wspaniały miesiąc miodowy, Jack był najszczęśliwszym człowiekiem w całej Francji, a potem Catherine z takim zapalem urządziła dom, a tu nagle pojawił się Thorn. Thorn zatem trzymał się od niej z daleka. Okazało się, że jest ekspertem, jeśli chodzi o jakiś rodzaj owadów, otrzymał profesurę na kilku uniwersytetach, dużo podróżował. Dzwonił do nich od czasu do czasu.

W przemyśle samolotowym zaszły po wojnie duże zmiany. W silnikach odrzutowych nie stosowano już kompresorów odśrodkowych. W nowych junkersach 004 i GE TG-180 montowane były silniki osiowe, ale problemy stwarzał niski współczynnik ciśnienia. Jack zatrudnił w swoich zakładach w Chicago kilka tęgich umysłów, żeby opracowali nowe komponenty i od pewnego czasu o niczym innym nie mówił tylko, jaki powinien być współczynnik ciśnieniowy kompresorów osiowych. Dla kobiet było to zazwyczaj nudne, ale Catherine poprosiła go, żeby jej wyjaśnił, i zrozumiała, o co chodzi. Ona naprawdę miała zdolności do mechaniki.

Wszystko szło dobrze. Wiedział, że może uczynić ją szczęśliwą. W końcu znał się na rzeczy. Nie był młody, to prawda, ale znał parę sztuczek, których nie powstydziliby się Don Juan ani Casanova.

Byli całkiem szczęśliwi, chociaż ona wciąż robiła wrażenie, jakby była tą samą dziewczynką z długimi włosami, która powiedziała mu kiedyś, że interesuje się silnikami, i była jak nie odkryta wyspa. To była wina Thorn. Trzymał ją z dala od ludzi, gdzieś na peryferiach Detroit, nie dał jej szansy zobaczyć, jak wygląda świat.

Janet śmiała się z jego siatek na motyle. Do diabła! A teraz Catherine ma pieniądze, jest wolna i szczęśliwa. I taka piękna.

W Ameryce plan Trumana poniósł fiasko, po kraju przetaczała się fala strajków, a oni, z Catherine, wciąż mieszkali w Paryżu. Catherine uwielbiała ich paryski dom. Gdy przylatywali do niego zza oceanu jego kooperanci i klienci, urządzali w nim dla nich przyjęcia i wszyscy chwalili wspaniałą kuchnię Catherine (znalazła cudowną kucharkę) i lamentowali nad poczynaniami Trumana, który przeznaczył dwanaście milionów dolarów na Plan Marshalla. Mówili, że nie głosowali na niego w wyborach w 48 roku. Kiedy zaczęła się wojna w Korei, Catherine wróciła wraz z nim najpierw do Nowego Jorku, a potem do Chicago, gdzie dzięki zamówieniom wojennym jego zakłady znów zaczynały się rozrastać.

Oboje lubili otaczać się ładnymi przedmiotami; pasowali z tym do siebie.

- Na doskonałość - powiedziała Catherine, gdy kupili dom koło Nowego Jorku i była właśnie w trakcie jego urządzania - składają się szczegóły. Jeśli twoje walizki są odrapane, to nigdy nie będą już doskonałe - na skórze zawsze pozostaną ślady. Tak samo, gdy upierzesz swoje ubrania - nie będzie już w nich tego życia, które było wcześniej, wtedy, gdy były nowe. Nad osiągnięciem doskonałości trzeba pracować tak samo, jak nad wszystkim innym; trzeba być bardzo krytycznym. - Jack uważał, że miała co do tego rację.

McCarthy przestraszył wielu ludzi. Nagle wszyscy przestali mówić głośno, co myśleli - było to trochę przerażające. Potem Truman go przepędził, a staruszek podróżował po kraju i wygłaszał przemówienia. Kolejnym, nie najgorszym posunięciem Trumana było postawienie na przemysł stalowy. Catherine chciała wracać do Francji i Jack stwierdził, że właściwie to nic nie stoi temu na przeszkodzie. Zbliżał się do sześćdziesiątki i miał już ustaloną pozycję w biznesie. Mógł sobie na to pozwolić.

We Francji Catherine pomyślała, że mogłaby spróbować pisać. Poznała Marie Sido, starą francuską pisarkę, która powiedziała, że Catherine ma coś w sobie. Catherine była, oczywiście, wspaniała, ale bywała także nieprzewidywalna - nigdy nie było wiadomo, co powie. Patrzyła zawsze na życie inaczej niż wszyscy. Marie Sido powiedziała, że Catherine wkłada na twarz maskę senności i gdy się odezwie, to tak,

jakby mała dziewczynka niespodziewanie doznała jakiegoś olśnienia. Marie Sido była bardzo wziętą pisarką i miała dom nad brzegiem Morza Śródziemnego.

Jack lubił pracować; nudziło go, gdy siedział beczynn timer. Catherine musiała zajmować się ich licznymi domami i całą resztą spraw - zabierało jej to cały czas. A on lubił przepracować cały dzień, a potem, gdy wracał wieczorem do domu, usiąść wygodnie, oprzeć wysoko nogi i oglądać telewizję. W Oak Park miał telewizor w każdym pokoju - telewizja to wielka rzecz.

Tak więc Jack mieszkał przez większą część roku w Chicago, a Catherine robiła, co chciała: jeździła do Tubbita, odwiedzała Carole Emery w jej ogromnym domu w Omaha, czasami wyjeżdżała za granicę. Gdy jej nie było, prowadził spokojne życie: miał kierowcę, który po pracy odwoził go do domu, zjadał kolację i spędzał wieczór przy telewizorze. Gdy Catherine była w domu, jeździła po zakupy, chodziła do teatru i tak dalej. Czasami przyjmowali też kogoś w domu.

Jack był zadowolony z życia. Uważał, że szczęśliwie przeżyli ze sobą osiem lat.

17

W każdy czwartek Catherine szła po południu do fryzjera w mieście, a potem spotykała się z Jackiem w restauracji Empire Room. Któregoś kolejnego czwartku nie dotarli jednak do restauracji - Jack doznał tego dnia ataku serca.

Po przewiezieniu karetką do szpitala, pierwszej nocy wydawało się, że jego stan się poprawia. Następnego dnia rozmawiał z Catherine, powiedział jej, że wkrótce będą gotowe wyniki badań, a lekarze powiedzieli Catherine, że jeśli nie nastąpi kolejny atak, to będzie mógł w miarę normalnie żyć.

Catherine przez cały dzień czekała. Weszła do niego tylko na pięć minut, bo na dłużej jej nie pozwolono, a potem rozmawiała przez telefon z Alice Knapp. Gdy weszła do pokoju, Jack wyglądał jakby spał i jęczał przez sen. Wieczorem lekarz, który nim się opiekował, powiedział Catherine, że Jack może nie przeżyć.

Alice zaczęła płakać do słuchawki i powiedziała, że natychmiast przyjeżdża. Catherine wróciła do pokoju Jacka i wzięła go za rękę. Jack otworzył w pewnej chwili oczy, jęknął i powiedział:

- Janet.

Catherine ścisnęła mu dłoń.

- Jestem przy tobie - szepnęła. Potem Jack powiedział coś o „szczęściu”, wyszeptał: „piękna” i „te cholerne samochody”, a pielęgniarki poprosiły ją, żeby wyszła na chwilę na korytarz. Za chwilę było po wszystkim.

RS

CZEŚĆ VI

**Jednodniowa lilia
ma w swoim kielichu miód.
Ciężkie pszczoły zapuszczają się weń z ochotą
jak do studni
i kołyszą się wraz z nią
na jej długiej łodydze.
Gdy się wydostają,
są żółte od pyłku
I aż do zmierzchu czyszczą w swoich skrytkach
swoje świecące, czarne futerka.
O zmierzchu lilia jest w środku złota.
Jej ogromny, wilgotny kielich składa się i kurczy*.**

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz.

1

Samolot, którym ma przylecieć tego wieczoru Thorn, leci nad Antibes i Niceą. Przednóże Alp nie dopuszcza tu wiejącego od północy wiatru, ziemia przechodzi łagodnie w morze, ale jeśli Thorn spojrzy we właściwą stronę, to jak na dłoni zobaczy, na opadającej tarasami do morza płaszczyźnie, plamkę zieleni, która jest własnością Catherine.

Thorn nie zginął, ale właściwie to tak jakby już nie istniał.

Catherine wciąż trzyma na kolanach słuchawkę i znów widzi stary dom; sprowadził ją do niego, z powrotem, głos, który przed chwilą słyszała. Widzi okrągłe

okienko w drzwiach wejściowych, pociemniałe lustro w salonie i wąski, poprzecinany smugami światła padającymi z jej i Thorn'a pokoju, korytarz na górze.

Ileż to razy, w ciągu ostatnich piętnastu lat, słyszała w słuchawce głos Thorn'a; że właśnie wrócił z jednego miejsca i jedzie gdzie indziej, że czuje się dobrze, że dostał profesurę albo stypendium w tym czy innym miejscu. Czasem pytał ją, jak się czuje.

A teraz przyjeżdża. Po piętnastu latach.

Co z jej włosami? A z łóżkiem? Po tylu latach. Nigdy jej nie odwiedził, nawet po śmierci Jacka. Przyleci do Nicei. Będzie tu dziś wieczorem. Po piętnastu latach.

Catherine drży. Jest jej lekko niedobrze, tak jakby podróżowała pociągiem, zbyt szybko i tyłem do przodu. Thorn miał głos niepewny, ale spokojny. Tak jakby wciąż istniał ich stary dom, jakby miała siedemnaście lat i stała koło furtki domku Tubbita i patrzyła na falujące na wietrze łany trawy.

Może powlecze białą bieliznę pościelową, tę koronkową, którą znalazła, gdy porządkowała strych domu swojej teściowej. Wie teraz, jak wyglądała matka Jacka, najpierw jako młoda dziewczyna, potem żona i kobieta. Tu, jako absolwentka liceum ze świadectwem dojrzałości u stóp, tam już jako stara kobieta, która przechowuje swoje ulubione sukienki, wiklinowy dziecięcy wózek i koronkową pościel. Musi pozbyć się tych skrzypiących materaców i założyć nową pościel. A jej włosy - czy Yvette będzie mogła je umyć i ułożyć?

Wciąż wraca do niej wspomnienie długich włosów, które były tylko czymś, co spadało na plecy, co trzeba było jedynie umyć, wysuszyć i odgarnąć z twarzy. Czasami Thorn splatał je susząc suszarką. Brązowe dłonie odgarniały włosy z jej twarzy lub z jego twarzy... w te upalne popołudnia, gdy leżeli nago i nasłuchiwali, jak Tubbit strzyże trawę. Ten warkot był również beznamiętny, jak szmer cykad w upalne dni, zanim jeszcze Thorn wyjechał do Francji i nigdy do niej nie napisał, a Jack zabrał ją do rodziny swojej siostry w Cedar Falls w Iowa.

Na miłość boską, nie może płakać - będzie miała czerwone oczy i plamy na twarzy. A w dodatku, musi iść uczesać włosy.

Wilgotnymi dłońmi nakręca numer Yvette. W słuchawce słyszy trzaski. Przepraszam pani Laird, ale to dzisiaj niemożliwe. Przepraszam, ani chwili. Głos jest

uprzejmy. Czy zdaje jej się tylko, że słyszy w nim coś, co mówi, że jest tu obca, że jest tylko amerykańską wdową, która kupiła starą tłoczarnię oliwy?

Będzie musiała sama umyć włosy - są przepocone od pracy w ogrodzie. Cały czas myśli o swoich włosach, które kiedyś spadały jej na plecy i było ich tak dużo. Dzień będzie upalny.

Zdejmuje szlafrok. Wszystko jest takie nierzeczywiste. Słońce, które znajduje się nad wzgórzem po drugiej stronie rzeki, pada żółtym blaskiem na ścianę jej pokoju. Wszystko jest nierealne. Otwierane, składające się z trzech części lustro wygląda jak tryptyk. Patrzy w nie i widzi tylko to, co oświetla słońce: szczupły, żółty od słońca tors, który wygląda jak te wykopane gdzieś w Grecji marmurowe posągi bez głowy, rąk i nóg, tylko z piersiami. Ale już po kształcie bioder można rozpoznać, że to tors bogini. Catherine robi krok do tyłu i staje się tylko niebieskim cieniem nagiej kobiety. Widzi twarz Thorna, gdy czyta jej coś na głos. Jest mała, siedzi mu na kolanach i przypomina sobie smak grzanki z rozplwającym się po jej powierzchni, roztopionym masłem.

Jest młodsza niż był Jack, gdy umarł. Niedawno skończyła pięćdziesiąt lat. Co ma zrobić z włosami? Powinny jej się falować lekko wokół twarzy - Jack zawsze lubił u niej krótkie włosy. Zawsze, gdy przynosił jej coś ładnego, mówił, że jest jedyną kobietą piękniejszą od Janet Buckingham. Biedny Jack.

Catherine przez cały czas nie opuszcza wspomnienie bezkresnych pól w Detroit... I ciszy, którą zakłócał jedynie łoskot koparek. Były wielkie jak słonie w zoo i podobnie bezużyteczne. Ich operatorzy nie chcieli odpowiadać na jej pytania. Usypywali rdzawe góry piasku. - Hej, błękitnooka, zrób nam babkę z piasku! I włóż do środka dużo rodzynek! - wołali do niej. Ubita ziemia w piwnicach domów pachniała moczem. Obserwując, co oni robią, można było się dowiedzieć, jak się buduje dom. Catherine przeciera rękami oczy i nie może sobie przypomnieć, dlaczego chodziła po tych domach z góry na dół i robiła, w miarę jak rosły, rysunki i opisy.

Plucze twarz nad umywalką i wkłada na siebie koszulę, dżinsy i buty. Co zjedzą na kolację? Omlet. Kolacja powinna chyba być lekka, bo w samolocie zawsze przekarmiają. Sałata. Mus czekoladowy. Zrobiła kiedyś Jackowi mus... W Londynie,

po wojnie. Z okien pięknych, starych domów widać było niebo i wiedziała już wtedy, że Thorn nie zginął.

Jej ogromna sypialnia wydaje się taka mała. Catherine biegnie do salonu, ale tam także nie ma wystarczająco dużo przestrzeni. Pod białym okapem kominka nie ma ognia - będzie musiała napalić. Stara, szesnastowieczna tłoczarnia oliwy, śliczne, francuskie drewniane ozdoby, obrazy... Zobaczy to wszystko. Zobaczy, jak sobie poradziła...

I ta jego twarz! Śniła jej się zmasakrowana, przepołowiona; przerażona patrzyła, jak łążą po niej muchy...

Catherine wychodzi z domu, wciąga głęboko powietrze w płuca i stara się nie płakać. Powyżej starej tłoczarni znajduje się ogród; jest już nagrany od słońca i słychać w nim brzęczenie pszczoł. Z tyłu ogrodu nieuczęszczana droga zarosła i wygląda jak zacieniony, zielony tunel. Za drogą wznoszą się kamienne mury tłoczarni. Ponieważ budowla stoi na zboczu wzniesienia, w południe będzie tam chłodno. Niebo jest takie, jakie miało być, dla niego tu przyjechała; tak samo błękitne i bezkresne jak Morze Śródziemne, z widoczną w tle czerwoną dachówką domu, patiem, wzniesieniem i przerzuconym - niczym wiewiórka w locie - lekkim łukiem mostem kolejowym nad rzeką.

A jednak, nawet gdy stoi pod tym niebem, płyną jej łzy po twarzy; czuje się taka mała i zagubiona jak Alicja, która wie, że klucz znajduje się wysoko na stole i nie może go dosięgnąć. Catherine wyciera oczy i słyszy głos Thorna. Ten głos powoduje, że czuje za sobą tyle wolnej przestrzeni, że robi jej się od tego słabo. Stojąc w ogrodzie pomiędzy różami czuje się tak, jakby patrzyła na dymiące ruiny lub spóźniła się na ostatni, przeraźliwie rozklekotany pociąg.

Robi sobie śniadanie. To śmieszne, ale teraz, gdy nie ma już Jacka, może jeść na śniadanie wszystko to, co chce; różne dziwne rzeczy. Same owoce albo pastę rybną, taką jaką robią w Wenecji, którą kładzie się zimną na gorące kartofle.

Myśli o tym i zaczyna się śmiać. Znowu wychodzi na słońce, schodzi z patia i idzie w kierunku mostu śmiejąc się i płacząc na przemian, klaszcząc w dłonie, albo wyciągając w toaście w kierunku słońca szklanekę soku pomarańczowego. Czuje się głodna - ze smakiem je chleb z szynką i topionym serem.

Usiądź i zjedz. Spójrz na to, co masz. Powiedz sobie: dzisiaj będzie wspaniały dzień. Mniejsza z tym, jak się skończy. To tylko kilka godzin. Nawet jeśli on spyta, czy ma zostać na noc? Czas się nie zatrzymuje, twoje serce ani płuca też nie. Pracują nieprzerwanie jak taśma, która niesie cię przez życie. I czy ważne jest, po tak długim czasie, co on myśli? Myślała przecież, że on nie żyje.

Zatrzymaj się. Weź głęboki oddech. Powiedz... (trzeba to zapamiętać, jeśli znów wyjedzie... jeśli ona będzie tu jutro rano samotnie jadła śniadanie i patrzyła na most, który wygląda niczym wiewiórka w locie) powiedz: - Co za wspaniały dzień. Co za wspaniały wieczór.

2

Najpierw pójdzie po zakupy, a potem umyje włosy. Thorn pamięta ją z włosami spadającymi luźno na plecy. Czy może być coś gorszego? Jak ona wtedy musiała wyglądać? Prawdopodobnie jak Maria Magdalena albo jakaś indiańska squaw.

Młode kobiety nosiły w tym czasie fryzury do ramion albo krótsze, uczesane w fale, loki; sukienki miały wyszywane cekinami i przypinały do nich kokardy albo uszyte z materiału kwiaty. Nic dziwnego, że siostra Jacka, zanim zawiozła ją do Cedar Falls, zabrała ją najpierw do salonu piękności. Dlaczego jej wtedy przeszkadzało, że robią coś z jej włosami?

Omlet z serem czy ze śmietaną i ziołami z ogrodu? Przez cały dzień odzywają się z różnych stron ogrodu kukulki. A jeśli wieczorem zaczną śpiewać słowiki? Kuchnia jest nowa i jest w niej wszystko, co potrzeba, a jednak brakuje jajek i sałaty.

Catherine zamyka drzwi lodówki i wdycha zapach świec, pelargonii i starej kamiennej podłogi w salonie. Tam gdzie teraz jest salon, kiedyś znajdował się magazyn, do którego wwożono wózkami oliwki i ziarno, więc nie ma w nim jednej ściany, tak jak na scenie. Zastępuje ją ogród, patio wzdłuż muru tłoczarni i zapomniana droga.

Kolację zjedzą tutaj. Zeus wraca do... Ateny, bogini mądrości, której kamyk rzucony w czasie Sądu nad Orestesem, przeważył...

*...Nie miałem nigdy matki - i wszystko co męskie - jeno nie związek z mężem -
zawsze miłe będzie sercu memu... **

* Wiersze 735-7 z „*Orestei*” Ajsycholosa. Eumenidy cz. 3 w tłumaczeniu Stefana Srebrnego.

Wieczorem przylecą tu ćmy i będzie słycać szum rzeki. Jeśli zechce im się płakać albo każde z nich będzie miało ochotę zostać samo, to jest ogród, w którym jest ciemno i słycać w nim, w nocy, jakieś szmery. Jeśli tak nie będzie, to mogą zostać w salonie przy kominku. Zawsze mogą znaleźć jakąś ucieczkę.

A jeśli on nie wyciągnie do niej ręki, jeśli nie powie w blasku świec...

Ale przecież musi pamiętać te omlety, które razem robili w ich starym domu w środku nocy, po ciemku, żeby Tubbit się nie domyślił, dlaczego byli tacy wygłodniali. Siedzieli potem przy śniadaniu, jedli przygotowane przez Tubbita płatki owsiane i bułeczki, unikając wzajemnie swojego wzroku; mówili mu, że idą szukać motyli „monarchy” i że, jeśli im coś przygotowuje, to zabiorą ze sobą lunch.

Będzie musiała zrobić zakupy, ale wcześniej trzeba pomyśleć o sypialni. Muszą być tam kwiaty. Zerwie trochę żółtych kwiatów janowca, które rosną na zboczu wzgórza i przyniesione przez wilgotny wiatr znad rzeki oblepiają parapety okien. Thorn poczeka, zawsze czekał wpatrując się w nią swoimi łagodnymi, niebieskimi oczami o długich rzęsach. Potem, gdy zamknęła oczy i pochłonął ją już całą, nie widziała, czy oczy miał zamknięte. W Cedar Falls nie mogła spać całymi nocami, próbując sobie przypomnieć, czy miał wtedy zamknięte oczy. Leżała pod zdjęciami całujących się par, torturując się tym wspomnieniem.

Chociaż jest wczesny ranek, słońce wyzwala już z kwiatów zapach, a łagodny wietrzyk wwiewa go przez otwartą ścianę do pokoju. W szufladzie są świece, wystarczy minuta i stół jest nakryty białą serwetą, a na niej stoją ciemnozielone szklane naczynia. Catherine stawia na środku stołu róże i idzie nazbierać gałązek janowca.

Droga, którą nikt nie chodzi, jest zarośnięta liśćmi. Jest chłodno i nie ma śladu dzikiej kotki ani jej kociątek.

Dawno temu na zboczu wzgórza przy końcu ścieżki znajdowały się kamienne tarasy, które musiało prawdopodobnie budować kilka pokoleń chłopów. Winorośla uprawiane niegdyś na tych tarasach zdziczały i rozpięły się teraz na ich miejscu żółte od kwiatów janowce.

Catherine zbacza z drogi i wchodzi na stopnie tarasu. Słońce grzeje jeszcze silnie, ale wkrótce nadejdzie popołudnie, a potem noc. Czuje to po zapachu, tak jakby pory dnia były dziką kotką albo Bachusem, który czeka tylko, żeby zacząć tańczyć, niczym widmo, wśród winorośli. Jej płócienne pantofle nasiąkają wilgocią, a krzaki czepiają się dzinsów. Przypomina sobie skrzypiący na wietrze wiatrak, siada na kamieniu i dotyka go dłonią; jest ciepły.

Będzie chciał zrozumieć. Przyjedzie tutaj, usiądzie i będzie czekać. Chyba nie zapyta: Czy mam zostać na noc. Powinna pamiętać, że to ona będzie musiała wszystko zrobić. Ona będzie musiała zacząć...

Gdzie? Geń rzucany przez liście drzew oliwkowych tańczy po jej ciele, jej sylwetka kładzie się cieniem na ziemi. Obcinają jej włosy. Patrzyła na Margie i jej koleżanki, gdy chichotały i robiły miny, z takim zdumieniem, jakby obserwowała skurcze astmatyka; dziwiła się, że kobiety o drugiej po południu grają w brydża. Ciekawe, czy Thorn potrafi sobie wyobrazić żony pracowników college'u rozmawiające, na przyjęciu na trawniku, o swoich rodzinach i dzieciach, a między nimi Catherine i Margie w ogromnych słomkowych kapeluszach.

Czy Thorn wie, że studenci college'u nosili w akademiku te same ubrania, w których byli przez cały dzień, a po zapadnięciu zmroku wychodzili i do drugiej w nocy rozmawiali z jakimś obwoźnym sprzedawcą albo kierowcą ciężarówki? Albo, że mogli sobie siedzieć cicho na antresoli w czytelni, gdzie znajdowało się biurko z lampką, i myśleć?

Kukanie kukulek jest tak monotonne jak skrzypienie drzwi, myśli Catherine, wspinając się po zboczu po janowiec. Janowiec nie jest do końca kwiatem. Dorównuje jej wzrostem i stanowi jakby budowlę architektoniczną, wzniesioną z kolców zakończonych grubymi, mięsistymi kwiatami. Catherine łamie olbrzymie gałęzie i

czuje się tak, jakby zadawała gwałt tej budowli. Potem niesie całe ich naręczce do domu, wstawia gałęzie do garnków i butelek, i ustawia je na parapetach okien. Kwiaty stoją nad jej łóżkiem i wyglądają jak słoneczne konstelacje.

Jej sypialnia, urocza siedemnastowieczna komnata o suficie w kształcie pochylonego prostokąta, wygląda, w potrójnym lustrze, jakby była cała żółta od kwiatów i słońca.

Dlaczego, w dowód uczuć, ofiarowuje się zwykle czerwone róże? Czemu to nie żółty jest kolorem miłości?

On usiądzie, a ona zapyta go, jak to było, gdy się ukrywał wraz z Martą przed Niemcami? Była taka dobra w różnych grach, a Thorn na zawsze zapamiętał jej biały powiewający fartuch, gdy odjeżdżał z młodymi Jobertami na wózku. I jak to było, gdy odnalazł Claire, która potrafiła odgrywać wszystkich mieszkańców wsi - tym razem martwą naprawdę, a nie na niby. Walczył w ruchu oporu, ponieważ znał Francję dokładnie, znał ją od dziecka.

Co czuł, gdy walczył?

Catherine słyszy, jak jakiś samolot zatacza koło nad lotniskiem w Nicei, zanim odleci w kierunku Rzymu albo Londynu. Dziwi się, że znów stoi przed lustrem, przygląda się swojej figurze i stwierdza, że jest jeszcze w porządku. Stoi na jednej nodze z drugą podwinietą i przekrzywia głowę na jedną stronę. Jest zaledwie pięć lat starsza niż Thorn, wtedy gdy patrzył na nią rankiem pod więzaniem. Jack spał wtedy w ich domu - był tylko jakimś mężczyzną, który przyjechał w odwiedziny, z dziewczyną i nowym samochodem; nikim więcej. Rozmawiali jednak z Thornem o nim. A on potem nagle odszedł - to było ich pierwsze nieporozumienie.

Była zaangażowana w wojnę: w każdy poniedziałek wieczorem studentki college'u udawały się do miasta i w pokoju nad posterunkiem policji robiły bandaże dla Czerwonego Krzyża. Najpierw myło się ręce, potem odmierzało gazę linijką i do środka wkładało watę. „Nie wiesz, że jest wojna?” pytano tylko i każdy pomagał, śpiewał piosenki o „naszych chłopcach”, kupował wojenne obligacje i znaczki, także chodził do sklepu z kartkami. Wszyscy trzymali się razem i czuli się trochę, jakby byli rodziną. Mówili, że to co robią jest bardzo ważne. Chłopcy na wojnie musieli mieć bandaże i dostawać listy.

Nie ma jajek i sałaty. Zrobi sobie makijaż i wyjdzie, potem zrobi resztę. A może iść do miasta raz bez makijażu? Catherine śmieje się i zaczyna, z wprawą, nakładać na twarz kolejne warstwy drobniutkiego pudru w różnych odcieniach i kremów, tak że wcale tego nie widać. Coraz ciemniejsze odcienie brązu i tusz na rzęsy, ostrzejszy róż na usta. Ludzie to oglądają i myślą, że takie są jej naturalne kolory. Faktycznie nie są nawet zbliżone, co powoduje, że czasami, gdy nie chce jej się umalować, nie wychodzi w ogóle z domu.

Lubi ubierać się bezpretensjonalnie i odpowiednio, zwracając uwagę nie tyle na kolor - czy dobrze wpływa on na samopoczucie - ile na to, żeby nic się nie marszczyło z tyłu. Żeby spódnica nie była za krótka, bo wtedy wygląda się grubo, i żeby rozszerzała się ku dołowi. Catherine patrzy w lustro i czuje się dobrze. Nie wygląda młodo, ale też i nie staro... i musi się już śpieszyć.

Jak wygląda? (Na ścieżce jest sucho - przydałby się deszcz). Dla tutejszych ludzi jak Amerykanka, cokolwiek to dla nich znaczy. (Jej najbliższa sąsiadka, starsza pani, wypłasza właśnie z nowego gołębnika w swoim ogrodzie gołębnie). Jak zamożna kobieta, która bardziej pasuje do świata bogaczy.

Catherine mija w drodze do miasteczka spacerujące pary i patrzy na przeświecające pomiędzy drzewami błękitne morze. Przez szpary w żywopłotach i ogrodzeniach widzi rosnące, w ogromnych pojemnikach, róże albo obserwuje, jak ogrodnik polewa węzłem czyjś nowy samochód. W kapliczce, na zakręcie, widzi świeże kwiaty.

W miejscu, gdzie droga spotyka się z inną, większą ulicą, także prowadzącą do miasteczka, wisi na krzyżu Chrystus - naturalnych rozmiarów i w naturalnych kolorach. Pomimo że u jego stóp stoją, w słoiku po oliwie (z uśmiechniętą dziewczyną na etykiecie), róże, wygląda tak, jakby pomalowano farbą plakatową człowieka i powieszono tam, nie wiadomo w jakim celu.

Obok krzyża znajduje się źródło, z którego wytryskuje i spływa po zboczu fontanna wody. Pod ukrzyżowaną postacią zatrzymują się samochody i ludzie napełniają tą wodą butelki i dzbanki. Postać na krzyżu powinno się chyba oglądać tylko przez jeden krótki moment, jedno odsłonięcie - potem powinien pozostać tylko krzyż. Czy ludziom to w czymś pomaga, gdy napełniają swoje plastikowe pojemniki

oglądają codziennie zwłoki i czerwone kwiaty? Kto wstawia do przywiązanych drutem butelek z wodą kwiaty? Prawdopodobnie jakieś kobiety, które albo czegoś chcą, albo wdzięczne są za coś komuś, kto chyba lubi kwiaty.

Catherine, obserwowana przez ludzi, wciąga brzuch. Ludzie są dobrze ubrani i rozprawiają o smaku wody. Czy smak to coś ciągłego? Czy możesz być znawcą sztuki i dostrzegać różnice w odcieniach kolorów na obrazach, jeśli nie potrafisz odróżnić subtelnych różnic w smakach wody? A czy jest może tak, że nie zostaniesz dostrzeżony, jeśli sam nie dostrzegasz?

Co pomyślałaby przybysz z obcej planety widząc, w różnych miejscach naszej Ziemi, wiszących na krzyżach mężczyzn? A jak pogodzić z tym późnym popołudniem tych, którzy umierają z głodu lub bez słowa skargi siedzą gdzieś skuleni pod tym samym słońcem i nie przeszkadzają jej myśleć o tym, czy ma polakierować paznokcie czy nie... i pozwalają temu wytwornemu Francuzowi odjechać luksusowym autem spod fontanny?

Na targu nie będzie już pewnie sałaty. Granitowy posąg kobiety o rozłożystych biodrach pochyla się nad rosnącymi na skrzyżowaniu pelargoniami. Catherine przypomina sobie, pomiędzy jednym a drugim mijanym po drodze drzewem, że w taki dzień nie może czuć się ani być taka jak zwykle. Powinna myśleć kolejno: o Thornie, jak czeka na nią w trawie lub w cieniu topoli, albo gdzie tam jeszcze sobie życzyła; o Jacku, który był taki przejęty i tak bardzo się biedak starał.

Drogę przecinają jej młode dziewczęta na rowerach, z rozwianymi włosami i opalonymi na brązowo ramionami i nogami. Choć je obserwuje, nie zauważają jej. Muszą, zapewne, dzielić ludzi napotykanych po drodze na tych młodych i przystojnych (ci je interesują), tylko młodych (tych starają się nie zauważać) i całą resztę rodzaju ludzkiego. Ci są dla nich jedynie mglistą plamą. Obserwują i czekają, czy jakiś mężczyzna nie zainteresuje się nimi - odwróci się, spojrzy, zagada. Catherine obserwuje nie tylko ich migające w powietrzu brązowe łydki, ale także kobietę niosącą, w torbie na zakupy, kieszonkowych rozmiarów pieska oraz jakieś niemilosierne chude, niezwykle szykownie ubrane stworzenie.

Zaczyna się ruch uliczny; w dali widać błękit morza. Musi się pośpieszyć. Przechodzi obok wystaw sklepowych i choć wie, jak wygląda, spogląda w nie, żeby

jeszcze raz zobaczyć, obok odkurzaczy i reklam biur podróży, swoje odbicie. W ścianę starego kościoła z czasów rzymskich wmurowane są tablice nagrobne; religia chrześcijańska wchłonęła wszystko, nawet butelki po oliwie. Przez otwarte drzwi kościoła zieje wojowniczo jego czarne wnętrze upstrzone, tu i ówdzie, blaskiem świec. Nachylone wszystkie w jednym kierunku, bez żenady kapią do krypty.

Catherine znów widzi kobietę z pieskiem w torbie. Z początku nie wiedziała, że pies jest żywy, ale któregoś dnia zauważyła, że szczeka w jej kierunku, a potem jakiś inny pies zatrzymuje się, nieruchomieje i zaczyna warczeć. I zaraz zobaczyła, że z torby wychyla się, a potem chowa, mały łebek.

Nagle kobieta stawia torbę na ziemi. Piesek wyskakuje, obsikuje dwa razy mur kościoła, a potem wskakuje z powrotem do torby, a kobieta idzie dalej kręcąc pośladkami pod krótką spódnicą. Co za harmonia ruchów, jaki zwawy krok - aż przyjemnie popatrzeć. Szczególnie, jeśli się ją porówna z wlekącym się obok, ciągniętym za rękę przez matkę tłustym bobasem. Dzieci muszą mieć ręce z żelaza, tak jak małe małpki. Na placu targowym jest jeszcze w koszach trochę sałaty. Jajka też są. Catherine je kupuje i rusza z powrotem do domu.

Zatrzymują ją sterczące kłykcie drzew rosnących na placu. Każdego roku drzewa wypuszczają nowe gałęzie, które, przycinane, za rok znów odrastają. Wąskimi, zacienionymi uliczkami chodzą dobrze ubrani mieszkańcy miasteczka i turyści. W średniowiecznej fontannie pluska woda, a mur hotelu jest zbyt stary, by mieć jakiś jeden kolor - jest łososiowo-różowy, zielony i szary jednocześnie. Jakiś chłopiec spryskuje wodą, a potem wyciera, duże okna; w ich szybach odbija się marmurkowy stiuk i odrastające gałęzie drzew.

Ponieważ dzień jest szczególnie, Catherine siada pod drzewami i zamawia piwo cytrynowe. Jej francuski wystarcza do tego i ponieważ nie musi, nie uczy się go więcej. - Nie kłopotz sobie tym swojej ślicznej główki, moja Piękna - mawiał do niej zawsze Jack. Nazywał ją Piękną, ponieważ on był, jak mawiał, Bestią, którą ona zamieniła w księcia (a przynajmniej nim się czuł). Przypuszcza, że nie zadawała sobie trudu uczenia się francuskiego także dlatego, że Thorn, przez te wszystkie lata wybierania się do Francji, był chyba zły i zdenerwowany i rzadko pisał czy telefonował.

Chodnik, na którym poustawiane są plastikowe stoliki, jest wiekowy i zniszczony. Marie przynosi jej piwo cytrynowe. Jak to jest, gdy jest się taką Marie, modelką Matisa, uwiecznioną przez niego w momencie, gdy ubrana w biały fartuszek wydaje ze skupionym wyrazem twarzy resztę? Czy tylko kobietą, której krzepkie, obecnie już podstarzałe ciało, i chłopska twarz zachowane zostały dla potomności?

Na plac wtacza się, ocierając się niemal o parapety okien, autobus i staje w cieniu drzew. Catherine wstaje, wciąga brzuch, prostuje się i odchodzi w kierunku kwitnących żywopłotów. Ma teraz na własność kawałek francuskiej ziemi... tak. Gniew, który czuje, ma różne odcienie, jak barwy obłazającego tynku na murze albo liści wyrastających z kikutów drzew.

3

Gęstwina liści nad drogą prowadzącą do tłoczarni porusza się na wietrze, a salon pogrążony jest w ciemności. Catherine stawia torbę na zakupy na podłodze i słyszy, dochodzący z sypialni, dzwonek telefonu. Podnosi słuchawkę i słyszy głos Briana. Brian uważa, że siedzi tu sama jak palec, podczas gdy najważniejsze rzeczy dzieją się z dala od lądu. Opuść tę swoją norę, mówi, przyjedź do Nicei, to gdzieś popłyniemy. Nie będzie nikogo poza mną, kapitanem i załogą. I kuchaczem, którego właśnie znalazłem - jest cudowny, zobaczysz.

Catherine mówi, że przyjeżdża ją odwiedzić stary przyjaciel, ale chyba zobaczymy się jutro u Adrienne, dodaje. Jeśli mój przyjaciel nie zostanie. Nie, to naprawdę dobry przyjaciel, przyjaciel rodziny. Mówi i czuje, zwykłe w rozmowie z mężczyzną, charakterystyczne naleganie z jednej strony i opieranie się z drugiej. To oni są twórcami tej gry, tego odwiecznego tańca, skomplikowanego i mobilizującego jednocześnie. Czujesz płynącą z niego siłę, jakbyś miała coś, czego mężczyzna pragnie najbardziej. Jest to oczywistym kłamstwem, ale on to ukrywa. To właśnie, że druga osoba, równie skomplikowana jak ty, jest zależna od ciebie, tęskni... czyni tę grę pociągającą.

Położyła słuchawkę. Głos Briana umilkł, a ona znów drży cała, popłakując w kuchni nad butelką wina. Nie szkodzi, umyje sobie twarz i zrobi nowy makijaż.

Schłodzić wino. Zrobić mus. Catherine nie myśli o tym, co robi, ani nie widzi nawet kuchni dookoła; myśli o tym, że Thora nie będzie chciał zostać. Nie mogą mieć znów po siedemnaście i trzydzieści siedem lat. Gdyby tam wrócili, nowe domy przesłaniałyby ich topole i wiązy. Tam gdzie był kiedyś ogród Tubbita, teraz znajduje się boisko do piłki nożnej. W miejscu starego domu, z łabędziami i fontannami na tapecie w łazience, okrągłym okienkiem w drzwiach wejściowych, serwetkami Tubbita i stodołą, stoją nowe domy. Tam gdzie kiedyś powiedziała do Thorny: „Chcę zacząć. Nie boję się”, i pocałowała go, i mówiła za dużo na raz. A potem, jedyne co mogła zrobić, to uciec do domu i wbiec, prawie bez tchu, na górę do swojego pokoju.

Thora nie zbliżał się do niej ani nie rozmawiał z nią. W jego oczach nie było nawet oczekiwania, ale ona wiedziała, że było w nim i wiedziała, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu, jak wiele mógł zrobić czyniąc tak niewiele. I jak wiele zrobił.

A może zobaczyła to dopiero później, wtedy gdy miała dwadzieścia dwa lata i codziennie zabiegał o nią jakiś mężczyzna? Gdyby nie miała wtedy Thorny, Jack wydawałby się jej najbardziej pociągającym mężczyzną na świecie. Znał wszystkie sztuczki, nawet tę sztuczkę, że nie stosuje się żadnych sztuczek. U Jacka widziało się jednak, że stosuje tę sztuczkę.

Thorn nie ukrywał nic, poza czekaniem. I czy ktokolwiek był kiedyś, tak jak ona - ani myśliwym, nie ofiarą - lecz jedynie tą młodszą istotą, która nagle została przepelniona uczuciem do milczącego mężczyzny?

Nigdy nie myślała o strojach, perfumach, ani o tym, jak on ją ocenia. Nie był kimś, kogo pociągała czy uwodziła. Czy miała wtedy, w ogóle, jakiegokolwiek perfumy?

Catherine wkłada mus do lodówki i nie może przestać śmiać się z tego pytania, płacząc przy tym jednocześnie. Na miłość boską, mieszka w tym w miasteczku, niedaleko od Grasse, a nie nauczyła się do tej pory kochać tego zapachu, który się za nią ciągnie. I udaje, że to jej zapach, a nie zwiędniętych roślin czy nieżywych zwierząt, nie gruczołów ani korzeni, płatków kwiatów ani żadnej wydzieliny, plonów na sprzedaż czy brudnych beczek wytaczanych z frachtowców.

Wtedy nie musiała wybornie pachnieć... Musiała za to pytać siebie: czy powinnam dotknąć Thorna? Jeszcze raz go pocałować? Dlaczego pragnęła to zrobić i czego on pragnął?

Trudno jej przypomnieć sobie ten ogromny pociąg, jaki czuła wtedy do Thorna. Nie był wcale taki „przystojny”. Nie miał zamiaru pozwolić jej triumfować, gdy go „złapała”. Był po prostu tym Thornem, którego zawsze znała, tylko że teraz, tak jak księżyc, pokazywał jej swoją inną stronę.

Thorn nie zrobił żadnego ruchu. Najmniejszego.

Catherine kroi orzechy do sałatki i śmieje się. Przypomina sobie, jak zastanawiała się, jak zacząć, czy powinna i czy potrafi. Że będzie musiał założyć prezerwatywę. I że to taki pozbawiony godności akt. Czyż nie można czuć do tego odrazy, jeśli nikt nigdy nie powiedział ci wcześniej, jak to się robi? Czyż nie można wtedy powiedzieć sobie: „O nie, to nie może być tak?”

Czasami w nocy zwiјаła się w łóżku w kłębek i wsłuchiwała w panującą w domu ciszę, w szum wiatru, uderzenia deszczu o szyby i czuła się wolna. Wybór należy do niej, to podniecenie nie będzie trwało wiecznie, jest wolna i nie musi nic robić.

Zebrała z deski orzechy i pomyślała, że nigdy tak się nie czuła. Nigdy nie było tak, że mogła nic nie podejmować. Zawsze czuła na sobie presję mężczyzny, to ponaglanie, które wydawało jej się naturalne: zrób to, zrób tamto, pocałuj mnie, rozbierz się. Nigdy nie mogła robić tego, na co miała ochotę, tylko ten jeden raz. Mogła wtedy bez końca myśleć i planować, jeśli miała ochotę, podczas gdy on zajęty był, podobnie jak ona, swoją pracą. Chyba że chciała o tym mówić. Chyba że podeszła do niego i bez słowa położyła mu ręce na ramionach, a on ją objął. I czekał.

Miała siedemnaście lat i musiała myśleć o wszystkim. On był dwadzieścia lat starszy. Jak by to było, gdyby nie ciągnęło ich tak wtedy do siebie, gdyby się potem rozstali i każde poszło w swoją stronę?

Miała wtedy tyle do zrobienia. Włosy opadały jej luźno na plecy, nie musiała się nimi zajmować, myśla tylko twarz i koniec. Chciała pisać, tego była pewna. Po skończeniu college'u podróżowałyby samotnie przez jakiś czas. Wszystko robiłaby

sama, tak, że to co widziała, byłoby tylko jej własnością. Thorn nie byłoby może przez rok. Nie pisaliby nawet do siebie listów.

- Powinnaś teraz zostać całkiem sama - powiedział jej kiedyś w czasie burzy, gdy ich stary dom pogrążony został w środku dnia w takiej ciemności, jakby zapadł nagle zmierzch. - Nie mogę ci już więcej pomóc... nigdy nie mogłem. - Przetoczył się nad nimi grzmot i przez chwilę czuła, jakby świat znajdował się pod nią, a ona sama miała skrzydła. Dopiero po wielu latach zobaczyła w Luwrze marmurowy posąg „Nike z Samotraki”, tak bliski tego, co czuła.

Thorn obserwował przez zasłonę z deszczu nowe domy; jedynie stojący najbliżej znak uliczny znajdował się przed rozwiewaną przez wiatr kurtyną z deszczu. Wkrótce woda zaczęła ściekać z topól i zalewać okna, a poza żółtobrazowymi smugami nie było już nic widać. Czy mogłaby stać tam tak zawsze?

Potem wiatr i deszcz zaczęły tracić na sile i Catherine zaczęła rozróżniać na tle szyby długą sylwetkę Thorna. Krople stawały się coraz słabsze i słabsze, spadały coraz rzadziej.

- Wyszła za mąż - powiedział. - To było takie proste.

4

Co powinna na siebie włożyć? Wszystko zależy od tego, czy uda jej się zrobić coś z włosami, czy uda jej się je uczesać. Jeśli nie, będzie musiała założyć szal. Jeśli włosy jej się ułożą, będzie mogła założyć długi, powiewny kaftan. Próbowала z Thornem wszystkiego, szeptała do niego w ciemności - bez obawy i najmniejszego wstydu - eksperymentowała dotąd, aż oboje zaczęli tarzać się ze śmiechu.

Może też włożyć zielony lniany kostium, a do tego złoty naszyjnik z jaspisów i pod kolor sandałki.

Albo niebieską suknię od Diora. Jest w kolorze jej oczu, a poza tym, pasowałby do niej szal. Do tego włoży odkryte sandałki, prawie bez pasków. On nie zrobi pierwszego kroku, nieomalże o tym zapomniała. Nigdy nie zapyta jej w blasku świec:
- Czy mam zostać?

Odkąd usłyszała w słuchawce jego głos, cały czas martwi się, w co ma się ubrać. A może włożyć drukowaną, bawełnianą sukienkę? Jest żółta i będzie ładnie wyglądała w blasku świec. Suknie piętrzą się bezradnie na jej łóżku i wyglądają, na białej pościeli i koronkowej narzucie, jak nieruchoma tęcza.

A może spodnie? Proste, białe spodnie i do tego góra. Są przewiewne. Catherine chodzi jakiś czas tam i z powrotem, przyglądając włosy. Czy można je tak zostawić? Absolutnie nie. Poczuje ich zapach, gdyby się do niej zbliżył, a przecież się zbliży. Ależ nie, nie zbliży się... Nie będzie nic mówić, tylko słuchać. Będzie czekać - na co?

No dobrze, podejmie decyzję, jak zobaczy co z włosami. Po tym jak ogoli łydki i się wykąpie. Zdejmuje dzinsy i koszulę i znów płacze; myśli, jak musiała wyglądać, gdy w wieku siedemnastu lat wchodziła co noc do pokoju Thorna, żeby z nim spać, po prostu z nim spać.

On to zrozumiał, od razu pierwszej nocy. Przesunął się bez słowa, a ona położyła się i słuchała, jak przez okno wpada i szeleści mapami na biurku wiosenny wiatr. W Gilmanie śniła, że jest w pokoju Thorna, przytula twarz do jego pleców i obejmuje go ramionami, a potem budziła się i uświadamiała sobie, że jest w akademiku i że on nie żyje.

A on żył. Catherine patrzy na płynące jej po piersiach łzy i czeka, aż napełni się wanna. Ale i tak odebrano jej go. Jack patrzy na nią, gdy tańczy z orchideą na ramieniu w Empire Room, takim wzrokiem jakby była jakąś królową albo boginią, która w czasie tańca na parkiecie potrafi rozmawiać o Miltonie. Na miłość boską, rozmawiać w czasie tańca na parkiecie o tym, jak Adam mówił Bogu, jakiej chce partnerki:

*Jakaż to przyjaźń między nierównymi
Może rozkwitnąć, jakaż zgodność, jakaż
Prawdziwa miłość? **

* Urywek poematu Johna Milтона „Raj utracony” w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego.

W łazienkowym lustrze widzi odbicie nagiej kobiety o mokrych policzkach i mokrych piersiach, która czeka, aż napelni się wanna. Jediną kobietą, którą Milton mógł dać Adamowi, była Ewa. I Adam nie jest zadowolony. Tylko, że Milton był na tyle wielkim poetą, że potrafił niepostrzeżenie przemycić prawdę. Uczynił więc w końcu z Ewy centralną postać. To Ewy decyzja spowodowała Upadek - powiedziała do Jacka Catherine przekrzykując orkiestrę. Ewa wykorzystuje Szatana i zastanawia się nawet przez chwilę, czy powinna podzielić się jabłkiem i swoją wiedzą z Adamem. Starła się nie płakać, a Jack patrzył na nią i powiedział, że będzie się nią opiekował.

Catherine wlewa do wody perfumy i zanurza się w niej; jej ciepło otacza ją tak jak głos Jacka, jak jego ramiona i jego plany. Ruth i Peggy nie mogły uwierzyć, że nie chce się z nim spotykać.

Catherine słucha ćwierkania ptaków w ogrodzie i wołania kukulek z jednego brzegu rzeki na drugi. Za jakiś czas kukułki przestaną kukać i ustąpią miejsca słowikom. Thorn zachował się z podobną galanterią: nie złożył nigdy wizyty panu i pani Laird; pozwolił, by ponad rok upłynął od momentu, gdy Jack krzyknął nagle i upadł na podłogę u stóp jakiejś małej dziewczynki, która wciąż powtarzała: - Mamusiu, czy ten pan nie żyje? Mamusiu! - Catherine stała w tym czasie przerażona, że śmierć znalazła się tak blisko niej. A potem znów minął pewien czas i Catherine dostała od prawników dokumenty. Mogła robić, co tylko chciała, mogła decydować o sobie.

Myślała, że będzie mogła decydować o sobie w Gilmanie. W Chicago szła na spotkania z Jackiem z umalowanymi rzęsami i w nowym, sztywnym biustonoszu, który Jack bez wątpienia musiał wyczuwać przez smoking, gdy przyciskał ją do siebie na parkiecie. Bliska omdlenia słuchała walenia bębna oraz ryku saksofonów i trąbek, które powtarzały wciąż od nowa tę samą melodię. Biedny Jack.

Catherine wychodzi z wanny i patrzy, jak znika w niej woda. Wszystkie urządzenia w łazience są nowe - chrom, fajans i szkło błyszczą na tle ścian starej olejarni jak bańka mydlana. Catherine wyciera się, zatrzymując ręcznik na dłużej przy twarzy. Nie powinna była pojechać do Detroit, nie mogła znieść widoku miejsca, gdzie kiedyś stały ich domy.

Po wielu latach zajrzała w domu Jacka w Londynie, do zeszytów, w których robiła kiedyś w pośpiechu notatki, nie mogąc się doczekać, aż przejdzie do następnej rzeczy, której chciała się dowiedzieć. Papier żółkł i miał pozawijane rogi, a między wierszami pozostał ledwie wyczuwalny zapach Thorna. Wiedziała już wtedy, że on nie zginął. Gdy zadzwonił po raz pierwszy, rozmawiała właśnie z dekoratorką wnętrz i musiała mu powiedzieć, że wyszła za Jacka.

Z ogrodu dochodzą odgłosy nawoływania ptaków, kukułki wtórują sobie na obu brzegach rzeki. Upał już mija. Perfumy, które wlała do wody i te, którymi teraz się spryskuje, są takie same; inny zapach ma tylko płyn do ciała, którym smaruje ogolone łydki. Catherine stara się wetrzeć w skórę jego nadmiar, po czym myje wannę i umywalkę i wyjmuje ręczniki dla Thorna.

Jej włosy. Zapomniała o włosach. Biegnie nago do kuchni umyć je w zlewie, bo ma tam w baterii zamontowany prysznic. Nikt jej nie widzi. Chłodniejsze już o tej porze powietrze przynosi ze sobą do domu zapach rzeki. Catherine suszy głowę ręcznikiem i patrzy w okno na widoczne między łukami mostu na rzece, na tle błękitnego nieba, stare Devereux. Ten widok to jego obsesja. To jego most. To jego widok. Należy wyłącznie do niego, tak jakby był Bogiem. I jest samotny.

Catherine owija się ręcznikiem i wchodzi kręconymi schodami do znajdujących się na górze przestronnych pomieszczeń. Duże, cofnięte w głąb okna wyglądają jak głęboko schowane pod dachówką oczy. Widok z nich obejmuje górę i dół rzeki, aż po zakola oraz pasek Morza Śródziemnego, pomiędzy drzewami. Catherine stoi w oknie i wyobraża sobie, że mieszka tu i pracuje Thorn.

Może pracować w tym pokoju. Jej książki, papier i maszyna do pisania znajdują się w drugim. Może zacznie na początek od krótkich opowiadań. Nic jej teraz nie przeszkadza w pisaniu. Nie musi już więcej przyjmować klientów, znajomych ani współpracowników Jacka, ani nie musi, wraz ze zmianą pory roku, przeprowadzać się z jednego domu do drugiego. Przez osiem lat albo wyprowadzała się z mieszkania do domu, albo na odwrót.

Thorn zobaczy, jak na wiosnę zmienia się tu rzeka i winnice na zboczach, jak różna jest tu jesień od tej w Londynie, we Włoszech albo na Środkowym Zachodzie. Jeśli tu zostanie.

Wkrótce zachodzące słońce stanie się czerwone i wszystkie żółta trawy w ogrodzie będą miały krwawe obwódki. Drzewa nad nieuczęszczaną drogą poruszają się ciężko na wietrze, Catherine także czuje na sobie jego powiew. Jest wykąpana, pachnie mieszanką perfum, ma dobrą fryzurę, a jej szczupłe ciało, odziane w spodnium z białej krepy, drży - to tylko letni wiatr...

Droga zatacza poniżej olejarni pętlę, zawraca i znika za mostem pomiędzy drzewami. Catherine słyszy w ciągu ostatniej pół godziny każdy samochód, który nią jedzie. Wysoko w górze widoczny jest akwedukt z czasów rzymskich; o zachodzie słońca wygląda, jakby był czarny z czerwonymi niszami.

Catherine zapala świece i zamiera w bezruchu, słysząc zatrzymujący się samochód. Jego drzwiczki zatrząskują się. Catherine stoi w pokoju bez ściany z zapalką przytkniętą do świecy, nieruchoma jak posąg. Po jakimś czasie, powiewając połami długiego kaftana, wychodzi na zewnątrz.

Stoi pomiędzy krzakami róż i czeka. Liście przesłaniają ścieżkę, którą opisała mu przez telefon. Jest przygotowana na wszystko: łysinę na głowie, zimne spojrzenie niebieskich, ocienionych długimi rzęsami oczu, a nawet zgarbione plecy - wszystko co piętnaście lat rozłąki mogło z nim zrobić. Jack był prawie w jego wieku, gdy odgrywał kochanka podobnego do tych, których pokazują na filmach i opisują w książkach, gdy zalecał się do niej i prześladował ją względami.

Nagle ma wrażenie, że widzi Thorna. Idzie oświetlony do potowy blaskiem zachodzącego na czerwono słońca, podczas gdy druga jego połowa, podobnie jak ścieżka i chrzęszczące pod jego stopami kamienie, schowana jest w cieniu. Catherine wyobraża sobie tylko spojrzenie jego jednego niebieskiego oka, z zielonymi niteczkami na tęczę, drugie schowane jest w cieniu zmierzwionych włosów. Widzi też, otoczone z obu stron bruzdami i odcinające się smutnym trójkątem nad wystającą brodą, usta.

Nie ma nic równie zrozumiałego jak romans. Jest tak samo bujny jak liście, z których wyjdzie on, w swoim wymiętym garniturze i z teczką w jednej ręce. Nie ma

nic prostszego, niż miłość ojca do córki i na odwrót. Nie ma nic takiego, co można by porównać z zapamiętaną linią ust, czy jakimkolwiek zapomnianym dotykiem - myśli Catherine. Ona nie odpowie nic, tylko skryje się w jego ramionach, by nie widzieć jego oczu. Będzie pachniał, tak samo jak wtedy, tytoniem, a także tym właściwym sobie zapachem, po którym można go rozpoznać równie łatwo, jak japońskiego księcia. Pocałują się - co innego mogliby zrobić?

Będzie, cały drżący z przejęcia, podziwiać olejarnię i łuk mostu kolejowego nad rzeką. Ona, nie widząc i nie słysząc nic dookoła, uśmiechnie się i powie, że most nie jest już używany. W czasie wojny zniszczone zostały wszystkie mosty, które miały z nim połączenie, i nie można ich odbudować. Teraz chodzi nim' tylko do swojego domu po drugiej stronie rzeki jeden człowiek, stary i zgorzkniały chłop. Żeby to robić, musi korzystać z drabiny, a tę drabinę chowa przed innymi. Nikt nie może dostać się na most bez drabiny. Nikt poza nim nie może po nim chodzić. Most wydaje się zawieszony wysoko w górze, jak lina w cyrku. Tyle że bez siatki. Czerwień zniknie ze zbocza.

Catherine będzie czekać oszołomiona, aż Thorn umyje ręce; jest tu, świece jeszcze się palą, sałata wciąż jest krucha, omlet doskonale się udał. Będzie patrzył nad nią ponad stołem, ona przypomni sobie, że on ma pieprzyk u nasady szyi i drugi na biodrze, a on będzie nalewał im do kieliszków wina.

- Opowiedz mi o Brazylii - powie i nachyli się nad stołem, tak, że będzie się wydawała jego częścią; i, ledwie dotykając kieliszkiem warg, będzie się uśmiechać

- Ryciny w mojej nowej książce nie oddają faktycznej barwy motyli. Co u ciebie słyhać?

- Czuję się samotna - odpowie. Nie będzie na nią patrzył. Opuszczone kąciki ust, pełna dolna warga, to samo szczupłe ciało pod garniturem... - odkąd Jack nie żyje. Ale tak mnie zabezpieczył, że mogę robić wszystko, co zechcę.

Nie spojrzy na nią. Będzie jej opowiadać o wizycie w Dakocie Południowej. Tubbit się starzeje, mieszka sam. Będzie się wpatrywać w świece albo w okno. Gdy będzie nalewać do kieliszków wino, ona będzie przypatrywać się jego dłoni. Zna ją tak samo dobrze jak swoją własną: każdą jej kostkę i każdą bruzdkę. Będzie jadła omlet,

ale nie będzie w nim czuć smaku jajek; będzie w nim smak zupy warzywnej i zapach starej, mrocznej kuchni. Thorn ma spuszczone powieki.

Catherine opowiada, że zamierza wyjechać do Londynu. Czuje łagodny dotyk swoich włosów na policzku. Na moment spotyka jego wzrok, który przypomina jej wzrok Jacka w Amanas - jest tak samo zamglony, tak samo jest w nim żal i tak samo nim natychmiast ucieka.

Catherine mówi, że atak serca u Jacka nastąpił tak niespodziewanie. Był dla niej takim szokiem. Gdyby chociaż mieli dzieci. Ale to już ponad rok. Zbiera talerze, znosi je do kuchni i przynosi mus, następną butelkę wina. Znowu siada naprzeciwko niego przy stole, spuszcza powieki, przechyla głowę i uśmiecha się leciutko, patrząc na kieliszek z winem. Jej partner, po drugiej stronie stołu, odwraca od niej zasmuconą twarz.

Tak jakby jej czegoś brakowało.

Nie, powie, jakoś się nie ożenił.

- Musisz obejrzeć olejarnię - powie Catherine, gdy zjedzą mus i wypiją kawę. Kuchnia jest jasno oświetlona, ale w znajdującym się za nią pokoju, z belkami na suficie i ogniem na kominku, panuje mrok. Kosmyk włosów muska jej policzek, Catherine potrząśnięciem głowy odrzuca go do tyłu. - Przyjechałeś tu na dłużej?

- Nie - mówi Thorn. - Nie na długo.

Czy nie uważa, że takie stare budowle są fascynujące? Pokazuje mu stare, wąskie schody prowadzące na górę i w dół. Wgłębienia po kołach wózków na podłodze. Pokój jest na tyle duży, że na środku mieści się stół z zamontowanymi wzdłuż ławami do siedzenia. Tu właśnie chce pisać, za dnia roztacza się stąd śliczny widok. I jest jeszcze jeden pokój, wystarczająco duży...

Usiądzie wygodnie obok niego przy kominku, w fotelu pokrytym pikowanym perkalem, zapali papierosa; blask ognia oświetli jej krągłe, nagie ramię, a za oknem słyszeć będzie szum rzeki.

- Cieszę się, że jesteś zabezpieczona - mówi Thorn i pochyla się do niej mrużąc oczy od dymu. Pod skarpetkami ma gołe ciało, jego garnitur jest wymięty. Nie mówi dalej, patrzy na oświetlone małymi lampkami siedemnastowieczne stoliki i obrazy.

Pod ścianą domu będzie ciemno. (Mur najpierw się wybrzuszył, a poprzedniego lata zwałił na drogę i ogród grzebiąc pod sobą ogrodowe fotele i stertę książek). Zapach róż miesza się na nieuczęszczanej drodze z wonią ziemi.

Kolejna ćma atakuje zapaloną świecę, a następnie znów odlatuje w mrok, gdzie zaczął już śpiewać, wbrew wszelkim ptasim zwyczajom nie do słońca, lecz w ciemności, słowik. Catherine zaciąga się głęboko dymem, potem otwiera usta, żeby go wypuścić, i ma wrażenie, że Thorn drży.

Od mimozy odrywa się cień. Za nim podążają dwa inne cienie. To dzika kotka prowadzi swoje kociaki do miski, którą wcześniej napełniła Catherine. Ich sylwetki przemykają w świetle księżyca, a trzy pary oczu płoną na tle muru szopy niczym latarnie. Gdy ucicha śpiew słowika, koty znikają w ciemności. Światło księżyca zalewa ogród. Catherine i Thorn wyjdą z domu i usłyszą, jak rzeka z łoskotem przetacza się przez dolinę. Zatrzymają się w miejscu, gdzie ścieżka zaczyna schodzić w dół, i zobaczą przez moment błysk kocich oczu.

Thorn spogląda w górę na most, a potem zaczyna schodzić w dół. Catherine słyszy, jak zapala samochód i rusza drogą, która najpierw zatacza pętlę, a potem znika za mostem wśród drzew.

Gdy ucicha odgłos silnika, Catherine słyszy szmer płynącego wzdłuż drogi strumyka. Płynie on spokojnie, z dala od rzeki, pokrywając bluszcz osadem wapna. Jego duże, białe gałązki wyglądają tak, jakby były oszronione, a przyłączone do skał liście sprawiają wrażenie, jakby w upalną noc wyrzeźbił je na nich mróz.

Zapach róż pozostanie, podobnie jak chowająca się gdzieś w pobliżu drogi kotka. W tunelu liści nad drogą czuje się powiew wiatru niosącego ze sobą lekki zapach janowca. Budynek starej olejarni wygląda, na tle gwiazd, równie stateczny jak most, gdzieś tam w dolinie zaczyna śpiewać słowik.

Świece się dopalają. Catherine zdmuchuje je i zamyka za sobą drzwi kuchni. Pozostała tłusta patelnia po omlecie i zwiędnięta resztką sałaty; Jeannette jutro posprząta.

Z każdym zamknięciem kolejnego okna rzeka coraz bardziej się oddala i wkrótce „w salonie” pozostaje tylko, jak wspomnienie z wieczoru, ogień w kominku. Jego płomień rzuca cienie na stół i krzesła oraz przedmioty z drewna, które Catherine

przyniosła tu z innych pomieszczeń. Nie sprawiają one jednak wrażenia, że zostały tu przyniesione albo że zostały kupione, ale jakby tutaj wyrosły. W piwnicy znajdują się wciąż stare koła młyńskie, wciąż czuć tam zjełczałą woń oliwy i jest obecne wspomnienie łoskotu obracającego się koła. Podobnie jak obecne jest wciąż wspomnienie stukotu pociągów na moście.

Ogień na kominku przygasa i Catherine idzie do sypialni. Otwiera drzwi i widzi, że wszystko dookoła zalane jest zimną, księżycową poświatą. Nawet żółte kwiatki janowca straciły w niej swoją barwę, a każda fałdka na pościeli kładzie się atramentowym cieniem na prześcieradle. Poza poświatą księżycową i szumem rzeki w oddali nie ma tam nic.

Może zamknąć drzwi do sypialni, w pokoju będzie wtedy cieplej. Może położyć się na kanapie i nakryć szalem, to nie będzie drżeć z zimna, a od czasu do czasu będzie ją podgrzewał ciepły, żółty płomień ognia.

Catherine czuje woń octu z sałaty - Jeannette to posprząta. Jutro zje śniadanie na patio, będzie kolejny ranek. Leży w półśnie i słucha swojego rytmicznego oddechu, oraz równomiernych uderzeń serca.

6

Nie, mówi Catherine.

Czekając na Thorną i zapalając następną świecę, słyszy, jak samochód rusza, jedzie drogą, która zatacza pętlę, a potem przestaje go słyszeć. Thorn nie przyjechał, jeszcze nie. Catherine, prawie nieprzytomna od wyobrażeń, wybiega z kuchni i pędzi w kierunku biurka po papier i pióro.

O czym pomyślała najpierw? O włosach, a potem o łóżku. Światło świecy, odbite w zielonym szkle, w pojemniku na masło i w kieliszkach z winem posłuży Thornowi jako latarnia, gdy będzie tu szedł wysypaną żwirem ścieżką. Catherine zostawia na stole, obok świecy i kwiatów, kartkę, i wychodzi z domu. Zostawia płonące świece, idzie ścieżką w kierunku miasteczka.

Zachodzące słońce oświetla dach gołębnika w ogródku sąsiadki, w którymś stawie rechocze żaba. Przy drodze rośnie żywopłot, którego krańce zaznaczają trzy wysokie, przycięte na kształt kobiecych kształtów iglaste krzewy. Przyglądają się Catherine, gdy je mija. Spod jej nóg rozpryskują na wszystkie strony kamyki, słysząc gdzieś szczekanie psa, a przez przerwę w kamiennym ogrodzeniu dochodzi ją czyjś śmiech i brzęk szkła. Włosy i łóżko. Szampon i lakier do włosów. I co podać na kolację. Catherine idzie ścieżką i czuje słodki, duszący zapach kwiatów.

Thorn przyjedzie i zobaczy, jak sobie radzi. Zobaczy jej cenne obrazy i rzeźby. Catherine słyszy narastający szmer fontanny przy drodze i mija przydrożną kapliczkę, z przywiązany drutem do jej drzwiczek butelkami z kwiatami. Od strony miasteczka nadjeżdża samochód i gdy skręca, Catherine widzi przez chwilę na tle drzew, krzyża i fontanny, w odbitych od białych ścian kapliczki promieniach zachodzącego słońca, profil Thorna.

Samochód z czerwonymi promieniami zachodzącego słońca, świecącymi w szybach jak latarnie, oddala się, oświetlając nimi po drodze każdą mijaną ścianę i bramę, a potem po kolei każdy z trzech przystrzyżonych krzewów.

Spod fontanny dochodzi brzęk dzbanków - ktoś napełnia je wodą. Kwiaty pod granitowym posągami tracą już barwy, za wyjątkiem czerwieni, która w nadchodzącym mroku stanie się szkarłatna. Catherine idzie drogą i nagle przychodzi jej do głowy, żeby pójść do kościoła. O tej porze nikogo tam nie będzie.

Na plaży widać całujące się w cieniu drzew pary kochanków. Migocą światła uliczne. Odkurzacze i reklamy biur podróży czekają za szybami wystawowymi na kolejny dzień. Idący parami, grupami i pojedynczo przechodnie obchodzą prowizoryczne ogrodzenie, za którym wznoszona jest jakaś konstrukcja.

Catherine przypomina sobie stertę ubrań na łóżku i pachnącą wodę do kąpieli w wannie.

Kamień nagrobny z czasów rzymskich wmurowany w ścianę kościoła, widoczny zwykle jako nieznaczne wybrzuszenie na jej powierzchni, teraz w świetle ulicznych latarni zdaje się mieć talię, szyję i wzniesioną wysoko dłoń z pucharem. Za umarłych, jak przypuszcza Catherine.

W kościele nie ma nikogo, kapią tylko pochylone świece. Catherine siada w kącie i słyszy, dochodzące skądś, jęklive zawodzenie skrzypiec.

7

Olejarnia na zboczu wzgórza jest tak samo wyzywająca, w swoim osamotnieniu, jak domy nad Zatoką Bostońską. Thorn parkuje samochód i szuka ścieżki.

Jest coraz ciemniej. Pod jego stopami chrzęści, zapowiadając jego przybycie, żwir. Thorn trzyma w spoconej dłoni teczkę.

Wyobraża sobie jasne oczy Catherine, ze źrenicami skierowanymi w niego niczym lufy karabinów wtedy we Francji, gdy po raz pierwszy trafił do ruchu oporu i nie mieli pewności, czy mogą mu ufać.

- Catherine - woła Thorn, ale nikt mu nie odpowiada. Jego głos odbija się w ciemności echem od kamiennego muru i kęp drzew, a potem na powrót słychać tylko nieprzemijający szum rzeki, odgłos wiatru w gałęziach sosen i brzęk owadów.

Thorn widzi teraz w świetle świcy pokój bez jednej ściany i czuje woń róż. Gdy podnosi ze stołu kopertę z urywkiem z wiersza Milтона, od muru, który leży zwalony w ogrodzie, odrywa się kot.

W pokoju panuje cisza. Na stole na białym obrusie stoją talerze i kieliszki z ciemnozielonego szkła. Kieliszki są do połowy napełnione winem, a ze ściany spogląda na niego średniowieczny portret świętej Panienki z upiętymi na głowie, niczym hełm, włosami.

Thorn widzi, w lustrze na ścianie, w kuchni swoje odbicie: bladą, kowbojską twarz, przymrużone oczy, bruzdy na policzkach i ponury grymas ust. Stoi, chudy i wyprostowany, wpatrując się w miskę z sałatą wyciera w spodnie wilgotną dłoń. Rozgląda się po kuchni. Widzi drogie, błyszczące naczynia z nierdzewnej stali, oraz tropikalne rybki w akwarium. Odwraca się i patrzy, czy nikt nie nadchodzi, ale widzi tylko w mroku róże w ogrodzie.

Podłoga w ogromnym salonie jest czarna i wyświecona ze starości, odbija się w niej ogień w kominku, światełka umieszczone nad obrazami na ścianach oraz rzeźby. W pokoju panuje cisza i tylko słychać dochodzący z oddali szum wody w rzece. Thorn siada na moment w starym fotelu; włosy ma zmierzwiłone, a pomiędzy końcami skarpetek i nogawkami spodni widać mu kawałek gołej łydki. Przeczesuje palcami włosy, a jego wzrok wędruje po nagim ciele na obrazie. Nowoczesne malarstwo kłóci się ze starymi ramami, a kobieta na obrazie Giacomettiego ma smutną minę i kształty młodego chłopca.

Thorn podnosi się z fotela i staje koło kominka. Gdy stawia obok siebie na podłodze teczkę, jego wzrok pada na chiński wazon z namalowanym na nim Chińczykiem, który wydaje mu się jakby sylwetką na trumnie, znajomą i zagubioną. Nad kominkiem wisi pociemniałe ze starości lustro, a obok niego stoją rzędem ozdobne talerze. Thorn patrzy na rozległy, stary kominek i wydaje mu się, że okap nad nim naśladuje wystające z czaszki czoło; nie widzi nad nim półki, ani nic mu on nie przypomina.

Nierównymi, krętymi i wymytlonymi do białości schodkami wchodzi na górę, do na wpół oświetlonych pokoi. W pierwszym zatrzymuje się zdziwiony: skąd ona wzięła te wszystkie rzeczy? Spakował je dla niej Tubbit? Wiozła je tu ze sobą przez całą Europę? Przeleżały przez te wszystkie lata na strychu, gdzieś w Iowa?

Na ścianach czekają na niego, oprawione w kosztowne ramki, sporządzone niegdyś przez niego w Nottinghamshire rysunki kwiatów, ziół i owadów. Janet jeździła z nim wtedy wypożyczonym fordem po polach. Miała uszmkowane na różowo usta, powieki jej błyszczwały, a w wybrudzonej rękawiczce trzymała wiezione do Marleyshall porosty.

Na tym rysunku jest trzmiel *Bombus lucorum* - gdy go rysował, bladą twarz Janet oświetlały błyskawice. Ten tu to *Bombus pratorum* - oczy Janet były wtedy pełne łez, a ona wycierając je i łkając, ścigała przez głowę, a potem kopnęła leżącą na ziemi sukienkę. Rysunek trzmiela leżał w kącie stodoły, a na dworze padał deszcz.

Nie miał żadnego zdjęcia Janet. Spalił je wszystkie któregoś dnia w Detroit; nie mógł znieść, jak jej spoglądająca spod wymyślnych kapeluszy, uśmiechnięta twarz szarzała na zdjęciach i pokrywała się siateczką spękań. Thorn bierze z biurka

fotografię. Janet stoi na niej w niemodnej już pozie, z ustami w ciup. Na głowie ma ściśle doń przylegający, wyglądem przypominający hełm-kapelusz i patrzy w bok. Suknię ma długą do kostek, na nogach buty z czubkami, a rękawy wydają się za długie i zebrane są w mankiet. Ogromny kołnierz powoduje, że jej mała głowa wydaje się jeszcze mniejsza.

Za biurkiem znajduje się następny pokój, równie duży jak poprzedni. Jest w nim nowa maszyna do pisania, stos papieru i ułożone w rozetę zaostrzone ołówki.

8

Catherine nie może dłużej wytrzymać w kościele, powietrze w nim jest stęchłe jak w starym grobowcu. Jedynie ona i płonące świece dają w nim oznaki życia; świece, paląc się, wykręcają się i zwijają. Figura Świętej Panny wyciąga przed siebie ręce z poobłamywanymi, jak gałęzie drzew, palcami.

Czy Thorn jest w starej olejarni i chodzi teraz po pokojach, oglądając te wszystkie piękne rzeczy, które państwo Laird przywieźli z Grecji, Włoch, Francji i Anglii? Catherine odchodzi, a Święta Panna wyciąga ręce w kierunku, gdzie przed chwilą stała.

Gdy Jack zabrał ją do Grecji, patrzyła na Maraton równie obojętnym wzrokiem, jak przyglądałyby mu się góry. Jej świat się zawalił. Co Thorn mógł na to poradzić? Nie wiedziała, kiedy to się stało. Zaczęło się, prawdopodobnie, od mikroskopijnych spękań, podobnych do tych, jakie widziała kiedyś na murach katedry w Yorku. Zdarza się, że w kamiennym murze powstają zbyt duże naprężenia i wtedy, albo najpierw powstaje ogromne wybrzuszenie, takie jak to w Salisbury (jeśli ktoś potrafi to sobie wyobrazić), albo, tak jak w Yorku, szczelina, która przebiega wzdłuż całej frontowej ściany, od góry do dołu, i dzieli ją na dwie, lekko przesunięte względem siebie części.

Swoją drogą, jak można poznać, że to Madonna, skoro nie ma ona Dzieciątka? Ale z drugiej strony, kto inny mógłby to być? W kościele jest przeciąg i języki świec wyciągają się do góry.

Kiedy coś nie pasuje, przeszłość nagle się zatrzymuje i coś pęka; tak powstaje szczelina. Odtąd, nic już więcej stamtąd do ciebie nie dociera. Nawet oglądając Partenon wie się, że on nie ma z tobą nic wspólnego. Atena zdecydowała już ostatecznie o losie Orestesa, on zabił przecież jedynie swoją matkę.

U stóp Najświętszej Paniarki stoją w butelce świeże lilie. Tubbit takie uprawiał. Catherine pamięta, jak otwierały się na jeden zaledwie dzień, gotowe na przyjęcie pszczoł jak wrota świątyni na przyjęcie westalek. Pszczoły wracały na noc do swoich uli, składały tam pyłek i miód, a przepastny kielich lilii zamykał się jak parasol i odtąd wszystkie soki szły w bulwę. Te lilie jednak nie mają bulw. Właśnie się zamykają i nic już z nich nie zostanie.

Ciekawe, jak Thornowi spodoba się stara olejarnia. Co myśli o nagromadzonych w niej kosztownych przedmiotach... - i o niej, przebywającej na wygnaniu w jego świecie. Mając pieniądze, które zostawił jej Jack, mogła zamieszkać w każdym miejscu na świecie, ale jakie to miało znaczenie, jak powiedziałby kot Cheshire. W przeszłości, władca miasteczka, w którym właśnie się znajdowała - cała ubrana na białą i wytwornie pachnącą, z błyszczącymi włosami i nie mającą dokąd się udać - miał cztery córki.

Działo się to w trzynastym wieku, ale jakie to miało znaczenie? Wszystkie cztery księżniczki były piękne i na pewno wiedziały, że im, księżniczkom, przeznaczeni byli zagraniczni książęta. Księżniczki zawsze, jeśli im się uda, mieszkają na wygnaniu. Z tego ogrodu wyrwane zostały cztery lilie: pierwsza została żoną Świętego Ludwika, druga wyszła za Henryka III i została Królową Anglii, trzecia została cesarzową Austrii, a czwarta Królową Obojga Sycylii. Wszystkie z jednego miasteczka. Czy kiedykolwiek potem wróciły tu, włokąc za sobą treny swych sukien?

Catherine się śmieje; jej śmiech odbija się echem po kościele. Musi zapamiętać ten dzień. Bierze jedną z zatkniętych w dłoń Madonny lilii; kwiat zwiędł już i jest oklapnięty jak kapiące świece.

Powietrze nie jest już takie ciężkie i skądś dochodzą dźwięki muzyki - to przed merostwem, jak zwykle, odbywają się tańce. Catherine odwraca się, nie chce słuchać muzyki.

Czarne, brukowane ulice albo pną się w górę, albo opadają w dół; czuć na nich woń odpadków, a mury domów są czarne od dotknięć brudnych rąk. Ktoś gra na skrzypcach i ich echo brzmi w uliczkach jak przedrzeźnianie papugi. W tym starym miasteczku z czasów rzymskich urodził się biskup, a uwielbiali je Picasso i Matisse. Spodnium Catherine lśni bielą tak jak lilie, które rosną wszędzie, w każdym mieście.

Prawie na każdych drzwiach w miasteczku są małe kołatki z brązu. Catherine dotyka jednej z nich i czyta napis: „Otwórz mnie”.

W Watykanie roi się od piersi. Piersi zdobią żywoty świętych i martyrologię męczenników. Piersi mają oczy, które wyglądają tak, jak jajka sadzone na patelni, a powyżej nich znajduje się jeszcze jedna twarz, bez wyrazu, z falami pięknych włosów. Często są i skrzydła, które jak odsyłacze w tekście przekazują to, czego brakuje. Tak jak puste przestrzenie pomiędzy twarzami na obrazie Rafaela „Szkoła w Atenach”, pozostawione dla ludzi takich jak ona, dla tych, którym zostają tylko okruchy ze stołu.

*Nóż wbito w mięso i w rogi wlano napitki
Na dworze Artura odbywa się uczta
Zaproszeni są nań tylko synowie znakomitych rodów
I rzemieślnicy wraz z owocami swojego rzemiosła*.*

* Poezja autorki książki, Nancy Price, w tłumaczeniu Lidii Simbierowicz

Catherine widzi w łuku bramy podskakujących na placu przed merostwem w rytm muzyki tancerzy i udaje się w ich kierunku. Pod okaleczonymi drzewami poustawiane są okrągłe stoliki, przy których uwija się w swoim fartuszkach Marie, siedzą przy nich i odpoczywają modnie ubrani ludzie.

Catherine słyszy, jak z tyłu ktoś mówi do niej po angielsku:

- Witam sąsiadkę.

Odwraca się i widzi odrobinę starszego od siebie mężczyznę. Mężczyzna się uśmiecha.

- Przepraszam, że sam się przedstawiam - nazywam się Bob Barclay. Kupiłem dom obok pani, ten przy którym rosną te trzy drzewa. - Gestykuje rękami i śmieje

się. - Nazwałem je Wiara, Nadzieja i Miłość. - Trzy drzewa pojawiają się na moment i zaraz blakną w pamięci Catherine.

- Catherine Laird - przedstawia się.

- Zechce pani być moim gościem? - pyta Barclay i podsuwa Catherine krzesło. Poprzycinane drzewa przesłaniają światło latarni i stół znajduje się w półcieniu. Dwie kobiety w szykownych letnich sukienkach obserwują Catherine z zainteresowaniem, przygląda jej się też jakiś mężczyzna. Catherine odchyła do tyłu głowę, uśmiecha się do Boba Barclaya i patrzy na światła, kwiaty i spacerujących ludzi.

- Czego się pani napije? - pyta ją Barclay i daje znak Maxie.

- Proszę piwo cytrynowe - mówi Catherine. Na placyku przed merostwem skrzypce grają znajomą melodię. Marie podchodzi w swoim fartuszkowi i pisze w skupieniu zamówienie, a Catherine widzi po drugiej stronie placu Thorna.

- Spędza pani w starej olejarni większość roku? - pyta ją Barclay, gdy Marie odchodzi.

Catherine utkwiała wzrok w Thornie; Thorn zauważył ją.

- Mam jeszcze mieszkanie w Nowym Jorku, a także w Paryżu. - Thorn ma wygnieciony garnitur i wypchane kieszenie. Czeką, aż będzie mógł przejść przez ulicę i przekłada, z ręki do ręki, teczkę.

Barclay przypala Catherine papierosa i gdy się do niej uśmiecha, jego zęby odcinają się bielą na tle opalenizny.

- Ale tutaj zostawia pani serce? - Pomiędzy nimi unosi się dym z papierosa; Thorn z ręką w kieszeni idzie w ich kierunku.

- Bardzo lubię tu być - mówi cicho Catherine. Noc jest ciepła, Catherine ma ładnie uczesane włosy i pachnie dobrymi perfumami. Thorn zatrzymuje się przy ich stoliku. Catherine patrzy najpierw na niego, a potem na Barclaya. - Mój stary przyjaciel - mówi. - Thorn Wade. Bob Barclay.

Thorn przekłada teczkę do drugiej ręki, żeby się przywitać. Marie przynosi zamówienie i musi go obejść. Niech przyniesie sobie krzesło i do nich dołączy, proponuje Barclay. Czego się napije? . Thorn rozgląda się za krzesłem.

- Nie, dziękuję, nie będę nic pić. - Przynosi krzesło i siada przy stoliku z teczką na kolanach.

- Thorn jest dla mnie jakby wujkiem - mówi do Barclaya Catherine i uśmiecha się. - Wychowywał mnie po śmierci moich rodziców. Jest entomologiem. Podróżuje po świecie w poszukiwaniu różnych okazów.

- Ciekawa praca - mówi Barclay i wyciąga w kierunku Thorna papierośnicę. Thorn dziękuje i odmawia. - Znalazł pan tu coś ciekawego?

Catherine patrzy na jego długie, wąskie palce, w których ścisną teczkę. Na placu słychać szmer fontanny oraz mówiące po angielsku, francusku i niemiecku głosy.

- Nie - odpowiada Thorn - nie znalazłem.

- Mówiłem właśnie pani Laird, że kupiłem dom poniżej starej olejarni - nigdy nie mam dość tej okolicy. - Barclay strzepuje popiół z papierosa i uśmiecha się. - A gdzie mieszkała pani w Stanach? - pyta Catherine.

- W Chicago - odpowiada Catherine. Liście rzucają na jej włosy żółte cienie. - W Nowym Jorku. - Catherine podtrzymując rozmowę opowiada, że jej mąż miał fabrykę, a ona urządziła starą olejarnię meblami z epoki, oraz kupuje dzieła sztuki, które jej się podobają.

W drzewach i na rabatkach z kwiatami brzęczą owady. Barclay popija drobnymi łyżkami trunków i uśmiecha się, opierając się wygodnie na krześle.

- Musi pani przyjść do mnie zobaczyć mój dom. Może da mi pani parę wskazówek - ja także interesuję się meblami z epoki.

Marie uwija się dyskretnie między stolikami.

- Jeszcze jedno piwo? - pyta Barclay Catherine. - A pan niczego się nie napije? - pyta życzliwym tonem Thorna.

Liście nad stolikiem poruszają się i światło latarni oświetla twarz Thorna. Jego oczy znajdują się tak blisko, że Catherine widzi na tle ich błękitu zielononiebieskie niteczki, a także odbijające się w nich przez moment jej własne oczy. Thorn patrzy na swoją teczkę i pogniecione spodnie i mówi, że chyba pójdzie.

Podmuch wiatru mierzwi mu włosy.

- Nie pójdziesz ze mną do olejarni? - pyta go Catherine. Jej twarz spowija obłok dymu. - Zaraz tam idę.

- Proszę pójść do mnie! - zaprasza ją Barclay. - Udzieli mi pani wskazówek i zakończymy przyjemnie ten wieczór!

Thorn podnosi się. Mówi, że jest mu przykro, ale że musi już iść, i toczy spojrzeniem po ludziach, placu i szemrzącej w mroku fontannie. Catherine nie odzywa się. Barclay wyciąga do niego z uśmiechem rękę.

- Może wpadnie pan tu jeszcze kiedyś? - mówi przyjaźnie. - Miło mi było pana poznać. - Patrzy za Thornem, jak ten wymija po drodze stoliki, a potem czeka, żeby przejść przez ulicę. - Miły facet - mówi, a potem siada na powrót obok Catherine i bierze w rękę szklankę. - A wracając do pani zbiorów - w czym pani gustuje? Też jestem kolekcjonerem.

Catherine patrzy, jak Thorn czeka, żeby przejść przez ulicę; widzi go wyraźnie w świetle latarni. Potem idzie w swoim pomiętym tweedowym garniturze sadząc długie kroki i gdy mija po drodze spacerujące pary, ubrane jak przystało na letni wieczór na południu Francji, wygląda jak z innej planety... jakby był samotny albo czymś zakłopotany. Kiedy jednak widzi po raz ostatni twarz Thorn'a, gdy ten podnosi głowę i patrzy na drzewa, w jego niebieskich oczach ani grymasie ust nie ma zakłopotania.

- Mam Giacomettiego, którego lubię - mówi Catherine. Wiatr porusza liście na drzewach i światło latarni zalewa jej krótko obcięte, błyszczące niczym hełm włosy. Catherine trzyma w ręku szklankę i patrzy obojętnie, a gdy jej twarz na powrót pokrywa cień, dodaje: - I Renoira.

9

Nie ma sensu ogrzewać całego domu, skoro i tak najlepiej jest siedzieć w kuchni, myśli Tubbit. W pozostałej części domu stoją meble, na które jego matka pracowała pięć lat; Tubbit nie jest głupcem, ogrzewa te pomieszczenia na tyle tylko, żeby w czasie mroźnych zim, jakie się zdarzają w Dakocie Południowej, meble nie popękały i się nie rozpadły.

Karl Tubbit nie jest głupcem. Ma się przeprowadzić do jakiegoś „domu”? To jest dom! Czasami nawet z nim rozmawia. - To nie mój interes - mówi do stert starych gazet lub pozostawionych na krześle szelek. Urodził się w Dakocie Południowej i tu umrze.

Może porozmawiać sobie z kotem. Ten przeklęty kot to najbardziej gadatliwe stworzenie, jakie w życiu widział, ale nie zje resztek mięsa z papieru, żeby nie porozwłóczyć go po linoleum i nie zatłuścić go całego. A pyskować będzie przez dziesięć minut, całkiem jakby rozmawiał.

- Widzę ją jak dziś - mówi Tubbit do swojego kota Waldo. - Ma może ze trzy lata, ubrana jest w brudny kombinezon i ma to swoje spojrzenie, które miała od samego początku.

A te jej pytania. O, Matko! Dałbyś jej tylko taki dom jak ten, mówi do kota, a od razu zacznie cię wypytywać o rury i o śruby, którymi przytwierdzona jest do podłogi blacha koło kominka; przyczepi się do ciebie jak rzep do psiego ogona i nie da ci spokoju. Dlaczego płomień jest niebieski? Dlaczego łyżka, gdy zanurzy się ją w wodzie, wygląda jakby była złamana? Jeśli jej nie odpowiesz, to Thorn Wade naskoczy na ciebie z taką miną, jakbyś zabił mu ojca, a potem weźmie ją i wszystko jej wytłumaczy. Po co jej to potrzebne do wiadomości?

Nie pamięta, jak żyje, żeby jakaś dziewczynka patrzyła w ten sposób. A ona naprawdę była przekonana, że może zrobić wszystko. - Mądry dzieciak - mawiali o niej przyjaciele Thorna, ale tak naprawdę to nie był komplement. Nie wiadomo zresztą, co myśleli mówiąc to, tyle tylko, że ludzie źli byli czasem, gdy tak na nich patrzyła i zadawała im te swoje pytania. Czuli się nieswojo, gdy do nich podchodziła, żeby ich o coś zapytać. Dzieci zwykle są raczej nieśmiałe, patrzą pod nogi i słuchają; chyba że są jeszcze bardzo małe i nie wiedzą, jak się zachować.

Na śniadanie mamy dzisiaj płatki owsiane, kocie. Dlatego właśnie żyje tak długo, że je płatki na śniadanie. Można je ugotować raz w tygodniu, a potem tylko się odgrzewa. Jak się pali w piecu, to nie zużywa się tyle prądu i płaci się niższe rachunki.

Nie miała jeszcze czterech lat, jak siadała i rozmawiała z mężczyznami i kobietami, jak z równymi sobie, a oni byli niezadowoleni, jeśli wiedziała coś, czego oni nie wiedzieli. W zlewni zamarzło kiedyś zimą mleko, ponieważ zapytała

mleczarza, od jakiego gatunku krów pochodzi jego mleko, a on nie wiedział i z wrażenia nie zamknął drzwi. (Dowiedziała się tego i powiedziała potem mleczarzowi, że krowy były z gatunku Guernsey).

- Popatrz na krzesło, na którym siedzisz - mawiała do niego. - Ma siedzenie, cztery nogi i oparcie, ponieważ mamy wygięte kręgosłupy. Jak wyglądałyby krzesła, gdybyśmy byli wygięci w drugą stronę? Nie moglibyśmy siedzieć na takich krzesłach, bo musielibyśmy wtedy siedzieć plecami do tyłu.

Budował dla niej wszystko: mały domek z kuchenką, zlewem, stołami i krzesłami, lodówką i łóżeczkami dla lalek. Wszystko. I posłał ją do szkoły, żeby razem z innymi, ubranymi w ładne sukienki dziewczynkami, skakała na skakance. Powiedziała, że nie lubi szkoły. A kto ją lubi? Ale trzeba chodzić do szkoły i się uczyć, a dziewczynki nie muszą wiedzieć, jak pracuje koparka. Kobiety za kierownicą ciężarówek, koniec świata!

Nigdy nie była taka milutka i wdzięczna jak inne dziewczynki, które widziało się w tramwajach z ich matkami, ślicznie ubrane. Ona nie miała matki i to była część problemu. O, jest mleczarz; zaraz zrobi się widno i zacznie się kolejny dzień.

Tak, po drugiej stronie ulicy wyłaniają się już z mroku domy. Pomagała mu kiedyś robić dżem i powiedziała:

- Nie zastanawiałeś się nigdy, jak to jest, że kładziemy się wieczorem spać, a potem budzimy się rano i jesteśmy w tym samym miejscu? Nikt nie zgubił się ani w średniowieczu, ani gdzieś w środku Afryki. Wracasz dokładnie w to samo miejsce i w tym samym czasie.

Po drugiej stronie ulicy wychodzi z domu, po mleko, pani Ackerman. Ma na sobie organdynowy fartuch. Jest dobrą sąsiadką, zawsze przynosi mu coś do zjedzenia. I jest taka szykowna. Właśnie upiekła ciasto i pomyślała, że może zjadłby kawałek - przygląda włosy przepraszając za swój wygląd. Ciasto jest dobre.

Dobrze jej się ułożyło. Wyszła za Jacka Lairda, a teraz jest wdową, mieszka we Francji i może wkrótce znów go odwiedzi. Naprawdę dobrze jej się ułożyło - wyszła za mąż i miała normalne życie. Naprawdę dobrze.

A w ogóle to nie jest jego sprawa, mówi do kota i wychodzi, żeby przynieść mleko, zanim zamarznie. Kobiety za sterami samolotów, mój Boże! Ale teraz jest już w porządku, wszystko dobrze się skończyło.

RS